

MIKE OMER

AUTOR BESTSELLERA „NEW YORK TIMESA” *UMYSŁ ZABÓJCY*

FALSZYWE

SPRAWA ABBY MULLEN

INTENCJE



NAJGROŹNIEJSZE WILKI
TO TE W LUDZKIEJ SKÓRZE

Świat Książki

MIKE OMER

**FAŁSZYWE
INTENCJE**

Z angielskiego przełożył
ROBERT GINALSKI


Świat Książki
wydawnictwo

SPIS TREŚCI

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 9
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38

Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Podziękowania
O autorze
Przypisy

Tytuł oryginału: *DAMAGED INTENTIONS*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący: *Beata Kołodziejaska*
Redakcja: *Joanna Popiołek*
Korekta: *Jadwiga Piller*

Text copyright © 2022 by Michael Omer

All rights reserved

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com
in collaboration with Graal Sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Robert Ginalski, 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

ISBN 978-83-828-9149-2
Warszawa 2023

Księgarnia internetowa: www.swiatksiazki.pl www.ksiazki.pl

Dystrybucja Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. +48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

ROZDZIAŁ 1

Nadchodzili.

Potykaçąc się, krążył po ciemnym domu, gorączkowo rozglądając się na boki i łkając ze strachu. Ile czasu mu zostało? Godzina? Może mniej. Wiedział, co mu zrobią, kiedy tutaj dotrą. Starał się o tym nie myśleć, lecz wiedział. Wysłuchał dostatecznie wielu zeznań, widział aż nadto zdjęć. Boże, błagam, nie pozwól, żeby mnie też to spotkało.

W garażu na górnej półce dostrzegł skrzynkę z narzędziami. Stanął na palcach, szarpnął ją gwałtownie, a wtedy wieko odskoczyło, wypadł śrubokręt i uderzył go w głowę. Syknął z bólu, postawił skrzynkę na podłodze i zaczął w niej grzebać. W zakurzonej pomieszczeniu odbijał się echem szczęk metalowych przedmiotów. No już, szybciej! Odwrócił skrzynkę do góry dnem. Głośne stuknięcie sprawiło, że się skrzywił. Czy ktoś to usłyszał? Sąsiedzi? Przypadkowy przechodzień, który właśnie dzwoni na policję? Albo oni?

Są! Chwycił kombinerki i czując, jak serce łomocze mu w piersi, wybiegł z garażu.

Przede wszystkim pozbyć się nadajnika GPS! Klęcząc na podłodze, próbował sobie przypomnieć schematy, których się nauczył na pamięć. Nie mógł się jednak skupić, oddech miał nierówny, w głowie kotłowały mu się wizje męczarni, jakim go poddadzą, kiedy już tu dotrą. Oparzenia. Rany.

Odetchnął głęboko, zmusił się do koncentracji. Nadeszła chwila, żeby się sprawdzić. Pokazać, ile jest wart. Godziny treningów, wkuwania na pamięć, szykowania się na tę chwilę.

Tak, wreszcie sobie przypomniał.

Złapał kombinerkami ukryty nadajnik i wyrwał go z zębodołu. Wstał roztrzęsiony, przeszedł do łazienki. Chciał wyrzucić nadajnik do toalety, ale do muszli wpadły też szczypce. Ożeż jasna cholera! Wyłowił je z sedesu, spuścił wodę.

Teraz mikrofon. Ten był schowany bardziej z tyłu, trudniej było się do niego dostać.

Kiedy próbował wetknąć szczypce, by wyrwać mikrofon, w ciemności coś błysnęło. Zamigotało białe światło – telefon komórkowy. Podniósł go i spojrzał na

ekran. Dostał nową wiadomość.

Czerwona_Królowa: Gąsienico, jesteś tam?

Rzecz jasna, nie nazywał się Gąsienica. Ale w sieci każdy krył się za nickiem, chował w mętnej wodzie, by nie dało się go wysledzić. Musiał odpowiedzieć, żeby zmylić każdego, kto podsłuchiwał, obserwował, robił notatki.

Jestem.

Wystukał to drżącym palcem. Na ekranie została smuga krwi, czerwona lepka plama. Jego DNA oraz odcisk palca.

Czerwona_Królowa: Widziałeś ich wcześniejszy post? Na temat tych dzieci?

Najchętniej roztrzaskałby ekran i wydarł się na Czerwoną Królową, że to nie jest dobry moment, że może już po niego jada, że może jest spalony. Zmusił się jednak do wystukania odpowiedzi – spokojnej, krótkiej i bez literówek.

Gąsienica: Zajęty. Przeczytam później.

Zgasił ekran, znowu wziął kombinerki.

Gdzie jest mikrofon?

Pierwszy dolny ząb trzonowy po prawej. Zadarł brodę, wsunął szczypce do ust, złapał ząb. Wyrwał go jednym silnym szarpnięciem, zatoczył się i wylądował na tyłku. Czuł, jak krew z podłogi wsiąka w jego dzinsy.

Powrót do łazienki, pewniejszym krokiem. Tym razem do sedesu wpadł ząb, nie kombinerki. Stuknął o dno, zostawiając po drodze czerwony ślad krwi.

Spuścił wodę i pozwolił sobie na uśmiech. Zrobił to! Załatwił jednego z ich agentów. Był pierwszym, któremu to się udało. Ponad trzy lata walczyli z tą szemraną grupą i czasami odnosił wrażenie, że ich walka jest beznadziejna. Że potężna sitwa tych porąbanych sukinsynów jest absolutnie nietykalna. Krąg sterował przecież rządem, wojskiem, policją, mediami. Czy komuś takiemu mogła się przeciwstawić śmiesznie mała grupka zwyczajnych ludzi?

Może jednak nie bez powodu wybrano go wraz z innymi? Oto dowód – zrobił to!

Zabił jednego z wrogów. A skoro dokonał tego w pojedynkę, to działając razem, mogą wykończyć resztę.

Odwrócił się, spojrzął na swoją twarz w lustrze. Rozczochrany, umazany krwią. Ale zwycięski.

Umył ręce w umywalce, zostawiając na białej porcelanie czerwone plamy, i myślał o tamtych. Usiłował przewidzieć ich ruchy. Prawdopodobnie wkrótce spróbują nawiązać kontakt ze swoim agentem. Przekonają się, że nie odbiera. A namierzając nadajnik GPS, będą szukali wiatru w polu, wzdłuż całej miejskiej kanalizacji. To mu dawało trochę czasu. Niewiele, wroga nie wolno lekceważyć. Ale dostatecznie dużo, by zdążyć zatrzeć za sobą ślady.

Wrócił do salonu, zapalił światło i stanął bez ruchu. Po raz pierwszy mógł w pełni ocenić swoje dzieło. Na całej podłodze plamy krwi. I leżące ciało – martwe, szklany wzrok, szeroko otwarte usta, brak dwóch zębów, a do tego ślady krwi oraz kawałki chrząstki.

Zakreśliło mu się w głowie, oparł się o ścianę. Zrobił, co należało. To jest wojna, a jego wybrano, żeby chronił niewinnych i bezbronnych.

A na wojnie leje się krew.

I nagła, kłopotliwa myśl. A jeśli się pomylił?

Jeżeli w zębach, które wyrwał, nie było nadajnika ani mikrofonu? Jeśli schemat zawierał błąd, zmyłkę wprowadzoną umyślnie w ramach działań kontrwywiadowczych wroga?

Nie wierz nikomu. Zawsze myśl z wyprzedzeniem.

Nadajnik i mikrofon mogły się znajdować w nieusuniętych zębach. Czekają go jeszcze mnóstwo roboty. Po raz trzeci ukląkł przy zwłokach i chwycił szczypcami kolejny ząb.

Zawahał się. To jakiś obłąd. W skrzynce z narzędziami był przecież młotek.

ROZDZIAŁ 2

Zapachy niemiłych wspomnień wdzierają nam się w nozdrza i potrafią zagnieździć się w naszym mózgu na wiele godzin, dni, a nawet tygodni.

Abby Mullen patrzyła przez przednią szybę auta z wypożyczalni i oddychała głęboko, próbując wypełnić nos zapachem odświeżacza powietrza w samochodzie. Chyba sosnowego, w każdym razie była to jakaś nędzna imitacja roślinnej woni. Nic to nie dało. Nie udało jej się pobyć smrodu, który czuła od tygodnia, który śnił jej się po nocach i nawiedzał ją za dnia.

Ludzie często zachwycają się tym, jak zapachy potrafią przywoływać wspomnienia. Jak aromat cynamonu przywodzi na myśl niedzielne poranki u babci i wypiekane przez nią babeczki. Albo jak czując woń świeżo ściętych kwiatów, mają przed oczami wiosenny piknik.

Mało kto jednak mówi o tym, że odór środka dezynfekującego kojarzy im się z chwilą, kiedy w szpitalu trzymali za rękę umierającego ojca. Albo jak fetor gnijącego mięsa przenosi ich w czasy dzieciństwa, kiedy znaleźli w lesie martwego psa i po raz pierwszy zetknęli się ze śmiercią.

Nikt nigdy nie mówił o dymie. Duszącym, wszechobecnym dymie i o wspomnieniach, które mu towarzyszyły.

Siedząc za kierownicą, Abby zaciskała zęby. Z jednej strony była dorosłą kobietą, matką dwojga dzieci, porucznikiem nowojorskiej policji. Z drugiej – siedmioletnią dziewczynką potykającą się w drewnianym korytarzu, bo przez gęsty dym niewiele widziała.

Zaniosła się kaszlem, do półprzymkniętych oczu napłynęły łzy. Zza zaryglowanych drzwi dobiegały stłumione krzyki, jakaś kobieta błagała, żeby ją wypuścić. Mamusia? Czy ktoś inny? Musiała ich uwolnić.

Ze ścian buchał żar, po drugiej stronie rozszalało się piekło. Były tam dziesiątki uwięzionych ludzi. To ona ich tam zamknęła. Popełniła błąd, może coś źle zrozumiała. Ale otworzy zasuwę, a wtedy...

„Abihail, uciekaj stamtąd!” – krzyknęła za jej plecami Eden; także kaszłała, w jej głosie brzmiały rozpacz i strach. Ale ona nic nie rozumiała... to była pomyłka, a mamusia i tatuś wołają teraz o pomoc.

Abihail miała do drzwi już tylko kilka kroków, wyciągnęła rękę do rygla, żeby ich wypuścić.

Czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię, odciągnęła, próbowała ją odwrócić.

Krzyknęła ze złości i strachu, usiłując się wyrwać.

I wtedy nastąpił wybuch, jego siła odrzuciła ją do tyłu, nagle poczuła w karku palący ból, pochłonęły ich płomienie...

Abby zadrżała, odetchnęła głęboko i jej ręka mimowolnie powędrowała do blizny na karku. Dotknęła zgrubienia na skórze, przypominając sobie, że nie jest już dzieckiem. Że pożar, nazwany przez prasę masakrą Wilcoxa, to przeszłość sprzed kilku dekad.

A teraz, po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat, znów była w Karolinie Północnej, na terenie należącym kiedyś do Rodziny Wilcoxa.

Rzecz jasna, olbrzymi drewniany budynek, w którym mieściła się ich kaplica, a także jadania, biura oraz sypialnia Mosesa Wilcoxa, zniknęły. Spalił się doszczętnie, a to, co z niego zostało, już dawno usunięto. Nie było też trzech wielkich chat służących za sypialnie.

Na ich miejscu obok drogi stanął wielki prostokątny pomnik z granitu. Za nim rosło kilka całkowicie teraz bezlistnych drzew. Były to klony zasadzone ku pamięci tych, którzy zginęli w pożarze. Abby widziała zdjęcia tego pomnika zrobione jesienią, jaskrawa czerwień listowia drzew kontrastowała z posępnym charakterem monumentu. Teraz ten efekt zanikł – drzewa pasowały szarością do nieba oraz granitowej płyty. Były szare jak dym.

Wysiadła z wypożyczonego samochodu i podeszła do wielkiego kamienia. Przesuwając palcem po szorstkiej powierzchni granitu, przeczytała dedykację:

DLA UCZCZENIA PAMIĘCI
PIĘĆDZIESIĘCIU DZIEWIĘCIU NIEWINNYCH OSÓB,
KTÓRYCH ŻYCIE PRZERWANO
23 KWIETNIA 1987 ROKU.
DZIEWIĘĆ Z NICH MIAŁO NIE WIĘCEJ NIŻ OSIEM LAT.

Pod inskrypcją widniały nazwiska, w czterech kolumnach.

Szybko przebiegła wzrokiem listę. Pośrodku trzeciej kolumny znalazła Marthę Richardson i Davida Richardsona. Swoich rodziców.

Sięgnęła pamięcią wstecz, próbując ich sobie przypomnieć. Bez trudu wyobraziła sobie matkę zbierającą kwiaty na polu albo układającą bukiety dla kwiaciarni, ponieważ spędzała z nią dużo czasu. Tak jak Abby, była blondynką,

a jej bujne włosy sięgały aż do pasa. Zbierała je w koński ogon, nie próbując maskować tej skazy urody, która prześladowała Abby do dziś – wielkich uszu.

Co innego z ojcem. Pamiętała, jak podczas modlitwy dziękczynnej trzymała go za rękę – wielką i zawsze niezwykle ciepłą. Miał podrapaną skórę – rezultat codziennej pracy z kolczastymi roślinami. Ale oprócz jego dłoni nie pamiętała nic więcej.

Na dole kolumny kolejne nazwisko. Moses Wilcox. Wpatrywała się w nie przez chwilę, zaciskając zęby. Nagle zmarszczyła czoło i przyjrzała się bliżej. Sądziła, że nazwiska wypisano w kolejności alfabetycznej, wówczas jednak Moses znalazłby się w czwartej kolumnie, przy końcu listy. Szybko uświadomiła sobie, że tak nie jest – z niewiadomego powodu ostatnie osiem ofiar wymieniono tylko z imienia, bez nazwisk.

Znalazszy rodziców, jeszcze raz przejrzała nazwiska i znalazła więcej takich, które zapamiętała. Rodziców Eden. Matki Isaaca – jego ojciec nigdy nie wstąpił do sekty. Hanny, która pracowała w kuchni i często piekła dzieciom ciasteczka. Erica, który łąził po całej farmie i gapił się na nią tak dziwnie, że aż się bała.

Zdziwiła się, że przypomniała sobie tyle nazwisk, i to ludzi, o których nie myślała od ponad trzydziestu lat. A jednak... gdzieś tu tkwił jakiś błąd.

Kierowca ciężarówki, który zawoził bukiety jej matki do kwiaciarni, miał na imię George. Ale choć przejrzała listę czterokrotnie, nie znalazła jego nazwiska. Figurował tam inny George – Fletcher – on jednak był ojcem Eden i Abby wiedziała z całą pewnością, że chodzi o dwie różne osoby.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Eden.

– Cześć, Abby! – rzuciła Eden wesoło; w niczym nie przypominała przerażonej, zrozpaczonej kobiety, której Abby pomogła przed dwoma miesiącami.

– Hej. – Rozmawiając, Abby odruchowo rzuciła wzrokiem na nazwiska rodziców Eden. – Słuchaj, właśnie stoję przed pomnikiem.

Rozmawiały o tym, zanim przyleciała do Karoliny Północnej. Niedawne spotkanie po latach trojga ocalałych z masakry sekty Wilcoxa – Abby, Eden i Isaaca – wskrzesiło pozostające bez odpowiedzi pytania i przywołało mroczne, pogrzebane wspomnienia. Abby chciała do tego wrócić i dociekać prawdy, ale Eden i Isaac nie byli zachwyceni jej pomysłem. Woleli zostawić przeszłość za sobą. Mimo to Eden poprosiła Abby, żeby informowała ją, jeśli coś odkryje.

– I jak wygląda? – spytała Eden.

– Bo ja wiem? Jak kamień pamiątkowy. Jest na nim lista nazwisk.

Krótkie milczenie.

– Uhm.

– Mam do ciebie pytanie... czy pamiętasz George'a? Nie twojego tatę... tego drugiego.

– Mówisz o kierowcy ciężarówki? Jasne. Czasami zabierał mnie ze sobą.

– On tam był aż do... – Abby odchrząknęła. – Aż do końca, tak?

– Tak... Jestem tego prawie pewna. Dlaczego pytasz?

– Bo wygląda na to, że zapomnieli go tutaj umieścić. Pamiętasz może, jak miał na nazwisko?

– Nie mam pojęcia. Byłam małym dzieckiem. – W głosie Eden pojawiła się obronna nuta.

– Jasne. Jak my wszyscy. No nic, dzięki.

– A widziałaś się już z tamtym facetem?

– Nie, to mój następny przystanek.

– No to powodzenia.

– Dzięki. Odezwę się potem. – Abby rozłączyła się i rozejrzała. Podniosła nieduży kamień z pobocza drogi, położyła go na pomniku i przesunęła palcem po konturze litery „M” w imieniu matki.

A potem wróciła do samochodu, zapaliła silnik i nastawiła się na spotkanie z człowiekiem, który był świadkiem jednego z najgorszych wydarzeń w jej życiu.

ROZDZIAŁ 3

Dom stał przy ulicy, gdzie drzew było dwadzieścia razy więcej niż budynków. Usiana małymi puszystymi kwiatkami trawa w ogrodzie tworzyła nieco baśniowy nastrój. Na werandzie w fotelu z wikliny siedział siwowłosa mężczyzna i palił papierosa. U jego boku leżał wielki golden retriever, z głową spoczywającą na przednich łapach i zamkniętymi oczami.

Abby wysiadła z samochodu i podeszła bliżej.

– Przepraszam pana...

– Wszystkie są za domem. – Mężczyzna machnął ręką, w której niedbale trzymał papierosa. – Zajrzyj za róg, może znajdziesz swój.

– Może co...? Ja szukam Normana Lewisa.

– To ja. Mówiłem ci, zajrzyj za... zresztą nieważne, sam ci pokażę.

Wstał, postępując i trzymając się za krzyż. Golden retriever zerwał się żwawo i poszedł za Normanem Lewisem, który wolno poczłapał za dom. Abby, nic z tego nie rozumiejąc, ruszyła za nimi. Norman skręcił za róg, zatrzymał się przy wielkiej stercie butów i wlepił w nią wzrok. Abby dołączyła do niego i też zapatrzyła się na obuwie. Pies spoglądał na nią wyczekująco, merdając ogonem.

Zniszczone, zabłocone buty wyglądały dość żałośnie. Były wszelkich rodzajów i rozmiarów – kilka tenisówek, dziecięcy botek i kobieca czerwona szpilka.

– Chodzi o ten? – Norman wskazał czerwoną szpilkę. – Tak na oko to chyba twój rozmiar.

– Nie, ja...

– Nie widzisz go tu? A nie masz przypadkiem ze sobą drugiego, co? Poszukam go. Ale to może potrwać kilka dni, bo zanim je tu przyniesie, czasem je zakopuje.

– Panie Lewis, nie przyjechałam szukać zaginionego buta. Nazywam się Abby Mullen. Mówił pan, że mogę wpaść w tym tygodniu o dowolnej porze.

– A! – Raptownie uniósł brwi. – Jesteś tą policjantką z Nowego Jorku. Tak naprawdę nie sądziłem, że się zjawisz.

Abby uniosła ręce, jakby z zażenowaniem chciała powiedzieć „ale jestem”.

Norman znowu spojrzał na buty.

– Od kilku dni jest coraz gorzej. W sobotę lało jak z cebra, po ulicach płynęło błoto. Wszyscy zostawiają brudne buty przed drzwiami domów, więc Cooper ma

używanie. – Wzruszył ramionami. – No nic. Wejdźmy do środka.

Zaprowadził ją do przytulnego małego salonu i usiadł na kanapie, która pewnie była starsza od Abby. Ona zajęła jedyne pozostałe miejsce do siedzenia – fotel bujany. Cooper położył się na dywanie między nimi i westchnął głęboko.

– Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty? – zapytał Norman.

– Nie, dziękuję.

– Może soku jabłkowego? Piwa? Albo zwykłej wody?

– Nie, naprawdę niczego mi nie trzeba.

Rozparł się na kanapie.

– Po śmierci mojej żony, przed dwoma laty, Cooper zaczął kraść buty. Nie wiem, czy to jakiś dziwaczny mechanizm radzenia sobie ze stresem, czy uważa, że znosząc mi tu cudze buty, sprawi, że poczuje się lepiej.

Na dźwięk swojego imienia Cooper uniósł łeb. Kiedy Abby nachyliła się, by go podrapać po głowie, zamerdał ogonem i postukał nim w podłogę. Abby nigdy nie widziała równie uroczonego fetyszysty butów.

– Z początku przynosił tylko lewe buty. Dziewięć lewych butów. Nic tylko geniusz, pomyślałem. Słyszałaś, żeby jakiś pies potrafił odróżnić lewe buty od prawych?

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego szeroko. Najwyraźniej był spragniony towarzystwa, więc nie miała ochoty odgrzebywać przeszłości i psuć nastroju. Postanowiła odczekać kilka minut.

– Ale potem przyniósł też kilka prawych, więc uznałem, że to tylko zbieg okoliczności. Kiedyś przyniósł mi but klauna. Miał trzy czwarte metra długości i był fioletowy. Na pewno nie chcesz czegoś do picia?

– Nie, dzięki.

– Jak sobie życzysz. A więc co sprowadza policjantkę z Nowego Jorku do Ayden?

Westchnęła.

– Chciałam pana zapytać o coś, co się wydarzyło dawno temu. O pożar na terenie sekty Wilcoxa.

– Aha. – Jego twarz spochmurniała.

Przez chwilę Abby miała ochotę skłamać, że rzeczywiście zgubiła but i właśnie w związku z tym przyjechała. Spytała jednak:

– Był pan przy tym, prawda?

– Byłem tam – przyznał ponuro. – Dlaczego cię to interesuje?

– Miałam wtedy na imię Abihail – powiedziała po chwili wahania.

Wytrzeszczył na nią oczy, ale zaraz otworzył usta i krew odpłynęła mu z twarzy.

– Dobry Boże – wyszeptał.

– Pamięta mnie pan?

– Dziewczyno, pamięć mi szwankuje. Trzy razy z rzędu zapomniałem o rocznicy ślubu. Ale tamtego dnia nigdy nie zapomnę. A wierz mi, próbowałem.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Cieszę się. Bo liczyłam, że uzyskam odpowiedzi na kilka pytań.

Zacisnęła usta i siedział tak przez dłuższą chwilę.

– Wiesz co? Chyba muszę się napić. Zaczekaj tu.

Cooper wstał i w ślad za Normanem opuścił pokój, ale przed wyjściem przystanął, jakby nie wiedział, czy może zostawić gościa bez nadzoru. Zawrócił, podszedł do Abby i położył łeb na jej kolanie. Podrapała go, a on z rozkoszy zamknął oczy. Kiedy przestała, szturchnął ją nosem w rękę i powtarzał to tak długo, aż w końcu się poddała i znowu zaczęła go czochrać po łbie.

Norman wrócił kilka minut później, w jednej ręce niosąc butelkę piwa, a w drugiej parujący kubek.

– Dopóki go będziesz drapać, za nic się od ciebie nie odczepi. – Podał jej kubek. – Herbata cynamonowa. Na dworze jest ziąb.

– Dzięki – odparła uprzejmie i upiła łyk. Zdziwiła się, bo napój był naprawdę pyszny. Cooper trącił ją w rękę, domagając się dalszych pieszczot, i w rezultacie oblała się herbatą.

– Cooper, wynocha – polecił mu Norman, otwierając drzwi frontowe.

Pies popatrzył na niego wyraźnie urażony.

– Jazda, już cię tu nie ma.

Pies westchnął i powlókł się na dwór. Norman zamknął drzwi, usiadł i wypił łyk piwa.

– Czyli nie przyjechałaś w związku ze śledztwem?

– Raczej nie.

Skinął głową.

– A wiesz, że często myślałem o waszej trójce. Gdzie wylądowaliście. Bo wtedy wydawałaś się taka... zagubiona. Raz nawet próbowałem cię odszukać, ale nie chcieli mi zdradzić, gdzie jesteś.

– Trafiłam do rodziny zastępczej, która z czasem mnie adoptowała.

Jego twarz nieco się rozpromieniła.

– Miło słyszeć. A nie wiesz czasem, co się stało z tamtą dwójką? Z Eden i Isaakiem?

– Eden założyła rodzinę. A Isaac jest księgowym. – Ogólnikowe fakty, nie dotykające mrocznej prawdy. Ale Norman zmrużył oczy i spojrzał na nią przebiegle; nie dał się wyprowadzić w pole.

– No dobrze – powiedział. – To o co mnie chciałaś zapytać?

– No... Tak sobie myślałam o naszej rozmowie. Tej przez telefon. Wiem, że istnieją transkrypty. Czytałam je. Ale mam pytanie... czy jest coś, czego w tych

transkryptach nie ma?

– Na przykład?

– Na przykład, jakie wrażenie na panu zrobiłam.

– Słysząc było, że jesteś przerażona. Przystawił ci pistolet do głowy.

– Czy płakałam?

Zawahał się.

– Chyba tak.

– Chyba? Mówił pan, że pamięta wszystko z tamtego wieczoru.

– Tak, ale cię nie widziałem – zauważył. – Połączenie było kiepskie, nic tylko trzaski. Jak mówiłem, trzymał cię na muszce. Która siedmiolatka by się nie rozpląkała?

Siedmiolatka, której wcale nie grożono pistoletem. Siedmiolatka, która powtarzała tylko to, co Moses Wilcox kazał jej powiedzieć.

– Powiedziałałam wam, że jesteśmy zebrani w sali jadalnej, wszyscy członkowie wspólnoty – rzekła Abby. – Słyszał ich pan?

Norman zmarszczył czoło.

– Przypominam sobie, że w tle słyszałem czyjś płacz.

– Sześćdziesiąt dwie osoby w zatłoczonym pomieszczeniu. Musieli jakoś hałasować.

– Nie sądzę. Ten cały Moses Wilcox miał pistolet. Myślę, że bali się odezwać.

– Czyli pamięta pan tylko czyjś płacz? – naciskała Abby.

– Tak.

– No trudno – mruknęła. Przez chwilę popijała herbatę.

Liczyła na coś innego. Że usłyszy, że szlochała do telefonu. Że Norman słyszał w tle wołanie o pomoc. Sama pamiętała ten wieczór jak przez mgłę, wszystko jej się mieszało. Jeszcze do niedawna wierzyła, że byli w sali jadalnej wszyscy razem. I że Moses przystawił jej pistolet do głowy i mówił, co ma przekazywać policji.

Ale dwa miesiące temu, gdy znowu spotkała się z Eden, zaczęła inaczej postrzegać te wydarzenia. Eden, Isaac i ona znajdowali się w innym pokoju niż reszta wspólnoty. Moses kazał jej rozmawiać z policjantami i powiedzieć im, żeby się trzymali z daleka, bo ma ją na muszce.

„Powiedz im o broni”. Jego palec przyciśnięty do jej skroni, zupełnie jak lufa. „Powiedz im, że jesteśmy tu razem, sześćdziesiąt dwie osoby”.

A potem wyszedł z pokoju. I kiedy rozmawiała z policją – z Normanem, który siedział teraz przed nią z butelką piwa w ręku – powtórzyła wszystko to, co

Moses kazał jej powiedzieć. Mimo że wcale nie przyciskał jej lufy do głowy. Jego nawet nie było w tym pomieszczeniu. A potem, kiedy skończyła rozmowę, podeszła do drzwi sali jadalnej i je zaryglowała, zgodnie z rozkazem Mosesa. Zamykając w środku wszystkich członków wspólnoty.

Nie mogła tego sprawdzić na pewno, ale wszystko, co powiedział teraz Norman, najwyraźniej potwierdzało jej wspomnienia. Przyłożyła rękę do śmierci w płomieniach pięćdziesięciu dziewięciu osób, w tym swoich rodziców.

Zamrugła i odchrząknęła.

– Po drodze do pana obejrzałam pomnik. Niektóre osoby wymienione są tylko z imienia, bez nazwiska.

– Tak. Nie mieliśmy wykazu wszystkich członków sekty... to znaczy wspólnoty.

– Może pan mówić „sekta”.

– Myślę, że niektórzy wyznawcy przywędrowali z innych stanów. Jedni przychodzili, inni odchodzili. A zwłoki były... wyobraź sobie, jak wyglądały. Były w strasznym stanie, prawie niemożliwe do zidentyfikowania. Zasięgnęliśmy języka, większość ofiar ludzie znali. Wy, dzieciaki, też podaliście nam trochę nazwisk. Z czasem zgłosiło się kilka rodzin i zidentyfikowały swoich bliskich. Ale tożsamości ośmiu osób nigdy nie udało się ustalić.

– Właśnie. Brakuje nazwiska jakiegoś George’a.

Uniósł brew.

– Nie brakuje. George Fletcher.

Pokręciła głową.

– W sekcie było dwóch George’ów. George Fletcher i jeszcze jeden.

– Według nas nikogo takiego nie było. Może wcześniej opuścił sektę?

– Nie. Czy to możliwe, że przeżył pożar?

– Nie przeżył nikt oprócz was trojga.

– Na pewno panował chaos. Było ciemno, olbrzymi pożar i wszędzie pełno dymu. Może przegapiliście...

– Zwłok był pięćdziesiąt dziewięć. Plus troje ocalałych. Sześćdziesiąt dwie osoby. Rachunek się zgadza. – Pochylił się. – Dlaczego sądzisz, że ktoś jeszcze przeżył?

– Mówiłam panu, że był tam jeszcze jeden mężczyzna imieniem George. Nie jest wymieniony na pomniku.

Przyglądał jej się uważnie.

– Dlaczego chciałaś ze mną rozmawiać? Nie przyjechałaś tu z powodu pomnika. Zadzwońska do mnie ponad tydzień temu. Więc o co chodzi?

Zastanowiła się nad odpowiedzią. W końcu zdecydowała, że skoczy na głęboką wodę.

– Po tym pożarze utrzymywałam kontakt z Isaakiem. Napisał do mnie kilka listów, a ja w końcu zaczęłam odpisywać. Potem wysyłał mi mejle. A od kilku lat prawie codziennie rozmawiamy na czacie.

Norman się nie odzywał, patrzył jej tylko w oczy. Zobaczyła przed sobą takiego policjanta, jakim był kiedyś. Glinę, który wiedział, że kiedy ktoś mówi, to się słucha.

– Przysyłał mi nawet zdjęcia. Wie pan, „Ja z rodzicami zastępczymi”. „To ja na rowerze, który dostałem na urodziny”. „A tutaj idę z dziewczyną na studniówkę”, takie tam głupoty. W każdym razie kilka tygodni temu Eden i ja postanowiłyśmy zrobić mu niespodziankę i go odwiedzić. Znalazłam adres i pojechałyśmy. A na miejscu okazało się, że to nie on się ze mną kontaktował.

Norman uniósł brwi.

– To znaczy, że pomyliłaś adres?

– Adres był dobry. Isaac, z którym się spotkałyśmy, był dzieciakiem, z którym się wychowałam, trzecim ocalałym z masakry. Ale nie z nim korespondowałam, to był ktoś inny. Na zdjęciach wyglądał inaczej. A Isaac, ten prawdziwy Isaac, nie miał z nami kontaktu od trzydziestu lat.

– Uważasz, że ktoś się pod niego podszywał? – Zmrużył oczy, w jego głosie brzmiało niedowierzenie.

– Tak.

– Po co?

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

– I sądzisz, że ten ktoś musiał należeć do sekty Wilcoxa?

– Znał sprawy, o których mógł wiedzieć tylko ktoś wychowany w sekcie. Sprawy, o których wiedzieli wyłącznie ludzie, którzy mnie znali w tamtych czasach.

– Niektórzy odeszli z sekty przed pożarem. Na przykład ten gość, który napisał książkę.

– Leonard Holt – odpowiedziała Abby. Leonard napisał autobiografię o latach spędzonych w Rodzinie Wilcoxa. Odszedł na rok przed pożarem. – Z biegiem lat odeszło też kilka innych osób. Więc pewnie to możliwe.

– W każdym razie nie był to ten twój George, masz na to moje słowo. – Wstał. – Poczekaj chwilkę. Mam coś, co cię może zainteresować.

Wyszedł z pokoju. Abby wypija łyk herbaty, która tymczasem wystygła. Odstawiła kubek na podręczny stolik. Z głębi domu doleciał ją jakiś łomot, a po nim stek przekleństw.

– Wszystko w porządku? – Wstała.

– Tak, daj mi jeszcze chwilkę. – W głosie Normana brzmiało napięcie.

Od drzwi frontowych dobiegało nieustające drapanie; towarzyszył mu piskliwy skowyt.

– Bądź tak dobra i otwórz Cooperowi! – zawołał Norman.

Podeszła do drzwi wyjściowych i je otworzyła. Cooper stał w progu, trzymając w pysku błyszczący czarny kozak za kolano, na szpilce. Upuścił go u jej stóp i spojrzał na nią wyczekująco, machając ogonem.

– Dziękuję, chociaż raczej nie jest w moim stylu. – Podniosła but. – Ale rozmiar się zgadza.

Pies dyszał radośnie, z wywieszonym językiem.

– O matko, jeszcze jeden? – rzucił za jej plecami Norman i jęknął.

Odwróciła się. Trzymał zakurzony karton. Postawił go na podłodze i wyciągnął rękę. Abby podała mu but.

– Chyba był drogi – zauważył. – Cały zaśliniony. Mam nadzieję, że nie należy do tej pani, która tu była w zeszłym tygodniu. Jak mam jej odkupić coś, co nabyła w Paryżu?

Cooper wszedł do domu, wyraźnie zadowolony z dobrze wykonanego zadania. Abby zamknęła drzwi.

– W tym pudle jest pewnie wszystko, co udało mi się zebrać na temat pożaru w sekcie Wilcoxa – oznajmił Norman, podsuwając jej karton. – Raporty, transkrypty przesłuchań, zdjęcia. Jest tu nawet przesłuchanie ciebie. Inna sprawa, że powiedziałaś tyle co nic.

Abby uklękła obok pudła i je otworzyła. Sterty pożółkłych papierów. Przekartkowała je. Zeznania świadków. Notatka służbowa z FBI. Wyniki sekcji zwłok. Uciekła spojrzeniem, gdy natrafiła na zdjęcie zwęglonego ciała. Plik artykułów prasowych. A także egzemplarz książki Leonarda Holta.

– Zbierałem to nawet po przejściu na emeryturę – mruknął Norman, drapiąc Coopera po łbie. – W sumie sam nie wiem po co.

– Od niektórych spraw nie sposób się uwolnić – stwierdziła Abby z roztargnieniem, przerzucając wycinki prasowe. „Wstrząsająca masakra w sekcji Wilcoxa”, „Troje ocalałych z koszmarne go pożaru”. I nagle...

– Och – bąknęła.

– Co jest? – zapytał Norman.

Artykuł wydrukowano miesiąc przed pożarem. Był to wywiad w lokalnej gazecie z tamtejszym kwiaciarnikiem, który zdobył nagrodę. Przedstawiono go jako członka pobliskiej wspólnoty chrześcijańskiej.

Tekst ilustrowało zdjęcie.

Abby podniosła wzrok na Normana.

– To mój tata.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Gąsienica był zestresowany, przez sen zaciskał szczęki. Mało tego, zgrzytał zębami, które bez przerwy tarły o siebie. Była dziewczyna narzekała, że to upiorny dźwięk, że słyszy, jak jego zęby ścierają się na proch. Zażądała, żeby poszedł do dentysty, ale odmówił.

Już wtedy nie ufał dentystom. Jeszcze zanim poznał prawdę. Intuicja go nie zawodziła.

Ostatnio jednak każdy dzień był niezwykle stresujący i co rano budził się z koszmarnym bólem głowy i obolałą szczęką. Nie był wypoczęty, tak jak zwykle po przespanej nocy. Mięśnie miał napięte, a ciało zeszywniałe.

Wstał z jękiem i poczłapał do kuchni. Zaparzył sobie dzbanek kawy. Codziennie rano parzył świeżą kawę, bardzo mocną, i popijał ją przez cały dzień, choć nierzadko po południu musiał robić drugi dzbanek. Dzięki kawie miał wyostrzony umysł i dostrzegał prawidłowości.

Prawidłowości to podstawa.

Popijając z kubka, wyglądał przez okno na podwórko za domem. Część kwiatów w ogrodzie zwiędła. Zmarszczył czoło, jego mina odbiła się w szybie. Siedział tak, że na tle roślin jego odbita w szkle głowa wyglądała jak w koronie. Wieniec usychających kwiatów. Prychnął, uświadomiwszy sobie, że sam też jest śmiertelny, i przeczesał ręką rzadkie kasztanowe włosy. Miał wprawdzie blisko czterdzieści pięć lat, ale uważał, że wygląda o wiele młodziej. Niestety codzienny stres dawał mu się we znaki. Był blady i zmęczony. No i powinien się ogolić.

Wyszedł z kuchni i stanął przy biurku. Położył na nim kartkę papieru, a na niej postawił kubek, żeby nie poplamić blatu. Włączył laptop i zabrał się do pracy. Tak to ostatnio nazywał, nie „przeoglądaniem internetu” ani „czytaniem prasy”. Te nijakie określenia brzmiały tak, jakby chodziło o czczą rozrywkę. Tymczasem jego czekała gorączkowa harówka, codziennie przybierająca inne formy. Kto tylko „czyta prasę”, nie ma pojęcia o tym, co się dzieje naprawdę. Jest elementem bezmyślnej masy, owcą, tym, co on i pozostali Obserwatorzy z upodobaniem nazywali „śpiącą Alicją”.

Nie, żeby wiedzieć, co się dzieje naprawdę, trzeba solidnie popracować. Zaangażować w to całe ciało, cały umysł. Przedzierać się przez bezmiar

informacji w sieci. Oddzielać prawdę od kłamstw, rzeczywistość od iluzji.

Jednym kliknięciem otworzył wiele okienek przeglądarki. Twittera, Facebooka, „New York Timesa”, CNN, Fox News, TMZ, „People”... To tak na początek. A dalej trzeba było brnąć przez to bagno po omacku.

Ale po kolei: najpierw zalogował się na forum Obserwatorów i przebiegł wzrokiem nowe posty, które pojawiły się od jego ostatniej wizyty. Wylogował się o trzeciej w nocy, a teraz była dziewiąta rano. Minęło bite sześć godzin. Wieczność.

Na forum panował duży ruch.

Gąsienica uwielbiał logować się co rano. Nie on jeden toczył tę wojnę. Stanowili zespół. A właściwie armię, z setkami żołnierzy przeglądających sieć dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzień w dzień, szukających informacji wywiadowczych, wszystkiego, co się rzucało w oczy. Prawidłowości.

Pojawił się nowy wątek, trzęsienie ziemi w Portoryko, które spowodowało wyłączenie prądu. Część żyjących złudzeniami Obserwatorów uważała, że to trzęsienie ziemi wywołała tajemna technologia sitwy. Gąsienica wzniosł oczy do nieba. Jak gdyby katastrofy naturalne pojawiły się dopiero z nastaniem cywilizacji! Natomiast przerwa w dostawie prądu... a, to już inna bajka. Czy mieli uwierzyć, że tak łatwo można wyłączyć elektryczność na całej wyspie? Ktoś z forumowiczów zauważył, że dostawcą prądu na Portoryko jest Puerto Rico Electric Power Authority – firma, która w 2018 roku została sprywatyzowana! Kto jest jej właścicielem? Kto zyskał na odcięciu prądu? Czasami pytania są ważniejsze niż odpowiedzi.

O, jest coś ciekawego. Nowy komentarz w wątku na temat ujawnionych agentów.

Nikt nie wiedział, kim są członkowie Kręgu, tej szemranej grupy, która kontrolowała wszystko. Zachowywali całkowitą anonimowość, działając za pośrednictwem firm krzaków oraz setek agentów. Ale Obserwatorzy mieli listę domniemych agentów pracujących dla sitwy; co do jednych mieli większą pewność, co do innych – mniejszą. Agentem był gubernator stanu Utah, tak samo zastępca prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych. Niemal na pewno agentami byli dwaj sędziowie Sądu Najwyższego, a być może jeszcze trzech innych, co gwarantowało, że nie zapadną tam żadne decyzje, których sitwa sobie nie życzy. Często trudno było dociec, kto był agentem, a kogo Krąg zdołał nakłonić do działania dzięki PS – przekupstwu i szantażowi.

A Gąsienicę mało co aż tak wkurzało. Ludzie codziennie wyzbywali się człowieczeństwa, bo byli chciwi bądź słabi. Wiedział, że gdyby ci z Kręgu kiedykolwiek zwrócili się do niego, roześmiałyby im się w twarz, bez względu na to, ile by mu zaproponowali.

Obserwatorzy bynajmniej nie byli bezradni. Umieali zastraszać agentów i ich współników, bombardując ich mejlami, esemesami i telefonami. Potrafili dać im do zrozumienia, że ktoś ich przejrzał na wylot i wie, kim są naprawdę.

Nowy post dotyczył Sofii Lopez.

Sofia Lopez rzekomo była matką jedenastolatka zastrzelonego przez farmera, któremu się przywidziało, że chłopiec trzyma pistolet. Wstrząsające, potworne. Dopóki nie zweryfikowało się faktów.

W mediach krążyło zdjęcie portretowe chłopca. Jeden z Obserwatorów zauważył jego podobieństwo do dziecka z reklamy owsianki sprzed dwóch lat. Podobieństwo? Przy bliższym spojrzeniu było widać, że bez wątplenia jest to ten sam chłopiec. Czy ten dziecięcy aktor nazywał się Lopez? Ależ skąd. Kiedy już to ustalili, kolejne elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Zdjęcie rancza w „Timesie” zostało w oczywisty sposób przerobione – ucięto część cienia drzewa. A wspomniany farmer od dawna toczył spór prawny z nikim innym jak z rządem federalnym, który po raz kolejny ograniczył mu dostęp do pobliskiego źródła wody.

A odpowiedź na pytanie numer jeden – kto zyskuje? – była widoczna gołym okiem.

Z Sofii Lopez była taka pogrążona w żalobie matka, jak z Gąsienicy baletnica. To jedna z agentek Kręgu. A teraz ktoś właśnie odkrył jej adres, mejl i numer telefonu. I zamieścił je w wątku dotyczącym ujawnionych agentów.

Gąsienica wstał i krążył po domu, czując, jak wzbiera w nim gniew. To było jeszcze gorsze niż zwykle. Krąg i jego agenci cynicznie wykorzystywali to jedyne coś, co łączy wszystkich. Empatię. Kto nie współczuje matce pogrążonej w bólu po stracie syna? Kto nie zapłacze na samą myśl o tym uroczym, uśmiechniętym chłopcu? Ile ta dziwka wzięła za wylewanie krokodylich łez? Więcej, niż Gąsienica zarobi przez całe życie. Przeszedł do garażu i rzucił okiem na kolekcję broni palnej na półce. Miał ją zaledwie od tygodnia i już sam jej widok sprawiał, że czuł się lepiej.

Wrócił do laptopa i zalogował się na stronę umożliwiającą wysyłanie mejli z adresów tymczasowych. Założył sobie nową skrzynkę, adres złożony z szeregu liter i cyfr i korzystający z pośrednictwa dark webu, dzięki czemu nie da się go namierzyć.

Przez chwilę się zastanawiał, co chce napisać. Nie ma powodu bawić się w subtelność. Wyłącznie wielkie litery. WIEMY, GDZIE MIESZKASZ. Już ona zrozumie. Wszedł w Google Street View, znalazł adres Sofii i zrobił zrzut ekranu. Ładne zbliżenie domu tej larwy. Dołączył je do mejla, którego wysłał także na adres forum. Inni Obserwatorzy pójdą w jego ślady. Będą do niej wydzwaniać z groźbami, aż zrozumie, że nie powinna była brać pieniędzy od sitwy.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Niegdyś czuł się bezsilny, jego życiem sterowały siły, na które nie miał wpływu. Odkąd jednak został Obserwatorem, wywalczył sobie władzę.

Przeniósł się na YouTube i obejrzał trzydziestopięciominutowy film popularnego Obserwatora, który szczegółowo pokazał, jak na Florydzie używa się usuniętych płodów do produkcji paszy dla bydła. Stale powtarzał oglądającym, żeby mu nie wierzyli na słowo. Niech zbadają to sami.

To właśnie Gąsienica uwielbiał u Obserwatorów. W przeciwieństwie do mediów i polityków żaden z nich nie upierał się, że ma monopol na wiedzę i prawdę. Wiedza była wszędzie. Wystarczyło tylko się rozejrzeć i przeprowadzić własne badania. Bo przede wszystkim należy ufać samemu sobie. Właśnie tak Obserwatorzy chronili swoją tożsamość. Wiedzieli z całą pewnością, że Krąg ma na ich forach i czatach swoich ludzi, którzy jedynie udają Obserwatorów. Tyle że te dranie i tak nic nie mogły zrobić, bo Obserwatorzy byli szkoleni, żeby wszystko sprawdzać samemu i nikomu nie wierzyć na słowo.

Jego uwagę przykuł tytuł z Fox News. Na ostatniej konferencji prasowej komendant nowojorskiej policji chwalał funkcjonariuszy, którzy aresztowali jedenastu podejrzanych podczas nalotu na siatkę handlarzy narkotyków w Queens. Panie i panowie, błyskawiczny quiz. O ilu aresztowanych donoszono dzień wcześniej?

Zgadza się. O dziewięciu.

Czyżby ze strony komendanta nowojorskiej policji była to jedynie niewinna pomyłka? A może freudowskie przejęzyczenie, potwierdzenie tego, o czym Gąsienica pisał na forum już poprzedniego dnia? Że aresztowali więcej niż dziewięć osób i że część z zatrzymanych „zniknęła”?

Gdy coś zaczyna się kleić, następuje ruch w interesie. A to się nie zdarza codziennie. Bywają dni, gdy mnożą się pytania bez odpowiedzi i elementy niepasujące do układanki z miliarda części, którą mamy przed oczami. Aż nagle jakiś fakt pasuje do teorii, dwa niepowiązane ze sobą wydarzenia łączą się z trzecim i tworzy się całość. W takiej chwili można zrozumieć, jak to wszystko działa. Przejrzyć strategię zgniłej cywilizacji.

I widać wtedy, jak małej grupce ludzi udało się wszystko zmanipulować, podporządkować sobie życie każdego obywatela tego kraju i wpływać na losy świata.

Przecież to jasne jak słońce.

ROZDZIAŁ 5

Lot powrotny Abby do Nowego Jorku trwał niecałe dwie godziny – nie do wiary, ilu niewygód i jakiego niepokoju można doświadczyć w tak krótkim czasie. Siedzący obok pasażer był spocony, a ponadto gadatliwy, uznała więc, że tego już za dużo. Jawna niesprawiedliwość. Poza tym jak można się aż tak spocić w styczniu, na lodowatym i klimatyzowanym lotnisku? Tajemnicza sprawa.

Przez cały lot występowały turbulencje, zdawało się, że co kilka minut samolot nurkuje o trzysta metrów, więc żołądek podchodził Abby do gardła. A Spocony za każdym razem tylko chichotał i mówił: „To było dobre!”. W połowie lotu poprosił stewardesę o sok pomidorowy. Gdy mu go podawała, trafiła się kolejna turbulencja i połowa soku chlusnęła na kolana Abby.

Kiedy w końcu wylądowali, Spocony pożegnał się z nią w taki sposób, jakby od teraz byli serdecznymi przyjaciółmi, i przez jedną koszmarną chwilę Abby pomyślała, że chce ją uściskać. A gdy już opuściła ten piekielny samolot, przez ponad trzydzieści minut nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód.

Była na skraju płaczu.

Kiedy wyjeżdżała z lotniska, zadzwonił Steve, jej były mąż. Powiedział, że odwiezie dzieci do domu i zrobi im kolację, więc niech przyjeżdża i o nic się nie martwi. Ten troskliwy gest był tak zaskakujący, że w nadwątlonym obecnie stanie ducha Abby zaczęła wspominać najmiłsze chwile, jakie przeżyli razem.

Gdy wreszcie dotarła do domu, wytaszczyła z bagażnika samochodu walizkę. Ważyła teraz z pięć kilogramów więcej niż wcześniej, bo upchała do niej wszystkie papiery, które dostała od Normana; zamierzała przejrzeć je dokładnie wieczorem.

Otworzyła drzwi i przez chwilę stała w progu, mrugając. Samantha i Ben siedzieli na kanapie po bokach Steve'a, który coś im pokazywał. Scena jak żywcem wyjęta z innego życia, w którym się nie rozwiedli, a ich rodzina wciąż była pełna. Kiedy weszła do środka, wszyscy podnieśli głowy, a Ben zerwał się z kanapy i podbiegł do niej, żeby się przytulić.

– Mamusia!

Z uśmiechem przyklęknęła, by go objąć; w jednej chwili ostatnie kilka godzin poszło w niepamięć. Przytulanie syna nadal sprawiało jej największą frajdę, choć

miała świadomość, że ta przyjemność z roku na rok będzie malała. Miał osiem lat, ani się obejrzy, a będzie nastolatkiem. Ile jeszcze lat zechce się przytulać? Rok, góra dwa? Trzeba korzystać z chwili, dopóki trwa.

W końcu ją puścił i podekscytowany zaczął opowiadać. Miał taki nawyk, robił to zawsze, gdy wracał do domu po kilku dniach spędzonych u ojca. Palił się, żeby wprowadzić ją we wszystkie szczegóły tego, co straciła. Niestety z przejęcia zawsze zapominał o gramatyce i dzieleniu zdań, więc niełatwo było zrozumieć, co mówi. W dodatku opowiadając, krążył dookoła Abby, przez co zawsze kręciło jej się w głowie.

– ...a potem tata zabrał nas na lody, ja wziąłem czekoladowe, a w parku było pełno kaczek i chleb im dałem, a potem przyszedł łabędź i nic dla niego nie miałem, więc myślałem, że będzie płakał, ale tata powiedział, że one mają ptasie mózdzki, ale on był taki duży i podskakiwał, a potem znalazłem kamień, mam go i ci pokażę, jest fajowski, i...

– Widzę, że miałeś wrażeń co niemiara – powiedziała Abby i ruszyła do Sam, która też w końcu wstała. – Cześć, skarbie. – Objęła ją. Tulenie przez matkę czternastoletniej córki wypadło niezręcznie, sztywno i wcale nie było miłe.

– Cześć, mam – odparła Sam. – Jak ci minął lot?

Pytanie przywołało Abby wizję Spoconego.

– Koszmarnie, ciągłe turbulencje. Miło wrócić do domu. A jak wam było u taty?

– Świetnie. – Wypowiedzi Sam, w przeciwieństwie do jej brata, były zwięzłe. I gramatycznie bez zarzutu.

– W szkole działo się coś ciekawego?

– Raczej nie. Aha, dzisiaj wpadł jakiś ważniak z policji i dał nam wykład o narkotykach. Może go znasz – zamilkła. – Nie pamiętam, jak się nazywa.

– O, jak widzę, zrobił na tobie niemałe wrażenie. Dobry był ten wykład?

Sam wzruszyła ramionami.

Abby westchnęła i zerknęła na Steve'a.

– Dzięki, że je odwiozłeś.

– Drobiazg. – Spoglądał na nią dziwnie, kolejna powtórka z przeszłości. Już od dawna tak na nią nie patrzył. Na kolanach miał album ze zdjęciami... z ich ślubu. Właśnie to pokazywał dzieciom, kiedy wróciła do domu.

– Oglądasz stare zdjęcia? – spytała.

Zerknął na album i zamknął go z trzaskiem.

– Eee, tak. Sam chciała zobaczyć stare fotografie. A pamiętam, gdzie trzymałaś albumy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Owszem, miała. Nie podobało jej się, że Steve grzebie w jej rzeczach. Ale była zmęczona, skołowana, a on naprawdę pomógł jej z dziećmi, więc tylko się

uśmiechnęła.

– Nie ma sprawy.

Odwróciła się w stronę kuchni.

– Muszę się napić herbaty. Tobie też zrobić, Steve? – Końcówka zdania, „zanim wyjdiesz”, została niedopowiedziana.

– Nie, dzięki – powiedział za jej plecami.

Jej ulubiony kubek stał na blacie, a nie na swoim miejscu. Wzięła go.

Nagle zza pleców doleciał ją dziwnie nagły głos Steve’a.

– Abby, zaczekaj...

Coś było w kubku! Coś włochatego. Mysz, z szeroko otwartymi oczami i rozwartym pyszczkiem, w takiej pozycji, jakby się szykowała do skoku. Abby krzyknęła, kubek wypadł jej z ręki na blat. Odskoczyła do tyłu, w głowie miała pustkę, ale choć kubek leżał na boku, o dziwo mysz nie uciekła.

Steve i Ben wpadli do kuchni.

– Przepraszam, mamó – bąknął syn ze skruszoną miną. – Rozmrażałem jedzenie dla Precla i nie mogłem znaleźć zwykłego plastikowego pojemnika.

– Faj! – skwitowała Abby. Precel był ulubionym węzem Bena. Żywił się myszami, które Ben trzymał zamrożone w lodówce, obok normalnej żywności dla ludzi. No cóż, jej życie składało się z szeregu koszmarnych kompromisów.

– Chciał ją włożyć do swojej miski na owsiankę – wyjaśnił Steve. – Dasz wiarę? Ale potem znalazłem w szafce ten wyszczerbiony kubek, więc kazałem mu go użyć zamiast miski.

Jej ulubiony kubek. Dostała go od mamy. Doskonały kształt, idealna wielkość, krawędź nie za gruba i nie za wąska. Fakt, był wyszczerbiony, ale tak to jest, jeśli używa się kubka codziennie od wielu lat. Jej. Ulubiony. Kubek.

– Nie gniewasz się, mamó, prawda?

– Nie, nie gniewam się – odparła tonem na tyle szorstkim, żeby nie uszło to jego uwadze.

On jednak niczego nie zauważył. Dziecięca niewinność.

– A wiesz, jak na nie mówi tata? Myszaki. Dobrze, co? To tak jak lizaki, tylko...

– Ben, myślę, że mamie przyda się chwila spokoju – przerwał mu Steve. – Idź nakarmić węża.

– Umyję potem ten kubek, mamusiu. Słowo.

– Nie ma potrzeby – odparła słabym głosem. – Od tej pory możesz go sobie używać. – I tak oto jej ulubiony kubek stał się naczyniem do rozmrażania myszy.

– Przepraszam – powiedział Steve po wyjściu Bena. – Właśnie miałem cię ostrzec. Ale i tak chyba lepiej, że nie pozwoliłem mu jej włożyć do miski na owsiankę?

– Zjedli kolację, co? – Cierpliwość Abby się wyczerpała.

– Tak, zrobiłem spaghetti. Zaproponowałem, żeby rozmroził mysz w kuchence mikrofalowej, ale powiedział, że mu nie pozwalasz.

Nie wychodził. I nie wiedzieć czemu, gadał jak najęty. Czy on...

Nagle uświadomiła sobie, co oznacza jego mina i dlaczego wydaje jej się tak znajoma. Tego wyrazu twarzy nie widziała od lat. Od czasu, gdy odkryła jego romans. Tak wyglądał, kiedy był skruszony. Gdzieś dał ciała. I wcale nie chodziło o mysz.

Splotła ręce pod biustem i spojrzała na niego.

Skurczył się pod jej spojrzeniem, zwiesił ramiona.

– Powinienem ci o czymś powiedzieć.

– Uhm.

Obejrzał się szybko przez ramię, jakby chciał się upewnić, że w pobliżu nie kręcą się dzieci, i zniżył głos.

– Sam spytała mnie, po co poleciałas do Karoliny Północnej.

Żołądek podszedł Abby do gardła.

– I co jej powiedziałaś?

– To, co mi kazałaś, że w związku z prowadzonym śledztwem.

– Dobrze.

– Ale ona... Znasz te jej zagrania? Odpowiada, jak trzeba, ale robi tę swoją dziwną minę i cię... Nie wiem, jak to nazwać. Skłania do mówienia? I zmusza, żebyś się wygadał... Moim zdaniem nasza córka ma moc Jedi.

– Ona nie ma żadnej mocy Jedi – wycedziła Abby przez zęby. – Co jej powiedziałaś, Steve?

– Chyba wspomniałem, że urodziłaś się w Karolinie Północnej – bąknął żałośnie.

– No i?

– I że w dzieciństwie przydarzyło ci się coś strasznego. Zrozumiałem, że właśnie dlatego tam poleciałas, dobrze mówię? Ten pomnik Wilcoxa...

Abby walnęła dłonią w blat.

– Powiedziałaś Sam, że urodziłam się w sekcie Wilcoxa? – syknęła.

– Nie! Kiedy tylko uświadomiłem sobie, że ona nic nie wie, zamknąłem się, przysięgam. Ale potem zrobiła się jakaś dziwna i bez przerwy prosiła, żeby jej pokazać stare zdjęcia. – Bezradnie rozłożył ręce. – Zawsze zakładałem, że powiedziałaś o tym dzieciom. Mówiłaś, że powiesz im, jak podrosną.

Abby się odwróciła, łzy, które o mały włos nie pojawiły się wcześniej, w końcu się polały.

– Jeszcze nic im nie powiedziałam.

– A powinnaś była to zrobić. – Nagła zmiana strategii i tonu. Koniec skruszonego Steve'a. Oto był Steve protekcyjny i karcący. Boże, tylko nie teraz.

I nie w kuchni, obok wszystkich tych ostrych noży.

– Powiem im, kiedy sama uznam to za stosowne – wycedziła przez zęby.

– Nie podoba mi się, że masz tajemnice przed moimi...

Odwróciła się do niego gwałtownie i zmierzyła go takim wzrokiem, że od razu się zamknął. Jak widać, w razie potrzeby nadal potrafiła go uciszyć.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Abby – mruknął w końcu.

To jej przypomniało, jak bardzo nie znosiła jego pustych przeprosin.

– Nie ma sprawy – rzuciła. – Załatwię to.

– Dobrze. – A po chwili dodał: – Daję głowę, że ona jest rycerzem Jedi. Była jak w tej scenie z „To nie są droidy, których szukacie”, a ja...

– Dziękuję, że odwiozłeś dzieci, Steve – wpadła mu w słowo.

– Drobiazg. Dobranoc, Abby.

Słuchała, jak żegnał się z dziećmi, ale dopiero na dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi odetchnęła głęboko. Teraz naprawdę musiała się napić herbaty.

Najpierw jednak trzeba będzie wybrać inny ulubiony kubek.

ROZDZIAŁ 6

Tweet komendanta nowojorskiej policji pojawił się dokładnie o wpół do ósmej wieczorem. Gąsienica zobaczył go trzy minuty później.

Treść była pozornie niewinna, ot, tweet jakich wiele, i śpiąca Alicja nie poświęciłaby mu uwagi.

Podczas pościgu za dziewięcioma podejrzanymi o udział w siatce handlarzy narkotyków policjanci dahowali w swoich Autah.

Rzecz jasna, chodziło o te aresztowania, które już wcześniej zwróciły uwagę Gąsienicy. A kiedy bliżej przyjrzał się wiadomości, zauważył w niej trzy błędy. Literówki w „dahowali” oraz „Autah”, poza tym „Autah” napisane było wielką literą. Trzy błędy w jednym tweecie.

Jasne, wszyscy robią literówki i Gąsienica nie był tu wyjątkiem. Ale czy miał uwierzyć, że komendant nowojorskiej policji popełnił trzy błędy w oficjalnej wypowiedzi? Przecież ten człowiek miał ludzi, których jedynym obowiązkiem była korekta jego publicznych komunikatów.

Te błędy muszą być celowe. To sygnał.

Przejęty, kliknął zakładkę przeglądarki forum i już miał zamieścić post, ale się zawahał.

Jak powszechnie wiadomo, forum było zinfiltrowane przez agentów. Omawiano to na niektórych wątkach, czasami wręcz jawnie oskarżając tego czy innego forumowicza. Gdyby więc zbyt szybko doniósł o swoim odkryciu, wyłożył karty przed sitwą, zmieniliby kurs i tyle by ich widziano.

Nie, to może być zbyt ważna sprawa.

Otworzył więc prywatny czat z kilkoma Obserwatorami – utworzoną parę miesięcy wcześniej grupą, do której miał bezwzględne zaufanie. Zwrócił im uwagę na tweet i dziwne błędy i zapytał, co to ich zdaniem oznacza.

Była 19.38

W pokoju Dennisa śmierdziało stopami, pleśnią i zepsutym jedzeniem. Chętnie otworzyłby okno, ale uniemożliwiały to liczne pełne papierów kartony. Tata obiecał, że je gdzieś przeniesie, ale choć minęły trzy dni, nic w tym kierunku nie zrobił. Dennis wiedział, że w najbliższej przyszłości nic się w tej sprawie nie zmieni. Cokolwiek jego ojciec gdzieś położył, zostawało tam na dobre. Tak jak sterta gazet w nogach jego łóżka. Albo płatanina kabli na jego biurku. Torby ze starymi ubraniami na podłodze. I puste plastikowe pojemniki za jego plecami.

Dennis siedział zgarbiony przy biurku, wpatrzony w ekran laptopa. Po prawej ręce miał piramidę pudeł ze swoimi starymi zabawkami, których ojciec nie pozwalał mu wyrzucić. Po lewej stos ulotek, który niechcący przewrócił, więc stopniowo zakrywały całą podłogę. Oceniał, że ma dla siebie dwadzieścia osiem centymetrów.

Garbienie się, kiedy siedział, weszło mu w nawyk.

Jeden z dawnych kumpli zamieścił na Instagramie zdjęcie, na którym jest w Wendy's, razem z grupką chłopaków z klasy. Gdy Dennis był młodszy, z większością z nich się przyjaźnił. Teraz miał czternaście lat, ale oni już z nim nie esemesowali, w ogóle nie odzywali się do niego. Właściwie kiedy zaczęli go unikać? I zerkać na siebie porozumiewawczo, gdy ich zapraszał do siebie?

Na pewno minął już rok. A może i dwa.

Zaniósł się kaszlem, suchym kaszlem – od zalegającego w pokoju kurzu drapało go w gardle. Co to za smród? Doprowadzał go do szału. Zapewne tak śmierdziało kilka rzeczy naraz.

Na jednym z czatów wyskoczyła nowa wiadomość. Jego drugie życie. Życie w sieci, gdzie nikt go nie znał ani nie wiedział o jego ojcu. Nikt nigdy nie widział jego domu – stert śmieci walających się na podwórku ani pokoju, w którym z dnia na dzień miał coraz mniej miejsca. Nikt nawet nie wiedział, ile ma lat. Dla nich był tylko kolejnym Obserwatorem o nicku Suseł.

Tę ekscytującą wiadomość zobaczył na ich prywatnej grupie, pochodziła od Gąsienicy, jeszcze jednego Obserwatora, który coś zauważył. Trzy błędy w jednym tweecie. Dennis od razu się zainteresował. Całkowicie podzielał zdanie Gąsienicy. To nie mógł być przypadek.

Nie umiał wprawdzie zaprowadzić porządku w swoim pokoju, ale tym potrafił się zająć. Znaleźć prawidłowości. Był w tym dobry. Z tego, co wiedział, lepszego Obserwatorzy nie mieli.

W tweecie została zakodowana wiadomość. Wiadomość przeznaczona dla pewnych ludzi, niewidoczna dla innych. Tylko jaka?

Przepuścił tweet przez kilka programów deszyfrujących, sprawdzając, czy nie jest to jakiś prosty kod, ale niczego nie znalazł. Skupił się więc na tych dwóch

słowach z błędami. To je szef wydziału dochodzeniowo-śledczego jakoś wyróżnił.

„Dahowali”. „Autah”. Co takiego jest zawarte w tych słowach?

Musiał się wysikać. Łazienka była w korytarzu, niedaleko pokoju, czyli w normalnym świecie raptem kilka kroków. Ale w swoim domu, żeby wyjść zza biurka, musiałby ostrożnie odjechać fotelem obrotowym. Potem zaś lawirować między pełnymi ciuchów torbami i uważać, żeby się nie pośliznąć na ulotkach rozsypanych po całej podłodze. Otworzyć drzwi – nie otwierały się na oścież, bo blokowało je pudło – a w każdym razie uchylić je na tyle, by można się precyzyjnie przesuwać. Następnie przejść korytarzem, przyciskając się do ściany po lewej, bo wzdłuż tej po prawej piętrzyły się kartony mleka i jajek. Gdyby przewrócił któryś stos, ojciec dostałby szału, więc Dennis musiałby się zatrzymać i przed ruszeniem w dalszą drogę na nowo ustawić kartony. A potem już tylko odsunąć stertę gazet sprzed drzwi do łazienki; zablokowałyby wprawdzie korytarz, ale za to mógłby skorzystać z toalety.

Jeszcze przez chwilę wytrzyma.

„Dahowali”. „Autah”.

W tych słowach zakodowano jakieś inne. Rozszyfrował je, zaprowadził ład w chaosie.

Idaho i Utah. Dwa stany.

Na czacie grupy zamieścił informację, że odcyfrował wiadomość. Była 19.43.

Alma nie wierzyła w teorie spiskowe. Uważała, że są kretyńskie. Płaskoziemcy? Wariaci, którzy dali się przekonać do bredni Davida Icke'a o zmiennokształtnych reptilianach? Wszystko to jedna wielka ściema i kto jak kto, ale ona nigdy w to nie uwierzy.

Obserwatorzy też jej nie interesowali. Przynajmniej z początku. Dopóki nie dowiedziała się o dzieciach.

Zaczęło się od tego, że obejrzała film dokumentalny o handlu dziećmi w celach seksualnych. Przez cały tydzień płakała i myślała o tym. A potem od jednej z matek z komitetu rodzicielskiego dowiedziała się o istnieniu sitwy. Kobieta wyjaśniła jej, że to właśnie ta sitwa stoi za większością przypadków handlu ludźmi w celach seksualnych i że „to się dzieje pod naszym nosem”. Alma wzniosła oczy do nieba, ale jej znajoma tylko się uśmiechnęła i powiedziała: „Nie wierz mi na słowo. Sprawdź sama”.

To wzbudziło zainteresowanie Almy. Kto w dzisiejszych czasach mówi jeszcze ludziom, żeby sami podejmowali decyzje? Każdy chciał narzucić innym swoje poglądy, swój sposób myślenia.

Tak więc Alma poszperała na własną rękę. Na temat sitwy nazywanej się Kręgiem oraz Obserwatorów. Poszukała filmów na YouTubie, artykułów, wykresów i wykładów. Na lekturę i własne badania tygodniami poświęcała po pięć, sześć godzin dziennie. I ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że to jest prawda.

Dostrzegła jednak iskierkę nadziei. Mogła z tym walczyć. Wraz z innymi ludźmi, którzy odkryli prawdę.

Sprzątnęła po kolacji, próbując nie zwracać uwagi na kłótnię syna z jej mężem o to, czy wieczorem zagrają na Xboksie. Jej telefon pisnął... jeden raz, a potem drugi. Wzięła go i przeczytała esemesy od Gąsienicy i Susła.

Utah i Idaho? Brzmiało znajomo.

Przeszła do komputera. Córka akurat oglądała film o tym, jak zrobić slime. Doprawdy, szczytowe osiągnięcie ludzkości – coraz lepsze komputery, fotografia oraz internet powstały po to, żeby jej córka mogła poświęcać czas na naukę produkcji glutów w warunkach domowych. Jakby ta kleista masa miała w sobie coś atrakcyjnego, a nie była czymś, czego lepiej unikać.

– Skarbie, muszę skorzystać z komputera.

– Film zaraz się kończy.

Wcale nie, zostało jeszcze siedem minut glutów.

– Potrzebuję go w ważnej sprawie.

– To jest ważne.

Alma wciągnęła powietrze przez nos.

– Marsz od komputera! Ale już!

Córka wstała i wściekła wymaszerowała z pokoju. Alma usiadła przy komputerze i otworzyła plik. Był zabezpieczony hasłem. Krąg miał hakerów, którzy potrafili wykraść dane, więc nie zamierzała ryzykować.

Wpisała hasło i przejrzała listę. Utah i Idaho. Przed dwoma tygodniami w Utah zaginęła dziewczyna. A ponad sześć tygodni temu w Idaho chłopiec nie wrócił ze szkoły.

Zaginione dzieci. A teraz agent Kręgu robił aluzję do tamtych spraw.

Wiadomość była przeznaczona dla klientów Kręgu. Ludzi kupujących dzieci do seksu. Wyjaśniało to, dlaczego skorzystali z ogólnie dostępnej sieci społecznościowej, jaką jest Twitter.

Z mocno bijącym sercem skopiowała linki do artykułów prasowych i wkleiła je na czat grupy pod swoim nickiem – Czerwona Królowa. Była 19.48.

Zachary siedział w szlafroku przed laptopem. Już od trzech dni nie wkładał normalnych ubrań. Ot, zalety bycia na bezrobociu. Oglądał swój najnowszy film,

zajadając się chipsami; tłuste okruszki spadały mu z ust i palców na odsłonięty brzuch.

Na ekranie mężczyzna posuwał od tyłu jęczącą kobietę. Był to aktor porno. Zacharego nie interesowało, kim jest ten człowiek. Kobietą była Natalie, która cztery lata temu siedziała naprzeciwko niego na lekcjach angielskiego.

Natalie nie miała pojęcia o istnieniu tego filmu. Ba, gdyby ktoś ją spytał, w ogóle nie pamiętałaby, że przespała się z tym człowiekiem. Bo wcale z nim nie spała.

Ten film to był tak zwany deepfake. Zachary stworzył go, korzystając z pierwszego lepszego pornola oraz kilku zdjęć Natalie z kroniki szkolnej i jej konta na Instagramie.

Było to, jak dotąd, jego najlepsze dzieło.

Zrobił takie filmiki z większością dziewcząt, z którymi chodził do szkoły. Niektóre zasłużyły nawet na kilka.

Pewnego dnia, kiedy ukończy całą kolekcję, wyśle te filmy wszystkim chłopakom ze szkoły. A może także dziewczynom. Oraz ich rodzicom. Będzie to jego ostateczna zemsta za to, jak te dziwki traktowały go przed laty.

Odkąd wyleciał z roboty, cały czas poświęcał na tworzenie tych filmów, a także na badania dotyczące Kręgu, tych skurwieli, którzy kręcili wszystkim. Wiedział, że to Krąg kazał go wywalić. Kilku Obserwatorów podzielało jego zdanie. Ludzi stale wyrzucano z pracy na polecenie sitwy. Te dranie miały swoje powody, żeby wskaźnik bezrobocia wciąż rósł. On był dla nich tylko statystyką. Liczbą w cholernym arkuszu kalkulacyjnym.

Ale on ich ujawni. Jeszcze się na nich zemści.

Z drugiej strony, może i powinien podziękować tym gnojkom. Siedzenie w domu zmobilizowało go do podjęcia własnej działalności. Powiedzmy, że jakaś dziewczyna rzuciła faceta. Jeśli gość był wkurzony, musiał jedynie wysłać Zachary'emu kilka zdjęć, a Zachary tworzył dla niego śliczny film. Była panna z dwoma facetami. Z sześcioma. Z kobietami. Wedle życzenia. Dopóki gość płacił, Zachary dostarczał towar. A za niewielką dodatkową opłatą wrzucał też filmiki na rozmaite strony z pornolami.

Zemsta była bardziej dochodowa niż praca w Walmarcie.

Jego telefon wciąż popiskiwał. Zachary zebrał palcem z brzucha kilka okruszków i zlizął je po kolei. Potem, wciąż oblizując palce, sprawdził esemesy. Zdaniem jego przyjaciół z grupy Obserwatorów, Krąg dał znać swoim klientom pedofilom, że ma dwoje dzieci na sprzedaż. Psychole! Pytanie, gdzie i kiedy. To drugie było proste. Na forum rozprawiano o tym, że na dziewiątego stycznia o jedenastej rano, czyli na jutro, szykuje się jakiś grubszy numer. To musiało być to.

Ale gdzie?

Sprawdził konto na Twitterze tamtego gliniarza. Publiczne, więc każdy w sieci mógł sobie poczytać, ale nikt nawet nie kiwnął palcem.

Nagle w oko wpadł mu tweet tego samego faceta sprzed dwóch godzin:

Miałem dziś pogadankę w liceum Krzysztofa Kolumba o zagrożeniach związanych z narkotykami. Nasza przyszłość to nasze dzieci.

Kolejna literówka. Powinno być „Kolumba”, nie „Kolomba”. A tweet zamieszczono dokładnie przed dwiema godzinami. Dwie godziny. Dwoje dzieci. W dodatku kończył się słowem „dzieci”. Kilka miesięcy temu Zachary nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz już wiedział, jak tamci się komunikują. Poznał ich szyfry.

Czym prędzej wystukał wiadomość do pozostałych członków grupy. Było ich pięciu – Gąsienica, Czerwona Królowa, Suseł, Jabberwocky i, ma się rozumieć, on. Wybrał sobie najlepszy możliwy nick – Kapelusznik. Taki jak zagrany przez Johnny’ego Deppa – kawał odrażającego skurczysyna – a nie ten lalusz z durnej, odjechanej kreskówki Disneya.

Już znają lokalizację. Liceum Krzysztofa Kolumba.

Liceum. W dodatku w mieście. Zachary się zamyślił. Dumał o swojej szkole. O dziewczynach i o tym, jak go traktowały. Ciekawe, jak to wygląda w liceum Krzysztofa Kolumba. Czy jest takie samo? Pełne zadzierających nosa nastolatek?

Wyobraził sobie, jak tam wparowuje. Wyważa kopniakiem drzwi, mając wsparcie przyjaciół. O tak! Jego usta wykrzywił uśmiech. Napisał:

Powinniśmy to sprawdzić.

Ostatni jęk i na ekranie pojawiła się wykrzywiona w spazmie rozkoszy twarz Natalie. Zegar w rogu ekranu wskazywał 19.56.

Serce Gąsienicy łomotało, gdy z podnieceniem wystukiwał tekst na telefonie. Złamali kod! Rozszyfrowali wiadomość.

Liceum. Typowa strategia Kręgu – wynaturzona, nieludzka. Zaprosić swoich klientów pedofilów do szkoły pełnej dzieci. Pewnie po to, by zaostrzyć im apetyt przed sprzedażą, a potem podbić cenę. Może Krąg proponuje nawet kolejne transakcje, dzieciaki z tej właśnie szkoły, za odpowiednio sowitą sumkę. Po nich można było się spodziewać wszystkiego.

Mieli niepowtarzalną szansę na zdemaskowanie Kręgu. Jeśli zdołają zapobiec sprzedaży, uratować dzieci i może nawet złapać agenta, który chciał je sprzedać, to wszyscy wreszcie zobaczą, że Obserwatorzy od początku mieli rację.

Nie mogli zawiadomić policji. Krąg miał całą policję w kieszeni. Kurde, przecież wiadomość pochodziła z samych szczytów nowojorskiej policji.

Mógł to opublikować na forum, ale wtedy sytuacja zorientowałaby się, że oni wiedzą, odwołałaby sprzedaż i wywiozła dzieci gdzieś indziej.

Nie, Kapelusznik miał rację. Musieli sprawdzić to sami. Do szkoły były zaledwie dwie godziny jazdy. Mógłby pojechać tam nazajutrz i się rozejrzeć. Być może dołączyłby jeszcze ktoś z grupy. Wszyscy mieszkali w pobliżu... to była jedna z zasad tej konkretnej grupy. Komórka Obserwatorów mieszkających na tyle blisko siebie, by w razie potrzeby mogli osobiście przyjść innym z pomocą.

Wysłał zapytanie. Kapelusznik i Czerwona Królowa odpisali, że mogą się tam zjawić. Jego wzrok padł na torbę na podłodze. Pistolety. Na wszelki wypadek.

Rozszyfrowali tajną wiadomość i mieli plan działania.

Była 19.59. Nie minęło nawet pół godziny, odkąd ukazał się tweet komendanta nowojorskiej policji o aresztowaniu.

ROZDZIAŁ 7

Sam leżała na łóżku na brzuchu, z głową spoczywającą na wyciągniętej prawej ręce. Patrzyła na Keebles, swoją suczkę. Biały szpic miniaturowy, spięty i gotów do skoku, nie odrywał oczu od szpary pod komodą Sam. Zastygł w tej pozycji i tkwił tak od dobrych dziesięciu minut. Sam wiedziała, w co wpatruje się jej pies. Pięć dni temu jadła w swoim pokoju M&M'sy. Upuściła czerwoną drażetkę, która potoczyła się pod komodę. Od tej pory Keebles wpatrywała się w smakołyk, czekając, aż się wytoczy z powrotem. Jak dotąd drażetka nie była łaskawa tego zrobić. Ale Keebles potrafiła czekać.

Sam często myślała, że chciałaby być psem i mieć psie problemy. Z których największe to kiedy znowu dostanie coś do jedzenia, czy niedługo wyjdzie na spacer i co kombinuje odkurzacz, jej nemezis.

Ona zaś zmagала się z tym, co rodzice trzymali przed nią w tajemnicy.

Już od jakiegoś czasu wiedziała, że coś jest nie tak. Wystarczy mieć oczy szeroko otwarte, a zauważa się różne drobiazgi. Chwile milczenia i wymianę ukradkowych spojrzeń, kiedy pytała babcię o biologicznych rodziców mamy. Czy sposób, w jaki mama dotykała karku, gdy Sam wypytywała ją o dzieciństwo. Albo to, jak potrzebowała do szkoły zdjęć rodziców jako małych dzieci i tylko tata miał swoje.

Niedawno doszły do tego nowe rzeczy. W ostatnich tygodniach Sam trzy razy zrywała się w środku nocy, obudzona krzykami matki. Za każdym razem chodziło o senny koszmar, ale mama twardo się upierała, że nic nie pamięta. Albo chowała się do łazienki, a Sam nadstawiała uszu i słyszała jej płacz.

Cokolwiek to było, Sam wiedziała, że dorośli coś przed nią ukrywają. Chodzą na paluszkach wokół czegoś, o czym nie wolno pisać słowa.

Właśnie w tym sęk. Kiedy nikt nic nie mówi, kiedy ukrywa się prawdę, w głowie pojawiają się najstraszniejsze domysły i podejrzenia, a każde z nich może okazać się prawdą. Może mama nie chciała mówić o swoich rodzicach biologicznych, ponieważ umarli na jakąś chorobę genetyczną, a ona sama niedawno odkryła, że jest jej nosicielką? A może mama wcale nie została adoptowana, tylko porwał ją dziadek, którego w końcu złapała policja? Każdej

nocy Sam godzinami obmyślała najbardziej makabryczne scenariusze, rysowała je i malowała w myślach, aż miała wrażenie, że coś miażdży jej klatkę piersiową.

A teraz ta podróż do Karoliny Północnej. Gdy mama wspomniała o niej po raz pierwszy, Sam od razu zorientowała się, że coś tu nie gra. Po pierwsze, od kiedy to mama wyjeżdżała w związku ze śledztwem do innego stanu? W nowojorskiej policji nadzorowała resortowy kurs z zakresu opanowywania sytuacji kryzysowych. Dlatego też wzywano ją, gdy trzeba było rozwiązać jakiś kryzys, ale nie do prowadzenia śledztwa. Coś tu mocno śmierdziało.

Keebles nagle się spięła, prawdopodobnie w reakcji na coś, co zrobiła nieuchwytna drażetka M&M.

Sam uśmiechnęła się, widząc czujnie uniesiony różowy ogon suczki. Kiedyś go jej pomalowała, a efekt był tak uroczy, że tak już zostało. Rozważała nawet posypanie go brokatem, ale mama się wściekła, bo jej zdaniem cały dom byłby wtedy usiany mieniącymi się cętkami. Pewnie miała rację, ale efekt mógłby być tego wart.

– Keebles! – zawołała Sam.

Suczka obróciła się, tak jak tylko ona potrafiła – w jednej milisekundzie wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni. A potem wskoczyła na łóżko i obwąchała policzek Samantha; nos miała zimny i mokry.

Sam podrapała ją za uchem.

– Gdzie jest grzeczna dziewczynka? Kto to? Kto jest bardzo grzeczną dziewczynką?

Keebles wpatrywała się w nią zauroczona, zafascynowana zagadką. Ktoś w tym pokoju był grzeczną dziewczynką. Bardzo grzeczną dziewczynką. Kto to mógł być?

– To ty! Ty jesteś grzeczną dziewczynką!

Keebles wykonała mały taniec, merdając ogonem i radośnie wywieszając jęzor. Chyba jednak to ona była tą grzeczną dziewczynką. Nawet nie śmiała liczyć na taką ocenę.

Sam znowu westchnęła. Że też nie może być psem!

Jej podejrzenia co do wyjazdu matki do Karoliny Północnej gwałtownie się nasiliły, kiedy wspomniała o nim ojcu. Natychmiast uciekł spojrzeniem i zaczął się wiercić, tak jak to czasami robił Ben przyłapanym przez mamę na wnoszeniu swojego odrażającego pajaka tam, gdzie mu nie było wolno. Potem musiała już tylko wydusić z niego prawdę.

A że napatrzyła się, jak to robiła jej mama, znała wszelkie sztuczki. Powtarzała ostatnie słowa, które tata do niej kierował. Nieustannie zadawała mu pytania otwarte. Poza tym miała takie sposoby, których mama nie znała. Na przykład jeśli powiedziało się ojcu, że robi coś lepiej niż mama, od razu rozwiązywał mu się

język. Istna magia. „Och, tato, twoje spaghetti jest o wiele lepsze od tego, które robi mama” – i bach! Następował dziesięciominutowy wykład o tym, jak robienia spaghetti nauczył go kolega ze studiów (tajemnica tkwi w dodawaniu do sosu bazylii i czosnku), no a mama, rzecz jasna, ma wiele innych wspaniałych cech, aczkolwiek nigdy ich nie wymieniał. Wtedy należało już tylko skierować rozmowę na właściwe tory.

Zajęło jej to niecałą godzinę. Mama urodziła się w Karolinie Północnej. I coś jej się tam przydarzyło.

Z braku konkretnych szczegółów znowu musiała zmusić wyobraźnię do wypełnienia luk. Sprawdziła, która godzina. Jeszcze jest za wcześnie. Ben na pewno nie śpi, a w jego obecności mama nigdy się nie otworzy. Sam będzie musiała poczekać, aż brat zaśnie. Bo postanowiła, że tego wieczoru uzyska wreszcie odpowiedzi. I dowie się, co takiego spotkało jej mamę przed laty.

ROZDZIAŁ 8

Na podłodze stała walizka pełna odległych, bolesnych wspomnień. Abby patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, po czym wtaszczyła ją na stół w jadalni i otworzyła.

Na wierzchu leżało coś, co w końcu odnalazła – gazeta z artykułem o jej ojcu. Na zdjęciu stał uśmiechnięty za bukietami kwiatów. Na oko wysoki, miał bujną długą brodę i krzaczaste brwi. A oczy łagodne i życzliwe. Podpis głosił: „David Richardson, właściciel miejscowej kwiaciarni Magiczny Ogród”.

Próbowała przywołać jakieś wspomnienia ojca. Może jak ją tulił? Albo jak razem układali wiązankę? Nie była pewna. Zachowała z dzieciństwa bardzo żywe wspomnienia, ale ojciec prześliznął się jakoś przez szczeliny jej umysłu i nic po nim nie zostało.

Odkąd opuściła dom Normana Lewisa w Karolinie Północnej, przeczytała artykuł po raz piąty. Jak przystało na gazetę lokalną, był krótki, wychwalał kolorowe bukiety i miły charakter Davida. Dziennikarz wspomniał, że David jest żonaty i ma jedną córkę. W trakcie krótkiego wywiadu jej tata zacytował Biblię, doskonale jej znaną maksymę: „Przypatrzcie się liliom, jak rosną: nie pracują i nie przędą”¹.

Ulubiony cytat przytaczany w kazaniach przez Moseesa Wilcoxa.

Odsunęła artykuł na bok i powoli wyłożyła zawartość walizki na stół. Na bok poszła też książka o sekcji Wilcoxa. Potem posegregowała papiery na kilka stosów. Na jeden trafiły zeznania świadków i przesłuchania, na drugi rozmaite wycinki prasowe, na trzeci zaś raporty policyjne.

Do tego olbrzymia sarta protokołów z sekcji zwłok.

Przeliczyła je. Pięćdziesiąt dziewięć, tak jak mówił Norman. Przeczytała nazwiska na każdym protokole. Potwierdzono tożsamość zaledwie trzydziestu trzech osób. George Fletcher był piąty od dołu. Nie odnotowano sekcji zwłok innego George’a.

Zaczęła od transkryptów przesłuchań trojga ocalałych. Na pierwszym z nich widniało nazwisko Abihail Richardson. Przeszły ją ciarki – to imię wybrał dla niej Moses Wilcox. Od lat nikt, zwracając się do niej, nie używał imienia, jakie miała wpisane w metryce: Abihail. A raczej nikt, dopóki dwa miesiące temu nie spotkała Eden.

Czytając pierwsze linijki zapisu z przesłuchania, próbowała je sobie przypomnieć. Jednakże słowa nie obudziły jej pamięci, nie wywołały emocji. Wyglądało na to, że głównie milczała, a jeśli odpowiadała, to monosylabami. Obecna przy tym pracownica socjalna po chwili kazała zakończyć przesłuchanie. Dalszego ciągu nie było.

Gdy przerzuciła kartkę, wypadło kilka zdjęć. Zaskoczona próbowała je złapać, niezdarnie chwyciła jedno z nich i je pogięła. Fotografie wchodziły w skład protokołu i ukazywały jej obrażenia. Ta, którą złapała, była zbliżeniem oparzenia na jej karku. Schyliła się i podniosła pozostałe dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało grzbiety jej dłoni, w wielu miejscach otarte do krwi. Te rany były skutkiem częstego i zbyt mocnego szorowania rąk – czynności praktykowanej w sekcje Wilcoxa.

Na trzecim zdjęciu siedziała na komisariacie, z rękami na kolanach i z nieobecny wzrokiem. Wystające spod złotawych włosów jedno ucho jeszcze bardziej podkreślało jej bezbronność i zagubienie. Ta fotografia nie miała żadnego formalnego znaczenia, nie dowodziła niczego i nie było najmniejszego powodu, by dołączać ją do protokołu. No chyba że fotograf, zrobiwszy zdjęcia jej obrażeń, dostrzegł u niej inną, dużo poważniejszą ranę i również ją próbował utrwalić.

Odłożywszy zdjęcia, otworzyła najgrubszą teczkę ze stosu. Wstępny raport. Przekartkowała go. Piętnaście stron opisujących tę szaleńczą noc. Szkic miejsca tragedii. Oraz gruba szara koperta. Zaklejona wieloma paskami taśmy. Widocznie w pewnym momencie Norman postanowił zrobić coś takiego, żeby odechciało mu się ją otwierać, choćby go nawet kusilo. Abby zważyła kopertę w rękę, próbując odgadnąć, co w niej znajdzie.

Rozerwała ją, ostrożnie sięgnęła do środka i namacała śliski błyszczący papier. Fotografie. Wyjęła je.

Pierwsza pokazywała to, co zostało z wielkiej sali – ogromne rumowisko i unoszący się wszędzie dym i popiół. Oraz zwłoki. Dziesiątki rozrzuconych spalonych ciał. Druga była jeszcze gorsza – zbliżenie szarego, niedającego się rozpoznać ciała, leżącego samotnie w rogu sali. Trzecia przedstawiała wiele zwłok spiętrzonych jedne na drugich przed zamkniętymi drzwiami. Dalej było zdjęcie pary, zwęglonej i nie do rozpoznania, splecionej w ostatnim uścisku...

Wepchnęła zdjęcia z powrotem do koperty, westchnęła przeciągle i oczy zaszyły jej łzami. Szlag!

Nie mogła dopuścić do tego, żeby przeszłość tak na nią działała. Musiała znaleźć w sobie siłę, by przebrnąć przez te papiery, zmusić się do oddzielenia dokumentów od wspomnień, rozpacz i wyrzutów sumienia. Ale w tym celu potrzebowała kawy. Było po dziesiątej wieczorem, a miała przed sobą trzy, cztery godziny pracy.

Przeszła do kuchni i zaparzyła dzbanek kawy, wiedząc, że będzie tego żałowała. Bo kiedy już skończy tę nocną robotę i spróbuje zasnąć, okaże się, że jej mózg wciąż pracuje pełną parą. W końcu zapadnie w sen o wpół do szóstej rano i zaraz obudzi ją dzwonek budzika. A potem, ledwo żywa, będzie musiała przetrwać jakoś dzień, wysłuchując niekończących się dowcipów swojego partnera Willa na temat zombi.

Jednak alternatywa, czyli rezygnacja z kawy, też wydawała się niewesoła.

Nie chciała wracać do stołu w jadalni. Była świadoma obecności piętrzących się za jej plecami stosów papierów. Nalała więc sobie filiżankę kawy i popijając, wyglądała przez okno. Padał lekki deszczyk. Wyłączyła umysł i skupiła się wyłącznie na odgłosach z zewnątrz. Krótka chwila beczynności.

Nie była jednak w stanie długo opierać się natłokowi myśli, które sączyły się z powrotem. Coś związanego ze zdjęciami nie dawało jej spokoju. Coś poruszyło jej wspomnienia, coś, co tam nie pasowało. Ale co? I gdzie się podział ten drugi George? Czy to on latami podszywał się pod Isaaca? A jeśli tak, to w jakim celu?

Wyjęła telefon i otworzyła swoje czaty z „Isakiem”. Setki, może tysiące wiadomości w jedną i drugą stronę. W ostatnich tygodniach przewijała je kilka razy i czytała z przerażeniem i odrazą. Zdała sobie sprawę, jak dużo informacji podała temu oszustowi, sądząc, że czatuje z przyjacielem z dzieciństwa. Teraz, kiedy poznała prawdę, zorientowała się, że prawie wszystkie informacje szły w jedną stronę. Opowiadała mu o swoim życiu, a on ją pocieszał, dopytywał się o szczegóły, ale o sobie nigdy nic nie mówił. Słuchacz doskonały. Powinna była się zorientować lata temu. Przecież jako policyjna negocjatorka robiła to dzień w dzień. Po odkryciu prawdy zarówno Abby, jak i Eden próbowały esemesować do tego oszusta podającego się za Isaaca. On się jednak połapał, że poznały prawdę. W końcu napisały mu, że jadą do niego w odwiedziny. Ale wiedział, co się stanie, kiedy zobaczą prawdziwego Isaaca. I dlatego nie reagował na ich próby kontaktu.

Chciała go zdopingować, wstrząsnąć nim na tyle, żeby przerwał milczenie. Wysłała mu zdjęcie kamienia pamiątkowego. Dodała też tekst, z brakiem jednego nazwiska.

Przez chwilę czekała na jego reakcję, ale nic się nie wydarzyło. Wysłała wiadomość, jednak nic nie wskazywało na to, że ją odebrał.

Odłożyła telefon, odwróciła się w stronę jadalni i serce zamarło jej ze strachu na widok stojącej tam postaci.

Och, to tylko Samantha.

Jej córka stała obok całego tego majdanu z przeszłości Abby. Trzymała w rękach plik papierów.

Nie, nie nie...!

– Sam? – rzuciła cicho.

Córka podniosła wzrok znad kartki i spojrzała na nią beznamiętnie. Abby uświadomiła sobie, że nie słyszała skrzypnięcia drzwi Sam ani jej zwykle głośnych kroków. Czyżby celowo wymknęła się z sypialni niepostrzeżenie?

– Nie miałam pojęcia, że wspólnota Wilcoxa handlowała narkotykami – powiedziała Sam spokojnie. Odłożyła na stół kartkę: wycinek prasowy relacjonujący masakrę, który Norman zachował przez te wszystkie lata. – Znaczy się... chyba wiedziałam, że robili coś, czym podpadli policji, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Sam... jest późno. – Abby podeszła do stołu.

– Chciałam porozmawiać – rzekła córka. – Posłuchać, jak było na tym twoim wyjeździe. – Odłożyła resztę papierów. Transkrypt przesłuchania Abby... Abihail... sprzed tylu lat. Zdjęcia siedmioletniej Abihail. Sam trafiła na to, co Abby akurat przeglądała. Dobrze chociaż, że nie otworzyła koperty.

Abby znalazła się na polu minowym. Inny rodzic próbowałby kłamać, symulować gniew albo udawać głupiego. U niej jednak zadziałał instynkt negocjatorki. Jeśli nie ma się nic do powiedzenia, najlepiej jest milczeć. Dlatego bez słowa wzięła protokoły z sekcji zwłok oraz szarą kopertę i ostrożnie włożyła je do walizki. Bez względu na wszystko, nie chciała, żeby Sam oglądała zdjęcia przedstawiające zwęglone ludzkie zwłoki.

– To ty, prawda? – Sam postukała w fotografię.

– Tak – odparła cicho Abby. Sam widziała już jej zdjęcia z dzieciństwa, ale na żadnym nie była taka mała.

– Byłaś we wspólnocie Wilcoxa.

Abby spojrzała córce prosto w oczy.

– W sekcie Wilcoxa. Jestem jedną z ocalałych.

– Wtedy miałaś na imię Abihail?

– Tak.

– Dlaczego je zmieniłaś?

– To imię nadał mi Moses Wilcox, gdy tylko się urodziłam. A ja je zniecierwiłam. – Abby zastanowiła się nad tym. – Poza tym nauczyciele w szkole wciąż je źle wymawiali, więc dzieci śmiały się ze mnie. Spytałam babcię, czy mogę zmienić imię, a ona się zgodziła.

– Ile miałaś lat? – Z twarzy Sam niczego nie można było wyczytać, ale Abby nie dała się zwieść. Za tą spokojną fasadą kipiał wulkan.

– Siedem, w dniu, kiedy wybuchł pożar – odparła Abby.

– Siedem – powtórzyła Sam. – Zawsze mi mówiłaś, że trafiłaś do adopcji jako niemowlę. I że nie pamiętasz rodziców biologicznych.

– Dwa razy – wymknęło się Abby, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Słucham?

– Nie mówiłam ci tego zawsze. Powiedziałam ci to dwa razy. – Łatwo było to zapamiętać, bo trudno zapomnieć, że tak bezwstydnie okłamało się własne dziecko. Nie chodziło o niewinne kłamstewko, na przykład że święty Mikołaj i tak dostanie się do domu, nawet jeśli nie ma komina. To kłamstwo było złe. Wiedziała o tym i wiedziała, że kiedyś tego pożałuje.

– Co za różnica, dwa razy czy dwadzieścia? Kazałaś mi myśleć, że... – Sam zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Powstrzymała wybuch. – Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy?

– Najpierw byłaś za mała, a potem...

– Nie. Nie rób mi wody z mózgu. Są sposoby na mówienie dzieciom o takich rzeczach. Na przykład mogłaś powiedzieć: „Mamusia dorastała w złej rodzinie”.

– Sam zmieniła głos, mówiła słodko i protekcyjnie. – „Ale kiedyś w nocy wybuchł pożar, mamusia uciekła, dziadek i babcia ją adoptowali i od tej pory żyli razem szczęśliwie, bo mamusia nareszcie znalazła rodzinę, która ją pokochała”.

– Racja – wydusiła Abby ze ściśniętym gardłem.

– Miałam cztery lata, kiedy mi wyjaśniłaś, skąd się biorą dzieci. To też byś potrafiła wytłumaczyć. Podobno jesteś wygadana.

– Nie mam ochoty mówić na ten temat.

– Nie, porozmawiajmy o tym teraz. – Sam splotła ręce na piersi.

– Dobrze, ale mów ciszej. Nie chcę, żeby Ben się obudził.

– Bo jeszcze, nie daj Boże, usłyszałyby prawdę.

– Sam, proszę cię.

– Dobrze już, dobrze – córka zniżyła głos.

– Urodziłam się w sekcie Wilcoxa – powiedziała Abby. – Nazywaliśmy ją Rodziną. Moich rodziców zwerbowali pod koniec lat siedemdziesiątych. Pobrali się dopiero w sekcie. Pewnie już wiesz, że jej przywódcą był Moses Wilcox.

– Dlaczego powiedziałaś „zwerbowali”? To nie było wojsko.

– Prawie nikt nie wstępuje do sekty sam z siebie. Członków się werbuje. Manipuluje się nimi i powoli wciąga w to bagno. – Zobaczyła wyraz oczu córki. –

Wiem, jak to brzmi... Uważasz, że każdy, kto przystępuje do sekty, jest idiotą. Ale prawda wygląda zupełnie inaczej. Przywódcom sekt nie zależy na tępakach. Szukają ludzi mądrych, którzy pomogą im ciągnąć ten wózek. Twoja biologiczna babka była pediatrą, a dziadek inżynierem.

– Czy tam było... no... strasznie?

– Dla niektórych tak. Ale nie dla mnie. Chociaż nie wszystko było fajne. Na okrągło słuchaliśmy kazań, a Moses Wilcox kazał nam ciągle szorować ręce. Godzinami. Tak że zdzieraliśmy skórę do krwi.

W szeroko otwartych oczach Sam zalśniły łzy.

– Ale ja kochałam tych ludzi – ciągnęła Abby. – I dzięki sekcie miałam cel w życiu. To było miłe uczucie.

– Jaki cel?

– Sam, nie sądzę, żeby to był dobry moment na taką rozmowę...

– Jaki cel, mamo?

Abby westchnęła.

– Miałam dorosnąć i urodzić potomstwo mesjasza. Te dzieci rzekomo miały mieć skrzydła i obronić nas, kiedy nadejdzie apokalipsa.

Sam zbladła.

– Mesjasz... masz na myśli Moseśa, tak? Chciał cię wykorzystać do... do celów rozplodowych... – Jej usta zadrżały.

– Tak, ale nigdy mnie nie tknął – wtrąciła pośpiesznie Abby. – Policja dowiedziała się o narkotykach. Zrobiła nalot i wtedy wybuchł pożar. Wszyscy zginęli.

Są rzeczy, które nigdy nie powinny wyjść na jaw. Sam nie może się dowiedzieć, że to Abby, na polecenie Moseśa Wilcoxa, zamknęła salę, w której znajdowali się wszyscy członkowie sekty. I że to przez jej matkę nie mogli się wydostać, kiedy wybuchł pożar.

Posłała córce wymuszony uśmiech.

– A potem babcia i dziadek mnie adoptowali i od tej pory żyliśmy razem szczęśliwie, bo mamusia znalazła rodzinę, która ją pokochała.

Sam nie odpowiedziała uśmiechem.

– Pytałam tatę, po co poleciałś do Karoliny Północnej, ale nie chciał mi powiedzieć. A jak kiedyś zapytałam go o twoją adopcję, kazał mi spytać ciebie.

– Obiecałam mu, że kiedy podrośniesz...

– A babcia kiedyś okłamała mnie w żywe oczy. Spytałam ją, jaka byłaś jako niemowlę, na co powiedziała, że byłaś słodka.

– Córeczko, posłuchaj...

Sam zacisnęła pięści.

– Ty mnie nie tylko okłamałaś. Na dodatek kazałaś wszystkim innym, żeby mi kłamali. Po tobie spodziewałam się, że będziesz mnie okłamywać. Ale tata? I babcia?

Abby poczuła się, jakby córka wyrznęła ją w brzuch.

– Mówisz tak, jakbym cię okłamywała codziennie – zaprotestowała drżącym głosem.

– Prawie.

– Ja nie kłamię. Chyba że...

– Pytam, jak ci minął dzień, a ty mówisz, że świetnie, chociaż widzę, że wcale nie. Pytam, dlaczego się rozstałaś z ojcem, a ty mi wciskasz kit, że już się nie

kochacie, chociaż nawet tata przyznał mi się do romansu. Kiedy dziadek miał atak serca, najpierw tłumaczyłaś, że ma grypę...

– Niech ci będzie. – Abby walnęła dłonią w stół. – Kłamię. Zadowolona? Nie jestem idealna. Czasami łżę jak pies.

Sam patrzyła na nią z odrazą, po policzku spłynęła jej łza. Nagle okręciła się na pięcie i wyszła.

– Sam.

Córka zamknęła za sobą drzwi sypialni. Nie trzasnęła nimi. Nie wściekła się. Była autentycznie zła.

ROZDZIAŁ 9

Liceum Krzysztofa Kolumba mieściło się w ponurym klocku, którego widok przypomniał Gąsienicy jego własne szkolne czasy. Pomarańczowobrazowe ściany, grube żelazne pręty w oknach, brudne szyby. Nieliczni uczniowie, których zauważył, wyglądali jak pogrążeni w ciężkim szoku – dotarło do nich, że wakacje należą już do przeszłości.

Kilkakrotnie objechał szkołę, badając jej rozplanowanie. Dwa piętra. Okna na parterze okratowane. Szkoła miała kilka wejść, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Podwórko szkolne i boisko do koszykówki za budynkiem ogradała siatka.

Odjechał i zaparkował samochód kilka ulic dalej. Zgasił silnik, wyjął telefon. Na czacie było kilka nieprzeczytanych wiadomości, więc przebiegł je wzrokiem. Czerwona Królowa i Kapelusznik byli już na miejscu. Wystukał odpowiedź, napisał im, gdzie jest, i poprosił, żeby przyszli do jego samochodu. Nie musiał im przypominać, żeby zachowali ostrożność i upewnili się, że nikt ich nie śledzi.

Czekał, sprawdzając ulicę i zerkając w lusterka. Czuł się odsłonięty, żałował, że nie ma przyciemnianych szyb. Każdy przechodzień mógł być czujką Kręgu albo agentem, który jakoś za nim tu trafił. Powstrzymał odruch, żeby się skulić, oparł się na siedzeniu i przełączał stacje radiowe. Są. Para idąca w jego kierunku. Mężczyzna pokazał palcem jego samochód, kobieta kiwnęła głową i przyśpieszyli kroku. Gąsienica wsunął rękę do kieszeni i upewniwszy się, że pistolet jest na swoim miejscu, odprężył się.

Mężczyzna otworzył drzwi z przodu samochodu i wsiadł, kobieta zaś zajęła miejsce z tyłu.

– Krąg nie jest w stanie do nas dotrzeć – odezwał się mężczyzna.

Gąsienica przełknął ślinę, zaschło mu w gardle.

– Ani powstrzymać tego, co nadchodzi – dokończył hasło.

– Gąsienica? – powiedział mężczyzna. – Jestem Kapelusznik.

Jakież to dziwne, po raz pierwszy spotkać Kapelusznika osobiście. W pewnym sensie byli już serdecznymi przyjaciółmi. Codziennie rozmawiali ze sobą na czacie. Kapelusznik był jednym z najsilniejszych ludzi, jakich znał Gąsienica. Wyrzucony z pracy bez konkretnego powodu, znosił kolejne upokorzenia, aż

w końcu spadł na cztery łapy i teraz dobrze zarabiał, pracując na własny rachunek jako montażysta filmów wideo. Lojalny, wiedział, kim są jego przyjaciele. I wrogowie.

– Miło wreszcie poznać cię osobiście. – Gąsienica podał mu rękę. Uścisk dłoni Kapelusznika był mocny, od tego człowieka można się było uczyć, jak się podaje rękę. Był to postawny mężczyzna, miał krótko ostrzyżone włosy i grube, wilgotne usta. Gąsienica spodziewał się, że będzie starszy, ale liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat. Gdy w końcu puścił jego rękę, dłoń Gąsienicy była lepka od potu.

– A pani to Czerwona Królowa – rzekł Gąsienica, obracając się do tyłu.

Na forum Czerwona Królowa często wydawała się nieśmiała, Gąsienica nie dał się jednak zwieść pozorom. Gdy rozmawiali o tym, co Krąg wyczynia z dziećmi, często wpadała w istną furję. A jej opisy tego, co by zrobiła z tymi ludźmi, gdyby zdołała ich dopaść, często wywoływały jego uśmiech.

Niezdarnie przekręcił rękę, by podać jej dłoń, a ona ucisnęła jego dwa palce – z uśmiechem, choć wydawała się spięta. Byli mniej więcej w tym samym wieku, po czterdziestce. Była blondynką z przedziwnie małym i ostrym nosem, jak ogryzek ołówka. Miała pomalowane na czerwono usta, w uszach kolczyki w kształcie kół, a na szyi gruby sznur pereł.

– Nie mogę uwierzyć, że w końcu się spotkaliśmy – powiedziała. – Mów mi Alma.

Alma uśmiechnęła się do Gąsienicy. Na widok jego miłej twarzy poczuła ulgę. Gdy wcześniej poznała Kapelusznika, w jednej chwili onieśmielił ją swoją szorstką i nieprzyjazną postawą, więc obawiała się, że Gąsienica będzie taki sam. On jednak okazał się niemal delikatny. Puszyste kasztanowe włosy i pasujące do nich ciepłe piwne oczy.

Znała Gąsienicę od ponad roku i wielokrotnie pisywali ze sobą na intymne tematy. Na forum zgrywał twardziela, ale wiedziała, że to łagodny człowiek. Niedawno zostawiła go żona, łamiąc mu serce. Nie chciał o tym rozmawiać i Alma czuła, jak bardzo był zraniony. Być może teraz, kiedy się wreszcie poznali, pomoże mu się otworzyć i zrzucić ciężar z serca.

– Wiesz chyba, że nie bez powodu używamy pseudonimów – wycedził Kapelusznik. – Podawanie nam swojego imienia to głupota i nieostrożność.

– Przepraszam – rzuciła Alma odruchowo. – Ale przecież skoro już się poznaliśmy osobiście, widzę, kim jesteście. Mogę wam zaufać. Nie macie w sobie nic z agentów Kręgu.

– Nie o to chodzi! – warknął Kapelusznik. – A jeśli nas złapią? Mogą nas torturować. A nie da się ujawnić czegoś, czego się nie wie, prawda?

– Masz rację, nie pomyślałam o tym – odparła potulnie.

Bez dwóch zdań miał rację, ale nie musiał traktować jej tak niemilo. Nie lubiła Kapelusznika, chociaż starała się tego nie okazywać. Jego posty na forum przyprawiały ją o gęsią skórkę. Za każdym razem, gdy udawało im się zdemaskować kobietę, która była agentką Kręgu, wyzywał ją wulgarnym słowem. A o jednej napisał nawet, że „zasłużyła na to, żeby ją zgwałcić”. Ktoś zwrócił mu uwagę, że to niestosowne, na co odpisał, że skoro członkowie Kręgu gwałcą dzieci, to zasługują na to samo. Zrobiła się z tego niezgorsza awantura i więcej takich słów nie powtórzył. Ale Alma dobrze to sobie zapamiętała.

– Zanim się zjawiliście, sprawdziłem szkołę – poinformował Gąsienica.

– Tak, ja też ją wcześniej obszedłem – rzekł Kapelusznik. – Właśnie mówiłem Almie, że wymyśliłem, skąd najlepiej będzie ich obserwować.

– Obserwować? – powtórzył zdziwiony Gąsienica. – To nie wejdziemy do środka?

– Nie wpuszczą nas – odparł Kapelusznik ostrym tonem. Z jego ust na tablicę rozdzielczą samochodu prysnęła ślina, ale nawet tego nie zauważył.

Mężczyźni rozmawiali ze sobą i Alma, na tylnym siedzeniu samochodu, czuła się wykluczona. Zgadzała się z Gąsienicą. Te biedne dzieci właśnie teraz były w szkole. Wyobraziła sobie, jak przerażone płaczą za swoimi matkami, nie wiedząc, jaki koszmarny los je czeka. Ścisnęło jej się serce. O nie! Muszą tam wejść. Nie mogą dopuścić, żeby dzieci cierpiały choćby sekundę dłużej, niż to konieczne.

– Ja również jestem zdania, że powinniśmy tam wejść – odezwała się półszepem.

– Słuchaj, już mówiłem, że drzwi frontowe są zamknięte na klucz i trzeba dzwonić domofonem – rzucił Kapelusznik niecierpliwie. – Nikt nam nie otworzy. Boczne drzwi też będą zamknięte. Lepiej zaczekajmy, aż się zjawią pedofile.

Kapelusznik trzymał ręce w kieszeniach i zaciskał pięści. Drażnił go głos Almy. Taki marudny, utyskujący. I po co ta głupia cipa podała im swoje imię? Traktuje to jak jakąś zabawę czy co?

Obejrzał się na nią. Ubrana jak babcia. Kolczyki z perłami, workowaty sweter. Jasnoczerwona szminka, z którą wyglądała sztucznie, ale ani o włos nie lepiej.

Zawsze sądził, że jest znacznie młodsza. Wyobrażał sobie, że jest mniej więcej w jego wieku i seksowna jak cizia z tego filmu Tarantino. Lubił z nią gadać na forum, chociaż czasami obrażała się o to, co pisał. Ale spotkanie z nią na żywo okazało się rozczarowaniem.

– Niewykluczone, że pedofile już są w szkole – zauważył Gąsienica. – Nareszcie mamy dobry wywiad. Proponuję, żebyśmy weszli do środka i się

rozejrzeli. A jeśli nas nie wpuszczą, znajdziemy sobie jakieś dobre miejsce i zaczekamy.

Dobrze, że przynajmniej Gąsienica zachowywał się jak zawodowiec. Kapelusznik przyjrzał mu się z namysłem. Gość wydawał się inteligentny i skupiony. Oni dwaj należeli do najbardziej doświadczonych Obserwatorów na forum i Kapelusznik cieszył się, że ma kogoś takiego u boku. Ale to jeszcze nie znaczyło, że Gąsienica miał tu być szefem.

– Właściwie nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy tam weszli, ale jak to zrobimy? – zapytał. – Zadzwonimy i poprosimy, żeby nas wpuścili?

– Możemy się kręcić koło drzwi frontowych – odparł Gąsienica. – Idę o zakład, że ludzie bez przerwy wchodzi tam i wychodzą. Więc kiedy drzwi się otworzą, po prostu wejdziemy. Nikt nam nie zabroni.

– Nie wygląda to na przemyślany plan – zaprotestował Kapelusznik.

– Otwórz schowek – polecił Gąsienica. – Mam tam coś dla was.

Kapelusznik zmarszczył czoło, ale wykonał polecenie. Przez chwilę nie docierało do niego, na co patrzy. Otworzył szeroko oczy. Dwa pistolety. Wziął jeden i zważył go w ręce.

– Och, nie! – rzuciła Alma z tylnego siedzenia. – Nie trzeba nam broni.

Kapelusznik wyjął drugi pistolet i trzymał po jednym w każdej dłoni. Wyobraził sobie, jak kroczy dziarsko korytarzem, mając za sobą Gąsienicę i Almę. A wszyscy pierzchają na ich widok, gdy chodzą po całej szkole, szukając pedofilów, żeby ich zastrzelić.

– To tak na wszelki wypadek, do obrony – wyjaśnił Gąsienica. – Nie wiemy, ilu ich tam jest.

– Jasne – przytaknął Kapelusznik; serce mu łomotało, wygiął usta w wymuszonym uśmiechu. – Zgoda, zrobmy to.

ROZDZIAŁ 9

26 września 1988

W całym mieszkaniu unosił się zapach smażonego kurczaka, kusząc Neala. Snuł szeptaną opowieść o chrupiącej skórce i soczystym mięsie pod nią, a do tego o słonych ziemniakach.

Burczało mu w brzuchu i jak co dzień chciał, żeby tata już wrócił.

Dziwna była ta stała tortura. Neal nie dostawał żadnych smakołyków po południu, żeby nie stracił apetytu przed kolacją. Nie mogli jednak zasiąść do kolacji bez ojca. Bo kolację cała rodzina jadła razem. A nigdy nie było wiadomo, kiedy tata się zjawi. Czasami wracał o piątej po południu, a czasem nie było go do dziewiątej wieczorem.

– Mamo! – pisał żałośnie. – Umieram z głodu!

– Tata niedługo wróci. – Mama uśmiechnęła się do niego.

– A mogę dostać kawałeczek?

– Nie, chcę, żebyśmy zjedli razem.

Nie mógł tego zrozumieć. Podczas jedzenia nigdy nie rozmawiali. Może czasem tata prosił mamę o sól. Albo mama upominała Neala, żeby się nie garbił. Ale na pewno nie o to jej chodziło.

– Ale mamo...

– Może czekając na tatę, poczytamy jeszcze trochę?

– Dobrze – zgodził się natychmiast, żeby się nie zdążyła rozmyślić.

– Siadaj. – Poklepała kanapę obok siebie.

Wskoczył na kanapę i od razu przytulił się do mamy. Czytanie z mamą mogło się odbywać tylko w jeden sposób. Wsunął się pod jej pachę, a ona przycisnęła go mocniej, ogrzewając swoim ciepłem. Nachyliła się nad stołem, wzięła książkę i przerzuciła kartki.

– Na czym skończyliśmy? – spytała.

– Alicja zrobiła się bardzo mała i uciekła od szczeniaka. – Neal zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak Alicja biegnie między wysokimi łodygami trawy. Zawsze potrafił sobie wyobrazić to, co mu czytała mama.

– Zgadza się. – Mama znalazła właściwą stronę i zaczęła czytać. Alicja właśnie spotkała Gąsienicę, który palił nargile.

– Co to są nargile? – spytał Neal.

– To takie coś, co się pali.

– Jak papierosy?

– No... raczej jak fajka – odparła mama mało konkretnie. Odchrząknęła i wróciła do lektury. „Wreszcie Gąsienica wyjął z ust cybuch nargili i zwrócił się do niej sennym, znużonym głosem”².

– Co znaczy znużony?

– Mniej więcej to samo co chory.

– Gąsienica był chory?

– Nie. Nie sędzę.

– A może chorował przez to palenie. W szkole nam mówią, że palenie szkodzi zdrowiu.

– Może. Nie przerywaj mi. „A kimże ty jesteś? – powiedział Gąsienica”.

Naśladowując Gąsienicę, matka zmieniała głos, żeby był gruby, dudniący. Po karku przebiegł mu dreszcz rozkoszy. Właśnie to lubił najbardziej – jak mama zmieniała głos podczas lektury. Sam wprawdzie potrafił już czytać, ale szło mu to opornie, a poza tym nie potrafił wyczyniać z głosem takich rzeczy jak mama.

Mama czytała dalej, a Alicja i Gąsienica rozmawiali. Głos Alicji był wysoki i dziecięcy, Gąsienica natomiast brzmiał jak nauczyciel gimnastyki Neala.

Nagle, w połowie ich rozmowy, wszedł tata. I atmosfera w pokoju od razu się zmieniła.

Czasami, raz czy dwa razy w tygodniu, tata wracał do domu bardzo zły. Neal natychmiast potrafił to poznać po tym, jak tata trzaskał drzwiami i jak rzucał torbę na podłogę. A także po tym, jak mama się spinała.

– Hej, skarbie – rzuciła niemal takim samym tonem jak książkowa Alicja. Za wysokim. Nie był to normalny głos mamy. – Dobrze, że już jesteś, kolacja czeka.

Nie zwracając na nią uwagi, ojciec wszedł do kuchni. Neal usłyszał, jak otwiera lodówkę, a potem ostry syk, gdy tata zerwał kapsel z butelki piwa.

Mama wstała i bez słowa zerknęła na Neala. Odruchowo wiedział, że na kolację przyjdzie jeszcze poczekać. A może dzisiaj nie zasiądą do kolacji razem, jak przystało na rodzinę. Mama poszła do kuchni. Neal usłyszał, jak pyta:

– Jak było w pracy?

– Wylali mnie.

– Dlaczego?

– Cięcia. Gówny prawda. Nie było żadnej redukcji personelu. Chcieli się mnie pozbyć. Tak się dzieje, kiedy ktoś nalega na zapewnienie bezpieczeństwa. Nie lubią tego. Utrudniałem im życie.

Neal nieraz słyszał ten ton. Nie wiedział, kim są „oni”, ale tata zawsze wymawiał to słowo, jakby warczał. Czasami „oni” chcieli zwiększyć podatki. Albo „oni” zamieniali ich dzielnicę w zadupie. I także „oni” podnosili czynsz, bo są chciwi.

– Może porozmawiaj jutro z szefem – powiedziała mama. – Wyjaśnij mu, że...

Nagłe głucho uderzenie. I głośny krzyk mamy. Neal skulił się w rogu kanapy.

– To koniec! – krzyknął tata. – Chcesz, żebym tam wrócił na klęczkach, żebym się przed nimi płaszczą? Uważasz, że tak powinienem zrobić?

Mama nie odpowiedziała, a tata nadal się na nią wydierał. Neal nie mógł tego wytrzymać. Chwycił książkę, pobiegł do swojego pokoju, zamknął drzwi, położył się na łóżku i naciągnął kołdrę na głowę. Jednak nawet przez zamknięte drzwi słyszał stłumione wrzaski ojca. Wyrolowali go. Chcieli go upokorzyć. Niedoczekanie!

Neal bał się „onych” jak ognia. Zamknął oczy i słuchając słów ojca, bezskutecznie próbował sobie wyobrazić, kim są „oni”. To nie było tak jak z historyjkami, które czytała mu mama, niełatwo mu było przywołać w myślach odpowiednie obrazy. „Oni” tkwili w wiecznych ciemnościach, zamieniali cały kraj w piekło i zatrudniali nielegalnych imigrantów, i pozbawiali uczciwych ludzi środków do życia, i niszczyli telewizję, i ze świąt Bożego Narodzenia uczynili maszynkę do wyciągania od ludzi pieniędzy...

Żeby odciąć się jakoś od wrzasków ojca, otworzył z powrotem książkę i z trudem zaczął czytać, słowo po słowie.

„Kim jesteś? – zapytał Gąsienica”.

ROZDZIAŁ 11

Abby gapiła się na monitor niewidzącym wzrokiem; żałowała, że nie wzięła zwolnienia. Ubiegły wieczór był jeszcze gorszy, niż przewidywała na początku. Po rozmowie z Sam usiadła nad papierami, ale na niczym nie mogła się skupić. Bez przerwy myślała o rzeczach, które powinna była powiedzieć córce w trakcie tej rozmowy, albo o tym, co należało jej wyjaśnić, zanim jeszcze pojechała do Karoliny Północnej, a może nawet wcześniej. Wiele lat wcześniej. Widocznie w styczniu nadal się unosił duch minionych świąt Bożego Narodzenia i z braku bogaczy o podłym charakterze postanowił zadrzeć Abby. Godzinami czytała raporty policyjne oraz transkrypty przesłuchań, aż w końcu schowała papiery do teczki i poszła do łóżka. Tam zaś spędziła jeszcze kilka bezsennych godzin, obmyślając i dopracowując w szczegółach rozmowę, którą odbędzie z córką rano.

Tyle że nic z tego nie wyszło. Kiedy rano obudziła się po ledwie dwóch godzinach snu, Sam już wyszła. Zostawiła kartkę, że do szkoły podrzucą ją rodzice jej przyjaciółki Fiony. I nie odbierała telefonu.

Abby westchnęła. Doszła do wniosku, że tego ranka i tak nie zdziała w pracy nic sensownego. Pogrzebała w torbie i wyjęła szarą kopertę. Wytrząsnęła fotografie i znowu zaczęła je przeglądać.

W nocy zrobiła to już kilkakrotnie, więc chociaż patrzenie na te zdjęcia nadal sprawiało jej ból, to jednak było do wytrzymania. Oglądała je powoli, szukając tego, co zaniepokoiło ją poprzedniego wieczoru. Czy to ktoś, kogo rozpoznała? A może coś, czego brakowało?

Zatrzymała się na fotografii zwłok leżących jedno na drugim przed zamkniętymi drzwiami.

Zamknięte drzwi. I nagły przebłysk pamięci.

Abihail miała do drzwi już tylko kilka kroków, sięgała do rygla, żeby ich wypuścić.

Czyjaś ręka chwyciła ją za ramię, odciągnęła, próbowała ją odwrócić.

Krzyknęła ze złości i strachu, usiłując się wyrwać.

I wtedy nastąpił wybuch, jego siła ją odrzuciła, nagle poczuła na karku palący ból, pochłonęły ich płomienie...

Drzwi rozpadły się pod wpływem eksplozji. Pamiętała, że się obejrzała. I że na widok ognia Isaac ją odciągnął.

Wyjęła z torby szkic miejsca tragedii. Był duży, pokazywał wyznaczone metodą triangulacji pozycje wszystkich zwłok w sali jadalnej oraz w kuchni. Przy tylnych drzwiach kuchennych leżały cztery ciała, tuż obok siebie.

Tylne drzwi kuchenne...

To oczywiste, że drzwi od tyłu prowadziły do kuchni, żeby łatwiej było wnosić żywność i wyrzucać śmiecie. I to przed nimi leżały zwłoki. Ci ludzie próbowali się wydostać. Ale nie mogli. Drzwi były zamknięte na klucz.

Od kilku tygodni, odkąd przypominała sobie wydarzenia tamtego wieczoru, uważała, że zamknęła członków wspólnoty w pomieszczeniu bez wyjścia. A przecież było drugie wyjście, tyle że ktoś je zamknął na klucz. Najprawdopodobniej zrobił to sam Moses Wilcox tuż przed podłożeniem ognia w kuchni. I cała wspólnota, pomijając troje ocalałych dzieci, zginęła w płomieniach.

No i George, brakujące imię na pomniku. Gdzie się podział George?

Być może go tam nie było. Ale to nie miało sensu. Doliczono się wszystkich. Pięćdziesiąt dziewięć ofiar, troje ocalałych. W sumie sześćdziesiąt dwie osoby.

Chyba że ofiar śmiertelnych nie było pięćdziesiąt dziewięć. Wybuch pojemników z gazem w kuchni spowodował nieopisany chaos. Niewykluczone, że lekarz sądowy się pomylił, większość sekcji zwłok przeprowadzono w miejscowej kostnicy, której wyposażenie nie było dostosowane do katastrof o takiej skali. Wczoraj wieczorem przejrzała pobieżnie raporty z sekcji zwłok, ale dzisiaj będzie musiała wczytać się w nie staranniej.

Potrząsnęła głową. Miała zamglony umysł, nie potrafiła myśleć jasno. Musiała to z kimś obgadać. Przez chwilę zastanawiała się nad Eden, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Koleżanka, która razem z nią przeżyła pożar, chciała raz na zawsze wyrzucić ten wieczór z pamięci.

Nie. To musi być ktoś inny. Ktoś, komu ufa. I na kim może polegać.

ROZDZIAŁ 12

Śledczy Jonathan Carver walczył w komisariacie z ekspresem do kawy, który znowu się zapchał, po raz trzeci w tym miesiącu. W jego przekonaniu ta skomplikowana maszynka była przekleństwem komisariatu 115 – gorszym od obsesji komendanta na punkcie papierkowej roboty albo dziwnego zapaszku w męskiej ubikacji, a nawet, wyobraźcie sobie, od zbrodni we wszelkich jej przejawach.

Jeden z problemów polegał na tym, że nikt oprócz Carvera nie czyścił tego draństwa, które miało już ze dwadzieścia lat. Carver nie pojmował, dlaczego komendant nie zgadza się na kupno nowego. Żaden gliniarz nie jest w stanie pracować bez stałej dostawy kofeiny.

Właśnie odłączał rurkę w maszynie, gdy do maleńkiej kuchenki weszli Dillard i Anderson.

– Hej, Carver – rzucił Dillard. – Co to, ekspres do kawy znów wysiadł?

Carver wzniósł oczy do nieba. Dillard stale zadawał pytania, które powinny być retoryczne, a jednak zawsze oczekiwał odpowiedzi. Zamiast tego więc tylko stęknął.

– No jak? Nie działa?

– Tak, Dillard, nie działa. Myślisz, że grzebię w tym dla przyjemności?

– Ależ skąd. Pomyślałem, że maszynka wysiadła.

Carver wyjął zawór i przemył go w zlewie, a Anderson i Dillard stali mu nad głową, czekając, aż magiczna maszynka produkująca życiodajny płyn znów zacznie funkcjonować.

Pisnął telefon Carvera. Włożył zawór z powrotem i zerknął na ekran. Esmes od Abby.

Cześć.

Uśmiechnął się.

Cześć! Jak tam twój wyjazd?

Bardzo dziwny. Możemy się spotkać wieczorem? Muszę o tym z tobą pogadać.

Jasne.

On i Abby się nie śpieszyli. Rozwijali swoją relację wręcz niemrawo. I chociaż chciałby, żeby sprawy toczyły się znacznie szybciej, to wiedział, że życie Abby jest teraz pełne zawirowań. A dla niej gotów był czekać, nie stawiając własnych żądań. Byli na kilku randkach. Dwukrotnie zaprosiła go na kolację, w tym raz z jej dziećmi. Przedstawiając go, powiedziała, że umówiła się z nim na randkę; przy tych słowach zaczerwieniła się po same uszy. Jej czternastoletnia córka Samantha uśmiechnęła się do niego speszona, a młodszy od niej syn z poważną miną uściśnął mu rękę.

– ...nie chcę, żeby te świry kręciły się wokół szkoły – mówił Anderson.

– Jakie świry? – zapytał Carver, z powrotem mocując rurkę. – MS-trzyście znowu metkuje liceum? – Ten gang obrał za cel jedną ze szkół w dzielnicy i bez przerwy wypisywał sprejem numer „13” na jej ścianach. Komendant polecił, by co godzina wokół szkoły przejeżdżał radiowóz, ale te gnojki wciąż wracały. Przypominało to odganie much.

– Nie, nie chodzi o nasze szkoły – odparł Dillard. – Centrala dostała właśnie cynk od federalnych. Te świry z grupy Obserwatorów uznały, że w liceum w jurysdykcji komisariatu sto dziewiątego odbywa się handel dziećmi.

– Obserwatorzy? – Carver zmarszczył czoło. – Ci od teorii spiskowych?

– Uhm. Od rana na ich forum był duży ruch na ten temat, federalni ich monitorują – powiedział Anderson. – Obawiają się, że niektórzy z nich mogą się zjawić w tej szkole. Wysyłają kogoś, żeby to sprawdził. Jakbyśmy mieli mało prawdziwych problemów, to jeszcze potrzeba nam bandy oszołomów i ich porąbanych teorii!

Carver przyśrubował tylną pokrywę maszynki i zmarszczył czoło.

– Na terenie sto dziewiątego, powiadasz? A jak się nazywa to liceum? – Córka Abby chodziła do liceum w obrębie komisariatu 109.

– Jak to było? Liceum Krzysztofa Kolumba? – spytał Anderson Dillarda.

Zaniepokojony Carver odłożył śrubokręt.

– Muszę iść.

– A co z ekspresem? – zapytał Dillard. – Ej, Carver, co z tą maszynką?

Ale Carver już wychodził. Przesadzał, jak nic. Prawdopodobnie to tylko fałszywy alarm.

Prawdopodobnie.

ROZDZIAŁ 13

Patrząc na nich, można by pomyśleć, że są rodzicami odbierającymi dzieci wcześniej ze szkoły. W każdym razie Gąsienica miał nadzieję, że tak to wygląda.

Stał z Almą przed szkołą, kilka kroków od głównego wejścia. Na dworze panował paskudny ziąb, przenikliwy chłód wdzierał się za kołnierz i schodził aż do butów, powodując nieustające, dokuczliwe cierpienie. Gąsienica żałował, że nie włożył czapki, rękawiczek i grubych skarpet. Alma miała czerwony nos i uszy i bez przerwy drżała.

Ile to już trwało? Pięć minut? Dziesięć? Zbyt długo. Ich plan się nie powiódł. Gąsienica czuł się niczym wystawiony na strzał. Gdy tylko chował przemarzniętą rękę do kieszeni, czuł spoczywający w niej pistolet, zimny i ciężki. W samochodzie obecność broni dawała mu poczucie władzy. Ale tutaj, gdyby napatoczył się jakiś gliniarz i chciał ich przeszukać...

Jesteśmy parą czekającą na nasze dzieci, przywołał się do porządku. To było ważne, warte podjętego ryzyka. Wyobraził sobie uprowadzone dzieci, przetrzymywane gdzieś na terenie szkoły. Być może w piwnicy. A także zrozpaczonych rodziców, niemogących się doczekać wieści o tym, co się z nimi stało. Czy już stracili nadzieję? Co poczują, kiedy przyprowadzi im ich pociechy całe i zdrowe? Wyobraził sobie wdzięczność malującą się na ich twarzach. I swoje dłonie na barkach dzieci.

Otworzyły się główne drzwi szkoły i wyszła kobieta w okularach z kwadratowymi oprawkami i w obszernym płaszczu. Gąsienica natychmiast ruszył przed siebie, jakby już od jakiegoś czasu zmierzał w kierunku szkoły; na widok zamykających się drzwi powstrzymał się i nie przyspieszył kroku. Ale nie spuszczał wzroku z wejścia, które kurczyło się coraz bardziej, aż została już tylko mała przestrzeń, wąziutka szparka.

Złapał drzwi, wsunął palce w dwucentymetrową szczelinę i uśmiechnął się do kobiety. Ta po chwili wahania odpowiedziała tym samym. Gdyby spytała go, kim jest, miał przygotowane zawczasu wyjaśnienie. Jego syn znowu wdał się w bójkę. Zadzwonili do niego ze szkoły i kazali mu go odebrać. W panice słowa same cisnęły mu się na usta.

Kobieta jednak jeszcze raz obrzuciła wzrokiem jego i Almę i odeszła.

Odetchnął głęboko, serce łomotało mu w piersi. Niemal słyszał, jak w jego żyłach pulsuje krew, równomierne łup, łup, łup. Przytrzymał drzwi Almie, a ona bez pośpiechu weszła do środka.

I nagle pojawił się Kapelusznik. Szedł szybko, z jedną ręką w kieszeni. Dołączył do nich, we troje weszli do środka, drzwi zatrzęsły się za nimi...

Gąsienica od lat już nie widział żadnej szkoły od środka, oświetlonych białymi jarzeniówkami korytarzy, ponurych brązowopomarańczowych drzwi do sal lekcyjnych, rzędów uczniowskich szafek.

– No dobra, weszliśmy – warknął cicho Kapelusznik. – Dokąd teraz?

Gdzie sitwa mogła prowadzić swój interes? Prawdopodobnie w piwnicy, ale może korzystali z nieużywanej sali lekcyjnej? Czy mieliby czelność zrobić to w auli? Nie miał pojęcia. Nie wiedzieć czemu nie wybiegał myślami aż tak daleko. Założył, że kiedy już dostaną się do środka, znajdą jakieś wskazówki. Jak choćby podejrzenie wyglądających, przemykających ukradkiem mężczyzn. Albo zapłakane dzieci.

Rozejrzał się, po czym szybko opuścił głowę; serce zabiło mu szybciej.

– Kamery – szepnął. – Nie pokazujcie twarzy.

– Nie wygląda na to, żeby coś się tu odbywało – zauważyła Alma. – Może powinniśmy wyjść?

– A czegoś się spodziewała? – W głosie Kapelusznika znów się pojawił ten ostry, paskudny ton. – Drogowskazu z napisem: „Na targ dla pedziów tędy”?

Musieli ruszyć dalej.

– Kamery monitoringu – rzekł Gąsienica. – Jeśli przejrzymy zapisy, może ich znajdziemy.

– A jak mamy to zrobić?

– Powinniśmy zajrzeć do sekretariatu. Założę się, że stamtąd prowadzą obserwację.

– Co ty powiesz? A oni pozwolą nam obejrzeć nagrania?

– Przekonajmy się. Jeśli nas wyproszą, to wyjdziemy.

Rozejrzał się za kimś, kto by ich skierował do sekretariatu. Może jakiś uczeń? Serce nie przestawało mu łomotać, jego dudnienie odbijało się echem w szkole. Głośny równomierny rytm.

Łup, łup, łup – miarowy rytm perkusji zawibrował w sali muzycznej, kiedy Samantha przeciągnęła smyczkiem po swoich elektrycznych skrzypcach. Grali już od godziny, cały zespół zerwał się z lekcji, by zyskać cenny czas na ćwiczenia. Pracowali nad własnym coverem *Black Betty*, jednego z ulubionych kawałków Samantha. Zazwyczaj kiedy ćwiczyli, poświęcała całą uwagę muzyce, dręczące ją bez przerwy myśli i niepokoje znikwały bez śladu, zastępowały je rytm i muzyka.

Tego dnia jednak umysł miała zbyt zajęty, kotłujące się w głowie myśli wdzierały się między nią a melodię. Stale gubiła tempo i grała do kitu.

Jej matka dorastała w sekcie. W sekcie Wilcoxa. I jako jedna z nielicznych przeżyła.

Dlaczego to przed nią ukrywali? Tata, mama, dziadkowie. Przez tyle lat! Ileż razy pytała o biologicznych rodziców mamy i dostawała tylko wymijające odpowiedzi bądź jawne kłamstwa?

Rytm perkusji się zmienił, stał się chaotyczny, nabrał tempa, by dogonić melodię gorączkowych myśli Samantha. Fanatyczna sekta. Wieczorny pożar. A w środku tego wszystkiego jej mama, jeszcze dziecko.

Przejrzała pobieżnie książkę o sekcie Wilcoxa, którą znalazła wśród rzeczy mamy. A potem ją wygooglowała. Aż do ubiegłego wieczoru знаła jedynie podstawowe fakty. Była sekta i prawie wszyscy jej członkowie zginęli. Kolejna koszmarna historia, jak masakra w Jonestown czy Gałąź Dawidowa i oblężenie Waco. Teraz wiedziała o wiele więcej, może nawet za dużo. O wielu żonach Mosesa Wilcoxa. O tym, że żarliwi wyznawcy sekty wierzyli, iż nadchodzą dni ostatnie i wybuchnie święta wojna, ale obronią ich liczne uskrzydłone dzieci Wilcoxa. I o wieczorze, kiedy wybuchł pożar.

Mama miała na karku bliznę po oparzeniu. Na pytanie Sam odparła, że ma ją jeszcze z dzieciństwa, z czasów sprzed adopcji. Ale to chyba nieprawda?

– Sam, co z tobą?

Poirytowane warknięcie przywróciło ją do rzeczywistości.

– Przepraszam – wybąkała. Fiona i Ray obserwowali ją bacznie. Krew napłynęła jej do twarzy. – Nie uważałam.

– To przecież twoje ukochane solo – powiedział Ray.

– Wiem! Nie mogę się dzisiaj pozbierać.

– Wobec tego może zastąpimy to solówką gitarową? – zaproponował.

Sam i Fiona, perkusistka, porozumiały się wzrokiem. Fiona wzniosła oczy do nieba i podniosła pałeczkę w taki sposób, jakby pokazywała Rayowi olbrzymi środkowy palec.

– Temat solówki gitarowej jest zamknięty, Ray – oświadczyła. – Nasza wersja po solo na perkusji ma solówkę na skrzypcach, na tym polega jej istota. Mamy być kolejną głównianą kapelą grającą kawalek sprzed czterdziestu lat?

– Przymknij się, Fi, nikt cię nie pytał o...

– Cmoknij mnie w pałkę, Ray. – Fiona wykonała pałeczką obsceniczny gest. – Możemy wrócić do grania?

Sam uśmiechnęła się, a Fiona puściła do niej oko i dwiema pałeczkami zaczęła nabijać rytm. Raz-dwa-trzy...

– Przykro mi, nie potrafię panu pomóc. – W głosie kobiety brzmiała pogarda. – Nawet nie rozumiem, czego pan ode mnie chce.

Gąsienica zaciskał zęby. Ręce trzymał w kieszeniach, prawą ściskał pistolet. Sekretarka była po pięćdziesiątce, czarne włosy miała przyprószone siwizną i krzywiła się z niezadowoleniem. Kilkoma ruchami palców mogła im pomóc uratować życie dzieci, a jednak wolała go sztorcować niczym uczniaka tej szkoły.

Za jej plecami widział wychodzące na ulicę okno. Gabinet znajdował się na górnym piętrze i trafili tam bez problemu, kiedy zapytani przez nich uczniowie wskazali im drogę.

– Przecież już pani mówiłem – zniżył głos, hamując gniew. – Śledzimy poczynania pewnej grupy przestępczej i mamy wszelkie powody przypuszczać, że ci ludzie korzystają z tej szkoły do...

– Jesteście z policji?

– Nie, proszę pani, z niezależnej organizacji. Musimy tylko sprawdzić zapis z kamer monitoringu i...

– Przeglądałam te nagrania tuż przed waszym przyjściem. I nie zauważyłam nic niezwykłego.

Kłamała? Udawała głupią? Gąsienica pomyślał o dzieciach płaczących gdzieś na terenie szkoły.

– Wolimy sami to ocenić. Proszę nam pokazać nagranie i już nas tu nie ma.

– Jeżeli chce pan obejrzeć nagranie swojego dziecka, musi pan złożyć podanie, a my się odezwiemy.

– Chyba powinniśmy wyjść – odezwała się nerwowo Alma za plecami Gąsienicy.

Czyżby ta sekretarka z nimi współpracowała? A może ją zmanipulowali, jak wiele innych osób? Jak miał to sprawdzić?

– Pani nie rozumie, tu nie chodzi o jedno konkretne dziecko.

– Thelmo, czy ci ludzie zawracają ci głowę? – rozległ się szorstki głos.

Gąsienica obejrzał się przez ramię. Do pokoju wszedł potężny facet w brązowej marynarce i podejrzliwie mrużył oczy. Nauczyciel? A może tutejszy ochroniarz? Gąsienicę ogarnął nagły strach. Czy on też pracuje z tamtymi?

– Nie, panie Ramirez, wszystko w porządku. Chyba właśnie wychodzą.

– Tak – potwierdziła Alma.

– Nie! – warknął Kapelusznik. – Nigdzie nie idziemy. – Przeszedł na drugą stronę biurka i stanął za plecami sekretarki. – Pokaż nam to cholerne nagranie!

Spojrzała na niego wstrząśnięta i przerażona.

– Przykro mi, ale...

– Pokazuj! – ryknął Kapelusznik.

– Hej! – wrzasnął Ramirez. – Wynoś się, bo...

Alma coś krzyknęła. Gąsienica stał jak skamieniały, zaciskając palce na rękojeści pistoletu. Kapelusznik zareagował błyskawicznie, uniósł rękę i z całej siły wyrzucił sekretarkę pistoletem w głowę. Jęknęła i spadła z krzesła. Ramirez skoczył do przodu, odpychając Gąsienicę, a ten obronnym ruchem wyjął dłonie z kieszeni. W jednej ścisnął pistolet.

Coś huknęło i przez jego rękę przeszedł dreszcz. Ramirez wpatrywał się w niego oszołomiony. Dopiero wtedy Gąsienica się zorientował, że celuje w niego z pistoletu. Już miał powiedzieć coś w rodzaju „nie ruszaj się” albo „ani drgnij, bo zastrzelę”, ale było za późno.

Mężczyzna runął na plecy, Alma wrzeszczała, sekretarka z zakrwawioną twarzą jęczała na podłodze, dzwonił telefon, ale po ogłuszającym huku wystrzału Gąsienica wszystko słyszał jak przez mgłę.

Słyszając głośny łomot, niepasujący do rytmu perkusji, Sam zmarszczyła czoło. Co to było? Zmusiła się, żeby o tym nie myśleć, zbliżała się jej solówka, a nie zamierzała dać Rayowi kolejnego pretekstu do narzekań.

– Nie – wykrztusiła Alma. – Nie, nie, nie.

Telefon wciąż dzwonił. Kapelusznik wyrwał kabel i walnął aparatem w blat biurka, rozbijając go doszczętnie. Na chwilę zapadła cisza, słychać było jedynie mamrotanie Almy. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. W progu stała jakaś kobieta i wytrzeszczała oczy na jęczącą sekretarkę i postrzelonego nauczyciela. Spojrzała w oczy Gąsienicy. Już się odwracał, by do niej wycelować, ale wybiegła z pokoju, wrzeszcząc wniebogłosy.

Gąsienica ukląkł obok Ramireza; ten patrzył pustym wzrokiem w sufit, jego wargi się poruszały, w ustach pieniała się krew. Czyżby próbował coś powiedzieć? Gąsienica go nie słyszał, dobiegały go tylko wrzaski, histeryczny głos Almy i bicie własnego serca, a towarzyszył temu dziwny, wybijany gdzieś w pobliżu rytm.

– Almo, przymknij się! – warknął Kapelusznik. – Popatrzcie na to.

Nie zważając na leżącą u jego stóp kobietę, wpatrywał się w jej monitor.

Gąsienica zmusił się, by wstać. Oszołomiony podszedł do Kapelusznika i spojrzał na ekran.

Leciało na nim nagranie z kamer monitoringu, które tak bardzo chcieli obejrzeć. Kilkanaście kamer rozmieszczonych w całej szkole pokazywało różne korytarze i sale lekcyjne.

Wszędzie roило się od uczniów i nauczycieli, uciekających w panice.

– Sam, przerwij na chwilę. Coś jest nie tak z dźwiękiem – rzucił Ray.

– Słucham? – Oderwała smyczek od skrzypiec.

Ray zmarszczył czoło.

– Przez chwilę skrzypce brzmiały jak...

Spojrzeli sobie w oczy. Sam poczuła lód ściskający jej pierś. Teraz oboje to usłyszeli.

– ...wrzask.

Kapelusznik wyszedł na korytarz i patrzył na uczniów, którzy z krzykiem przebiegali obok. Jasnowłosa nastolatka z ładnym dekoltem zerknęła na niego, zobaczyła pistolet w jego rękę i jej twarz wykrzywiła się ze strachu. Zawróciła i pobiegła w drugą stronę. Dołączyli do niej inni. Ze strachu przed nim wszyscy uciekali byle dalej.

Uśmiechnął się. Ekstaza, która go ogarnęła, odkąd zdzielił pistoletem tę starą jedzę w głowę, narastała... dotychczas nie zaznał takiego uczucia. Nie był już bezradny. Teraz to on sprawował kontrolę.

Wycelował pistolet i pociągnął za spust.

Bum! Bum! Bum! Jego ręka podskakiwała przy każdym wystrzale. Histeryczne wrzaski, dziewczyny rozpierzchające się na prawo i lewo, jakby to mogło im pomóc, gdyby zechciał je załatwić. Bum! Bum!

Ktoś chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę. Ryknął wściekle, zadał cios napastnikowi i usłyszał chrzęst, gdy pięść trafiła w nos.

To był Gąsienica. Oszołomiony, zatoczył się do tyłu.

– Co ty wyrabiasz? – wybełkotał.

– To strzały ostrzegawcze, idioto! – rzucił Kapelusznik. – Strzelałem nad ich głowami!

– Mogłeś kogoś trafić!

– I kto to mówi?! To ty postrzeliłeś tego nauczyciela, gnojku!

– W obronie własnej! Chciał się na mnie rzucić!

– Tak? Jedno pewne, że nas wyrolowałeś tą swoją...

– Z ciebie jest kompletny psychol, zdajesz sobie sprawę? Po kiego uderzyłeś tę kobietę?

– Zamknij mordę! – syknął Kapelusznik, próbując coś usłyszeć przez zgiełk rozwrzeszczanych dzieciaków.

– Chciałem przekonać...

– Stul pysk!

Gąsienica zamilkł, cieknąca z nosa krew zalewała mu usta. Kapelusznik nadstawił uszu. Już? Nie, to niemożliwe.

A jednak. Poprzez harmider wokół nich usłyszał wycie policyjnych syren.

– Co jest, do cholery? – zapytał Ray; jego usta drżały.

Wszyscy to usłyszeli. Huk broni palnej, krzyki. Budzące strach, który w tym kraju dosłownie każdy uczeń chował w głębi serca. Sam stale o tym myślała i rozmawiała na ten temat z przyjaciółmi albo w klasie po każdej kolejnej tragicznej strzelaninie. Jak by się zachowała w takiej sytuacji? Jak się powinna zachować? Instrukcje stale się zmieniały. „Należy uciekać”. „Należy się ukryć”. „Powinnaś się zamknąć w sali i czekać na pomoc”. „Unikaj pułapek, z których nie można się wydostać”. Czy mogli wierzyć nauczycielom, że ich obronią? Czy policja zjawi się na czas?

Wolała, żeby te pytania pozostały bez odpowiedzi. Nie chciała, żeby liceum Krzysztofa Kolumba trafiło na tę samą listę, co znane wszystkim szkoły i uczelnie. Politechnika i Uniwersytet Stanowy Wirginii. Podstawówka Sandy Hook. Szkoła średnia w Santa Fe. W Columbine. I liceum Stoneman Douglas w Parkland.

Podeszła do drzwi.

– Samantha, zaczekaj! – rzucił Ray.

Podniosła rękę, żeby go uciszyć. Z sali muzycznej nie było drugiego wyjścia. A tu zostać nie mogli. Już od kilku lat instrukcje nakazywały uciekać. Jak najszybciej wydostać się z budynku.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

Ujrzała dwóch mężczyzn. Obaj byli uzbrojeni, jeden miał zakrwawioną twarz. Drugi, potężny facet z krótkimi włosami i wydatnymi ustami, odwrócił się i spojrzał na nią.

A potem uniósł pistolet.

ROZDZIAŁ 14

Gdy tylko Carver zjechał z Grand Central Parkway, zatrzeszczała jego krótkofalówka.

– Liceum Krzysztofa Kolumba, prawdopodobnie padły strzały. Padły strzały. – Głos dyspozytorki był spokojny i miarowy. Ale Carver wychwycił w nim napięcie.

I natychmiast usłyszał odpowiedź:

– Centrala, tu trzy-siedem-pięć, jestem w drodze.

Carver szybko sięgnął po mikrofon.

– Centrala, tu delta-pięć-zero-dziewięć, jestem w drodze.

Wcisnął przycisk uruchamiający sygnały świetlne i u dołu tylnej szyby rozbłysły znajome czerwone i niebieskie światła. Na chwilę włączył syrenę i pojazdy przed nim zjechały na bok na tyle, by mógł się między nimi przedostać.

– Z drogi, z drogi – burczał pod nosem, lawirując między samochodami i kurczowo zaciskając palce na kierownicy. Kiedy dojechał do czerwonych świateł, znów włączył syrenę. Spięty rozejrzał się szybko i widząc wolną drogę, śmignął przez skrzyżowanie; klaksony i pisk opon świadczyły, że chyba błędnie ocenił sytuację, w każdym razie skrzyżowanie miał już za sobą, droga była pusta, więc mógł wcisnąć gaz do dechy.

Z wyciem silnika pędził ulicą, teraz już nie wyłączając syreny. Znowu zatrzeszczała krótkofalówka – padły kolejne strzały, został postrzelony jakiś mężczyzna... Carver pomyślał o Abby i o Sam, ale szybko wyrzucił te myśli z głowy.

Gąsienica stał jak skamieniały, gdy Kapelusznik uniósł broń, celując w stojącą w drzwiach dziewczynę.

– Nie!

Trzasnęły zamykane drzwi. Kapelusznik odwrócił się do Gąsienicy i uśmiechnął się szyderczo. Gąsienica miał łzy w oczach, w nosie czuł pulsujący ból. Czyżby Kapelusznik mu go złamał?

– Musimy stąd zjeżdżać – wymamrotał.

– Za późno – odparł Kapelusznik. – Nie słyszysz tego?

Słyszał, oczywiście, że słyszał. Syreny były coraz głośniejsze, zbliżały się. Jakim cudem policja zjawiała się tak szybko? Minęły raptem dwie minuty.

– Odsuń się od tego! – Wrzaskliwy rozkaz z gabinetu sekretarki. Alma.

Gąsienica odwrócił się, chwiejnie wpadł do pokoju i omal nie pośliznął się w kałużę krwi. Był tam teraz ktoś inny, mężczyzna – stał jak skamieniały po drugiej stronie gabinetu. Sekretarka klęczała na podłodze obok odłączonego przez Kapelusznika telefonu i trzymała słuchawkę. Alma bezładnie wymachiwała pistoletem, celując to w mężczyznę, to w sekretarkę.

– Odłóż telefon – poleciła napiętym głosem. Była blada, w szeroko otwartych oczach czaił się strach, jej ręka dygotała.

Gąsienica zrobił krok w jej stronę i wycelował w mężczyznę. Zerknął na drzwi, przez które wszedł ten człowiek. Gabinet dyrektora.

– Ty. – Próbował zachować opanowany ton. Czuł smak krwi. Obficie krwawił z nosa. Otarł usta grzbietem dłoni. – Ani kroku.

Mężczyźnie opadła szczeka; błąd, przywarł do ściany, unosząc ręce.

Gąsienica zerknął na sekretarkę.

– Wstawaj! – polecił.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Z jej czoła płynęła krew, a w miejscu, w które uderzył ją Kapelusznik, pojawił się paskudny fioletowy siniak. Chyba go nie usłyszała.

– Wstawaj! – warknął ponownie, mierząc do niej z pistoletu.

Dźwignęła się z podłogi.

– Przejdź tam. – Wskazał na dyrektora szkoły. – Stań przy ścianie.

Sam nie wiedział, co robi, ale musiał zapanować nad sytuacją, zanim się zrobi naprawdę kiepsko. Nie mógł pozwolić, żeby ci ludzie kogoś wezwali. Nie mógł dopuścić do tego, żeby zdradzili, gdzie są, i podali ich rysopisy.

Alma oddychała ciężko i z trudem. Odezwała się takim głosem, jakby się miała rozpłakać.

– I co teraz zrobimy? – jęczała. – Co my teraz zrobimy?

Gąsienica nie miał na to odpowiedzi.

– Kapelusznik, chodź tu! – krzyknął.

Żadnej reakcji.

– Kapelusznik? – Wyjrzał na korytarz.

Ale Kapelusznik zniknął.

Jedną przecnicę od szkoły ulica całkiem się zakorkowała. Syrena auta Carvera wyła, więc samochody wokół niego próbowały zrobić mu miejsce, lecz nie miały gdzie skręcić. Wjechał na chodnik i zgasił silnik.

Z bagażnika wyjął kamizelkę kuloodporną, włożył ją i zapiął sprzączki. Z uwieczonych na ulicy pojazdów spoglądało na niego morze twarzy, zauważył nawet kilka wycelowanych w siebie telefonów komórkowych. Nie obchodziło go to.

Popędził ulicą, nie zwracając uwagi na ciężar kamizelki, łomotanie serca ani na to, że wdychane lodowate powietrze paliło mu gardło. Przed sobą dostrzegł migające światła radiowozu, który dotarł na miejsce przed nim.

Frontowymi drzwiami szkoły wybiegały tłumy dzieciaków; na twarzach uczniów malował się strach, ich krzyki niesły się na wietrze. Szlag by to trafił! Zmusił się, by biec szybciej, jego stopy śmigwały po chodniku. Zatrzeszczała krótkofalówka, to dyspozytorka prosiła o wsparcie.

Włączył mikrofon na ramieniu.

– Centrala, tu delta-pięć-zero-dziewięć, dotarłem na miejsce! – ryknął, przekrzykując wiatr i nie zważając na palący ból w płucach. – Trzeba oczyścić ulicę.

– Przyjęłam. Posiłki są w drodze.

Przy wejściu do szkoły zauważył funkcjonariusza i pobiegł w jego stronę. Policjant krzyczał na rozhisteryzowane dzieciaki, próbując zaprowadzić porządek. Część z nich go słuchała, część nie. Jakiś chłopak się potknął, przewrócił i omal nie został stratowany. Ktoś pomógł mu wstać. Carver zerknął na szkołę, na ciągnący się bez końca szereg wychodzących na ulicę okien. W niektórych dojrzał jakiś ruch.

– Śledczy Carver! – krzyknął do gliniarza, gdy znalazł się kilka metrów od niego. – Trzeba skłonić tych uczniów, żeby się odsunęli od okien. I zebrać ich tam. – Wskazał na szkolne boisko do koszykówki. Nie wychodziły na nie żadne okna.

Młody policjant z patrolu, niewiele starszy od wybiegających ze szkoły dzieciaków, skinął głową i odwrócił się do tłumu.

– Wszyscy mają przejść na boisko! – polecił, wskazując kierunek.

Kilku uczniów rozejrzało się bezradnie; po policzkach płynęły im łzy, w oczach malował się strach. Kilkunastu popędziło na boisko, reszta wybiegała jednak na chodnik, a nawet na jezdnię.

Carver złożył przy ustach dłoń na kształt tuby i zaczerpnął powietrza.

– Hej! Kadra nauczycielska do mnie! Musimy zebrać wszystkie dzieci na boisku do koszykówki! – krzyknął. – Do roboty!

Jego głos przebił się przez wycie syren i krzyki. W tłumie zapanowało zamieszanie, kilkoro dorosłych zaganiało najbliższych uczniów, a policjant z patrolu poganiał ich, gorączkowo wymachując rękami.

– Czy wiemy, co tam się dzieje w środku?! – krzyknął do policjanta.

Ten pokręcił głową.

– Padły strzały. Słyszałem, jak dzieciaki mówiły, że widziały kogoś z pistoletem.

Carver włączył mikrofon.

– Centrala, tu delta-pięć-zero-dziewięć, w szkole widziano strzelca.

– Przyjęłam. Adam dziesięć już jedzie.

Adam dziesięć był pojazdem JRK, czyli Jednostki Reagowania Kryzysowego, w tej okolicy. Ci policjanci byli przeszkoleni w radzeniu sobie w takich sytuacjach.

Carver spojrzał na policjanta.

– Dopilnuj, żeby wszyscy się zebrali na boisku. I spróbuj oczyścić ulicę. Ja pomogę maruderom.

Przez kilka sekund rozglądał się w tłumie. Miał nadzieję zobaczyć gładkie kasztanowe włosy Samantha, to by go uspokoiło. Ale uczniów były setki, więc nigdzie jej nie dostrzegł. Nie miał czasu szukać dłużej. Po raz ostatni rzuciwszy okiem na ciżbę potykających się, zapłakanych dzieciaków, zawrócił do wejścia do szkoły.

Abby siedziała przy biurku i gapiąc się na trzymane fotografie, próbowała przywołać wspomnienia.

– Abby.

Jej partner i przyjaciel Will Vereen stanął obok niej, rzucając dług cień na jej biurko. Zaskoczona pośpiesznie położyła zdjęcia na blacie obrazkami do dołu, a potem odsunęła krzesło obrotowe i okręciła się ku niemu.

– Siadaj, Will, zasłaniasz mi słońce – rzuciła, uśmiechając się do niego nerwowo.

Nie zrewanżował się uśmiechem, więc i jej uśmiech zamarł na ustach.

– Mamy alarm – powiedział. – Doniesienie o strzelaninie w liceum Krzysztofa Kolumba. JRK już tam jedzie.

Trwało to chwilę, zanim dotarło do niej znaczenie tych słów.

– To szkoła Sam – szepnęła.

Przytaknął ruchem głowy. Wiedział o tym, oczywiście, że wiedział. I dlatego przyszedł ją zawiadomić.

– Są ofiary? – Przełknęła ślinę. Mówiła z trudem. Nie mogła oddychać.

– Jeszcze nie mamy informacji.

Zapominając o wszystkim innym, zerwała się z krzesła i chwyciła leżące na biurku kluczyki. Wybrała numer do Sam i energicznie ruszyła do wyjścia; głośnie bicie jej serca przyśpieszało w ślad za coraz szybszymi krokami. Od razu odezwała się poczta głosowa.

– Sam, zadzwoń natychmiast, jak to odsłuchasz. – Rozłączyła się, już prawie biegła. Musiała dotrzeć do córki.

– Słyszysz coś? – szepnęła Fiona.

Sam pokręciła głową. Ściany sali muzycznej były obite materiałem oraz dźwiękochłonną pianką, żeby wygłuszyć pomieszczenie. W normalnej sytuacji Sam i jej przyjaciele narzekaliby na fatalne wyłumienie, które sprawiało wrażenie, że jeszcze bardziej wzmacnia dźwięki z zewnątrz. Ale teraz obite ściany wchłaniały wszystkie odgłosy, tak że nic nie słyszeli.

Sam przyłożyła ucho do drzwi. Może tu coś usłyszy? Cokolwiek. Może syrenę policyjną w oddali? Czy to był krzyk?

Kiedy ten mężczyzna wycelował w nią z pistoletu, zamarła w bezruchu.

A potem cofnęła się i zatrzasnęła drzwi. Była pewna, że przyjdzie po nich. Ale nie przyszedł.

Jeszcze nie.

Mógł właśnie stać po drugiej stronie drzwi. Przyciskać do nich lufę broni. O kilka centymetrów od jej głowy.

– Moim zdaniem nikogo tam nie ma – szepnęła.

Byli uwięzieni, bez możliwości ucieczki. Ale chwilowo ta sala zapewniała im też ochronę. Zablokowali drzwi stołem i kilkoma krzesłami. A sami we troje skulili się za tym stosem mebli.

Co dalej? Co dalej? Przypomniała sobie ćwiczenia ALICE. Nie ma okien, nie ma drogi ucieczki. Powinni się ukryć i poszukać czegoś, czym mogliby obrzucić strzelców albo ich uderzyć. Co by się nadało? Gitara Raya? Talerze od perkusji? Nic z tych rzeczy im się nie przyda. Kiedy ćwiczyli postępowanie w razie strzelaniny, zazwyczaj przebywali w sali lekcyjnej. A tam można było chwycić różne przedmioty. Niektórzy nauczyciele stawiali za drzwiami do klasy kije bejsbolowe, tak na wszelki wypadek. Ale w sali muzycznej nigdy nie ćwiczyli tych rzeczy. I nie mieli nauczyciela, który podpowiedziałyby im, co mają robić.

Co właściwie oznacza skrót ALICE³? Alarmuj, zabarykaduj się... reszty nie pamiętała. Kotłowało jej się w głowie, nie mogła skupić myśli.

– Powinniśmy stąd uciekać – powiedziała Fiona.

– Nie ma mowy – zaprotestował szeptem Ray. – Czekamy. Nie uda im się tutaj dostać.

– Gdyby naprawdę chcieli, to już by się tu wdarli – odparła Sam. Sprawdziła telefon. Brak sygnału. W tej sali nigdy nie było zasięgu. Mimo to spróbowała zadzwonić do mamy, ale bezskutecznie.

– Trzeba poczekać na gliniarzy – syknął Ray.

Kusząca propozycja, przycupnąć za drzwiami, za tą mizerną barykadą i czekać na pomoc. Ale na zewnątrz był ten mężczyzna. Z tym swoim dziwnym, przyprawiającym o ciarki uśmiechem i śmiercionośną bronią. On wiedział, że są w sali muzycznej.

Wkrótce będą musieli stąd wyjść.

– Tu policja! Wszyscy wychodzić na zewnątrz! Biegnijcie na boisko do koszykówki! – krzyknął Carver. Jego głos odbił się echem w korytarzu, czemu towarzyszyły przerażone wrzaski i płacz.

Minął go kuśtykający młody chłopak w przekrzywionych okularach. Za nim szły dwie dziewczyny. Jedna z nich zatrzymała się i wskazała palcem za siebie.

– Widziałam go tam – wykrztusiła. – Miał pistolet.

– W porządku. Idźcie teraz na boisko – odparł Carver. Wyciągnął swoją broń i ruszył korytarzem.

W pobliżu niego ktoś szlochał. Carver z bijącym sercem namierzył ten odgłos. Drzwi do sali lekcyjnej były uchylone. Pchnął je i znieruchomiał.

Za stołem cował się skulony najwyżej czternastoletni chłopiec. Na widok broni w ręku Carvera wytrzeszczył oczy.

– Nie, nie! – krzyknął, obronnym gestem zakrywając twarz.

– Jestem policjantem – powiedział Carver. – Musisz stąd wyjść.

Podszedł do chłopca i pomógł mu wstać. Dzieciak miał mokre portki.

– Jak ci na imię? – spytał Carver.

– M... Micah.

– Posłuchaj, Micah, wszyscy zebrali się na boisku do koszykówki. Chodźmy.

Wyprowadził chłopaka z klasy i eskortował go do drzwi frontowych. Po drodze zauważył jakiś ruch w korytarzu. Okręcił się na pięcie, osłaniając chłopca własnym ciałem.

Podjechała do nich dziewczyna na wózku inwalidzkim. Carver podszedł do niej szybko. Krwawiła z ust.

– Co ci się stało?

– Zrzućli mnie z wózka – wyjaśniła, krzywiąc się.

– Pomogę ci. – Popchnął ją w kierunku wyjścia. Musiał ominąć czyjś porzucony plecak. – Dalej już dasz radę sama?

– Tak. – Złapała za koła i skierowała się do drzwi wyjściowych.

Z ulicy dobiegał ogłuszający hałas. Krzyki, syreny policyjne, klaksony. W porównaniu z tym we wnętrzu szkoły panowała niemal upiorna cisza.

– Widziałas, czy ktoś tam jeszcze został? – zapytał Carver.

– Nie wiem. Wszyscy biegli, a ja spadłam z wózka. Uderzyłam się w głowę. Słyszałam krzyki trenera, próbował nam pomóc wydostać się na dwór. Nie wiem,

czy nadal tam jest. – Jej usta drżały.

– Nic ci nie będzie. Tylko dołącz do pozostałych na boisku.

Wyjechała na zewnątrz. Carver odwrócił się i nasłuchiwał. Kolejne kroki. Ruszył w kierunku tego dźwięku, rozglądając się.

Zza rogu korytarza wyszedł mężczyzna. Kawał chłopa. Ostrzyżony na jeża. W ręku ścisnął jakiś przedmiot.

– Stój! – krzyknął Carver, celując w niego.

Mężczyzna natychmiast odskoczył w bok. Carver pociągnął za spust, ale o ułamek sekundy za późno – zawahał się, myśląc, że może to nauczyciel.

Mężczyzna zniknął za rogiem. Carver pognął za nim, z wycelowanym przed siebie pistoletem.

Korytarz zatrzęsł się od głośnego huk. Carver przywarł do ściany, wycelował i odpowiedział ogniem. Huk wystrzałów w ograniczonej przestrzeni był ogłuszający. Dzwoniło mu w uszach, nie spuszczał wzroku z załomu ściany, wypatrując trzymającej pistolet ręki, ale ta już znikła.

Gąsienica z przerażeniem oglądał nagranie z kamer monitoringu, patrzył, jak Kapelusznik usiłuje wydostać się na zewnątrz, zostawiając jego i Almę w budynku. Nagle na obrazie z innej kamery pojawił się nieznajomy, który pchał dziewczynę na wózku inwalidzkim.

A potem strzelanina. Usłyszał strzały, serię huków, i obserwował to na ekranie. W małym okienku pojawił się Kapelusznik, a drugiego mężczyznę, prawdopodobnie policjanta, widać było w dwóch innych okienkach.

Teraz Kapelusznik biegł z powrotem, wracał po własnych śladach. Znikł z obrazu z jednej kamery i pojawił się na innym, z wykrzywioną z wściekłości twarzą.

Policjant wciąż stał, celując z pistoletu w róg korytarza. Powoli ruszył do przodu, pewnie trzymając broń w nieruchomej dłoni.

Kapelusznik kierował policję do nich.

– Musimy stąd wyjść – zwrócił się Gąsienica do Almy.

– Nie możemy. – Jej głos brzmiał jak pękające szkło, każda sylaba się rwała. Stała przy oknie, wyglądając na zewnątrz. – Tam są już dwa radiowozy.

– Ty! – warknął Gąsienica do dyrektora. – Z tego budynku jest tylne wyjście, dobrze mówię? Widziałem je wcześniej. Jak się tam dostać?

– Jest... Musicie zejść na parter, potem przez salę gimnastyczną... Ja... Skręćcie w lewo... – wyjąkał dyrektor.

– Nie ma mowy, tylne wyjście na pewno też obstawili – zawołała Alma. – Jesteśmy w pułapce!

Gąsienica spojrział na nią, a potem na leżącego na podłodze mężczyznę, zakrwawionego i bladego.

– Ten człowiek potrzebuje pomocy – powiedziała Alma drżącym głosem. – Trzeba go zawieźć do szpitala. Powiemy im, po co tu przyszliśmy. I że nigdy nie chcieliśmy, żeby do tego doszło.

Gąsienica skinął głową. Miała rację. Powinni się poddać. Kapelusznik i ta jego strzelanina... Co mu strzeliło do głowy?

Ale policjanci rozumieją. Już on im to wyjaśni. Opowie o porwanych dzieciach. I o... o...

Przecież policjanci są na usługach Kręgu! Jeżeli oddadzą się w ich ręce, to tak, jakby już nie żyli. Wiedział o tym. Alma też. Nie, musi być inny sposób.

Zerknął na monitor. Policjant skręcił za róg. Kapelusznika nigdzie nie było widać. Może znalazł sobie jakąś kryjówkę. A może udało mu się wydostać.

– Jak się włącza to coś do ogłaszania komunikatów? – spytał dyrektora.

– Co takiego?

– Wie pan! Interkom! To, przez co ogłaszacie komunikaty!

– Radiowęzeł?

– Tak! Pieprzony radiowęzeł! Jak się go obsługuje? – Drżącą ręką Gąsienica wycelował w leżącego.

Dyrektor przełknął ślinę.

– Błagam... Pokażę panu.

Strzelec zniknął bez śladu. Carver się zawahał. Musiał wracać, JRK była już w drodze, oni sobie z tym poradzą o wiele lepiej.

Ale dziewczyna na wózku inwalidzkim i ten chłopak, Micah, zapewne nie byli ostatnimi dziećmi, które tu zostały. Zrobił kolejny krok, i jeszcze jeden. Czuł się jak kaczką na strzelnicy, miał świadomość, że strzelec może się czaić za każdymi drzwiami. A pytanie, czy jest tylko jeden? Ten policjant na komendzie mówił o grupie ludzi. Może więc napastników jest więcej. Może...

Głośny elektryczny pisk.

– Uwaga, uwaga. – W budynku odbił się echem nerwowo, rozedrgany głos. – Mamy tu dyrektora. I sekretarkę. Wycofaj się albo ich zastrzelimy.

Carver zacisnął zęby. My. A zatem więcej niż jeden. Szedł dalej.

– Ja nie żartuję! Wynoś się! Powiedz mu. Każ mu się wynosić!

A potem inny głos, przerażony.

– Tak, proszę wyjść. Oni są uzbrojeni.

Każ mu się wynosić... Mieli na niego podgląd. Carver się rozejrzał. Zauważył kamerę monitoringową. Szlag!

Skoro oglądają nagranie z monitoringu, to znaczy, że znajdują się w strefie biurowej.

Jeszcze raz zerknął na kamerę, w beznamiętnie gapiący się na niego obiektyw. W końcu ruszył z powrotem, do wyjścia.

ROZDZIAŁ 15

Abby za wszelką cenę starała się oddzielać psychicznym murem pracę od życia prywatnego. Nie było to łatwe, większość policjantów prędzej czy później przynosiła robotę do domu. To dlatego wskaźnik rozwodów w policji był tak wysoki. Ona zazwyczaj radziła sobie z tym całkiem nieźle.

Teraz jednak praca zderzyła się z jej życiem prywatnym i cienki jak papier mur runął. Było to tak brutalne i wstrząsające, że zaparło jej dech w piersi.

Szkoła Samantha. Miejsce, które oglądała dziesiątki razy, podwożąc córkę w drodze do pracy. Budynek, który postrzegała jako godny zaufania element codziennego życia. Nigdy się nad nim nie zastanawiała, co tylko dowodziło tego, że w jej przekonaniu zapewniał bezpieczeństwo.

Teraz jednak o bezpieczeństwie nie było mowy. Dokoła wyły syreny, gdzieś nad głową krążył śmigłowiec, przy krawężniku stała furgonetka JRK. Abby machnęła identyfikatorem i policjant, który blokował jezdnię i kierował samochody na objazd, przepuścił ją.

Od lat zajmowała się opanowywaniem sytuacji kryzysowych, była to część jej codziennego życia. Ale nie tutaj. Wszyscy ci funkcjonariusze JRK, rozbiegający się wokół szkoły w kamizelkach kuloodpornych i hełmach... Ich obecność nagle wydała jej się niewłaściwa, nie na miejscu, złowróżbna.

Po raz setny sprawdziła telefon. Wcześniej próbowała dzwonić do Sam i wysłała jej esemesa „Czy wszystko w porządku?”, ale wiadomość pozostawała nieodczytana. Schowała telefon, zaparkowała, wysiadła i rozejrzała się.

Znajoma twarz. Carver. Co on tu robi? Szkoła nie mieściła się na terenie podlegającym pod jego komisariat.

Rozmawiał z panią Pratchett, zastępczynią dyrektora – chudą kobietą w szarym zakiecie i długiej brązowej spódnicy. Abby ruszyła w ich kierunku, oddychając głęboko i próbując się opanować.

– Carver – powiedziała. Głos miała piskliwy, słysząc było w nim strach. – Co tu się dzieje?

Odwrócił się do niej. Kilka lat temu przybrany ojciec Abby, Hank, dostał ataku serca. Abby stała z mamą na SOR-ze i czekały. Gdy w końcu zjawił się lekarz i wywołał ich nazwiska, Abby rozpaczliwie próbowała odczytać wyraz jego

twarży. Czy świadczył, że ma dla nich dobre wieści, czy złe. Przez te kilka sekund, zanim lekarz powiadomił je, że Hank z tego wyjdzie, zarejestrowała każdą zmianę jego miny, usiłując się domyślić, co oznacza. Nie uśmiechał się – niedobrze. Marszczył czoło – ale może to dlatego, że był zapracowany. Zaciskał usta... czyżby złe wieści? A może w pracy zawsze przybierał taką minę? Oczy miał zmęczone, ale prawdopodobnie właśnie kończył zmianę.

Teraz znowu poczuła taką potrzebę – odczytać wyraz twarzy Carvera, domyślić się, czy zaraz usłyszy od niego coś okropnego. Jego ciemnozielone oczy zdradzały niepokój, ale bez strachu. Kasztanowe włosy miał potargane, lecz pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Abby – odezwał się. – Nadal próbujemy to poskładać w całość. Doszło do strzelaniny, ale z tego, co wiemy, strzelający nie byli ze szkoły.

– Są ofiary? – Pragnęła usłyszeć, że nie ma. Pragnęła, żeby to już się skończyło.

– Jeszcze nie wiemy. Próbujemy się upewnić, że wszystkie dzieci są bezpieczne. Właśnie omawiałem to z panią Pratchett.

– Zebraliśmy dzieci na boisku do koszykówki – powiedziała wicedyrektorka. – I sprawdzamy, czy są wszyscy, których odhaczono na listach obecności. Nie możemy się doliczyć tylko czworga uczniów.

– Których? – wydusiła Abby przez zaciśnięte gardło.

– Franka Howarda, Barry’ego Johnsa, Lisbeth Reynolds i Ruby Allen.

Abby odetchnęła głęboko, ogarnęła ją ulga. Sam była bezpieczna. Już się odwróciła, by ruszyć na boisko do koszykówki, znaleźć córkę i ją uściskać jak nigdy dotąd, gdy naraz Carver oświadczył:

– Napastnicy wzięli zakładników.

Abby zamarła i się odwróciła.

– Te brakujące dzieci?

Pokręcił głową.

– Nic nam o tym nie wiadomo. Pewne jest tylko to, że mają dyrektora i sekretarkę. Grożą, że ich zastrzelą, jeśli się nie wycofamy.

– Grozili, że zastrzelą zakładników? Kto z nimi rozmawiał?

– Nikt. Byłem w budynku. Ogłosili to przez radiowęzeł.

– Czyli że są w gabinecie dyrektora, zgadza się? – powiedziała Abby, zwracając się do wicedyrektorki.

– Albo w moim – odparła zastępczyni. – Mogli też skorzystać z mikrofonu sekretarki, ona też ma swój.

– Mówili coś jeszcze?

– Nie – odparł Carver. – Dali do mikrofonu dyrektora, który powtarzał tylko to, co mu kazali. Poleciał mi, żebym się wycofał.

Abby była ciekawa każdego słowa i tego, jak brzmiał głos dyrektora. Ale z tym można było poczekać.

– Wiesz, kim są ci ludzie?

– Widziałem jednego z nich. Kawał chłopca, fryzura na jeża, w dżinsach i płaszczu. Strzelił do mnie, odpowiedziałem ogniem, ale zwiął. Rozmawiałem z kilkorgiem uczniów, według nich zamachowców jest dwóch albo trzech, nie jestem jeszcze pewny. Ale tuż przed strzelaniną FBI zawiadomiło centralę, że na forum Obserwatorów w internecie toczy się ożywiona dyskusja na temat tej szkoły.

– Forum Obserwatorów? – Abby zmarszczyła czoło. Słyszała piąte przez dziesiąte o teoriach spiskowych, które rozsiewają Obserwatorzy. Od jakiegoś czasu szybko zyskiwali popularność; kilka tygodni temu wyczytała w prasie, że mieli już ponad milion „stronników”, jak sami pisali. Rzecz jasna, żeby zasłużyć na miano „stronnika”, wystarczyło wrzucić ich memy na Facebooka albo Twittera. Garstka celebrytów nagłośniła ich niewydarzone teorie, a pewien kongresman zaszokował obywateli stwierdzeniem, że popiera te działania.

– FBI monitoruje ich czaty? – zapytała.

– Owszem – potwierdził Carver. – Kilka miesięcy temu świr z Oklahomy groził wysadzeniem lokalnej biblioteki. Okazało się, że zrobił to pod wpływem jakiejś teorii Obserwatorów. Biuro uznało, że stwarzają groźbę wewnętrznego terroryzmu.

– No dobrze – mruknęła Abby, zerkając na furgonetkę JRK. – Teraz idę pogadać z...

Zadzwoił telefon wicedyrektorki.

– Przepraszam – powiedziała. – Rodzice wydzwanają... – Jej głos ucichł, gdy spojrzała na ekran i wytrzeszczyła oczy.

– Co jest? – rzuciła Abby.

– To z gabinetu dyrektora!

– Czeka! – krzyknęła Abby, sięgając po telefon, ale wicedyrektorka zdążyła już odebrać.

– Halo? Henry? – rzuciła bez tchu. Nagle jej twarz stężała w grymasie strachu. Przez kilka sekund słuchała, a potem szepnęła: – Dobrze.

Podziała telefon Carverowi.

– To jeden z nich – powiedziała drżącym głosem. – Chce natychmiast rozmawiać z policją.

Carver porozumiał się wzrokiem z Abby. Wahała się przez ułamek sekundy, po czym wzięła telefon z ręki kobiety.

– Mówi Abby – odezwała się cicho, spokojnie i powoli. Tak jak ktoś, kto panuje nad sytuacją. – Z kim rozmawiam?

ROZDZIAŁ 16

Gąsienica siedział ze słuchawką telefonu przy uchu. Nie mógł korzystać z własnej komórki, jeśli nie chciał ujawnić policji oraz FBI nie tylko swojej tożsamości, ale i numeru ubezpieczenia społecznego, adresu domowego czy ulubionego gatunku cholernej owsianki. Nie odważył się jednak zająć miejsca przy biurku dyrektora i pokazać się snajperom oraz krążącym nad nimi śmigłowcom. Przysiadł przy ścianie pod oknem, niewidoczny z zewnątrz; kable telefoniczne były napięte do granic, a aparat kołysał się kilkanaście centymetrów nad podłogą.

– Mówi Abby – rozległ się kobiecy głos. – Z kim rozmawiam?

– Mówiłem, że chcę rozmawiać z policją! – warknął do słuchawki. Przez otwarte drzwi zerknął na siedzących obok siebie zakładników. Alma celowała do nich z pistoletu. Ktoś jęknął; Gąsienica nie był pewien, czy to któryś z zakładników, czy Alma.

– Ja jestem z policji. – Sądząc z głosu, była odprężona, spokojna. Czy ta baba w ogóle rozumie, co tu się dzieje? – Jak panu na imię?

– Przekaż tym glinom na zewnątrz, że jeśli ktokolwiek, powtarzam, ktokolwiek wejdzie do budynku, zaczniemy zabijać zakładników. Zrozumiano? – Zrobi to. Naprawdę to robi. Oni prawdopodobnie i tak pracują dla Kręgu. Handlują dziećmi. Miał moralne prawo grozić im pozbawieniem życia.

– Tak, zrozumiałam. – Nadal mówiła pewnie, bez śladu wahania. – Nikt nie wejdzie do szkoły. Nie chcemy, żeby ktoś ucierpiał.

– I dobrze. – Dyndający telefon obciążał mu nadgarstek, zdrętwiała mu ręka. – Jesteśmy uzbrojeni, mamy zakładników, widzimy was na kamerach monitoringu, więc trzymajcie się z dala.

– Jasne. Ale mam wrażenie, że tam u was sytuacja jest bardzo napięta, a powiem panu, że tutaj też naprawdę się martwimy. Wszystkim nam zależy na rozwiązaniu sprawy w taki sposób, żeby nikomu nie stała się krzywda.

– Jeśli tak, to trzymajcie się z daleka. I nie kombinujcie, na przykład że odetniecie nam elektryczność albo linie telefoniczne. Wiemy, jak działa policja. Dotarło? Nie pogrywajcie z nami.

– Oczywiście. Może mi się pan przedstawić? Chciałabym wiedzieć, jak mam się do pana zwracać.

– Nie musisz, eee... – urwał. Kątem oka dostrzegł, że dyrektor poruszył ręką.
– Nie ruszaj się! – krzyknęła Alma. – Bo cię kropnę!
– Hej, ty tam, nie waź się drgnąć! – zawołał Gąsienica i wycelował w zakładników.

Dyrektor wzdrygnął się i zamarł w bezruchu. Kobieta po drugiej stronie coś powiedziała, ale nie dosłyszał.

– Co? Co mówiłaś?

Odpowiedziała mu; słyszał poszczególne sylaby, ale nie potrafił połączyć ich w słowa. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Nos pulsował mu z bólu, w ustach czuł smak krwi, świat wirował mu przed oczami. Gdzie się podział Kapelusznik, do ciężkiej cholery? Tylko patrzeć, jak policja przypuści szturm na budynek. Wrzucą do środka granat hukowo-błyskowy, a potem się wedrą przez okna. Setki razy widział to na filmach. Jeśli tak zrobią, zastrzeli dyrektora. Zastrzeli sekretarkę. Załatwi tyłu tych sukinsynów, ilu tylko zdoła.

Kobieta – Abby – po raz trzeci powtórzyła swoje słowa, całkowicie opanowanym głosem.

– Odnoszę wrażenie, że macie tam jakiś problem. Czy nikomu nic się nie stało? Jest pan cały i zdrowy?

– Ja... eee. Tak, jestem cały i zdrowy. – Na podłogę skapnęła kropla krwi. Szlag! Starł krew z ust i delikatnie dotknął nosa. Zabolało tak, że do oczu napłynęły mu łzy.

– Czy ktoś inny jest tam ranny? Ktoś z pańskich przyjaciół?

– Słuchaj no, nikomu nic się nie stało, więc każ gliniarzom trzymać się z daleka.

– A Henry i Thelma? Co z nimi?

– Z kim?

– Henry jest dyrektorem, a Thelma sekretarką. Są teraz z tobą, prawda?

Zerknął na drzwi. Thelma szlochała, na czole miała wielki krwawiący guz. Za nią dostrzegł stopy faceta, którego postrzelił. Ramireza.

– Nic im się nie stało. – Przełknął ślinę, ścisnęło go w gardle. – Są tutaj, więc nie próbujcie żadnych sztuczek.

– Mówisz, że Henry i Thelma są teraz z tobą i że policja i pozostali mają się trzymać z daleka, bo nie chcesz, żeby komuś się stała krzywda?

– Owszem, zgadza się! – potwierdził ochryple. Uświadomił sobie, że krzyczy. Zniżył głos i odchrząknął. – Dokładnie tak.

– W porządku, przekażę wszystko dowódcy, ale ludzie tu się naprawdę martwią. Jak mam ich przekonać, że Henry i Thelma są cali?

Zacisnął zęby.

– Jeden gliniarz słyszał wcześniej, jak dyro gadał przez radiowęzeł.

– Któryś z policjantów słyszał, jak Henry mówił przez radiowęzeł?
– Tak! Pozwoliłem Henry’emu, e... dyrektorowi, żeby przekazał mu coś w ten sposób.

– Miło mi to słyszeć. Jak znajdę tego policjanta?

– Słuchaj, weź kogoś wyślij, żeby... – Zacisnął palce na słuchawce, ścisnął ją z całej siły. Każda mijająca sekunda wydawała mu się wiecznością. Ale nie mógł dopuścić do szturmu. – Po prostu weź ich zapytaj, jasne?

– Jasne, tylko że trochę to potrwa i nie wiem, czy uda mi się go znaleźć. A chcę móc zapewnić dowódcę, że Henry i Thelma są cali i zdrowi.

Gąsienicy z irytacji oczy zaszczy łzami. Zamrugnął. Do tego ten pulsujący ból nosa...

– Nic im nie jest. Możesz mi wierzyć na słowo.

– Wierzę panu. Z pańskich słów przebija szczerłość. Ale dowódca mnie spyta, skąd wiem, że nic im się nie stało, i nie kupi tego, że uwierzyłam panu na słowo.

Mówiła prawdę. Dowódca oddziału policji pewnie by wolał usłyszeć, że zakładnicy nie żyją. Że mogą się wedrzeć do szkoły i posprzątać ten bajzel.

– Wiesz co? Zaczekaj. – Ruchem ręki przywołał dyrektora. – Chodź tu. Ale już! Rozbiegane oczy dyrektora popatrywały to na Gąsienicę, to na Almę.

– Rób, co mówi – powiedziała Alma. – Tylko powoli.

Gąsienica wycelował w dyrektora. Ten wstał z podłogi i podszedł, powłócząc nogami i ani na chwilę nie spuszczać wzroku z pistoletu.

– Siadaj – polecił Gąsienica. – Nie za blisko. – Serce waliło mu jak młotem. A jeśli dyrektor spróbuje mu wyrwać pistolet? Jakby co, to go kropnie.

Jednak dyrektor po prostu usiadł, ponad metr od niego.

– Trzymaj – rzekł Gąsienica, podając mu słuchawkę. – Powiedz tej glinie, że nikomu nic się nie stało.

Dyrektor wziął od Gąsienicy słuchawkę i przycisnął ją do ucha. Kabel nie sięgał aż tak daleko, więc musiał się nachylić.

– Halo? Tu Henry Bell. Nic mi nie jest.

Zamilkł, słuchał, a w końcu powiedział:

– Thelma dostała w głowę...

Gąsienica groźnie uniósł broń. Dyrektor wytrzeszczył oczy.

– I, eee... jest tu też Carlos Ramirez...

Gąsienica wyrwał mu słuchawkę.

– Nic im się nie stało. Dotarło? Więc niech nikt się tu nie zbliża.

– Doceniam, że pozwolił mi pan z nim porozmawiać. – W głosie Abby było słychać wdzięczność. – Mam wrażenie, że chce pan to załatwić tak jak trzeba.

– Jasne. – Oddech Gąsienicy nieco się uspokoił. – Każ wszystkim trzymać się od nas z daleka. Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. I niech zabiorą stąd ten

helikopter.

– Nikt się do was nie zbliży. I odeślę helikopter, ale to może chwilę potrwać, bo moim zdaniem to nie jest śmigłowiec policyjny. Myślę, że oni są z miejscowej telewizji informacyjnej.

– Nieważne, po prostu ich stąd zabierz.

– Przekażę im – obiecała Abby. – A co im mam powiedzieć, że kto kazał mi to zrobić?

– Rozłączam się. – Od trzymania wiszącego telefonu ręka mu drżała z wysiłku.

– Przekaż im wszystko.

Powiedziała coś jeszcze, ale opuścił rękę ze słuchawką. Potem przesunął się do aparatu telefonicznego i przerwał połączenie.

ROZDZIAŁ 17

– Przez ciebie nas zabiją.

Sam puściła przerażony szept Raya mimo uszu. Chwyliła z jednej strony za biurko, a Fiona z drugiej.

– Nie możemy go przesuwac po podłodze, bo narobimy hałasu – wyjaśniła cicho koleżance.

Fiona ponuro kiwnęła głową. Podniosły biurko i przestawiły je na bok, z dala od drzwi. Drzwi lekko drgnęły, więc Sam wystraszyła się, że człowiek z pistoletem cały czas stał po drugiej stronie, a teraz tu wpadnie. Jednak drzwi pozostały zamknięte.

Znów przyłożyła do nich ucho, lecz nic nie usłyszała. Powolutku nacisnęła klamkę, uchyliła drzwi o włos i wyjrzała.

Korytarz był pusty.

Przecisnęła się na zewnątrz, wstrzymała dech i rozglądając się nerwowo na boki, wypatrywała jakiegoś ruchu. Słyszała wycie syren w oddali, trąbiące klaksony, warkot lecącego w pobliżu śmigłowca, ale wszystko było stłumione, dalekie. Zrobiła kilka kroków, krzywiąc się, bo nawet najlżejsze stawianie stóp odbijało się echem w pustym korytarzu. Słyszac za plecami ciężkie sapanie przyjaciół, zdała sobie sprawę, że sama wciąż wstrzymuje dech. Odetchnęła więc długo, powoli.

Pokój muzyczny znajdował się na najwyższym piętrze szkoły. By dotrzeć do wyjścia, musieliby zejść schodami dwie kondygnacje.

Poszła przodem. Po drodze nie odzywali się, starając się zachować ciszę. Kiedy zbliżyli się do gabinetu sekretarki, Sam usłyszała dziwny dźwięk.

Brzmiało to jak płacz.

Drzwi były otwarte, więc zajrzała do środka.

W pokoju stała jakaś kobieta, tyłem do wejścia. Sam poczuła ulgę na widok kogoś dorosłego, kogoś ze szkoły, i już się miała odezwać. Ale słowa zamarły jej na ustach.

Kobieta celowała z pistoletu. Sam przesunęła się nieco, by móc obejrzeć resztę pomieszczenia.

Pan Bell i pani Nelson siedzieli obok siebie, oparci o ścianę. Twarz pani Nelson była umazana krwią. A naprzeciwko nich ktoś leżał na podłodze... pan Ramirez! Skulony, nieruchomy. W kałuży krwi.

Sam nigdy nie widziała takiej ilości krwi. Zakręciło jej się w głowie. Boże, zaraz zemdleje! Oparła się o ścianę, oddychając cicho i z całej siły przygryzając wargę. Musieli iść dalej, ale jej stopy jakby wrosły w podłogę. Nie była w stanie się ruszyć. Nie mogła oderwać wzroku.

W jej polu widzenia pojawił się jakiś mężczyzna, przystanął przy oknie i jedną ręką zasunął zasłonę; w drugiej ścisnął pistolet. Widziała go wcześniej, to był ten człowiek z zakrwawioną twarzą. Brodę miał tak poplamioną krwią, że wyglądała makabrycznie, wręcz upiornie.

Pan Nelson zauważył Sam i wytrzeszczył oczy. Jęknęła cichutko.

Kobieta z bronią w ręku się odwróciła.

A Sam pognała korytarzem.

– Hej!

Okrzyk sprawił, że Gąsienica okręcił się na pięcie, uniósł pistolet i wycelował w zakładników. Alma, nieruchoma jak kamień, z rozdziawionymi ustami gapiła się na drzwi.

– Co jest grane? – zapytał Gąsienica. – Widziałas coś?

– Tam ktoś był!

– Może Kapelusznik?

– Nie... Ja...

Gąsienica dwoma susami dopadł ekranu monitoringu i rzucił okiem na maleńkie obrazy z kamer, wypatrując jakiegoś ruchu. Jest! Korytarzem biegła trójka dzieciaków. Niczego więcej już nie zauważył.

– To tylko kilkoro uczniów – powiedział Almie, nie odrywając oczu od ekranu.

– Myślałam... myślałam, że to... Przez chwilę zdawało mi się, że...

Wiedział, co jej się zdawało. W jego myślach bez przerwy kotłowały się te same obrazy. Mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w karabiny szturmowe, wdzierający się na korytarz. Wrzucany do pokoju granat błyskawiczny. Nagły rozbłysk światła, a potem pędzące na nich zamazane postacie, krzyczące, że ich pozabijają.

– To tylko dzieciaki – powiedział, by także sobie dodać otuchy. – Cały czas musimy obserwować obraz z tych kamer.

Dobrze wiedział, że to niemożliwe. Musieli śledzić zapis z monitoringu, ale także obserwować zakładników, gadać z gliniarzami, przekazać wiadomość innym Obserwatorom, zasunąć zasłony i zabarykadować okna przed atakiem snajperów...

Serce mu waliło, gdy obserwował biegnące dzieciaki. Kierowały się do wyjścia. Uciekały z tego piekła. Szkoda, że nie może do nich dołączyć.

Na jednym z okienek pojawiła się inna postać.

Kapelusznik.

Gąsienica patrzył, jak dzieci wędrują po szkole, znikają z jednego okienka i pojawiają się na innym. A w jeszcze innym miejscu Kapelusznik, zwrócony plecami do kamery, szedł korytarzem, rozglądając się na prawo i lewo.

I nagle wszyscy pojawili się na tym samym ekranie.

Sam była już kilka metrów od drzwi frontowych, gdy naraz wyszedł zza rogu korytarza, odcinając im drogę do wyjścia. Potknęła się i raptownie stanęła w miejscu, a wtedy odwrócił się i spojrzał na nich beznamiętnie. Na jego niebieskiej koszuli widniały plamy potu. Na wysuniętej dolnej wardze błyszczała ślina. Przeszył Sam świdrującym spojrzeniem ciemnych oczu.

W ręku miał pistolet.

Uniósł broń i przez ułamek sekundy Sam zagłębiała w głąb lufy.

Zawróciła i popędziła tą samą drogą, którą tu dotarli. Obok niej biegli Ray i Fiona. Podczas ćwiczeń na wypadek strzelaniny w szkole instruktorzy kazali im biegać zygzakiem, żeby trudniej było w nich trafić. Ale teraz, gdy słyszała za sobą jego kroki, pragnęła tylko uciec stamtąd jak najszybciej, więc lawirowanie wydało jej się zwyczajnie głupie.

Sala gimnastyczna! Obok niej były inne drzwi prowadzące na dwór. Pędziła co sił w nogach, korytarz rozmazywał jej się przed oczami. Zerknęła szybko za siebie – nadal ich ścigał, czerwony na twarzy, ale zwiększali dystans. Nie strzelał do nich. Próbował ich złapać.

– Sala gimnastyczna! – rzuciła do przyjaciół.

Fiona, z przerażeniem na twarzy, powoli zostawała z tyłu. Ray zaciskał zęby, słyhać był jego świszczący oddech. Sam skreśliła w lewo, a przyjaciele pobiegli za nią.

Tam zaś czekała sala gimnastyczna i drzwi na dwór. Były zamknięte, ale w dzień przeważnie nie ryglowano ich na klucz. Na ich widok Sam poczuła zastrzyk adrenaliny, już prawie się udało. Fiona szlochała, więc Sam poganiała ją, by przyśpieszyła i nie zostawała w tyle. Byli od niego szybsi, za chwilę będą na zewnątrz. Syreny stawały się coraz głośniejsze, podwójne drzwi prawie nie tłumiliły ich wycia.

Wyrznęła w drzwi, przekreśliła klamkę, napała na nie. Zagrzechotały, ale nie ustąpiły.

Sam pchnęła je jeszcze mocniej, krzycząc w duchu, żeby się wreszcie otworzyły. Ale pozostawały zamknięte. Od bezpieczeństwa dzieliło ich ledwie

kilka centymetrów, tyle że nie do pokonania.

Nagły ból czaszki, ktoś odchylał jej głowę do tyłu. Wrzasnęła, oczy zasły jej łzami. Trzymając ją za włosy, tamten potrząsał nią w lewo i prawo jak lalką, odciągając od drzwi. Gwałtowne szarpnięcie rzuciło ją w bok, uderzyła w ścianę, przed oczami zobaczyła czarne plamy. Zasapana, upadła na kolana.

Kolejne krzyki, trzask, stłumiony jęk bólu.

– Wszyscy na podłogę albo zastrzelę! – Głośny krzyk świadczył, że był wściekły, nie panował nad sobą.

Coś wyrznęło ją w plecy, osunęła się na podłogę i rozplakała. Jak przez mgłę słyszała krzyki Fiony i jęczącego z bólu Raya.

Leżąc na podłodze, widziała szczelinę pod drzwiami i cienkie pasemko kuszącego, ale nieosiągalnego światła.

ROZDZIAŁ 18

Abby z ulgą patrzyła, jak furgonetka negocjatorów przeciska się zatłoczoną drogą na teren wydzielony taśmami policyjnymi. Za kierownicą mignął jej Will Vereen. Zadzwoiła do niego zaraz po tym, jak skończyło się połączenie ze szkoły. Ruchem ręki wskazała mu miejsce, które trzymała specjalnie dla niego – kilka metrów od mobilnego centrum dowodzenia.

Teren przed szkołą był teraz nie do poznania. Wszędzie migwały czerwono-niebieskie koguty radiowozów oraz karetek pogotowia, towarzyszyły temu trzaski policyjnych krótkofalówek i huk wirników krążącego nad ich głowami śmigłowca. Z jednej strony zebrali się funkcjonariusze JRK w pełnych strojach taktycznych – hełmach i kamizelkach kuloodpornych – a mundurowi starali się nie dopuszczać cywilów. Gdziekolwiek spojrzeła, ludzie trzymali telefony i filmowali zamieszanie, by wrzucić nagrania do sieci i choć na chwilę zabłysnąć w mediach społecznościowych.

Przy ciężarówce służącej za centrum dowodzenia stał kapitan Franco Estrada, komendant posterunku 109. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną i rozmawiał z jakimś policjantem. Abby ruszyła w ich stronę. Kiedy się zbliżyła, pomimo panującego hałasu dosłyszała jego tubalny głos:

– ...przekierujcie ruch uliczny na Sto Czterdziestą Dziewiątą. W promieniu dwóch ulic od tej szkoły nie mogą się pojawić żadne kolejne samochody. – Zerknął na Abby, przywołał ją ruchem ręki i zwrócił się do policjanta. – I włóż kamizelkę. Niech mi się tu nikt nie płacze bez kamizelki, czy to jasne?

Policjant skinął głową i odszedł.

– Porucznik Mullen, prawda? – zapytał Estrada. Włosy miał kruczoczarne, ale w starannie przystrzyżonej brodzie pojawiły się już siwe pasemka. Stale marszczył brwi, co, jak sądziła Abby, nieodłącznie wiązało się z piastowaną przez niego funkcją. Mimo że mieszkała i pracowała w jego okręgu, dotychczas spotkała go zaledwie dwa razy i nigdy nie zamieniła z nim słowa.

– Tak jest, komendancie – odparła.

– Rozmawiała pani z tymi w budynku?

– Tak, zadzwonili z telefonu stacjonarnego w gabinecie dyrektora i zażądali rozmowy z policją.

– A pani przypadkiem była pod ręką?

– Do tej szkoły chodzi moja córka.

Mars na jego czole się pogłębił.

– Nic jej się nie stało?

Nic, jeśli wierzyć wicedyrektorce. Jednak serce Abby ścisnął strach i wiedziała, że przeminie dopiero wtedy, gdy zobaczy Sam na własne oczy. A pytanie Estrady tylko zwiększyło jej obawy, nie pozwalając się skupić.

– Eee... tak. – Zamrugła szybko. – Nie możemy się doliczyć tylko czworga uczniów. Mam ich nazwiska.

– Ale o ile wiemy, nie są zakładnikami.

– Nie. Wiemy, że zakładników jest troje, to personel szkoły.

– Skąd ta wiedza?

– Udało mi się ich namówić, żeby na kilka sekund dali mi do telefonu dyrektora.

Estrada uniósł brwi.

– Dobra robota – pochwalił. – Czy możemy zadzwonić do tych w środku?

– Telefon, z którego dzwonił, jest wyłączony, a połączeń na inne numery nie odbierają. Mam telefon wicedyrektorki. Spodziewam się, że niedługo znowu spróbują się skontaktować.

– Świetnie. – Spojrzał na zegarek. – Jest dziesiąta czterdzieści siedem. Dziesięć po jedenastej ma się pani stawić w centrum dowodzenia na odprawę. Na razie to pani dowodzi negocjacjami. Proszę dobrać sobie zespół.

– Dobrze.

– Pani porucznik, nie chcę, żeby zakończyło się to szturmem JRK na szkołę.

Przełknęła ślinę.

– Ja też nie.

– Świetnie. I nie pokazujcie mi się tu bez kamizelki. Proszę to przekazać swoim ludziom. Każdy ma być w kamizelce.

– Rozumiem. – Wróciła do furgonetki negocjatorów, która właśnie zaparkowała. Will wyskoczył z szoferki.

– Abby, czy Sam jest...

– Nic jej się nie stało. – Odsunęła od siebie obawy. Musiała się skupić. – Mamy mało czasu, trzeba się brać do roboty. Całą akcją dowodzi Estrada, a ja kieruję negocjacjami.

– W porządku – rzucił Will. – Tammi jest z tyłu, już zapisuje na tablicy, co wiemy.

– Chcę zobaczyć, co... – Zadzwoił telefon w jej kieszeni. Komórka wicedyrektorki. Uniosła palec, dając Willowi znak, żeby zaczekał, i sięgnęła po

telefon. Na wyświetlaczu ujrzała nieznaną numer. Może to jeden z porywaczy dzwonił ze swojej komórki.

Odetchnęła głęboko i odebrała.

– Halo.

– Pani Pratchett? – rozległ się głos kobiety, piskliwy, na skraju hysterii. – Mówi Lorna, jestem matką Penny Smith z dziesiątej klasy. Dowiedziałam się, że w szkole była strzelanina. Czy z Penny wszystko w porządku? Nie odbiera telefonu.

– Lorno, tu porucznik Mullen – odparła Abby. – Pani Pratchett jest teraz zajęta, ale pani córce raczej nic się nie stało. Nie mogę blokować tej linii...

– Czy mogę z nią porozmawiać? Naprawdę była strzelanina? Czy ktoś ucierpiał?

Abby przeszła na tył furgonetki i wsiadła do środka, do jakże znajomego miejsca pracy. Na jednej ścianie wisiała tam olbrzymia tablica; policjantka Tammi Summers właśnie coś na niej zapisywała. Z drugiej strony pojazdu było biurko z dwoma telefonami i krótkofalówką.

– Lorno... w jaki sposób się o tym dowiedziałas?

– Byłam na czacie rodziców. Czy mogę porozmawiać z Penny? Proszę. Tylko przez dziesięć sekund. Dlaczego nie odbiera telefonu?

Abby pomasażowała czoło. Skoro wiadomość dostała się na czat rodziców, to pewnie wszyscy właśnie próbowali się dodzwonić do kogoś, kto powie im, co się dzieje. Komórka będzie dzwoniła bez przerwy. A nie mogła blokować tej linii.

Ruchem ręki przywołała Willa.

– Ściągnij Carvera – poleciała. – Jest na zewnątrz.

– Halo? – powiedziała Lorna. – Jest pani tam?

– Przepraszam, muszę kończyć – odparła Abby i odwróciła się do Tammi. Młoda policjantka była niezwykle blada. – Dobrze się czujesz?

Tammi przełknęła ślinę.

– Tak. Ale podczas jazdy pisałam na tablicy. To był błąd, dostałam choroby lokomocyjnej.

Abby знаła to uczucie. Kilka lat wcześniej zrobiła tak samo i kiedy dotarli na miejsce, omal nie zwymiotowała.

Spojrzała na tablicę, wciąż prawie pustą. Za godzinę czy dwie pojawią się na niej informacje, a w całym pojeździe będzie pachniało tuszem do markerów.

– Wydrukowałam trochę informacji o Obserwatorach – powiedziała Tammi, podając jej plik kartek. – Nie wiemy, czy ci w środku to Obserwatorzy, ale na razie bezpiecznie możemy tak założyć.

– Chcę wiedzieć, z iloma ludźmi mamy do czynienia – odparła Abby, przebiegając wzrokiem teksty. – Widziało ich kilkoro uczniów albo nauczycieli.

Otworzyły się tylne drzwi i do furgonetki wsiadł Carver, a za nim Will.

– Hej – przywitał się Carver. – Jestem ci potrzebny?

– Masz coś do roboty? – spytała.

– Nie, to nie mój rewir. Prosimi, żebym został i złożył zeznanie.

– Zrobisz coś dla mnie? Pokaż policjantce Summers, gdzie są uczniowie i nauczyciele. A kiedy już tam będziecie, każ wicedyrektorce obdzwonić wszystkich rodziców i poinformować ich o sytuacji. Nie mogą wydzwaniać mi na ten numer. – Zawahała się, znowu poczuła ciężar na sercu. – I mógłbyś poprosić Sam, żeby się do mnie odezwała? Muszę usłyszeć jej głos.

– Jasne, nie ma sprawy.

Abby zerknęła na Tammi.

– Zbierz zeznania od każdego, kto coś widział. Rysopisy, cokolwiek mówili albo robili, zresztą sama wiesz.

Przy okazji młoda policjantka będzie mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Abby wolała, żeby nie zwymiotowała w furgonetce. Sądząc z wyraźnej ulgi na twarzy Tammi, ona też o tym pomyślała.

Zadzwoniła komórka Abby. Spojrzała na ekran. Steve. Szlag! Podniosła wzrok na Tammi.

– Daj znać, jak będziesz miała coś konkretnego.

Policjantka kiwnęła głową i wysiadła za Carverem. Abby odetchnęła głęboko i odebrała.

– Steve?

– Abby. – W jego napiętym głosie brzmiała panika. – Dzwoniła do mnie matka Debry, która chodzi do jednej klasy z Sam. Podobno w szkole doszło do strzelaniny. Wiesz, czy...

– Jestem teraz w szkole. Nadal badamy sytuację.

– Próbowałem dzwonić do Sam, ale włącza się poczta głosowa. Nic jej nie jest?

Po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut ktoś ją pytał, czy Sam nic się nie stało. Ale ze strony Steve'a to było jeszcze gorsze. Bo chociaż jako mąż się nie sprawdził, był dobrym ojcem. A w jego głosie usłyszała ten sam strach, który i ją dręczył. Ona również kilkakrotnie dzwoniła do córki i także za każdym razem włączała się poczta głosowa. Powtarzała sobie, że Sam wyciszała komórkę na lekcjach – widocznie w chaosie, jaki zapanował po strzelaninie, zapomniała ją włączyć.

– Sam nic nie jest – powiedziała. – Wicedyrektorka zapewniła mnie, że jest z innymi uczniami. Kiedy uda mi się z nią porozmawiać, każę jej do ciebie zadzwonić. Musisz zabrać Bena ze szkoły. Wiem, że jest wcześniej, ale...

– Oczywiście, zaraz po niego pojedę. Co znaczy, że kiedy uda ci się z nią porozmawiać? Gdzie ona teraz jest?

Zadzwoniła komórka wicedyrektorki. Abby zerknęła na ekran. „Gabinet Henry’ego Bella”. Telefon dyrektora. Czyli oni. Wciąż dobiegało ją biadolenie Steve’a, ale akurat teraz wyjątkowo nie miała na to czasu.

– Muszę kończyć, Steve. Powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła. – Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni. Uniosła komórkę wicedyrektorki i odwróciła się do Willa. – To oni.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Telefon uparcie dzwonił.

– Poprzednio dobrze nam się rozmawiało – powiedziała Abby. – Ja będę pierwszą negocjatorką. Ty drugim. Ale chcę, żebyś słuchał wszystkiego.

Żałowała, że nie przekierowali od razu połączeń z numeru dyrektora na linię w furgonetce. Dzięki temu byłoby jej łatwiej rozmawiać, a Will słuchałby przez swoje słuchawki i nagrywał. Tymczasem teraz musieli zrobić to po staremu. Stanęli obok siebie, stykając się głowami i trzymając słuchawkę między sobą. Abby odetchnęła głęboko, czując, jak wali jej serce.

– Tu Abby – odezwała się.

– Kazałem ci odesłać ten helikopter! – W głosie mężczyzny wyczuwało się gniew i strach, ale nie było aż tak źle jak poprzednio. To dobrze. Abby chciała, żeby był spokojny. Żeby czuł się panem sytuacji, a jednocześnie miał świadomość, że wspólnie pracują nad rozwiązaniem problemu.

– Przykro mi – odparła. Na początek musiała załagodzić jego gniew. – Jak mówiłam, to trochę potrwa. Muszę przekonać dowódcę, a potem on musi pogadać z tym, kto zarządza...

– Mam to gdzieś, po prostu to załatw!

– Jak mam przekonać dowódcę, że to jest konieczne? – Powiedziała to bezradnie, a zarazem spokojnie. Niech tamten bierze ją za policjantkę niskiego szczebla, która nie ma wpływu na wszechmocnego dowódcę.

Chwila milczenia. Tamten zastanawiał się nad odpowiedzią, próbował wymyślić, w jaki sposób może rozwiązać ten problem za nią.

– Powiedz im, że jeśli helikopter nie odleci, zaczną zabijać zakładników.

Groźba, niedobrze. Musiała sprawić, żeby spojrział na to z innej strony. Przeformułowała więc jego zdanie.

– Każe mi pan powiedzieć dowódcy, że jeżeli śmigłowiec stąd odleci, nikomu nie spadnie włos z głowy?

– Tak, bo... Słuchaj, my naprawdę nie chcemy nikomu zrobić krzywdy. Ale ten helikopter nas wkurza, jasne?

– A dlaczego śmigłowiec tak was martwi? – Dobrze wiedziała, co mu chodzi po głowie.

– Nie chcemy go tutaj, zrozumiano?

Bał się, że w śmigłowcu siedzi snajper, który w każdej chwili może go zastrzelić. Pora usunąć ten lęk z planszy. A nie ma lepszej metody na rozwianie strachu niż wydobyć go na jaw. W świetle dziennym strach się kurczy.

– Nigdy nie zrobilibyśmy czegoś głupiego, co mogłoby narazić życie Henry’ego, Thelmy i Carlosa.

– Co ty powiesz? Już nieraz to robiliście.

Nie wątpiła, że potrafiłyby podać jej przykłady, a nie mogła ugrzęznąć w kłótni o fakty.

– Odnoszę wrażenie, że pan się obawia, że lada chwila możemy przypościć szturm. Skąd taki pomysł?

– Wiemy, jak myślą ci, którzy kręcą tym interesem. Mają gdzieś, czy ktoś zostanie ranny albo zginie. Chcą tylko posprzątać ten bajzel.

Wyglądało na to, że facet rzeczywiście wierzy w paranoiczne teorie spiskowe Obserwatorów. Musiała się zdystansować od ludzi, których uważał za wrogów.

– Ale mam wrażenie, że pana to obchodzi. Mnie też. I nie chcę, żeby komuś stała się krzywda.

Odsunęła telefon od twarzy i częściowo zakryła ręką mikrofon. Tamten powinien odnieść wrażenie, że Abby rozmawia z ludźmi wokół niej. Krzyknęła więc w przestrzeń:

– Ludzie, kazałam wam się trzymać z daleka! Wszyscy mają się cofnąć! I każcie tym w śmigłowcu odlecieć, tylko wszystkich denerwują.

Przerwała na sekundę, po czym zwróciła się do człowieka po drugiej stronie telefonu:

– Przepraszam. Chcę, żebyśmy wszyscy razem pracowali nad tym, żeby nikt nie ucierpiał.

– Jeśli ich zmusisz, żeby robili, co każemy, nikomu nic się nie stanie. – Wydawał się spokojniejszy. Jak ktoś, kto odzyskał panowanie nad sytuacją. Bo coś osiągnęli.

Abby postarała się, by jej głos brzmiał bardziej optymistycznie. Jak głos przyjaciółki. Powierniczki.

– Mam wrażenie, że porządny z ciebie człowiek. Jak to się stało, że doszło do czegoś takiego?

ROZDZIAŁ 19

Gąsienica siedział przy biurku dyrektora. Kurczowo ścisnął telefon, a kolano podskakiwało mu nerwowo. Od godziny bał się choćby mrugnąć, bez przerwy kręcił głową, wypatrując jakiegoś ruchu, zagrożenia. Zastawił okno szafką na akta i zaciągnął żaluzje, ale wcale nie poczuł się przez to bezpieczniej. Oni wciąż mogli wysadzić drzwi i wdrzeć się do środka. Albo wczołgać się kanałami wentylacyjnymi, albo wypełnić budynek trującym gazem. Krąg uciekał się już do takich metod.

– Halo? – Cichy, spokojny głos z telefonu. – Jest pan tam?

Doszedł do wniosku, że Abby nie jest agentką Kręgu. Co akurat nie miało specjalnego znaczenia – agentem był komendant nowojorskiej policji, a ten będzie chciał ich uciszyć. To, że wciąż jeszcze żyli, wynikało tylko z jednego powodu – na zewnątrz było za dużo świadków. Gąsienica wyrzwał wcześniej przez okno i patrząc z góry na ulicę, zobaczył wielu ludzi filmujących całe zajście telefonami komórkowymi. To dobrze, dzięki temu przynajmniej był bezpieczny.

– Nie chcieliśmy, żeby do tego doszło – odparł ochrypłym głosem.

– Więc co się stało, że wpakowaliśmy się w taki paszтет? – spytała Abby. Sądząc po głosie, była ciekawa. Naprawdę chciała wiedzieć.

– Posłuchaj, przyjechaliśmy tu, żeby sprawdzić to miejsce, czy to jasne?

– Sprawdzić to miejsce?

– Tak. Uzyskaliśmy wiarygodne informacje, że na terenie tej szkoły jest prowadzony handel dziećmi wykorzystywanymi w celach seksualnych. – Jakies trzaski na linii. Czyżby ktoś podsłuchiwał tę rozmowę? Krąg miał swoich ludzi we wszystkich spółkach telefonicznych. Musi pamiętać, żeby wciąż mieć się na baczności, nie zdradzić niczego ważnego. – Złapiemy ich na gorącym uczynku. Nikogo nie chcemy skrzywdzić, my tylko ratujemy dzieci.

– Przyjechaliście do tej szkoły, żeby uchronić dzieci przed koszmarnym losem.

– Brzmiało to szczerze, a jednak nie tracił czujności. Ludzie powiadają, że każdemu należy się kredyt zaufania, ale mówią tak wyłącznie dlatego, że guzik wiedzą. Zaufanie to nie jest coś, co nam się należy, nie zasługujemy na nie automatycznie. Na zaufanie trzeba sobie zapracować.

– No właśnie. Chcieliśmy udaremnić ten nikczemny proceder. Wiesz, że te psychole handlują dziećmi? Nie masz pojęcia, do czego są zdolni.

– Ja też jestem matką – odparła. – Mam dwoje dzieci i na samą myśl o pedofilach nie mogę spać po nocach. Gdybym wiedziała, że szykuje się jakiś handel dziećmi, zrobiłabym wszystko, żeby im pomóc.

– Uważałem dokładnie tak samo. Chciałem pomóc tym dzieciakom. Nie planowałem nikomu zrobić... – Wizja pistoletu drżącego w jego ręce i tego mężczyzny padającego na podłogę. Ale to tamten się na niego rzucił, Gąsienica działał tylko w obronie własnej. Może ten gość nawet dla nich pracował. Nie miał jak tego uniknąć. – Po prostu chciałem pomóc.

– Kto wam podsunął te informacje o dzieciach?

– Nikt nam ich nie podsunął. Nikt mi nie kazał tu przyjechać. – Spiął się. Do czego ona pije? Że dał się komuś zmanipulować? – Doszliśmy do tego na własną rękę. Przechytrzyliśmy sukinsynów.

– Czyli że pan i pańscy przyjaciele byliście dostatecznie pomysłowi, żeby samemu to odkryć. I przyjechaliście sprawdzić, czy to prawda. Niczego więcej nie planowaliście, jak tylko ocalić te dzieci.

– Właśnie tak! Ale nie przewidzieliśmy, że sprawy wymkną się spod kontroli. Nie moja wina, że... chcieliśmy tylko obejrzeć nagrania z monitoringu i... – Helikopter chyba się zbliżał, warkot wirników był już nieznośnie głośny. Chcieli go dopaść!

Zerwał się na nogi, telefon wysunął mu się z ręki i upadł na podłogę. Pistolet! Gdzie jest jego pistolet? Zostawił go na stole. Skoczył w tamtą stronę, chwycił broń, wycelował przez otwarte drzwi w zakładników. Jeżeli snajper do niego teraz strzeli, to ich wykosi... wykosi ich wszystkich.

Dźwięk helikoptera się oddalał. Gąsienica złapał telefon.

– Każ im się cofnąć! Słyszysz? Każ im się, kurwa, cofnąć!

– Przecież trzymamy się z daleka – odparła Abby. – Nie chcemy, żeby komuś się stała krzywda.

– Tak? Ten helikopter coś za blisko lata.

– Proszę zaczekać – powiedziała. Zabrzmiało to, jakby próbowała zakryć mikrofon ręką, ale i tak słyszał, jak krzyczała do kogoś: – Hej, wy tam! Cofnąć się, mówiłam wam, żebyście się nie zbliżali do budynku! I znajdźcie mi dowódcę... Chcę, żeby uziemił ten śmigłowiec, dotarło?

Gąsienica odetchnął głęboko, omiatając wzrokiem pokój. Co kilka sekund zatrzymywał spojrzenie na kanale wentylacyjnym, wypatrując oznak ruchu. Bez rezultatu. Ale i tak co chwila będzie sprawdzał. Powinien przesunąć biurko, żeby zablokować wylot wentylacji. Trzeba będzie zablokować wszystkie otwory wentylacyjne w tych pokojach.

– Przepraszam – powiedziała Abby. – Zdaje się, że ma pan nadmiar stresu. Musimy razem wymyślić, jak sobie ułatwić życie.

– Ja tylko chciałem uratować te dzieci – powtórzył łamiącym się głosem.

– Doskonale pana rozumiem. Przejmuje się pan losem innych i zawsze próbuje pan postępować jak należy. Ryzykował pan, żeby ocalić niewinne dzieci. Oby wszyscy byli tacy troskliwi jak pan.

– Ehe, i dużo mi z tego przyszło.

– Jak pan się dowiedział o tym handlu?

– Należę do takiej grupy, nie wiem, czy o niej słyszałaś – zawahał się, nie był pewny, czy powinien jej o tym powiedzieć. Ale i tak wkrótce by się tego dowiedziała. – To Obserwatorzy.

– Chyba słyszałam o Obserwatorach! – Wydawała się zdziwiona. – Czy to przypadkiem nie wy doprowadziliście do aresztowania Harveya Weinsteina?

– Tak, to my poskładaliśmy wszystko do kupy – odparł Gąsienica ostrożnie. –

Szukamy śladów korupcji, próbujemy pomagać ludziom, którzy sami nie są w stanie sobie pomóc. Jest taka grupa ludzi... Sitwa. To oni pociągają za wszystkie sznurki.

– Sitwa?

– Właśnie tak. Czy wiesz, o kim mówię? Ty też dla nich pracujesz.

– Skąd pomysł, że dla nich pracuję? – Była wyraźnie skonfundowana.

Zdobył się na nerwowy uśmiech.

– Bo prawie wszyscy są na ich usługach. Zwłaszcza policja. Może o tym nie wiesz, może sądzisz, że jesteś zwykłą policjantką. Ale cokolwiek robisz, po prostu wykonujesz rozkazy, mam rację? Tylko czyje? Jakie cele tak naprawdę realizujesz? Skoro nowojorska policja siedzi w kieszeni sitwy, to wszystko, co robisz, działa na ich korzyść.

– Czyli twierdzi pan, że każdy, kto nie wie o tej sitwie, tak naprawdę może dla niej pracować. A Obserwatorzy próbują z tym walczyć?

– O właśnie. A wczoraj coś odkryliśmy. Zasyfrowaną wiadomość. Kilkoro z nas wspólnymi siłami złamało szyfr. Więc postanowiliśmy się spotkać i to sprawdzić.

Jakiś ruch na zewnątrz pokoju. Gąsienica przesunął się, by zobaczyć, co się dzieje, i serce mu zamarło. Do gabinetu sekretarki wszedł Kapelusznik, popychając przed sobą chłopaka i dwie dziewczyny. Chłopak miał rozciętą wargę, a jedna z dziewczyn wielki siniak na policzku. Dzieciaki wydawały się oszołomione, patrzyły przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jedna dziewczyna płakała.

– Muszę kończyć – wykrztusił z trudem. – Trzymaj wszystkich z dala od budynku, jasne?

– Nie możemy teraz kończyć tej rozmowy – zaprotestowała Abby. – Trzeba wymyślić, co zrobić, żeby sprawy nie wymknęły nam się z rąk.

– Nie pozwalaj nikomu się tu zbliżyć. Panujemy nad wszystkim, byleby nikt się nie zbliżał. Zrozumiano? Zadzwoń później.

– Dobrze. Co mam powiedzieć dowódcy, że z kim rozmawiałam?

– Po prostu powiedz, że rozmawiałas z facetem, który jest w środku. To mu powinno wystarczyć.

– Chcę zapewnić dowódcę, że robimy postępy, ale mi nie uwierzy, jeśli mu nie podam imienia. Wie pan, jak to jest.

Właściwie co za różnica? Przecież właśnie po to używają w sieci nicków. Bo zapewniają im bezpieczeństwo.

– Nie podam ci imienia, ale możesz mnie nazywać Gąsienicą.

– W porządku, Gąsienico. Kiedy...

Rozłączył się i podszedł do drzwi.

– Co ty wyrabiasz?

Kapelusznik uśmiechnął się do niego drwiąco.

– Słyszałem, jak mówiłeś gliniarzom przez radiowęzeł, że mamy zakładników. Dobry pomysł. Znalazłem jeszcze kilku. Nie wiem, czy glinom zależy na tych starych pierdołach. – Ruchem głowy pokazał dyrektora i jego sekretarkę. – Ale dzieciakom nie pozwolą zrobić krzywdy.

Gąsienica przełknął ślinę. Przez ostatnie dziesięć minut przekonywał, że są porządnymi ludźmi. A teraz Kapelusznik groził dzieciom.

– Nikt tu nie skrzywdzi dzieci. – Spojrzał na Almę, która pobladła i skinęła głową.

– To się okaże. Zależy, co zrobią gliny – oświadczył Kapelusznik. – Mieliśmy fart. Drzwi, którymi próbowali uciec, były zamknięte na klucz. Ale musimy pozamykać pozostałe. I wszystkie okna. To wielka chałupa, musimy być pewni, że policja nie da rady się tu wdrzeć.

– Policja w każdej chwili może wyważyć drzwi, jeśli tylko zechce – zauważyła Alma drżącym głosem. – Musimy się poddać...

– Nie ma mowy o poddaniu się! – warknął Gąsienica.

– Żebyś wiedział – przytaknął Kapelusznik. – A policja nie wdrze się ot tak, no nie? Właśnie po to ich tu trzymamy. – Pchnął chłopaka do pozostałych zakładników w rogu pokoju. Dzieciak potknął się i upadł na podłogę.

– Przestań – powiedział Gąsienica. – Nie ma potrzeby...

– Nie mów mi, co mam robić! – syknął Kapelusznik.

Gąsienica podszedł do niego.

– Musimy działać wspólnie, rozumiesz?

Kapelusznik przeszył go wściekłym spojrzeniem, a Gąsienica uświadomił sobie, że tamten jest młodszy od niego i o wiele wyższy. Wyraźnie dygotał, ale nie ze strachu – najwyraźniej z trudem hamował gniew. Twarz miał zaczerwienioną, oczy wytrzeszczone.

– Miałeś rację – ciągnął Gąsienica. – Musimy natychmiast pozamykać na klucz wszystkie wejścia do szkoły. I sprawdzić, czy okna też są zamknięte. Na parterze są okratowane, ale policja może się wdrzeć tymi na tym piętrze.

Kapelusznik pchnął dwie dziewczyny, by dołączyły do pozostałych zakładników. Cała piątka siedziała teraz oparta plecami o ścianę. Dziewczęta obejmowały się, dodając sobie otuchy. Gąsienica miał ochotę je zapewnić, że nic im nie grozi. Że ich nie skrzywdzą. Że przybyli tu na pomoc.

Z drugiej strony musiał je trzymać w niepewności i strachu, żeby nie próbowały uciec.

Wystraszył go nagły dźwięk. Ktoś grał na gitarze jakąś piosenkę. Czyżby puścili film na komputerze? Nie, to był dzwonek czyjejs komórki.

Kapelusznik podskoczył do zakładników.

– Czyj to telefon?! – krzyknął. – Gdzie on jest?

Gąsienica złapał torebkę sekretarki i wysypał jej zawartość na biurko. Potoczyły się rozmaite rzeczy – portmonetka, okulary słoneczne, szminka... Jest! Telefon. Chwycił go, ale ta komórka nie dzwoniła, ekran był czarny.

Telefon dzwonił dalej, dźwięk dobiegał z rogu pokoju, od strony uczniów.

– Gdzie on jest? – Kapelusznik rzucił się z łapami do dziewczyny zrobionej na gotkę.

– To nie mój! – pisnęła. – Nie dotykaj mnie!

– Masz, to mój telefon – powiedział chłopak, wyjmując komórkę z kieszeni. Ręka mu drżała, gdy podawał ją Kapelusznikowi.

Ten wyrwał mu ją w chwili, gdy smartfon przestał dzwonić. Ale zaraz zadzwonił znowu. Kapelusznik stuknął w ekran i natychmiast zapadła cisza.

– Telefony! – warknął. – Oddawać cholerne komórki!

Dziewczyny pośpiesznie wyjęły telefony z kieszeni, a on zabrał je i wyłączył.

– Ja zostawiłem telefon w torbie w moim gabinecie – wyrwał się dyrektor.

– Pójdę po niego – zaoferowała się Alma napiętym głosem.

– Ty! – Kapelusznik kopnął nogę dyrektora. – Gdzie są klucze do szkoły?

– Ja... ja ich nie mam.

Kapelusznik kopnął go mocniej. Mężczyzna krzyknął z bólu.

– Są w górnej szufladzie mojego biurka – rzuciła sekretarka.

Kapelusznik pogrzebał w szufladzie i wyjął pęk kluczy.

– Zaraz wracam. Oglądaj obraz z monitoringu i daj znać, gdyby ktoś nadchodził.

Wyszedł z pokoju.

Gąsienica spojrział na zakładników, a potem ukradkiem zerknął na leżącego na podłodze mężczyznę i rozlewającą się krew wokół niego. Jak to się stało, że do tego doszło?

ROZDZIAŁ 20

– Za czternaście minut mam spotkanie z burmistrzem i komendantem policji – oznajmił Estrada. – Dlatego będziemy się streszczać.

Zajęli miejsca przy długim metalowym stole w mobilnym centrum dowodzenia. Abby zdjęła kamizelkę kuloodporną i powiesiła ją na oparciu krzesła. Baker, dowódca JRK, został w kamizelce, najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzała. Na blacie leżał szczegółowy plan budynku szkoły.

– Naszym łącznikiem z FBI jest agent Kelly. – Estrada wskazał go ruchem ręki.
– Przekaze nam dotychczasowe ustalenia Biura.

Kilka miesięcy wcześniej Abby pracowała z Kellym. Wyglądało na to, że od czasu ich ostatniego spotkania postanowił zapuścić kozią bródkę. Nie była to najszcześniejsza decyzja. Zarost miał rzadki i nierówny i dlatego goły placek dokładnie pod podbródkiem powodował, że wyglądało to, jakby dwie części jego brody próbowały uciec od siebie.

Kelly pochylił się i odchrząknął.

– Dziś rano któryś z naszych analityków zwrócił uwagę na nagły wzrost aktywności na jednym z forów prowadzonych przez Obserwatorów. Rozmawiano na temat handlu dziećmi w celu wykorzystywania seksualnego na terenie liceum w Nowym Jorku. Zastanawiano się nad datą i godziną, większość uczestników forum była jednak zdania, że ma się to zdarzyć rano.

– A konkretnie jak do tego doszli? – zapytał Estrada.

– Ktoś z nich wyłapał, że wyższy funkcjonariusz policji zrobił we wpisie na Twitterze kilka literówek. Obserwatorzy uznali to za celowy zabieg, sygnał dla tak zwanej sitwy, dla której jakoby pracuje. A kiedy poprzestawiali te słowa...

– Chryste Panie, zapomnij, że pytałem – jęknął Estrada.

– Zwykle takie rzeczy szybko przycichają, ale w tym przypadku okazało się, że miejscowa grupa, hm... rozszyfrowała wczoraj ten przekaz i że zamierza coś z tym zrobić.

– Czy znamy tożsamość ludzi z tej grupy?

– Jeszcze nie, pracujemy nad tym. Wszystko wskazuje na niewielką grupkę. Liczącą mniej niż dziesięciu członków. Zawiadomiliśmy nowojorską policję

i próbowaliśmy się skontaktować ze szkołą, ale nikt nie odbierał telefonu. A potem spłynęły doniesienia o strzelaninie.

– Czy te świry mogą być niebezpieczne?

– Obserwatorzy to społeczność wyznawców teorii spiskowych, naszym zdaniem w samych tylko Stanach Zjednoczonych jest ich ponad milion. Należą do nich wszyscy jak leci, i znudzeni dwunastolatki, i osiemdziesięcioletnie babcie. – Kelly wzruszył ramionami. – Tak zwanym Obserwatorem jest wuj mojej żony, ale zawsze z przyjemnością spotykamy się na Boże Narodzenie. Niestety do tej grupy należą też doskonale uzbrojeni ekstremiści, niektórzy mają za sobą odsiadkę. W zeszłym roku aresztowaliśmy Obserwatora, który w swoim domu skonstruował kilka bomb rurowych. Jeszcze nie wiem, czy tutaj mamy do czynienia z kimś podobnym.

Estrada odwrócił się do Abby.

– Rozmawiałaś z jednym z nich. Jakie odniosłaś wrażenie?

– Myślę, że mamy do czynienia z niezwykle niebezpiecznymi ludźmi, ale nie dlatego, że są agresywni – odparła. – W tej chwili głównym motorem ich działań jest strach. On się nie rwie do bitki, żąda, żebyśmy się trzymali z dala, inaczej zacznie zabijać zakładników. Nie przewidział takiego oblężenia, więc czuje się osaczony i się boi. Dopóki jego strach rośnie, zakładnicy są zagrożeni. Na domiar złego on jest strasznie podejrzliwy. Uważa, że policja chce ich wszystkich pozabijać. Użył zwrotu: „posprzątać ten bajzel”.

– Obserwatorzy z zasady uważają, że ta tajemnicza sitwa kontroluje służby i cały wymiar sprawiedliwości – powiedział Kelly.

– A możemy temu jakoś zaradzić? – spytał Estrada.

– Przede wszystkim trzeba rozproszyć jego obawy i dać mu poczucie, że panuje nad sytuacją – odparła Abby. – Proponuję odesłać stąd śmigłowiec, i tak go nie potrzebujemy. Próbuję nawiązać z nim dobre relacje i pracuję nad zmianą tego, jak mnie postrzega. Pierwszy krok polega na tym, żeby uwierzył, że mam dobre intencje, że jestem jego sojuszniczką w policji. Jest przekonany, że wiem o Obserwatorach i o tym, że zdemaskowali Harveya Weinsteina.

– Co takiego? – Estrada pomasaował grzbiet nosa.

– Obserwatorzy twierdzą, że to oni ujawnili przypadki molestowania seksualnego przez Weinsteina – wyjaśniła Abby. – Uważają to za jeden ze swoich wielkich sukcesów.

– I sądzisz, że cię nie przejrzy, kiedy go zapewniasz, że mu wierzysz?

– Na początku może będzie nieufny. Ale ludzie lubią, żeby im wierzyć. A oni chcą mieć sprzymierzeńca. Poza tym podkreślałam, że przejmuje się losem innych i próbuje postępować jak należy. Skoro usłyszał, że uważam go za empatycznego,

miejmy nadzieję, że postara się sprostać moim oczekiwaniom. Będę pomagała w trakcie negocjacji.

– Świetnie. Czy coś z niego wyciągnęłaś?

– Jego ksywkę. Powiedział, że mogę go nazywać Gąsienicą. Tak dziwna ksywka i to, że podał ją bez wahania, zapewne oznacza, że to jego przydomek albo nick w internecie.

– Sprawdźmy na forach – wtrącił się Kelly.

Abby skinęła głową i zerknęła na Estradę.

– Warto sprawdzić tablice rejestracyjne wszystkich samochodów zaparkowanych na sąsiednich ulicach.

– Już się tym zajmujemy – odparł Estrada. – Szukamy samochodu, który nie należy do pracownika szkoły albo mieszkańca tej okolicy. Ściągamy też zapisy z miejscowych kamer monitoringu. Możesz mi powiedzieć coś o zakładnikach? Rozmawiałaś z dyrektorem.

– Tylko przez kilka sekund. Myślę, że niektórzy mogą być ranni. Kiedy rozmawiałam z dyrektorem, jego ton świadczył, że chciał mi coś powiedzieć na temat Carlosa Ramireza, ale Gąsienica od razu odebrał mu słuchawkę. Zdążył jednak wspomnieć, że Thelma Nelson została uderzona w głowę.

– Możemy ich skłonić do uwolnienia rannych zakładników?

– Spróbuję, ale na razie bardzo w to wątpię. Nasze zaufanie jest zerowe.

Estrada zerknął na Bakera.

– A jeśli będziemy musieli wdrzeć się tam siłą?

Baker wskazał plan budynku szkoły.

– Część administracyjna szkoły mieści się na najwyższym piętrze, we wschodnim skrzydle. Tutaj jest gabinet dyrektora, a obok gabinet sekretarki. W obu tych pokojach zasunęli żaluzje, a drzwi zabarykadowali meblami. Wiemy, że korzystają z telefonu stacjonarnego w gabinecie dyrektora.

– Myślę, że właśnie tam trzymają zakładników – powiedziała Abby. – Podczas naszej pierwszej rozmowy darł się na nich, żeby byli cicho.

– Poza tym według wicedyrektorki to jedyne miejsce, skąd mogą obserwować obraz z kamer monitoringu – dorzucił Baker. – Dlatego uważam, że tam się zabarykadowali. Niestety monitoring obejmuje prawie cały teren szkoły. Zobaczą, że się zbliżamy, chyba że odetniemy im prąd.

– Ale jeśli pozbawimy ich elektryczności, mogą zabić zakładników – zauważyła Abby. – Grozili, że tak zrobią.

– Miałem nadzieję, że nagrania z monitoringu przechowują w chmurze, wtedy widzielibyśmy to samo, co oni, i moglibyśmy podmienić obraz, żebyśmy byli w zasadzie niewidoczni, ale nic z tego, okazało się, że ich system pracuje w obwodzie zamkniętym. Najlepiej byłoby uderzyć szybko i zdecydowanie.

Możemy opuścić się z dachu na linach i wskoczyć przez okna. Zdaje się, że okno w gabinecie sekretarki nie jest zastawione zbyt dobrze. – Postukał palcem w plan. – Być może udałoby nam się ich zdjąć tak, żeby nikt z zakładników nie ucierpiał, ale ryzyko istnieje. W akademii budujemy właśnie replikę tej części budynku. Kiedy skończymy, nasz zespół przeprowadzi symulację włamania. Ale żeby się udało, Mullen musi nam załatwić trochę czasu.

Estrada spojrział na zegarek.

– W porządku. Za pół godziny oboje poinformujecie mnie o aktualnej sytuacji. Mullen, masz wymyślić, w jaki sposób się z nimi kontaktować. Nie rozwiążemy tego, skoro te psiekrwie nie odbierają od nas telefonów.

ROZDZIAŁ 21

Krzyki, przenikliwe wrzaski. Sam pękała głowa. Metaliczny zapach, gorzki smak w ustach. Za silne to światło. Trudno było oddychać, pokój śmierdzał, gdzieś wciąż wyła syrena – zaatakowana tym wszystkim jednocześnie, pragnęła, żeby to się skończyło, koniec, dość!

Zmrużyła oczy i się rozejrzała. Na podłodze była wielka plama krwi, a pośrodku niej leżał bez ruchu pan Ramirez. Pan Bell i pani Nelson siedzieli obok Raya, wytrzeszczając przerażone oczy, a ci nieznajomi wrzeszczeli na siebie i wymachiwali pistoletami. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała rannych. Fionie krwawiła warga, pani Nelson miała na czole paskudną ranę, a jeden z mężczyzn miał rozbity nos, krew spływała mu na brodę, koszulę i kapłała na podłogę, a pan Ramirez... o Boże, jego pierś...

Zamknęła oczy i z wysiłkiem odetchnęła głęboko. I jeszcze raz. Mając zamknięte oczy, nie czuła się już tak przytłoczona. Nie zważając na krzyki, przygryzła wargę aż do krwi. Nagły, ostry ból, na którym mogła się skupić. Skoncentrowana na bolącej wardze, zaciskała powieki, próbując oddychać głęboko i równomiernie.

Po kilku minutach świat znów stał się znośny, paskudne uczucie sprzed chwili stopniowo zniknęło.

Słuchała, jak dwaj mężczyźni i kobieta kłócą się podniesionymi głosami i przekrzykują tak, że z ich pyskówki wychodził niezrozumiały bełkot.

– Nie musiałeś strzelać w...

– A kto oddał pierwszy strzał? Nie ja, pojebie, więc weź się...

– Ten człowiek musi trafić do szpitala, bo inaczej...

– A teraz do kogo się weźmiesz? Do uczniów? Co ty sobie wyobrażasz? Zamierzasz...

– Mówiłem, że macie się nie ruszać!

Powoli otworzyła oczy. Światło wciąż ją raziło, jakby jej czaszkę przebił ostry odłamek. Spojrzała na pana Ramireza. Jego koszula była przesiąknięta krwią.

– Przepraszam – szepnęła.

– Krąg wysłał gliniarzy, żeby nas załatwili...

– Nie, dopóki mamy te dzieciaki...

– Przepraszam! – odezwała się głośno Sam. Dwaj mężczyźni nadal wydzierali się na siebie i ją zignorowali, ale kobieta na nią spojrzała. Błada jak śmierć, z czerwonym od płaczu nosem, dygoczącą ręką ścisnęła pistolet.

– Co jest? – warknęła. – O co chodzi?

– Na końcu korytarza jest pokój pielęgniarek – powiedziała Sam. – Pana Ramireza trzeba opatrzyć.

Kobieta wlepiała w nią wzrok.

– Znam się trochę na pierwszej pomocy – ciągnęła Sam. – Zabandażuję go, może uda się powstrzymać krwawienie.

Kobieta zamrugła, aż w końcu z wahaniem skinęła głową.

– Dobrze. Chodź. – Odwróciła się do obu mężczyzn, którzy wreszcie przestali się na siebie wydzierać. – Gąsienico, idę po bandażę dla tego człowieka. Ta dziewczyna zaprowadzi mnie do pokoju pielęgniarek.

Gąsienico? Sam spojrzała na dwóch mężczyzn.

– Zgoda – powiedział ten ze rozbitym nosem. – Ale wracaj szybko. – Spróbował zetrzeć rękawem krew z twarzy, ale tylko rozmazał ją po policzku.

– Gdyby spróbowała uciec, zastrzel ją – dorzucił ten drugi, nawet na nie nie patrząc.

Samanthę zmroziło ze strachu. Spojrzała na pistolet w ręku kobiety.

– Nie będę uciekać – szepnęła.

– To dobrze. – Kobieta położyła rękę na jej przedramieniu i wyprowadziła ją z pokoju. – Którędy? – spytała.

– Tędy. – Sam skrzywiła i powolutku ruszyła korytarzem. – Trzecie drzwi po lewej.

– Kapelusznik nie mówił poważnie – rzekła kobieta, kiedy nieco się oddaliły. – Nikt z nas nie chce was skrzywdzić.

Sam zrobiła kolejny krok, i jeszcze jeden. Jak by się zachowała mama? Zaczęłyby od podstaw.

– Mam na imię Samantha – powiedziała.

– A ja Alma – odparła kobieta bez namysłu. Nie próbowała się ukrywać za jakimiś cudacznymi przydomkami jak jej znajomi.

– Almo, pani w ogóle do nich nie pasuje.

– Co masz na myśli? – W głosie kobiety pojawiła się ostra nuta.

– Pani nie brałaby zakładników, nie strzelała do niewinnych nauczycieli ani...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Moi znajomi też by tego nie zrobili. Nie planowaliśmy czegoś takiego. My tylko chcieliśmy pomóc. – Alma podniosła głos.

– Pomóc?

– Bądź cicho. – Usta Almy zadrżały. Przyśpieszyła, wbiła palce w ramię Samantha i pociągnęła ją za sobą.

– Dobrze. – Sam skłęła się w duchu. Mama by się tak nie zachowała. Omijałaby główne problemy, a nie waliła prosto z mostu. Żeby nawiązać nic porozumienia, Sam musiała zrobić to, jak należy.

Dotarły do pokoju pielęgniarek. Alma pchnęła drzwi, weszła do środka i wciągnęła dziewczynę za sobą.

Sterylnego białego pomieszczenia nie naruszył panujący na zewnątrz chaos. Nie wały się tu porzucone zeszyty ani zapomniane plecaki. Nikt nie płakał ani nie krzyczał. Żadnej krwi. Gdyby nie ucisk kościstych palców Almy na przedramieniu i pistolet w jej ręce, Sam mogłaby udawać, że to dzień jak każdy inny, a do szkolnej pielęgniarki poszła po coś na skurcze żołądka albo na ból głowy.

Alma puściła jej rękę.

– Bierz, co ci potrzeba. Szybko. – Mówiła stalowym zimnym głosem, ale wyraźnie słychać było w nim drżenie. Ta kobieta była przerażona.

– Dobrze. – Sam odwróciła się do szafki z lekarstwami. Przez kilka sekund gapiła się na znajdujące się w niej środki, zachodząc w głowę, co tam właściwie robi. Na wyraźne żądanie mamy latem przeszła dwudniowy kurs pierwszej pomocy. Ale nie miała pojęcia, do czego służy połowa zgromadzonych tu rzeczy.

Tata z upodobaniem mawiał: „Udawaj pomalutku, byle do skutku”. Uśmiechał się przy tym dumnie, jakby właśnie wymyślił najmądrzejszy slogan pod słońcem. Widząc jego durny uśmieszek, zawsze wznosiła oczy do nieba. A teraz żałowała, że nie ma go przy niej, uśmiechniętego i irytującego. Chętnie by posłuchała jego rady, co ma zrobić.

Są, na górnej półce. Rolki bandażu. I jakiś alkohol. Pan Ramirez leżał w tamtym pokoju i krwawił. Musiała się śpieszyć.

Z drugiej strony musiała grać na czas. By lepiej poznać tę kobietę. Im dłużej rozmawiały, tym trudniej będzie Almie pociągnąć za spust, gdyby doszło do najgorszego.

– Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy wziąć też coś dla pani... dla Thelmy – powiedziała.

– Dla Thelmy?

– Sekretarki. Jest ranna.

– A, jasne.

– I dla pani znajomego. Eee... Gąsienicy? Powinniśmy mu coś przynieść na ten jego nos.

– Dobry pomysł. – Alma podeszła do szafki na akta. Wysunęła górną szufladę. Czego tam szukała? Sam spojrzała na pistolet w jej ręce. A gdyby tak spróbowała go jej wyrwać?

Między nimi stało jednak biurko pielęgniarki. Nie dopadłaby jej dostatecznie szybko. Przypomniała sobie, jak Alma ścisnęła jej przedramię. Ta kobieta była silniejsza, niż na to wyglądała. A jej nadal pękała głowa, każdy ruch powodował, że czuła przenikający czaszkę ból. Nie. Nie dałaby rady wyrwać pistoletu Almie. Odwróciła się z powrotem do szafki.

– Almo, jest pani matką któregoś z tutejszych uczniów? – Przesuwała palcem po fiolkach, udając, że czyta nalepki.

– Nie. Moje dzieci nie chodzą do tej szkoły.

– A więc ma pani dzieci? – rzuciła Sam swobodnie, ale z ciekawością. Żeby ocieplić trochę atmosferę. – W jakim są wieku?

– Moja córka Frances ma dziesięć lat. A Kyle jedenaście.

– Ojej, tylko rok różnicy! – Sam obilo się o uszy, że dla rodziców to jest trudne, chociaż nie bardzo wiedziała czemu. – Pewnie było ciężko?

– Na początku tak. – W głosie Almy pojawiła się nowa nuta. Łagodność. – Boże, przez pierwsze dwa lata po urodzeniu Frances prawie nie zmrużyłam oka. Ale było warto. Teraz są w tak wspaniałej komitywie. – Zamknęła szufladę i wysunęła następną.

– Chciałabym, żeby mój brat był mniej więcej w moim wieku. – Sam wciąż mówiła obojętnie, ale jej mózg pracował na pełnych obrotach. Imiona. Imiona są ważne. Sprawiają, że wszystko staje się osobiste i realne. – Ale Ben ma dopiero osiem lat. Ma fioła na punkcie zwierząt. Czy Kyle lubił zwierzęta, kiedy miał osiem lat?

– Frances je lubiła. Wciąż lubi. Kyle żyje głównie w świecie Minecrafta. –

Nagle Alma zaszlochała głośno i otarła oczy. Z trzaskiem zamknęła szufladę i otworzyła następną.

Serce Sam zakolało. Zasmuciła tę kobietę. Ale może to i dobrze. Alma zaczęła myśleć o świecie na zewnątrz. Pewnie się zastanawiała, czy kiedyś jeszcze zobaczy swoje dzieci.

– Przepraszam – powiedziała Sam. W jej głosie brzmiały szczerść i ciepło. –

To chyba bardzo trudne. Nie miała pani pojęcia, że wszystko potoczy się w ten sposób. Po południu pewnie miała pani być w domu, ze swoimi dziećmi.

– Myślałam, że wrócę przed południem – szepnęła Alma.

– Że wróci pani przed południem? – Sam nauczyła się tego od mamy. Powtarzanie słów rozmówców prawie zawsze rozwiązywało im język.

– Frances o czwartej ma balet. A Kyle zawsze wraca do domu głodny, nie lubi jeść w szkolnej stołówce. A teraz... – głos jej się załamał.

– Może mogłabym jakoś pomóc? – spytała dziewczyna, zamykając szafkę z lekarstwami.

Alma odwróciła się do niej z mokrymi oczami.

– Tak, chyba możesz coś dla mnie zrobić – odparła pełnym nadziei głosem.

No proszę! Sam przełamała barierę. Teraz Alma pewnie zaproponuje, że jeśli uwolni ją i pozostałych zakładników, to Sam przekona policję, że to jedna wielka pomyłka. Albo może wypuści Sam, żeby mogła wszystko opowiedzieć policjantom. A w najgorszym razie pozwoli jej porozmawiać z mamą.

Tak czy siak, Sam wiedziała, że musi to wyjść od Almy. Nie mogła jej teraz naciskać.

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Czego pani potrzebuje?

Alma zrobiła ku niej kilka kroków, z przejęcia wytrzeszczając oczy.

– Czy wiesz, gdzie Krąg trzyma te dzieci, które chcieli sprzedać? Muszą być gdzieś na terenie szkoły. Kiedy je znajdziemy, wszyscy będziemy mogli stąd odejść.

ROZDZIAŁ 22

Nos Gąsienicy wciąż pulsował – tępy ból, który nie chciał ustąpić. Koszulę miał upstrzoną kroplami krwi, co chwila ocierał rękawem usta i brodę. Jego nos był zatkany śluzem, krwią albo cholera wie czym, więc musiał oddychać przez usta.

Jak to wyglądało? Wyjął telefon, włączył aparat fotograficzny i przejrzał się w obrazie na ekranie.

Z trudem się rozpoznał.

Nie chodziło tylko o nos, chociaż czerwony i opuchnięty wyglądał koszmarnie. Ale najwyraźniej nie wytarł twarzy jak należy – cały prawy policzek pokrywała skorupa zaschniętej krwi. Oczy miał przekrwione, w ich kącikach widniały zasinienia. Do tego potargane włosy. Wyglądał jak obłąkany.

Nos wydawał się przekrzywiony, więc szturchnął go lekko, żeby go naprostować. Poraził go przeszywający ból, któremu towarzyszył okropny chrzęst. Jęknął.

– Coś ci nie pasuje? – warknął Kapelusznik. Siedział w fotelu sekretarki i nie odrywał wzroku od ekranu, śledząc obraz z kamer monitoringu.

– Złamałeś mi nos, do cholery! – burknął Gąsienica.

– Przestań marudzić. To był wypadek. Poczulem, że ktoś chce mi wyrwać pistolet, więc zareagowałem. Ciesz się, że cię przypadkiem nie zastrzeliłem.

Gąsienica już miał się odszczeknąć, ale postanowił trzymać język za zębami. Co by to dało? Kłótnia nie cofnie czasu. Miał wrażenie, że złe decyzje podjęli już lata temu. A teraz ponoszą ich konsekwencje.

Zamknął aplikację aparatu fotograficznego, zalogował się na forum Obserwatorów i przejrzał posty. Pojawiły się dziesiątki nowych wątków, na których omawiano to wydarzenie, więc moderatorzy gonili w piętę, próbując je połączyć. Jak dotąd bez skutku. Gąsienicę korciło, żeby też coś opublikować, wrzucić relację ze środka. Przygryzał wargę, zastanawiając się nad tym i wyobrażając sobie odpowiedzi oraz pochwały dla ich działań. Obserwatorzy, którzy przybyli załatwić sprawę.

Nie. Policja na pewno też śledzi posty na ich forum. Może później, kiedy znajdzie rozwiązanie problemu. A na razie lepiej siedzieć cicho.

– Muszę znowu zadzwonić do tej policjantki – mruknął.

Kapelusznik zerknął na niego.

– Tak? I co jej powiesz?

Co miałyby jej powiedzieć? Wszystko się posypało, jasna sprawa. Wciąż jednak mógł zagrać kartami, które mu się trafiły z rozdania, i zadać ostateczny cios sitwie i jej odrażającej działalności. Gdyby tylko zdobyli dodatkowe dowody potwierdzające to, co i tak już odkryli, mogliby pokazać światu prawdę – że Gąsienica i jego wspólnicy próbowali powstrzymać oburzający handel dziećmi, a to, co się wydarzyło potem, było wyłącznie wynikiem obrony własnej.

Zerknął na czworo zakładników siedzących w rogu pokoju.

– A gdybyśmy zażądali, żeby przyjrzeni się handlowi dziećmi na terenie tej szkoły?

– Co takiego? – prychnął Kapelusznik. – Policji? Niby czemu mieliby się tym zająć?

– Możemy zaproponować uwolnienie zakładników w zamian za gruntowne śledztwo. – Gąsienica nie krył emocji. To się mogło udać! – Idę o zakład, że całe miasto śledzi to w wiadomościach, dobrze mówię? Może nawet cały kraj. Nie będą mogli zignorować naszych żądań. Ludzie by się wściekli.

– Nie bądź idiotą. Policjanci to cymbały, włącznie z tą suką, z którą gadałeś wcześniej. Myślisz, że jeśli każemy im zbadać aferę, w której sami są umoczeni, to położą uszy po sobie i się zgodzą? Każą ci się wypchać.

Gąsienica zacisnął zęby.

– A jaki ty masz pomysł?

– Każemy im podstawić samochód. Nie, wiesz co? Prywatny helikopter. I trochę kasy. Potem wsiadamy do helikoptera z zakładnikami i zjeżdżamy stąd w cholerę.

– Nigdy na to nie pójdą!

– A czemu nie? Mamy tu szóstkę zakładników. Nawet jeśli tamten facet umrze, i tak na szali zostanie życie pięciorga zakładników, w tym dyrektora szkoły. Powiedzmy, że za każdego zażądamy dwustu tysięcy dolarów. To daje milion, a dla tych ludzi to grosze. Im zależy tylko na tym, żeby to się wreszcie skończyło. Mój pomysł to umożliwi.

– A co z handlem dziećmi? Nie chcesz, żeby świat się dowiedział...

– Nic z tego nie będzie, durna pało! – ryknął Kapelusznik. – Wbij sobie to do tego swojego tępego łba! Oni wygrali. Znowu. Siedzimy w gównie po uszy, więc musimy uzyskać tyle, ile się da. Za milion dolarów możemy się ukryć w głębi Meksyku. Możemy kupić tam trzy ładne domki i żyć aż do końca jak...

– Co tu się dzieje? – Obaj odwrócili się błyskawicznie, słysząc nagle głos od drzwi. To była Alma, z dziewczyną, która niosła dwie torby.

– Omawialiśmy tylko następny krok – odparł Kapelusznik, ścisząc głos. Wbił wzrok w dziewczynę. – Co tam masz?

Ku zaskoczeniu Gąsienicy dziewczyna spojrzała prosto w puste oczy Kapelusznika i uśmiechnęła się do niego przepaszająco.

– Niewiele. Podstawowe środki opatrunkowe. – Podeszła do Gąsienicy. – Przyniosłam panu gaziki na nos. I do tego trochę środków przeciwbólowych. – Pogrzebała w torbie z folii, znalazła obie te rzeczy i mu podała.

– O? Dzięki. – Gąsienica zamrugał.

– Mogę zabandażować pana Ramireza? – spytała.

– E... tak. Zrób to – odparł Gąsienica, patrząc na torebkę gazików i opakowanie ibuprofenu w swoich rękach.

Dziewczyna uklękła obok Ramireza i delikatnie rozpięła jego zakrwawioną koszulę.

Alma dała znak Gąsienicy, żeby do niej podszedł. Wyszli na korytarz, zostawiając otwarte drzwi.

– Rozmawiałam z Samanthą o zaginionych dzieciach – powiedziała Alma ledwie słyszalnym szeptem.

– Z Samanthą? To ta dziewczyna?

– Tak. Druga ma na imię Fiona. A chłopak to Ray. W każdym razie powiedziała, że nie słyszała o żadnym handlu dziećmi na terenie tej szkoły.

– Nic dziwnego. Nie mieszaliby do tego uczniów.

Alma kiwnęła głową.

– Ale powiedziała, że może nas oprowadzić po budynku. Zna kilka kryjówek, gdzie mogliby je trzymać.

Gąsienica spojrzał nieufnie na Samanthę. Dziewczyna rozchyliła koszulę Ramireza i blada jak śmierć rozwijała bandaż.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie nie podoba się cała ta sytuacja – odparła Alma. – Ale jeśli je znajdziemy...

– Uhm. – Gdyby znaleźli dzieci, wszystko by się zmieniło. – Kapelusznik uważa, że powinniśmy zażądać prywatnego helikoptera. I okupu. A potem uciec do Meksyku czy gdzieś.

Alma otworzyła szeroko oczy.

– Nie możemy tak zrobić. To się nie uda. Zresztą nawet gdyby, i tak nie zostawiłabym rodziny.

– Właśnie. Jestem z tobą. Pogadam jeszcze raz z tą policjantką. Ale nie wspomnę słowem o tych głupotach.

– Musisz załatwić nam trochę czasu. Znajdziemy te dzieci.

Gąsienica nie odpowiedział. Przyszło mu do głowy co innego. A jeśli się koszmarnie pomylili? Jeżeli tych dzieci nigdy tu nie było?

Jeżeli to była zastawiona przez siebie pułapka, mająca załatwić Obserwatorów?

Nie wystarczy zyskać na czasie. Muszą przypuścić kontratak.

– Nie ufam Kapelusznikowi – oświadczyła Alma.

– Ehe. Ja też nie. – Gąsienica zajrzał przez otwarte drzwi do pokoju.

Kapelusznik siedział bez ruchu i gapił się na Samanthę. Jego wygięte usta przywodziły Gąsienicy na myśl wielką ropuchę. Żałował, że włączył tego człowieka do akcji. Ale żal nie zmieni tego, co się stało.

ROZDZIAŁ 23

5 kwietnia 2015

– Przykro mi. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale...

Neal obserwował minę pielęgniarki, kiedy paplała dalej, każdym swoim słowem burząc zamek z nadziei i marzeń, który budował od pięciu miesięcy...

– Nie udało się wyczuć tętna. Płód...

A jeszcze dziś rano rozmawiali o wyborze imienia. W nocy oglądał w sklepach internetowych łóżeczka dla noworodków. Przed tygodniem mijał plac zabaw i wciąż wyobrażał sobie, że chodzi tam ze swoim dzieckiem.

– Prawdopodobnie przestała...

– Ona? – wpadł jej w słowo.

Pielęgniarka wytrzeszczyła oczy.

– Znaczą się, płód – wyjąkała.

– Dziecko... To była dziewczynka? – Podczas ostatniej kontroli powiedzieli lekarzowi, że nie chcą znać płci. Woleli mieć niespodziankę. No to ją mieli. Niespodziankę.

Pielęgniarka pobladła. Szybko skinęła mu głową.

– Ja, eee.... Może pan wejść – powiedziała to i uciekła.

Powłócząc nogami, wszedł do pokoju. Ściany były zajęte przez półki z instrumentami lekarskimi i rzędy monitorów. Jackie leżała na łóżku, przykryta turkusowym kocem. Oczy miała otwarte, nieobecny wzrokiem patrzyła w dal. Kiedy wszedł, nawet na niego nie spojrzała.

– Cześć – szepnął.

Lekkie drgnięcie jej ust. Nie odpowiedziała. Trzy dni temu mówiła mu, że dziecko mogłoby odziedziczyć nos po niej, nie po nim. Czy wiedziała, że to była dziewczynka? Miał nadzieję, że nie.

Podszedł do niej. Jej ręka bezwładnie zwisała z łóżka. Ujął jej dłoń i uścisnął lekko.

– Tak mi przykro, skarbie.

– Mnie też – wymamrotała.

Gdy zadzwoniła do niego wcześniej i powiedziała, że ma skurcze, żadne z nich się tym nie przejęło. Od dwóch miesięcy zdarzało się to regularnie. Co kilka dni chodzili do lekarza, ale za każdym razem słyszeli, że wszystko jest w porządku.

I dlatego kiedy szef zatrzymał go przed wyjściem do szpitala, nie protestował. Trzeba było załatwić jakąś pilną robotę papierkową, która nie mogła czekać. No i dobrze. Zrobił, co należało. Skończył w niecałą godzinę. Ale w drodze powrotnej trafił na zepsute światła i ponad pół godziny spędził w korkach.

Gdy dotarł do domu, Jackie miała krew na spodniach i jęczała z bólu.

Patrząc na nią teraz, poczuł wzbierające wyrzuty sumienia. To jego wina. Gdyby powiedział szefowi, żeby wsadził sobie te papierki gdzieś. Gdyby pojechał inną trasą... Wtedy może udałoby się uratować jego dziewczynkę. A Jackie nie leżałaby tu teraz i nie patrzyła martwym wzrokiem.

Wcześniej, podczas przerwy na lunch, kolega z pracy powiedział mu, żeby się cieszył ostatnimi dniami wolności, co Neal skwitował śmiechem.

Jeszcze raz uściśnął dłoń Jackie.

– Pojadę do domu, przywiozę ci trochę rzeczy – powiedział.

Zatrzepotała powiekami. Bez słowa.

Czym prędzej wyszedł z pokoju.

Pielęgniarka stała na korytarzu i rozmawiała z lekarzem. Gdy Neal wyszedł z sali, zerknęła na niego i zniżyła głos. Lekarz zmarszczył czoło, obejrzał się, uważnie zlustrował Neala wzrokiem, po czym odwrócił się z powrotem do pielęgniarki i szepnął jej coś na ucho.

O czym tak rozmawiali? W trawiące go wyrzuty sumienia nagle wdarło się podejrzenie. Ruszył w ich stronę, a wtedy przerwali rozmowę i odeszli.

Rozmawiali o nim. O Jackie.

I o ich dziewczynce.

Ale nie chcieli, żeby ich usłyszał. Żeby się dowiedział.

Czy rzeczywiście nie można było uniknąć tej tragedii? Przecież podczas wizyt kontrolnych lekarz za każdym razem zapewniał ich, że jest świetnie. Co takiego więc stało się dzisiaj?

Nagle z furią pomyślał o swoim szefie. Od kiedy robota papierkowa była aż tak pilna? Pilne papierki do ogarnięcia? Też coś! I ten korek na drodze. Jeździł przecież tędy tam i z powrotem setki razy. Czy kiedykolwiek trafił na popsute światła? Nigdy.

Wobec tego czemu akurat dzisiaj? Czym takim wyróżniał się ten dzień?

I to spojrzenie lekarza. Jak gdyby o czymś wiedział.

Poczucie winy minęło bez śladu. To nie była jego wina. Nie wiedział czyja, jeszcze nie. Ale był pewny jednego. Ktoś tu był winny. Ale nie on.

ROZDZIAŁ 24

Abby ze słuchawkami na uszach siedziała na miejscu głównego negocjatora. Telefon w gabinecie dyrektora wciąż był zajęty, podobnie jak ten w pokoju sekretarki. Abby co kilka minut dzwoniła na oba numery. Jeżeli ci w środku wkrótce nie odbiorą, będzie musiała wywołać ich przez megafon i poprosić, żeby podnieśli słuchawkę. Nie znosiła megafonu. Od razu sprawiał, że w każdym jej słowie brzmiała agresja.

Obok niej siedział Will, on zsunął swoje słuchawki na szyję. Przewrócił kartkę wstępnego raportu o Obserwatorach, który wydrukowała im Tammi.

– Niektóre ich teorie są dość skomplikowane – mruknął. – Trudno będzie sterować rozmową na tej podstawie.

– Nie musimy używać teorii spiskowych Obserwatorów do sterowania rozmową – odparła Abby. – Posłuży nam do zacieśnienia relacji, by dać im poczucie, że są rozpoznawalni.

– Ale ich teorie z założenia każą podchodzić do policji z nieufnością. W ten sposób nie zbudujemy zaufania.

– Policja to wielki i przerażający abstrakt. Ale oni będą rozmawiali z Abby i Willem, ich przyjaciółmi w policji.

Will zerknął na nią sceptycznie.

– Tu nie chodzi o ćpuna na głodzie, który ma halucynacje. To tylko teoria. Możemy nimi pokierować tak, by sami zobaczyli, że to nie ma sensu.

Abby z zaskoczeniem uniosła brwi.

– Dlaczego?

– Bo jeśli nam się uda, zrozumieją, że nie mają powodu tam tkwić. Bo powód, dla którego się tam znaleźli, przestanie istnieć.

Pokręciła głową.

– Masz rację. To nie są halucynacje ani urojenia. Raczej coś w rodzaju religii. A nie tłumaczysz fanatykom religijnym, że ich bóg nie istnieje.

– To nie jest religia. – Will uderzył w trzymane papiery. – Tu piszą, że według Obserwatorów sitwa zamordowała Michaela Jacksona, ponieważ chciał ją zdemaskować. To nie...

Zadzwonił telefon. Oboje zamarli. Abby zerknęła na wyświetlacz. Udało im się zmusić operatora sieci komórkowej, żeby wszystkie połączenia ze szkoły na telefon Judith Pratchett przekierowywał od razu na numer w furgonecie negocjatorów. To połączenie było z numeru służbowego w gabinecie dyrektora.

Abby zaczęła, aż Will włoży słuchawki, i dopiero wtedy odebrała.

– Halo?

– Czy to Abby? – Ten sam głos co wcześniej. Znowu Gąsienica.

– Tak, Gąsienico, cieszę się, że dzwonisz. Już zaczynaliśmy się martwić. Jak się trzymacie?

– Świetnie. – Był czujny, ale już nie tak wystraszony i podejrzliwy jak przedtem. – Dopóki policja nie będzie się zbliżała do szkoły, nikomu nic się nie stanie.

– Oczywiście. Doceniam to, co robisz, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Wiem, że chcesz, żeby ludzie poznali, jak to wygląda z twojego punktu widzenia, i postaram się wytłumaczyć, że tylko chcieliście pomóc dzieciom. Ale obawiam się, że jeśli ktoś ucierpi, nie będzie to wyglądało najlepiej.

– Bez obaw, bylebyście się trzymali z daleka.

Abby odczekała chwilę, po czym rzekła:

– Henry mówił, że Thelma jest ranna w głowę. Dlatego martwię się o jej stan. Bez pomocy lekarskiej uraz głowy może się źle skończyć.

– Chyba nic jej nie jest. Ale nie dlatego dzwonię. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Abby zerknęła na Willa, czując znajomą mieszankę ulgi i lęku. W każdej sytuacji kryzysowej żądania zmieniają stan rzeczy. Dają negocjatorowi cenny wgląd w stan umysłu przeciwnika. Poza tym świadczą o tym, że przeciwnik patrzy w przyszłość, a nie tylko trzęsie się ze strachu. Czasami, jeśli żądania są proste, można je nawet spełnić, by pokazać dobrą wolę.

Najczęściej jednak trudno było się do nich zastosować. Wtedy należało zachować szczególną ostrożność.

– Jak mogę wam pomóc w waszej sytuacji? – spytała Abby.

– Znasz ten wpis na Twitterze, o którym ci mówiłem? Ten z szyfrem?

– Pamiętam. Razem ze znajomymi zdołałeś rozszyfrować wiadomość, dzięki której wpadliście na to, że na terenie szkoły odbywa się handel dziećmi w celach seksualnych. I dlatego postanowiliście tym dzieciom pomóc.

– No właśnie. – Był wyraźnie zadowolony. – Tę wiadomość wysłał sam komendant nowojorskiej policji.

– Komendant policji? – powtórzyła Abby, udając zdziwienie.

– Chcemy, żeby się przyznał do winy. Ma ogłosić publicznie, że wysłał ten tweet z zamiarem przyciągnięcia potencjalnych klientów. Chcemy, żeby się

przyznał, że został do tego zmuszony. Chcemy zdemaskować tych drani raz na zawsze.

Chore żądanie, niemożliwe do spełnienia. A jednak niewątpliwie był to dla niej jakiś materiał do pracy. Przede wszystkim musiała doprowadzić do zmiany tonu. Żądanie było gniewne. Gąsienica chciał zaszkodzić szemranej sitwie, która w jego wyobrażeniu pociągała za wszystkie sznurki. A gniew to niebezpieczna motywacja, sprawia, że ludzie się okopują na swoich pozycjach i nie wykazują elastyczności. Mogła jednak odbić piłeczkę, żeby zobaczyć własne żądania w lepszym świetle.

– Muszę się upewnić, czy dobrze zrozumiałam. Chcecie, by komendant policji potwierdził wasze odkrycie, że jego tweet dotyczył handlu dziećmi. Bo kiedy to zrobi, ludzie rozumieją, że mieliście prawo podjąć takie działanie, że zrobiliście to wyłącznie w celu uratowania tych dzieci.

– Owszem, zgadza się.

– Jeśli uda nam się to ujawnić, ludzie bez dwóch zdań rozumieją wasze działania. Zwłaszcza jeżeli nikt poważnie nie ucierpiał.

– Tak – padło po chwili wahania.

– Martwi mnie tylko, że jeśli ktoś jest poważnie ranny i nie załatwimy mu pomocy, to sprawa będzie wyglądała nieciekawie. Przecież waszym celem było ratowanie życia.

– Ehe. – Odchrząknął. – Thelma... jej nic nie jest. Ale mamy tu rannego faceta. Nie nasza wina, to był wypadek.

– Dobrze. Co możemy zrobić w tej sprawie? – Gdyby zaproponowała rozwiązanie, Gąsienica by odmówił, podejrzewając podstęp. Sugestia musiała wyjść od niego.

– Przypuszczam, że powinien szybko otrzymać pomoc. Ale najpierw chcę usłyszeć przyznanie się do winy.

– A, to. Żeby do tego doszło, muszę załatwić kilka rzeczy. Potrzebne mi są dodatkowe dowody, bo wątpię, żeby się przyznał tylko dlatego, że mu tak powiem. Poszperam w tym, ale najpierw muszę dostać zgodę na przejrzanie policyjnej bazy danych. Muszę przesłuchać kadrę nauczycielską w szkole oraz kilka osób z najbliższego otoczenia komendanta. No i załatwić nakaz sądowy, żeby Twitter ujawnił nam informacje na temat tego tweeta, na przykład kto go przeczytał, i porównać te nazwiska z rejestrem przestępców seksualnych. Chcę też sprawdzić fora, na których przestępcy seksualni skupiają się na dzieciach, i przekonać się, czy rozmawiali na ten temat. To jednak oznacza współpracę z FBI, więc muszę znaleźć tam kogoś zaufanego.

– Eee... zgoda.

Abby rozparła się na krześle. Prawe ucho miała przygniecione. Przyciśnięta słuchawkami oprawka okularów wpijała jej się w skronie. Poprawiła słuchawki.

– Wszystko to jednak potrwa. Musisz się więc uzbroić w cierpliwość i jeszcze przez jakiś czas wytrzymać ten stres. A ja tymczasem będę miała tutaj wszystko pod kontrolą, pod warunkiem, że zrobisz to samo. To znaczy, że musisz zapanować nad swoimi znajomymi i innymi ludźmi, którzy są tam z tobą. Jak sobie z tym poradzisz?

– Moi znajomi się zgodzą. Zależy im, żeby ludzie poznali prawdę. A zakładnikom nic nie jest. Właśnie w tej chwili ktoś z nich bandażuje Carlosa, i chyba nieźle jej idzie. A pozostali słuchają poleceń.

– To dobrze. Poza tym chcę, żebyś nie blokował tej linii, żebym w każdej chwili mogła się do ciebie dodzwonić i poinformować o postępach.

– Nie chcę, żeby ludzie tu wydzwaniali i grozili nam albo kazali się poddać.

– Obiecuję, że do tego nie dojdzie. Chodzi o to, żebym mogła cię informować na bieżąco albo zadać pytania dotyczące śledztwa.

– No dobrze, zgoda.

– Świetnie. Martwi mnie Carlos. To może trochę potrwać, a nie chcę, żeby jego stan się pogorszył.

– Już się nim zajęto. Będzie dobrze.

– Kiedy ludzie sobie uświadomią, dlaczego to zrobiliście, będą was postrzegali w pozytywnym świetle. Ale jeżeli Carlos jest poważnie ranny...

– Powiedziałem, że nic mu nie jest. – Tracił cierpliwość i przyjmował postawę obronną.

Postanowiła się wycofać. Do Carlosa powróci podczas następnej rozmowy.

– A jak się czują pozostali? Może ktoś jest głodny albo spragniony?

– Zajmiemy się tym. A ty rób, co obiecałaś. – Połączenie przerwano.

Abby zdjęła słuchawki i położyła je na stole. Zdjęła też okulary, tak że świat przesłoniła jej lekka mgła. Odetchnęła głęboko.

– Wydostanie stamtąd Carlosa Ramireza musimy absolutnie postawić na pierwszym miejscu – powiedział Will.

– Ehe. – Abby z powrotem włożyła okulary. – Zwróciłeś uwagę na to, jak mówił o bandażowaniu Carlosa przez zakładniczkę. Najpierw powiedział „ktos z nich”, a potem „ona”... Traktował ją bezosobowo.

Will skinął głową.

– Ale wcześniej wymienił Thelmę po imieniu. Tu chodzi o kogoś innego. I chyba słyszałem w tle czyjś głos. Zaczekaj chwilkę.

Zajął się aparaturą nagrywającą. Abby niczego w tle nie słyszała. Jako główny negocjator musiała się skupić na dialogu, uważnie słuchać interlokutora i bez przerwy zastanawiać się, jak najlepiej pokierować rozmową i narzucić swój

punkt widzenia. W takiej sytuacji cała reszta – odgłosy w tle, drobne zawahania, zmiany tonu – często jej umykały. Zwracanie uwagi na takie szczegóły należało do drugiego negocjatora.

– Mam. – Will puścił nagranie.

Abby usłyszała swoje słowa: „Jak mogę wam pomóc w waszej sytuacji?” i odpowiedź Gąsienicy, który mówił coś o Twitterze. A w tle... było coś jeszcze. Zmarszczyła czoło. Will cofnął nagranie i poprawił dźwięk, tak by wytłumić głosy Abby i Gąsienicy, a wzmocnić te w tle. Znowu włączył odtwarzanie. Tym razem usłyszeli, jak ktoś szybko wciąga powietrze i szepcze „O Boże!”. Wysoki kobiecy głos. Abby była prawie pewna, że to młoda dziewczyna.

– Ktoś z uczniów? – zapytała.

– Na to wygląda. Uczennica.

Abby zerknęła na wypisaną na tablicy listę brakujących uczniów, mimo że znała te nazwiska na pamięć.

– Czyli prawdopodobnie chodzi o Lisbeth albo Ruby.

– Może jedna z nich opatrywała Carlosa. Spytamy rodziców, czy znały się na udzielaniu pierwszej pomocy. – Will cofnął nagranie jeszcze o kilka sekund. – To nie wszystko. Posłuchaj jego tonu.

Abby słuchała, jak Gąsienica mówi: „Ale nie dlatego dzwonię. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła”. Will zatrzymał nagranie i spojrzał na nią.

– Zniżył głos – powiedziała.

– No właśnie. Nie chciał, żeby inni go usłyszeli. Myślę, że współnicy nie popierają jego żądań. On rozmawiał z gabinetu dyrektora, prawda? A sądzimy, że co najmniej jedno z nich obserwuje obraz z kamer monitoringu w gabinecie sekretarki. Zniżył głos, żeby tamci nie mogli go usłyszeć.

– Chyba masz rację. Możemy to wykorzystać do...

Otworzyły się tylne drzwi i do środka wszedł Carver, a za nim Tammi. Na widok miny Carvera Abby poczuła paraliżujący strach.

– Co odkryłeś? – spytała.

– Mamy rysopisy trojga napastników – odparł Carver. – Pytali dzieci, jak dostać się do gabinetu sekretarki na drugim piętrze. Mamy też przydatne zeznania personelu i innych uczniów. Ci, którzy wzięli zakładników, mają broń krótką, a skoro tylko kobieta miała niewielką torebkę, to raczej nie dysponują większą ilością amunicji. Ale są też złe wieści. Chodzi o Samanthę.

– Została ranna? – Abby zerwała się z krzesła, żołądek podszedł jej do gardła.
– Gdzie jest?

– Nie ma jej z innymi dziećmi – rzekł Carver. – Zniknęła.

– Przecież sprawdzali nazwiska! – rzuciła, zerkając na listę na tablicy, jak gdyby przegapiła nazwisko własnej córki.

– Porównali ich nazwiska z listami obecności – wyjaśnił Carver. – Ale Samantha nie było dzisiaj na żadnej lekcji. Rozmawiałem z jej koleżanką, powiedziała mi, że Samantha czasem zrywa się z lekcji, żeby ćwiczyć ze swoją kapelą. Nie ma żadnego dziecka z zespołu. I żadne z nich nie odbiera telefonu.

Abby zakręciło się w głowie, przypomniała sobie, jak ktoś na nagraniu powiedział „O Boże!”. Uświadomiła sobie, że głos tej dziewczyny brzmiał zupełnie jak głos Fiony, przyjaciółki Sam. A Samantha знаła się jako tako na udzielaniu pierwszej pomocy.

Jej córka była na terenie szkoły.

ROZDZIAŁ 25

Dżinsy Sam przesiąkły lepłą krwią, która oblepiała jej skórę – czuła ją w każdej chwili, przyprawiało ją to o mdłości. Przestała o tym myśleć, tak jak nie zwracała uwagi na pistolety wokół niej, na łkanie przyjaciółki ani na lubieżne spojrzenia Kapelusznika.

Pan Ramirez oddychał z trudem, z jego ust ciekła strużka krwi. Ziejący w jego piersi otwór pokrywała spieniona krew. Przy każdym wdechu wydobywał się z niego syk powietrza. Prawdopodobnie kula przebiła płuco.

Sam chodziła do pana Ramireza na chemię. Nienawidziła tych lekcji, mimo że nieustannie próbował tłumaczyć, jaka to piękna dziedzina wiedzy. Fiona i Sam mawiały, że Ramirez zapewne ogląda układ okresowy pierwiastków niczym pornografię. Śmiejąc się do rozpuku, wyliczały pierwiastki, które najbardziej go podniecają. Gdy to sobie teraz przypomniała, zebrało jej się na płacz. Nie powinna była tak mówić. On tylko próbował sprawić, żeby uczniowie polubili przedmiot, który wykładał.

Z pokoju pielęgniarki przyniosła nasączone alkoholem waciki, którymi delikatnie oczyściła ranę. Każdy wacik natychmiast robił się różowy; wyrzucała je jeden po drugim, żałując, że nie wzięła więcej.

Co dalej? Samo przyłożenie gazy nic nie da.

– Almo – odezwała się cicho. – Poszukaj w telefonie informacji o tym, jak należy zabandażować ranę piersi.

– Myślałem, że wiesz, co robić – wtrącił się Kapelusznik. – Mówiłaś tak, że niemal uwierzyłem, że jesteś chirurgiem.

Sam zerknęła na niego, robiąc skruszoną minę.

– Przeszłam kurs udzielania pierwszej pomocy, ale nie zajmowaliśmy się ranami postrzałowymi, a on chyba ma przebite płuco.

Nie przestawał się na nią gapić, wysuwając dolną wargę. Przez chwilę patrzyła mu w oczy, aż w końcu odwróciła wzrok. W przeciwieństwie do swoich znajomych, najwyraźniej zupełnie nie przejmował się sytuacją. Można by rzec, że się nią delectował. Czyżby lubił niebezpieczeństwo? A może podniecało go mierzenie do ludzi z pistoletu? Nie miała pojęcia. Najlepiej zrobi, trzymając się

z dala od niego. O wiele łatwiej rozmawiało się z Alną, mimo jej szalonych urojeń na temat grupy nikczemników władających całym światem.

– To się chyba nazywa odma opłucnowa otwarta – powiedziała Alma, czytając tekst na ekranie telefonu. – Uhm. Tu piszą, że powinnaś zakleić ranę kawałkiem folii. Możesz skorzystać z paczki sterylnych bandaży.

– Jest tam może jakiś... film albo coś? – spytała Sam z rozpaczą w głosie.

– Poszukam...

– A może zrobisz tak, jak ci powiedziała Alma? – warknął Kapelusznik. – Facet i tak wykituje. Chcesz zgrywać lekarkę, to proszę bardzo. Ale nie urządzimy tutaj szkoły pielęgniarskiej.

– Posłuchaj – wtrąciła się Alma. – Powinniśmy się postarać, żeby on...

Kapelusznik okręcił się na krześle i wstał, zaciskając pięści.

– Co ty kombinujesz z tą dziewczyną? – prychnął. – Zakumplowałaś się z nią? Pogrywasz sobie z nami, Almo? Myślisz, że kiedy to się skończy, ta mała wybroni cię przed policją?

– N... nie.

– Bo jeśli mnie pamięć nie myli, trzymałaś tych ludzi na muszce. A kiedy mówiłem, że nie powinniśmy wchodzić do środka, to ty się uparłaś, żebyśmy tu weszli.

Usta Almy drżały; powoli opuściła telefon.

Sam odwróciła się do nich plecami i skupiła się na Ramirezie. Sterylne bandaże były pakowane oddzielnie, każdy w osobnej białej folii. Ostrożnie otworzyła jedno opakowanie, tak by go nie zniszczyć. Następnie przemyła folię gazikiem z alkoholem, licząc, że wysterylizuje ją jak należy. Rozłożyła ją płasko na otwartej ranie. Ramirez jęknął cicho, nie otwierając oczu. Sam modliła się w duchu, żeby rzeczywiście był nieprzytomny. Bo jeśli nie, odczuwałby niewyobrażalny ból. Wzięła rolkę przylepca i próbowała umocować nim folię na miejscu, ale wciąż się zsuwała.

– Ktoś musi mi pomóc i go podnieść, żebym mogła przykleić bandaż – powiedziała.

Kapelusznik wstał z krzesła i kucnął obok niej. Spojrzał na Ramireza, po czym chwycił go pod pachy i uniósł brutalnie.

– Dzięki – mruknęła Sam, rozwijając przylepiec, żeby obwiązać nim klatkę piersiową rannego. W tym celu musiała się nachylić do Kapelusznika, tak że ich głowy niemal się zetknęły. Na policzku poczuła jego ciężki oddech, do zapachu krwi doszedł paskudny smród. Skupiła się na przylepku, uważając, żeby się nie skręcił podczas owijania torsu Ramireza. Kapelusznik wciągnął powietrze, gdy odwróciła się od niego. Próbując nie zwracać uwagi na jego obecność, zdołała

obwiązać rannego przylepcem jeden raz. Pragnęła z tym wreszcie skończyć, ale wiedziała, że to za mało.

– Ja... muszę go jeszcze zabandażować – powiedziała.

– To do roboty – odparł Kapelusznik.

Owijanie rannego bandażem było jeszcze trudniejsze, musiała okręcić go kilkakrotnie. Bliskość Kapelusznika była nie do zniesienia. Raz musnęła czołem jego policzek. Spod opatrunku sączyła się krew, zabarwiając biały materiał na czerwono. Skóra Ramireza była zimna. Zbyt zimna? Nie miała pojęcia. Oddychał płytko, z wysiłkiem. Łzy napłynęły jej do oczu – może ze strachu przed Kapelusznikiem, może dlatego, że wiedziała, iż pan Ramirez umiera, a może po prostu wszystko to ją przerosło. Pociągnęła nosem i dalej rozwijała bandaż z rolki, starając się przycisnąć opatrunek do rany jak najmocniej.

Wreszcie skończyła. Odsunęła się i odetchnęła głęboko. Wzięła kolejny gazik z alkoholem i zmyła z dłoni lepłą krew.

Kapelusznik opuścił Ramireza na podłogę, bez słowa usiadł przed komputerem i wlepił wzrok w ekran.

Sam zapięła koszulę pana Ramireza. Skończywszy, sprawdziła, czy nie ma innych ran. Spodnie miał przesiąknięte krwią, więc obejrzała je uważnie, szukając dziur. W wypchanych kieszeniach widać było zarys jego portfela i telefonu. Czy w portfelu nosił zdjęcia swoich dzieci? Czy na ekranie telefonu była wiadomość o nieodebranych połączeniach od żony albo przyjaciela? Odetchnęła. Ona już zrobiła, co mogła.

Przez cały ten czas działała z konieczności, wykonując kolejne zadania. Teraz, gdy nic już nie miała do roboty, poczuła się zagubiona. Wróciła w kąt pokoju i usiadła obok Fiony. Wzięła ją za rękę, splotły palce. Fiona lekko uściśniła jej dłoń. Sam zerknęła na przyjaciółkę i uśmiechnęła się blado.

Czy pewnego dnia będą wspominały tę chwilę, tak jak rozmawiały o wszystkim innym? Używając zwrotów w rodzaju: „A pamiętasz, jak...” albo „Nie mogłam uwierzyć, że...”, tak jak zawsze, gdy się dzieliły wspomnieniami. Czasami Sam odnosiła wrażenie, że razem z Fioną prawie cały czas spędzały na mówieniu o tym, co już się wydarzyło. O tym, jak w pierwszej klasie Fiona obcięła nożyczkami warkocz Britney. Albo jak Sam przypadkiem wpadła na panią Heroux, nauczycielkę francuskiego, kiedy całowała się z ojcem jakiejś uczennicy. Albo jak w drugiej klasie Fiona specjalnie zwymiotowała w sali lekcyjnej, żeby się urwać z testu z matmy. Albo jak mając pięć lat, schowały się pod biurkiem ojca Fiony i zjadły po wielkim kawałku papieru, chcąc sprawdzić, jak smakuje.

A teraz to. Nie wyobrażała sobie, by kiedyś porozmawiały o tym dniu, żeby nie wiem co. Nawet jeżeli wszyscy wyjdą z tego bez szwanku. Oparła głowę na ramieniu przyjaciółki, szukając w tym dotyku pociechy.

Z gabinetu dyrektora wyszedł ten drugi mężczyzna, Gąsienica.

– Rozmawiałem z tą policjantką, załatwiłem nam więcej czasu.

– A co z prywatnym helikopterem? – spytał Kapelusznik.

– O tym jeszcze nie mówiłem – odparł Gąsienica. – Robiłem, co mogłem, żeby odwieść ich od szturmu na budynek.

– Gadałeś z nią całą wieczność! – warknął Kapelusznik. – Ciekawe o czym? O pogodzie?

– Wciąż próbuję się zorientować, czy możemy jej ufać – Gąsienica podniósł głos. – Twoim zdaniem po dziesięciu minutach rozmowy miałem zaproponować jej wymianę zakładników?

– Żeby przypadkiem nie przyszło ci do głowy dogadać się z nią na boku – ostrzegł Kapelusznik.

– Chyba mnie znasz – odparł Gąsienica.

Dorastając w domu z rodzicami, których małżeństwo się rozpadało, Sam nauczyła się nadstawiać uszu, zarazem udając, że nic nie słyszy. Zawsze gdy mama i tata się kłócili, chodziła po domu niczym głuchy duch, bezszelestnie, ledwo oddychając i nie zwracając uwagi na podniesione głosy, oskarżenia, a w końcu krzyki. Na początku chowała się w swoim pokoju pod kołdrą, czekając, aż to się skończy. Ale skoro podobne sytuacje się powtarzały, nauczyła się z tym żyć. Nauczyła się słuchać każdego słowa, z jakiegoś powodu wierząc, że jeśli zrozumie, o co chodzi, zapobiegnie następnej kłótni. I powstrzyma tatę przed odejściem.

Teraz też słuchała uważnie, z nadzieją, że wiedza o tym, co się dzieje, pozwoli jej wyjść z tego cało.

Kapelusznik przyglądał się Gąsienicy przez dłuższą chwilę, aż w końcu się odprężył.

– No i co? Uważasz, że możemy jej zaufać?

– Jeszcze nie wiem, ale ona nie jest jedną ze znanych nam agentek. I wydaje się, że naprawdę zależy jej na tym, żeby nikt nie ucierpiał.

– Tak? A jak ma na imię?

– Abby.

Fiona jęknęła. Sam mocno ścisnęła jej dłoń, choć serce waliło jej jak młotem. To mama rozmawiała z Gąsienicą przez telefon. Czy wiedziała, że Sam jest wśród zakładników? Czy wpłynęłoby to na sposób, w jaki by negocjowała?

Sam pozwoliła sobie na odrobinę nadziei. Mama tu była, próbowała ją wydostać bezpiecznie. A jeśli ktokolwiek mógł to osiągnąć, to tylko jej mama.

ROZDZIAŁ 26

Kiedy Sam miała osiem lat, Abby zabrała ją do galerii handlowej na zakupy. Sam potrzebowała nowych butów. Znalezienie odpowiedniej pary – białej, z lśniącem różowym paskiem – zajęło im niekończące się czterdzieści pięć minut. Wyczerpana Abby z ulgą stanęła w kolejce do kasy. Sam była obok niej. I nagle gdzieś przepadła.

To się stało w jednej chwili. Abby rozejrzała się, najpierw zdziwiona, potem zirytowana. A w końcu zaniepokojona.

Kilka sekund później była już przerażona.

Jej córka zniknęła.

Abby co chwila wołała Sam na cały głos, jak szalona biegając po sklepie, na zewnątrz i znowu w środku. Wszyscy gapili się na nią, rozglądali się, pytali, czy zaginęło jej dziecko, a ona, że tak, zaginęło, na co ktoś spytał, jak on się nazywa, na co wytrzeszczyła oczy, aż zdała sobie sprawę, że ludzie uznali, iż Sam to imię chłopca, więc wrzasnęła, że to dziewczynka, mała dziewczynka, ma na imię Samantha, może ktoś widział, dokąd poszła...

I nagle się znalazła.

Spodobały jej się jeszcze inne buty, z fioletowym lśniącem paskiem. Postanowiła więc samodzielnie sprawdzić, czy jest jej rozmiar, i poszła do magazynu na zapleczu.

Ta sytuacja wryła się Abby w pamięć. Ten koszmary, obezwładniający strach. Czasami śniło jej się to w nocy, a wtedy budziła się, oddychając ciężko, i widząc, że leży w łóżku, rozumiała, że to był tylko sen, że Sam śpi u siebie, a tamtego dnia nic przecież się nie stało, zniknęła tylko na krótką, przerażającą chwilę.

Teraz to uczucie wróciło. Sekundy mijały, ale jej nie opuszczało.

Ta niewiedza.

Ta rozpacz.

Ta zadyszka.

Ten strach.

– ...myślimy, że ta trójka dzieci jest na terenie szkoły – ciągnął Will.

Abby zamrugnęła, spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że nawet nie była świadoma, że coś mówił.

Oboje siedzieli w mobilnym centrum dowodzenia, razem z Estradą. Will informował dowódcę o sytuacji. Abby zaś...

Abby próbowała sobie przypomnieć, jak się oddycha.

Mówiła sobie, że wzięcie zakładników, jeśli negocjator jest dobry, zazwyczaj kończy się bez użycia przemocy. Mówiła sobie, że Sam to mądra dziewczynka. Starła się nie myśleć o okropnych wydarzeniach, takich jak rozstrzelanie zakładników w Platte Canyon, strzelanina w szkole w West Nickel Mines, oblężenie w Ruby Ridge, masakra sekty Wilcoxa, śmierć zakładników w Sacramento i... i...

– A wiemy, czy są zakładnikami? – spytał Estrada. Zwracał się do Willa, ale zerknął szybko na Abby.

W obecności rodziców nie mówi się w ten sposób. Rodzicom oszczędza się szczegółów. Zapewnia się ich, że „robimy, co w naszej mocy” i „mamy wielkie doświadczenie w tego typu sprawach”. Nie mówi się rodzicom, że nie wiemy, czy ich dzieci są zakładnikami, czy kryją się w jakiejś klasie, bojąc się, że napastnicy ich znajdą. Nie mówi się rodzicom, że nie wiemy, kim są ludzie przetrzymujący ich dzieci, i że mamy tylko ich nicki, którymi posługują się w sieci. Nie mówi się rodzicom, że napastnicy mają tylko broń krótką i niewiele amunicji, ale jest tego aż nadto, by zabić ich dzieci i pozostałych zakładników.

Rodzicom takich rzeczy się nie mówi.

– Nie jesteśmy pewni, ale uważamy, że w tle ostatniej rozmowy przez telefon usłyszeliśmy głos Fiony Brock – odparł Will.

– Rozumiem – mruknął Estrada. – Zawiadomiono mnie, że jeśli chodzi o pozostałe brakujące dzieci, to Lisbeth Reynolds zjawiała się w domu, a Barry Johns odnalazł się kilka ulic stąd. Uciekał, zgubił się i ukrył w zaułku. Z czworga brakujących dzieci mamy więc dwójkę. Ale o pozostałej dwójce nic nie wiemy.

A jeśli Sam postanowiła uciec do domu tak jak Lisbeth? Nikogo tam nie było. Może jest teraz w swoim pokoju? Abby wyjęła telefon i już miała zadzwonić do córki, ale jej palec zawisł tuż nad ekranem. W jej głowie rozwinął się przerażający obraz. Sam chowa się gdzieś w szkole pod biurkiem. Wstrzymuje oddech, by nie usłyszał jej przechodzący obok uzbrojony mężczyzna, a wtedy... dzwoni jej telefon.

Abby jęknęła cicho i odłożyła komórkę. W przeciwieństwie do Lisbeth, Sam nie poszłaby do domu, nie mówiąc nic nikomu. Poza tym gdyby mogła, już by zadzwoniła.

Poruszyła się lekko, na co obaj mężczyźni odwrócili się do niej.

– Mamy niewielki postęp w negocjacjach – oznajmiła. Usiłowała mówić spokojnie, ale bez skutku. Jej struny głosowe sklejały łyzy strachu, drżały z napięcia. Wypowiadała słowa ochryple, nierówno. – Załatwiliśmy sobie dużo

czasu, a oni nie będą blokowali linii stacjonarnej, więc możemy do nich dzwonić w każdej chwili. Potwierdzili także, że Carlos Ramirez jest ranny, i wygląda na to, że zgodzą się zapewnić mu pomoc medyczną, ale na razie nie ustaliliśmy nic konkretnego.

– A czego chcą w zamian? – zapytał Estrada.

Abby zostawiła wyjaśnienia Willowi, wypowiedzenie jeszcze kilku prostych zdań okazało się ponad jej siły. Będzie musiała odłożyć następną rozmowę z Gąsienicą, najpierw powinna się jakoś pozbierać.

Estrada słuchał pochylony, wydymając usta. Kiedy Will skończył relację, odetchnął cicho i odchrząknął.

– A zatem mamy trochę czasu – powiedział. – Musimy postanowić, w jaki sposób dokonać zamiany negocjatorów.

Abby zamrugła.

– Słucham?

– Nie wolno ci prowadzić negocjacji z ludźmi, którzy przetrzymują twoją córkę.

– Ale oni nie wiedzą, że to moja córka. To w żaden sposób nie wpłynie na sposób prowadzenia tej sprawy. – Zerknęła na Willa, szukając wsparcia, lecz unikał jej wzroku.

– Nieważne, co oni wiedzą – rzekł Estrada. – Nie możesz prowadzić tych negocjacji. Skoro na szali jest życie twojego dziecka.

O nie, była jedyną osobą, która potrafiła to poprowadzić. Nie mogła zaufać nikomu, że załatwi to jak należy i uratuje Sam. Musiała postawić sprawę jasno.

– Z całym szacunkiem, kapitanie, uważam, że chodzi nie tyle o to, jak wykonuję swoje obowiązki, ile o to, że jestem kobietą. Mówi pan tak dlatego, że jestem matką. Bo gdybym była mężczyzną, nigdy by mi pan tego nie powiedział.

Zaskoczony Estrada wlepił w nią wzrok. Wstała, zacisnęła pięści i krzyczała na niego. Co w nią wstąpiło?

– Nie chodzi o to, że jesteś matką – sprostował cicho. – Sam mam troje dzieci, Mullen. Gdyby któreś z nich było w tej szkole, tobym się załamał. I tak jestem zdumiony, jak świetnie się trzymasz. Ale nie możesz być negocjatką.

Usiadła z powrotem.

– Zmiana negocjatorów zawsze jest obarczona ryzykiem. Ja nawiązałam już relację z tymi ludźmi. I zrobiłam duże postępy. Jeśli się teraz zamienimy...

– Sama podałaś im dobry powód do dokonania zamiany – przerwał jej Will.

Z niedowierzaniem odwróciła się do niego.

– Co proszę?

– Powiedziałaś im, że zajmiesz się ich żądaniami. Mówiłaś tak, jakbyś zamierzała to robić osobiście. Zrozumieją, że skoro się tym zajmujesz, to nie

możesz jednocześnie z nimi rozmawiać.

– Will, dobrze wiesz, że dam sobie radę. Fakt, że Sam jest w środku, tylko pomoże mi się skupić. Zresztą nie wiemy, czy ona też jest zakładniczką. Co będzie, jeśli się zamienimy, a dwie minuty później ona się tu pojawi? Bez powodu narazimy negocjacje na szwank. Nie stać nas na takie ryzyko.

– To nie podlega dyskusji, Mullen – oświadczył Estrada. – A decyzja nie należy do ciebie ani do Vereena, tylko do mnie. Macie się zamienić, i to jak najszybciej.

– Ale...

– Vereen... – Estrada odwrócił się od niej. – Za dwadzieścia minut masz się tu stawić na odprawę z Bakerem z JRK. A my skończyliśmy.

Przypominało to senny koszmar, w którym spadasz z wysokości. Abby zaś nie miała się czego przytrzymać.

ROZDZIAŁ 27

Abby siedziała na miejscu głównego negocjatora, ze słuchawkami na uszach. Niewidzialna pięść trzymała ją za serce i zaciskała się powoli.

– Na pewno jesteś gotowa? – spytał Will.

– Tak – szepnęła.

Odsunęła się szybko, gdy dotknął jej ramienia. Cofnął więc rękę i też włożył słuchawki.

Wcisnęła przycisk redial. Telefon zadzwonił. Jeden sygnał. Drugi.

Gardło miała tak ściśnięte, że nie była pewna, czy zdoła się odezwać, kiedy odbiorą. Może jednak nie była na to gotowa. Will i Estrada mieli rację, w takim stanie nie mogła prowadzić negocjacji. Nie potrafiła nawet dokonać łatwej zamiany miejsc. Zerknęła na klawisze aparatu. Może powinna przerwać połączenie, przejść się, uspokoić i dopiero wtedy zadzwonić ponownie. O mały włos tak nie zrobiła.

Trzeci sygnał.

Ale oni tam mają paranoję, więc skoro zadzwoniła, to nagłe rozłączenie się bynajmniej by ich nie uspokoiło. A nie mogła tego zepsuć. Choćby ze względu na Sam musiała to załatwić jak należy.

Zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

Czwarty sygnał.

A jeśli nie odbiorą? Albo jeśli odbierze ktoś inny niż Gąsienica? Jeżeli dowiedzieli się już, że Sam jest jej córką, i zagrożą, że ją zabiją, jeśli Abby nie spełni ich żądań? Co wtedy?

Trzask, a potem czyjś głos.

– Halo? – To był Gąsienica. Mówił cicho, prawdopodobnie nie chciał, żeby jego współnicy go słyszeli.

– Witaj, Gąsienico, tu Abby. – Powiedziała to jak zawsze ciepło i naturalnie. Przygotował ją do tego wieloletni trening. Nigdy nie daj im poznać, co czujesz. Nawet teraz, choć z trudem zachowywała trzeźwość umysłu, bez trudu nawiązała rozmowę. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że zabrzmie to w jej głosie. – Mam już dobre wiadomości. Załatwiłam sobie dostęp do policyjnej bazy danych, więc mogę to zbadać gruntownie.

– Świetnie, i co odkryłaś?

– Jak mówiłam, zajmie mi to trochę czasu i nie mogę robić tego stąd. Dlatego pojedę teraz na komendę i zacznę szukać. Zobaczymy, co wygrzebie.

– Chwila! – Wystraszony Gąsienica podniósł głos. – Potrzebujemy cię tutaj, żebyś ich trzymała z daleka.

– Przykro mi, stąd nie dam rady zbadać sprawy – powiedziała.

– To znajdź jakieś rozwiązanie, do cholery! Potrzebujemy cię, żebyś ujawniła prawdę na temat tego, co się stało.

Abby musiała powtórzyć jego żądanie na głos i zrobiła to, ale o ułamek sekundy później niż zwykle. Gąsienica nie mógł zauważyć tej krótkiej ciszy, ale Will uniósł brwi.

Odchrząknęła.

– Twój stres jest całkiem zrozumiały. Chcesz, żebym znalazła dowody na prawdę, czyli na to, że komendant policji maczał palce w handlu dziećmi na terenie szkoły, bo chwilowo jestem jedyną policjantką, która ci wierzy. Z drugiej strony wymagasz, żebym była tu na miejscu i dbała o bezpieczeństwo wszystkich. Nie będzie ci łatwo zaufać policji, skoro na nikim tutaj nie będziesz mógł polegać.

– Otóż to, i dlatego musisz znaleźć jakieś rozwiązanie.

– A masz jakąś propozycję, jak z tego wyjść? – Jasno zarysowała problem i dała mu tylko jedyne wyjście.

Teraz musiał tylko połączyć przynętę i znaleźć wyjście za nią.

To się za bardzo wlokło. Gąsienica z irytacją ścisnął słuchawkę telefonu. Nagle na każdym kroku piętrzyły się trudności nie do pokonania. Nie ma siły, żeby sobie z tym poradzić. Wysłać tę policjantkę, żeby odkryła za nich prawdę, a jednocześnie przetrwać i nie dopuścić do szturmu policji? Nie mówiąc o tym, że ten nauczyciel lada chwila wykituje, sitwa prawdopodobnie otacza ich już ze swoimi agentami, Kapelusznik tylko pogarsza sytuację, Alma przestaje mu ufać i... i...

Jęknął bezradnie.

– Hej, Gąsienico. – W jego uchu rozległ się głos Abby, spokojny i ciepły. – Dobrze ci idzie. Jestem pod wrażeniem, jak starasz się zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Możemy to zrobić razem, zgoda? Wszystko po kolei. Najpierw pomyślmy, jak zrobić kolejny krok.

– Dobra – mruknął wykończony. – Dobra, daj mi pomyśleć.

Potrzebował jej, żeby odwaliła za niego tę robotę. Obserwatorzy nigdy nie mieli dostępu do takich źródeł jak ta policjantka. Bez niej się nie obejda. Ale jeżeli odjedzie, kto powstrzyma policję i FBI przed atakiem na szkołę? Była jedyną osobą, której ufał. Tylko czy może wierzyć w jej osąd?

Nie miał wyboru.

– Czy masz tam kogoś zaufanego, kto dopilnuje, żeby wszyscy trzymali się z daleka? – zapytał. – To musi być ktoś, komu absolutnie wierzysz. Ktoś, komu życie zakładników leży na sercu bardziej niż cokolwiek innego. Ale nie musisz go wtajemniczać w to, co robisz. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Ten ktoś ma tylko pilnować, żeby bez względu na okoliczności nikt się do nas nie zbliżał.

– Pytasz, czy znam godnego zaufania i porządnego człowieka, który na pewno zadba, żeby nikomu nie spadł włos z głowy? Kogoś, kto zapanuje tu nad wszystkim?

– Tak.

– Znam jednego gościa, który by się nadawał – oświadczyła Abby bez wahania. – To ktoś, z kim pracuję. Na imię ma Will. Znam go od bardzo dawna. Jest jednym z najuczciwszych ludzi pod słońcem. Wszyscy go szanują. Będą go słuchali. I nigdy nie zrobiłby nic, co mogłoby narazić ludzkie życie.

– W porządku. Czy możesz go tu ściągnąć, żeby przejął kontrolę?

– Żaden problem. Zaraz do niego zadzwonię. A co z tobą? Jak sprawy po twojej stronie? Panujesz nad wszystkim?

– Absolutnie.

Sam kręciło się w głowie. Nie jadła śniadania, a odkąd się obudziła, wypila zaledwie parę łyków wody. Gdy spadał jej poziom cukru, zawsze miała mdłości i zawroty głowy. Oparła się o Fionę, położyła głowę na ramieniu przyjaciółki i oddychała głęboko, by przetrwać nudności.

W sąsiednim pokoju Gąsienica znowu rozmawiał przez telefon, pewnie z mamą. Próbowwała podsłuchiwać, ale dolatywał do niej tylko cichy szept.

Przyszło jej na myśl, że gdyby teraz krzyknęła na cały głos, wzywając pomocy, to mama by usłyszała. Przez kilka sekund wyobrażała sobie, jak mama rozmawia przez telefon, słyszy wołanie córki o pomoc i wpada do szkoły z pistoletem w ręce, żeby ją uratować.

Ale nie tak by to wyglądało. Gdyby zaczęła krzyczeć, Kapelusznik albo by ją uderzył, albo, co gorsza, zastrzelił. Mama by to usłyszała, ale nie wbiegłaby do szkoły, bo naraziłaby na ryzyko i siebie, i zakładników. I wszystko szlag by trafił.

A gdyby tak spróbowała wysłać mamie esemesa?

Kiedyś, kiedy była młodsza, mamę wezwano, żeby porozmawiała z człowiekiem, który zabarykadował się w swoim domu z żoną i córką i groził, że je zabije. Mama rozmawiała z nim bez przerwy przez cały dzień. Zajęło jej to dwadzieścia cztery godziny, ale w końcu mężczyzna się poddał, a jego żona i córka wyszły z tego bez szwanku. Sam zapytała potem mamę, o czym gadała z nim przez tyle czasu.

Mama odparła, że głównie słuchała. Bo zdesperowani ludzie przeważnie chcą być wysłuchani. A poza tym dla negocjatora informacje są jak tlen. Im więcej wiemy, tym lepiej, powiedziała mama. Mając dostateczną wiedzę, można opracować skuteczną strategię pozwalającą rozwiązać problem.

Mama potrzebowała informacji.

– Almo – odezwała się Sam głośno, z przestraczem. – Zdaje się, że pan Ramirez przestał oddychać. Muszę go zbadać, dobrze?

Alma, która grzebała w jednej z szafek na akta w gabinecie sekretarki, uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Na mój gust wygląda tak samo – odparła z wahaniem.

– Został postrzelony w pierś, moim zdaniem kula przebiła mu płuco – rzekła Sam, podnosząc głos. – Jeśli coś pójdzie nie tak, on umrze! Musimy mu załatwić pomoc.

– Zamknij się! – warknął Kapelusznik.

– Ale Kapeluszniku, niech pan mnie posłucha...

– Nikt cię nie pyta o zdanie!

– Jest nas tu sześcioro! – krzyknęła Sam w desperacji. – Nawet jeśli go pan uwolni, zostanie pięcioro zakładników. A jeśli pan i Alma...

– Kazałem ci się zamknąć, do cholery! – ryknął Kapelusznik, zerwał się z krzesła i wycelował w nią pistolet. – Stulisz pysk, czy mam cię zastrzelić?

*

Najpierw pojawiły się w tle jakieś szmery, ale Abby nie zwracała na nie uwagi, żeby w pełni skupić się na słowach Gąsienicy. Podczas tej rozmowy to Will miał słuchać odgłosów w tle.

Ale skoro przybierały na sile, nie mogła ich dłużej ignorować. Już nie.

To była Sam. Krzyczała na kogoś. Kłóciła się. Wkurzała uzbrojonych ludzi, przez co robili się nieprzewidywalni i niebezpieczni.

A potem krzyk mężczyzny:

– Stulisz pysk, czy mam cię zastrzelić?

Kolejne krzyki, aż w końcu Gąsienica ryknęła:

– Dość tego, nie ruszać się, niech się nikt nie rusza!

– Gąsienico – odezwała się Abby, podnosząc głos. – Mam wrażenie, że coś się u was...

– Nie strzelaj! – wrzasnęła jakaś kobieta.

– Cisza, zamknij się, bo nas pozabijają!

– Odłóż pistolet!

– Mordy w kubeł, wszyscy! – ryknął Gąsienica.

– Gąsienico! – Teraz już i Abby krzyczała. – Każ im się uspokoić! Macie się wszyscy uspokoić!

Krzyki nie ustawały, lecz Abby nie była w stanie rozróżnić słów. Nie mogła oddychać, czuła, jak lodowaty ziąb ogarnia jej pierś, gdy przypomniła sobie swój ostatni krzyk.

Krzyknęła na porywacza. Kazała mu się uspokoić!

Czy ktoś kiedyś się uspokoił, bo tak mu kazano? Abby nigdy się z czymś takim nie spotkała – ani w setkach relacji z sytuacji kryzysowych, które czytała, ani w realnym życiu. Wiedziała, jak to jest.

Słyszając, że ma się uspokoić, rozjuszony człowiek jeszcze bardziej się wścieka.

Negocjatorzy przenigdy tego nie mówią. Oni nie znają takiego słowa. Sama setki razy uczyła tego innych policjantów. Nigdy, przenigdy nie mów ludziom, że mają się odprężyć albo uspokoić.

Próbowała się odezwać, powiedzieć coś innego, ale nie mogła wydobyć głosu, uwiązał jej w gardle. Zamrugała szybko, próbując znów skupić się na tym, co działo się po drugiej stronie. Napotkała wzrok Willa.

Gapił się na nią przerażony.

Nagle Gąsienica warknął do telefonu:

– Pogadamy później. Na razie ściągnij tu tego faceta.

Rozłączył się.

– Chryste Panie – szepnęła Abby.

– Abby – odezwał się cicho Will.

– Nie. – Uniosła rękę. – Ani słowa. Proszę. Daj mi chwilę.

Zdjęła słuchawki i wstała oszołomiona. Podeszła chwiejnie do tablicy i wlepiła w nią wzrok. Musiała coś na niej zapisać. Mieli nowe informacje. Mieli...

Ten człowiek groził, że zastrzeli Sam. Ona zaś tylko pogorszyła sytuację.

Uderzyła w tablicę otwartą dłonią, rozmazując atrament.

– Jasna cholera! – Jej głos brzmiał źle, jak rannego zwierzęcia.

– Myślę, że on cię nie słyszał – rzekł Will. – I nie wygląda na to, żeby ktoś tam ucierpiał. Dobrze załatwiłaś kwestię zamiany. Kiedy zadzwonię do niego, będę miał już kredyt zaufania.

– Tak – przytaknęła głucho.

– Zadzwonię za kilka minut, upewnię się, czy już się uspokoiili i czy nikomu nic się nie stało.

– Tak.

– Myślę, że Sam zależało na tym, żebyśmy ją usłyszeli. Przekazywała nam informacje. Mamy teraz dwa nowe imiona. Wiemy, ilu jest zakładników i jaki jest

stan Carlosa. Wiemy...

– Nie powinna była tak ryzykować – głos Abby drżał. – Powinna nam to zostawić. Co ona sobie wyobrażała? Will, a jeśli ją zastrzelą?

– Nie zrobią tego.

– Skąd wiesz?

Na chwilę oboje zamilkli.

– Nie mogę tu być – odezwała się w końcu Abby.

– To prawda – przytaknął Will.

– Musisz sobie załatwić innego drugiego negocjatora. Weź Tammi, ale ktoś będzie musiał zająć jej miejsce. Może Elsbeth. Albo Bradley. Bradley jest dobry

w...

– Zajmę się tym.

– Dzięki.

– Wyciągniemy ją stamtąd. Wyciągniemy ich wszystkich. Zaufaj mi.

Czy mogła to zrobić? Czy mogła zawierzyć komuś życie swojej córki?

Nieważne. Nie mogła ufać samej sobie. Już nie.

ROZDZIAŁ 28

Po chwili wahania Abby zapukała do drzwi frontowych Steve'a. Chętnie została przed szkołą, ale nie chciała rozpraszać Willa. To by jeszcze bardziej zagrażało Sam. Zmusiła się więc, by usiąść za kierownicą i odjechać. Teraz mogła zrobić tylko jedno – odwiedzić Bena.

Steve otworzył drzwi. Wyglądał strasznie. Pognieciona koszula, blada twarz, przekrwione oczy. Sądząc po jego minie, ona wcale nie wyglądała lepiej.

– Cześć – szepnęła. – Odebrałeś Bena ze szkoły? Jest tutaj?

– Ja... tak. Dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale nie odbierałaś. Sam też nie odbiera. Gdzie ona jest?

– Wciąż... wciąż jest tam. W szkole.

– Dlaczego? Czemu nie zabrałaś jej ze sobą? – Mówił ostro, z irytacją. Każdego innego dnia natychmiast doprowadziłby ją tym do szewskiej pasji. Ale nie dzisiaj.

– Steve – zniżyła głos, na wypadek gdyby stał za nim Ben. – W szkole jest sytuacja kryzysowa. Kilku uzbrojonych mężczyzn przetrzymuje w budynku sześćcioro zakładników. Wśród nich Samanthę.

Z przerażeniem wytrzeszczył oczy.

– Co takiego? Mówiłaś mi, że nic jej nie jest.

– Tak, z początku uważaliśmy, że jest bezpieczna, a potem okazało się, że nadal przebywa w budynku.

– Jak mogłaś nie sprawdzić tego na własne oczy?!

Abby zalała się łzami.

Nie rozpłakała się w jego obecności od ponad pięciu lat. Była to jej świadoma decyzja. Steve stracił prawo do tego rodzaju zażyłości. Nie płakała ani kiedy oskarżyła go o romans, ani podczas ich niezliczonych późniejszych kłótni. Ani gdy w końcu odszedł. Tym bardziej nie lała łez później. Oczywiście po ich rozstaniu płakała, czując, że jej życie legło w gruzach. Tyle że robiła to w domowym zaciszu, nigdy przy nim.

Teraz jednak nie potrafiła się powstrzymać. Jak mogła nie sprawdzić na własne oczy, czy córce nic nie jest? Tkwiła tam niemal dwie godziny, zanim się dowiedziała, że Sam bynajmniej nie jest bezpieczna. A kiedy już to odkryła,

zachowała się beznadziejnie. Nie mówiąc o tym, że Samantha prawdopodobnie naraziła się na niebezpieczeństwo z powodu tego, czego ona sama uczyła ją przez lata.

– Poczekaj, Abby. Wejdz, proszę... – Steve wprowadził ją do domu. – Po... po prostu się uspokój, dobrze? Przestań płakać.

Uspokój się. Gdyby nie to, że szlochała bez opamiętania, roześmiałyby się na myśl, że Steve użył tych samych słów, które jak idiotka wykrzyczała do Gąsienicy. Dała się zaprowadzić do kuchni i opadła na jedno z krzeseł.

– Dam ci wody, dobrze? A ty oddychaj głęboko... jasne?

– Gdzie jest Ben? – wykrztusiła.

– Na górze, ogląda telewizję.

– Co mu powiedziałaś?

– Niewiele. – Podał jej szklanekę wody. – Tylko tyle, że w szkole Sam był jakiś wypadek, ale że ty i ona jesteście bezpieczne. I pozwoliłem mu obejrzeć w telewizji *Mikrokosmos*. Czy Sam jest ranna?

Abby pokręciła głową i upiła łyk wody.

– O ile wiem, nie.

Steve usiadł naprzeciwko niej.

– Czego chcą?

– Nie mogę o tym mówić. Ale prowadzimy negocjacje. Rozmawiamy.

– Wypuszczą ją, prawda?

– Robimy, co w naszej mocy, Steve. Mamy wielkie doświadczenie w tego typu sprawach. – Czekał na takie zapewnienie. Abby chciała, żeby te same słowa także jej mogły przynieść pociechę.

– Jak długo zwykle trwają takie historie?

Wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz, jak mnie wzywali, kiedy jeszcze byliśmy razem? Czasem w dwadzieścia minut było po wszystkim. A czasami zajmowało to godziny. – Albo dni. – Pójdę uściskać Bena, dobrze?

– Jasne, bardzo proszę. – Najwyraźniej był w szoku. Abby dobrze go rozumiała.

Umyła twarz w łazience, żeby zetrzeć ślady niedawnego płaczu. Gdy w końcu uznała, że nic nie widać, poszła na górę do pokoju Bena. Steve wstawił telewizory do sypialni obojga dzieci, czemu Abby była absolutnie przeciwna. Stale kłócili się o te telewizory, ale jej były nie ustępował.

– Ben? – Otworzyła drzwi.

Serce jej zamarło.

Chłopiec siedział na łóżku, wpatrzony w ekran. Ale nie oglądał swojego ulubionego *Mikrokosmosu*. Oglądał wiadomości. Reporterka nadawała relację,

stojąc na ulicy; za plecami miała kilka wozów policyjnych, a jeszcze dalej – liceum Krzysztofa Kolumba.

Abby wpadła do pokoju, rozglądając się za pilotem. Nie znalazłszy go, wyrwała kabel z gniazdka i ekran zrobił się czarny.

– Mamo, co ty tu robisz? – Ben skierował na nią wielkie oczy.

– Przyjechałam cię odwiedzić – wysapała. – Co oglądałeś?

– *Mikrokosmos*. A kiedy się skończył, zobaczyłem szkołę Sam.

– Aha. – W głowie miała kompletną pustkę.

– W wiadomościach mówili, że w szkole była strzelanina.

Ożeż jasna cholera!

– Tak, ale chyba żadnemu dziecku nic się nie stało.

– Pani Browning mówi, że gdyby w naszej szkole ktoś strzelał, to trzeba wejść pod biurka i czekać, aż nauczyciele każą nam uciekać na dwór. – Ben spuścił wzrok na dłoń. – Ćwiczyliśmy to.

– Wiem, skarbie, pamiętam – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

– Czy Sam wie, że trzeba się schować pod stołem? Nauczyciele jej o tym mówili?

– Na pewno.

– Tata mówił, że Sam nic się nie stało.

Abby się zawahała.

– Tak, jest cała i zdrowa.

– Jest tutaj?

– Nie, skarbie, wciąż jeszcze jest w szkole.

– Dlaczego?

– Dlatego, że są tam ludzie, którzy nie chcą jej puścić.

– Dlaczego?

– Dlatego, że są smutni i wściekli.

Ben przemyślał to sobie.

– Jak ci, z którymi czasami rozmawiasz w swojej pracy?

– Właśnie, dokładnie tacy.

– Więc z tymi ludźmi też rozmawiasz?

– Rozmawiałam z nimi wcześniej. Teraz zastąpił mnie Will. Jest bardzo dobry.

– A kiedy skończy z nimi rozmawiać, wypuszczą Sam do domu?

Abby zamrugała, powstrzymując łzy.

– Tak. Ale te rozmowy mogą potrwać bardzo długo.

– Nie szkodzi.

– Mogę cię przytulić?

– Dobra.

Objęła go, przycisnęła policzek do jego jasnych włosów i oddychała głęboko, wzmacniając odwagę. Wyobraziła sobie, że tuli tak Sam, że ma w objęciach dwoje dzieci i że już nigdy ich nie puści.

– Mamo, zgnieciesz mnie.

– Przepraszam. – Cofnęła się. – Idę teraz porozmawiać z tatą, dobrze?

– Idź.

– Tylko nie oglądaj już dziś telewizji, obiecujesz? Lepiej poczytaj książkę.

Ben pokiwał głową.

Zostawiła go i zeszła na parter. Steve nadal siedział w kuchni. Otworzył butelkę piwa i skubiąc nalepkę, gapił się tępo w ścianę.

– Kiedy weszłam do pokoju, Ben oglądał wiadomości – odezwała się ostro.

– Cholera – mruknął. – Za każdym razem, kiedy film się kończy, automatycznie włączają się wiadomości. Nie wiem czemu.

– Słuchaj, on zobaczył relację ze szkoły Sam. Nie możesz mu pozwalać, żeby oglądał wiadomości w swoim pokoju...

– Chcesz się teraz o to kłócić? – przerwał jej.

Abby zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Nie, nie chcę.

– To całe szczęście. Przykro mi, że to widział. Co mu powiedziałaś?

– Podałam mu tylko podstawowe fakty. Kilku smutnych i wściekłych ludzi nie puszcza Sam do domu. Ale rozmawiamy z nimi.

– Smutni i wściekli, tak?

– Ehe.

Steve całkiem zerwał nalepkę z butelki i zmiął ją w dłoni.

– Kto jest negocjatorem?

– Will Vereen.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Rosomak? – Zawsze tak nazywał jej partnera. – A dlaczego ciebie tam nie ma? Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, odniosłem wrażenie, że bierzesz w tym udział.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Sam tam jest. Teraz nie mogę być negocjatorką.

– Niby dlaczego?

Ścisnęło ją w gardle.

– Negocjator musi być opanowany, pełen empatii i cierpliwy. Dlatego nie może nim być ktoś związany z zakładnikami.

– Do diabła z procedurami, tam jest nasza córka...

– Próbowałam, Steve! Rozmawiałam z nimi i tylko pogorszyłam sprawę. Gdybym dalej prowadziła rozmowy, naraziłabym Sam na jeszcze większe

niebezpieczeństwo.

Nie spuszczać z niej wzroku, upił łyk piwa. Wykończona Abby oparła się o blat kuchenny.

– A ten Will jest dobry?

– Co? Czy jest dobrym negocjatorem? Jest najlepszy.

Steve pokręcił głową.

– Ty jesteś najlepsza. Sama wiesz. Nowojorska policja nie ma lepszego negocjatora.

Zamrugła ze zdziwienia. Chyba po raz pierwszy Steve powiedział jej, że jest w czymś najlepsza.

– Co ty tam wiesz o policyjnych negocjatorach.

– Wiem, że wyznaczyli cię na szefową szkolenia. Wiem o napadzie na bank sprzed roku, o Nathanie Fletcherze i o tych wszystkich przypadkach, które prowadziłaś, kiedy byliśmy małżeństwem. Jak przekonywałaś samobójców, żeby nie skakali z okien, jak wyciągałaś ludzi z zabarykadowanych pokoi. Abby, ja pamiętam chyba każdą sytuację. Wychodziłaś na akcję, a potem mi o tym opowiadałaś. Jesteś najlepszą negocjatorką.

– Nie tym razem.

– Tak czy owak, musisz tam być. Pomóc Rosomakowi. Podpowiadać mu, co ma mówić.

Westchnęła.

– Tylko bym przeszkadzała. To tak nie działa. Rozmowy musi prowadzić główny negocjator.

– Nie żartuj, kiedy zaczynałaś, ciągle mi mówiłaś, jak to główny negocjator popełnił błąd. Że ty byś zrobiła inaczej. I że gdyby tylko poprosił cię o...

– Bo na początku sama guzik wiedziałam.

– Abby, nikt nie robi tego lepiej niż ty.

Z irytacją wzniosła oczy do nieba. Steve'owi nie mieściło się w głowie, że czasami trzeba ustąpić miejsca komuś innemu. W jego świecie trzeba było być na szczycie, mieć władzę.

Odezwał się jej telefon. Błyskawicznie wyjęła go z kieszeni, serce zabiło jej szybciej. Czy to wiadomość od Willa? Czy już po wszystkim? Czy Sam jest ranna?

Nie. Wiadomość ponoć została wysłana przez Isaaca. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, co to znaczy. To nie był esemes od Isaaca. To była nowa wiadomość na jej czacie od kogoś, kto się pod niego podszywał.

Czasami nie wolno ufać nawet słowom wyrytym w kamieniu.

Zamrugła, ten esemes prowokował, zbijał ją z tropu. Uświadomiła sobie, że była to odpowiedź na to, co napisała mu poprzedniego dnia. Kiedy wysłała mu zdjęcie pomnika. W ten sposób mówił jej, że ma rację.

– Od kogo to? – zapytał Steve. – Od Willa?

– Nie. – Pokręciła głową, chowając telefon do kieszeni. – To coś innego, bez związku z tą sprawą.

– Aha – bąknął rozczerowany.

– Muszę iść. Nie pozwól Benowi przesiadywać samemu w pokoju. Bardzo się martwi, chociaż tego nie pokazuje. Wiesz, jaki on jest.

– Tak, oczywiście.

– I nie pozwól mu oglądać żadnych wiadomości.

– Dobrze.

– Mówię tak, bo będą chcieli to przedstawić jeszcze gorzej, niż jest naprawdę, a nie chcę, żeby on...

– Abby, nie pozwolę mu oglądać wiadomości – zapewnił z irytacją w głosie.

– Dobrze. Dziękuję, Steve.

– Zadzwonisz, jeśli będziesz wiedziała coś nowego? – W jego oczach było widać rozpacz.

– Oczywiście.

Będzie czekał na jej telefon, a ona będzie czekała na telefon od Willa. Dwoje bezradnych, drżących ze strachu rodziców, którym pozostało jedynie czekanie.

ROZDZIAŁ 29

Z chwilą gdy otworzyła drzwi, Abby pożałowała, że wróciła do domu. Nie miała pojęcia, co będzie robiła, poza gapieniem się na telefon i czekaniem, aż zadzwoni Will i powie jej, że już po wszystkim. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyskoczyć do pobliskiego sklepu po papierosy. Wprawdzie rzuciła palenie zaraz po dwudziestce, ale teraz pomogłoby jej się czymś zająć.

Do progu przydreptała Keebles i ze zdziwieniem przekrzywiła głowę. Być może liczyła na jakiś smakołyk, ale łatwo można było sobie wyobrazić, że zastanawiała się, gdzie jest Sam.

Abby zamknęła za sobą drzwi i poszła do kuchni. Powinna coś zjeść. Od świtu nie miała nic w ustach. Wyjęła z zamrażarki bajgla i wrzuciła go do mikrofalówki. Gdy był gotowy, usiadła i ugryzła kęs.

I wtedy uświadomiła sobie, że nie jest w stanie nic przełknąć.

Bo chociaż była głodna, problem leżał gdzie indziej. To coś w jej ustach nie przypominało jedzenia. Smakowało jak kurz. A jej gardło nie działało jak należy. Żuła i żuła, ale nie mogła nic połknąć. W końcu wypluła ugryziony kawałek do śmieci i wyrzuciła resztę.

Zaszłochała ciężko. Wszędzie czaił się strach, trawiąca umysł ciemność. W myślach odtwarzała swoje rozmowy z Gąsienicą, oceniając ryzyko, że mu odbije i zastrzeli któregoś z zakładników – na przykład jej córkę.

Powtarzała sobie, że próbował się przedstawić w korzystnym świetle, więc nie chciałby sobie zepsuć opinii.

Ale inne jego słowa...

„Powiedz im, że jeśli helikopter nie odleci, zacznę zabijać zakładników”.

„Chcemy zdemaskować tych drani raz na zawsze”.

Stuknięty gość, żyjący w pokręconym, dziwnym świecie. Jeśli coś pójdzie nie po jego myśli...

Wstała i przeszła do pokoju Sam.

Keebles przywarła do podłogi przed komodą Sam, zeszywniała, i na coś się gapiała. Abby zmarszczyła czoło. Co tam jest? Coś ważnego? Może coś, co rzuci nowe światło na tę tragedię? Jeżeli Sam ukrywała coś w swojej sypialni, mogło

to pomóc negocjatorowi. Z bijącym mocno sercem Abby uklęka i zajrzała pod komodę.

Kłęby kurzu... i coś okrągłego. Pastylka?

Drażetka M&M. Keebles gapiła się na zgubiony cukierek.

Abby wstała. Otrzepując spodnie, zauważyła coś na biurku córki. Książkę. Książkę o sekcje Wilcoxa, którą dostała od Normana. Nawet nie zauważyła, że Sam ją zwędziła.

Wzięła książkę do ręki i patrzyła tępo na okładkę. Ta książka oraz esemes od kogoś podszywającego się pod Isaaca sprawiały wrażenie, jakby należały do innego świata. Zaledwie kilka godzin wcześniej usiłowała ustalić tożsamość tego oszusta. Może to ktoś, kto też przeżył masakrę. Ten drugi George? Przecież to niemożliwe, skoro ofiar było pięćdziesiąt dziewięć, a przeżyły trzy osoby. Pięćdziesiąt dziewięć plus trzy daje sześćdziesiąt dwa.

Znów przypomniały jej się słowa Gąsienicy: „Ale cokolwiek robisz, po prostu wykonujesz rozkazy, mam rację? Tylko czyje? Jakie cele tak naprawdę realizujesz?”.

Myślała o tych pięćdziesięciu dziewięciu ofiarach. A może policja się pomyliła, może było ich pięćdziesiąt osiem? Poza tym skąd wiedziała, że w sumie były tam sześćdziesiąt dwie osoby? Tak twierdził Norman. Ale mówił też, że część z nich się zmieniała. Jedni odchodzili, inni przychodzili. Skąd więc miał pewność, że było ich akurat sześćdziesięcioro dwoje?

Sama podała tę liczbę, kiedy rozmawiali przez telefon, ponad trzydzieści lat temu. Powiedziała Normanowi, że były sześćdziesiąt dwie osoby, bo powtarzała to, co kazał jej mówić Moses.

„Powiedz im o broni”. – Jego palec przyciśnięty do jej skroni, zupełnie jak lufa. – „Powiedz im, że jesteście tu razem, sześćdziesiąt dwie osoby”.

Zapisał nawet tę liczbę na kartce i ją podkreślił. Przypomniała sobie, jak trzymała tę kartkę. Sześćdziesiąt dwa. Nic więcej na tym świstku nie zapisał. Bo Wilcoxa obchodziło tylko to, by policja uwierzyła, że na farmie przebywały sześćdziesiąt dwie osoby.

A tak naprawdę były sześćdziesiąt trzy.

Wiadomość od oszusta podającego się za Isaaca. „Czasami nie wolno ufać nawet słowom wyrytym w kamieniu”. Założyła, że przyznawał jej rację, że na pomniku brakuje jednego nazwiska. Ale esemes nie wspominał, że czegoś brakuje. On miał na myśli nazwiska na pomniku. Jedno nazwisko wyryte w kamieniu tam nie pasowało.

Nazwisko Wilcoxa.

Potrafiła sobie wyobrazić, jak to rozegrał. Wszedł do sali jadalnej i czekał. Gdy usłyszał, że zgodnie z jego instrukcjami Abby rygluje drzwi od zewnątrz,

przeszedł do kuchni i podłożył ogień. Następnie wyszedł tylnymi drzwiami i będąc już na dworze, zamknął je na klucz. A kiedy zapanował chaos – strażacy, policja i miejscowi próbowali pomóc, opanować szalejący ogień – uciekł niepostrzeżenie.

Później policja doliczyła się pięćdziesięciu dziewięciu ofiar i trojga ocalałych. Sześćdziesięciu dwóch osób. Kiedy pytali o nazwiska, dzieciaki oraz miejscowi mówili, że był tam jakiś George, więc policjanci założyli, że chodzi o George'a Fletchera. Nie wiedzieli, że był drugi George.

Założyli, że jedno ze zwłok to ciało Mosesa Wilcoxa. Błąd.

Jeżeli miała rację, Moses Wilcox wciąż żył, bo zaplanował ucieczkę z tej koszarnej masakry. Ale skoro w przekonaniu całego świata umarł, mógł zacząć nowe życie bez obawy, że będą go szukać.

Odrzuciła książkę na biurko. Upadła na blat z takim hukiem, że Keebles aż podskoczyła. Wszystko to było nieważne, nijak nie pomoże odzyskać Sam.

A może Steve miał rację? Skoro była dostatecznie skoncentrowana, by się domyślić, jaki plan zastosował pewien świr trzydzieści lat temu, to chyba mogłaby się przydać ekipie negocjatorów. Wciąż jeszcze mogła pomóc Sam. Nie, nie była w stanie negocjować, ale negocjatorzy żywią się informacjami. A ona mogła je dla nich wygrzebać.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Tammi Summers.

Policjantka odebrała po pierwszym sygnale.

– Halo? – rzuciła bojaźliwie.

– Tammi, załatwiliście coś?

– Nie, na razie nic. Will z nimi rozmawiał, chyba się trochę uspokoili, ale nie uwolnią żadnych zakładników ani nie wpuszczą pomocy medycznej.

Abby upadła na duchu. Po zmianie negocjatora sprawy zwykle toczyły się trochę wolniej, ale liczyła na to, że Gąsienica nabierze zaufania do Willa. Jak widać, na razie do tego nie doszło.

– Trudno. A jak idzie zbieranie informacji?

– No... całkiem dobrze. Te imiona, które twoja... które padły podczas ostatniej rozmowy, dały nam przełom.

Jasne, Sam wykrzyczała dwa imiona, żeby na pewno je usłyszeli. Almy i Kapelusznika.

– Mamy więcej wiadomości – ciągnęła Tammi. – Związanych z forum Obserwatorów.

– A konkretnie?

– Jeden z użytkowników opublikował pierwsze nazwiska zakładników. Ma nick Suseł.

– Co?! – Abby mocniej ścisnęła telefon. – Tammi, jeśli Obserwatorzy się dowiedzą, że Sam jest moją...

– Wiem, zajmujemy się tym. Forumowicze nie są przekonani, niektórzy twierdzą, że mają inną listę nazwisk, dlatego jest jedno wielkie zamieszanie. A to dopiero pierwsze opublikowane nazwiska.

– Ale jeśli ten Suseł podaje nazwiska, to znaczy, że ma kontakt z Obserwatorami w szkole. Albo jest jednym z nich.

– To nie jest nikt z nich – odparła Tammi. – Jestem prawie pewna, że znam jego tożsamość. Za chwilę wyślę policjantów, żeby go przesłuchali.

– Ja to zrobię – oświadczyła Abby głosem wykluczającym wszelką dyskusję. – Potrafię to załatwić lepiej niż ktokolwiek. Nie chcę, żeby jakiś nieopierzony funkcjonariusz to spieprzył.

– Czy ja wiem...

– Spytaj Willa. Zgodzi się. – A przynajmniej Abby miała taką nadzieję.

Na chwilę zapadła cisza.

– Będziesz musiała pojechać za miasto – powiedziała w końcu Tammi.

– Nie ma sprawy. – Abby poczuła ulgę. Może się jeszcze przydać. I czymś się zająć.

– Pozwolisz, że najpierw pogadam z Willem? Zaraz oddzwonię.

– Zgoda. – Abby rozłączyła się i zadzwoniła do Carvera.

– Abby. – Był wyraźnie zmartwiony. – Słyszałem, że zamieniliście się z Willem.

– Tak. Posłuchaj, będę pomagała naszym w zbieraniu informacji. Chyba mnie wyślą, żeby przesłuchała kogoś, kto ma związek z tą sprawą.

– To świetnie.

Odetchnęła głęboko.

– Zabrałbyś się ze mną? Nie chcę jechać sama.

ROZDZIAŁ 30

Dlaczego ciągle piszą o tych pożarach w Australii? Kto na tym zyskuje? I to zaraz po tym, jak media zainteresowały się dronami w Kolorado. Czy to przypadek?

Abby dwukrotnie przeczytała ten post, a potem zjechała w dół ekranu, na komentarze. Większość postów na forum Obserwatorów zaczynała się w ten sam sposób – kilka pytań, ale bez sugerowania odpowiedzi. Te napływały już po chwili, Obserwatorzy wysuwali teorie i podawali linki do artykułów albo innych źródeł potwierdzających ich idee.

Znała siłę pytań otwartych. To jedno z najbardziej skutecznych narzędzi negocjatorów. Pytanie otwarte rozwiązuje ludziom języki i skłania ich do postrzegania spraw z różnych punktów widzenia. Odpowiednie sformułowanie pytania pozwala zmanipulować ludzi tak, żeby podsunęli rozwiązania za nas i uważali, że to oni wpadli na dany pomysł.

Pytania angażują ludzi.

Przebiegła wzrokiem odpowiedzi, wczuwając się w dynamikę społeczności Obserwatorów i różnych grup na forum. Potem wróciła do wątku na temat tożsamości zakładników, który wcześniej przejrzała już kilkakrotnie. Tammi miała rację. Suseł opublikował listę nazwisk, ale na forum uchodził za mało wiarygodnego i kilku innych członków zaproponowało własną listę. Czy niektórzy pracowali dla kontrwywiadu? Federalny działający pod przykrywką mógł specjalnie siać zamęt. Nie można było tego wykluczyć, choć wyglądało na to, że Obserwatorzy sami wprowadzali niezły chaos. Do tej pory opublikowali ponad pięćdziesiąt nazwisk, w tym co najmniej trzech celebrytów i jednego polityka. Świetnie.

Stuknęła w ekran telefonu, by przejść do kolejnego wątku. Samochód podskoczył na wybojach i nie trafiła palcem w maleńką ikonkę. Jęknęła z irytacji.

– Przepraszam – powiedział Carver zza kierownicy, uważnie patrząc na drogę.
– Już prawie jesteśmy na miejscu, więc chyba czas, żebyś to odłożyła.

Wygasiła ekran i wyjrzała przez boczne okno. Odchodziła od zmysłów z niepokoju. Dwadzieścia minut wcześniej Will zdał jej relację z sytuacji –

z ludźmi w szkole prawie nie mieli kontaktu. Nie udało się ich skłonić, żeby wpuścili lekarza do ранnego nauczyciela. I żadnych wieści o Sam. Wcześniej zadzwoniła matka Abby, Penny, gdy dowiedziała się o sytuacji w szkole. Abby musiała jej powiedzieć, że Sam jest w środku. Próbowwała dodać matce otuchy, ale wyczuła, że Penny jest przerażona, co tylko zwiększyło jej własny strach.

– Próbuję zrozumieć sposób myślenia tych ludzi – powiedziała. – Co ich kręci.

– To kupa zidiociałych świrów – orzekł Carver.

– W tym jest coś więcej. I to absolutnie nie są świry. Większość ludzi wierzy w różne teorie spiskowe. Czy to znaczy, że wszyscy jesteśmy stuknięci?

– Guzik prawda. Z moich znajomych prawie nikt nie wierzy w teorie spiskowe.

– Naprawdę? – Schowała telefon do torebki. – A wierzysz, że Elvis żyje?

– Oczywiście, że nie.

– A co z jedenastym września? Czy wierzysz, że rząd coś ukrywa w tej sprawie?

Carver prychnął.

– Nie.

– Miło mi to słyszeć. A jesteś pewny, że na temat zamordowania Kennedy'ego wiemy wszystko, co wypadałoby wiedzieć?

Przez kilka sekund jechali w milczeniu.

– No dobra, poczekaj chwilkę – rzucił w końcu Carver.

Abby zerknęła na niego, unosząc brwi.

– Chcę powiedzieć, że przecież wszyscy wiemy, co się stało, prawda? Był tylko jeden strzelec, Oswald. Innymi słowy, świr.

– Jasne, nie twierdzę, że nie. Chociaż na niektóre pytania nadal nie mamy wyczerpujących odpowiedzi. Jeśli o tym poczytasz, przekonasz się, że w oficjalnej wersji jest wiele sprzeczności. Dlatego w tym, co powiadają, może być trochę prawdy.

– Uhm.

– Po prostu mam otwarty umysł. Co nie znaczy, że wierzę w teorie spiskowe.

– Dwie trzecie Amerykanów nie wierzy, że znamy całą prawdę na temat śmierci JFK, mimo że nie ma cienia dowodu na to, że było inaczej, niż twierdzi rząd. Jesteś w dobrym towarzystwie.

Carver wznosił oczy do nieba.

– O matko, piękne dzięki.

– Lubimy znajdować prawidłowości. Tak jest skonstruowany nasz umysł. Obserwatorzy wcale się tak bardzo nie różnią od ciebie czy ode mnie. Nie mówią na dzień dobry, że Michaela Jacksona zamordowały jakieś szemrane władze. To ludzie, którzy dostrzegają coś, co wprawia ich w dyskomfort, gniew albo napełnia strachem. Rzeczy na pozór przypadkowe i chaotyczne. I nagle ktoś proponuje im

rozwiązanie idealne. Te okropne rzeczy dzieją się z konkretnego powodu. Za sprawą niewielkiej grupy nikczemników. Istnieją fakty, które to potwierdzają. I wiesz co? Te gnoje mają na sumieniu jeszcze inne rzeczy. Możesz nam pomóc ich zwalczać.

Carver zjechał z autostrady i sprawdził trasę w nawigacji w telefonie.

– Tak czy siak to durne. Wystarczy pogrzebać w internecie pięć minut, żeby wykazać im, że to gówna prawda.

Abby westchnęła.

– Grzebiąc pięć minut w internecie, można udowodnić, co tylko się chce. W każdym razie pamiętaj, że jeśli rozmawiając z tym gościem, dasz mu do zrozumienia, że jest głupi albo stuknięty, to nic nam nie powie. A jego współpraca jest nam potrzebna.

– Jaki jest jego związek z ludźmi w szkole?

– To Suseł opublikował listę nazwisk zakładników. Tę prawdziwą. Czyli że miał z nimi kontakt dzisiaj, już po tym, jak weszli do szkoły.

– Zdobyliśmy jego numer IP? I tak namierzyliśmy jego adres domowy?

– Nie, forum ma swoją stronę w sieci Tor – odparła Abby. – Tor to jest przeglądarka zasobów tak zwanego Darknetu. Ta sieć zapewnia użytkownikom anonimowość. Ale Tammi przejrzała wszystkie jego posty. Kiedyś napisał, że mieszka o kilka godzin drogi od Manhattanu. Wspomniał też, że jego ojca dwukrotnie aresztowano pod, jak to określił, lipnymi zarzutami o posiadanie narkotyków. W innym poście wymienił swoją nauczycielkę matematyki jako potencjalną agentkę sitwy. Ta kobieta nazywa się Libby Hadden. W Stanach Zjednoczonych są raptem dwie Libby Hadden i tylko jedna z nich mieszka na Wschodnim Wybrzeżu. Tammi rozmawiała z nią, to nauczycielka w liceum Monticello. A w tamtej okolicy w ostatnich latach tylko jednego gościa dwa razy zamknięto za narkotyki. To Richard Fry. Jego synem jest Dennis Fry, uczeń tejże Hadden. To on jest naszym Susłem.

– Tammi się spisała.

Abby skwitowała to uśmiechem.

– Tak, w zbieraniu informacji jest znakomita.

W milczeniu przejechali przez Monticello. Była to spokojna miejscina, jedna z tych, gdzie wszędzie można było znaleźć wolne miejsce do parkowania, a korki były znane ze słyszenia. Tak dalece kontrastowało to z pandemonium, jakie zostawili za sobą, że Abby ścisnęło się serce. Sam kulila się ze strachu w jakimś pokoju, pewnie trzymana na muszce, szkołę otaczały radiowozy, Abby zaś jechała sobie ulicami sennego miasteczka, dziesiątki kilometrów od tego miejsca.

Dom Fryów stał na bocznej uliczce, obsadzonej po obu stronach drzewami; w promieniach zachodzącego słońca ich opadłe na jezdnię liście wyglądały jak

cętki. Granice między domami wyznaczały rozklekotane płoty. Na chodnikach walały się śmieci – papiery, torby foliowe, butelki. Kiedy zaparkowali przed domem Richarda Frya, zrozumieli, dlaczego tak jest.

Jego podwórko wyglądało jak śmietnik.

Nie był to po prostu zapuszczony ogród, ze starymi zabawkami albo kilkoma połamanymi plastikowymi krzesłami. Było to zorganizowane śmietnisko, na którym odpady trafiały do odrębnych stref – sterta piłek bez powietrza sąsiadowała z kilkoma połamanymi rowerami. Stos tacek do pizzy. Góra podartych, brudnych ciuchów. Dużą część placu przeznaczono na stare elektryczne urządzenia gospodarstwa domowego – lodówki i pralkosuszarki. Ustawione niemal jako drugi płot, zasłaniały widok na resztę podwórka. Metalową siatkę pokrywały torby z folii, kawałki tkanin i strzępy papieru – wszystko, co wiatr nawiał z tego zbiorowiska rupieci.

– Nie chciałbym sąsiadować z tym gościem – rzekł Carver.

– Ja też nie. – Abby wysiadła z samochodu. Najpierw uderzył ją smród. Ulica powinna pachnieć wilgotną ziemią i drzewami. Tymczasem w powietrzu unosił się odór zgnilizny, zepsutej żywności, rdzy i chemikaliów.

Furtka była lepka, a kiedy Abby ją pchnęła, zaskrzypiały zawiasy. Do drzwi frontowych prowadziła zaledwie kilkumetrowa ścieżka, ale musiała iść powoli, omijając kilka pudeł pełnych śrub i ostrożnie przeciskając się między stosem opon a stertą szklanych, w większości rozbitych butelek, których odłamki błyszcząły w słońcu.

Zapukała do drzwi, a Carver zatrzymał się kilka kroków za nią. Po dłuższej chwili zastukała ponownie. Drzwi uchyliły się na centymetr – założony łańcuch nie pozwalał otworzyć ich bardziej.

– Tak? – Przez szparę spojrział nieogolony mężczyzna z przekrwionymi oczami.

– Pan Fry?

– A bo co?

Pokazała mu swoją legitymację, kciukiem zasłaniając logo nowojorskiej policji.

– Jestem porucznik Mullen, a to mój partner, śledczy Carver. Możemy wejść?

– Ta zdzira Paula znowu złożyła skargę? Słuchajcie, wszystko na moim placu należy do mnie. Przysługuje mi prawo własności.

– Nie przysłaliśmy w sprawie skargi, tylko porozmawiać o pańskim synu Dennisie – odparła Abby.

– O Dennisie? – Zaskoczenie w głosie. – A co on zmalował?

– Nie zrobił nic złego – zapewniła go. – Ale może coś wiedzieć o ludziach, którzy nas interesują.

– Dennis nie ma wielu znajomych.

– Zadamy mu tylko kilka pytań i już nas nie ma.

Richard musiał to sobie przetrwać. W końcu powiedział:

– Dobrze, wejdźcie. Tylko patrzcie pod nogi.

Zamknął drzwi, zdjął łańcuch i otworzył je na oścież.

W domu, jeśli to możliwe, było jeszcze gorzej. Pokój miał własną topografię – stosy, sterty i góry rozmaitego śmiecia, często sięgające sufitu. Powietrze było gęste. Abby powstrzymała się przed zatkanie ust i nosa. Ruszyła za Richardem, starając się niczego nie przewrócić. Prowadził ją, rzucając uwagi w rodzaju: „tutaj ostrożnie” albo „uwaga na torebkę”. Abby szurała nogami, posuwając się bokiem. Za to Richard lawirował bez trudu, wiedział, gdzie może postawić nogę i o który stos śmieci się oprzeć. Na środku głównego pokoju zatrzymał się, ze sterty gazet wziął egzemplarz czasopisma „National Geographic” i ostrożnie położył go na innym stosie. Potem, wyraźnie zadowolony, że posprzątał, skinął na Abby, by zagłębiła się za nim w ten labirynt rupieci.

– Tu jest jego pokój. – Pchnął drzwi. Uchyliły się nieco, w sam raz, by się precyzyjnie, bo coś blokowało je od wewnątrz. – Dennis? – zawołał, wchodząc do pokoju. – Jacyś ludzie... O w mordę!

Słyszając jego ton, Abby precyzyjnie się przez drzwi i omal nie pośliznęła się na pliku ulotek na podłodze. Rozejrzała się. Puste krzesło, otwarte okno i jakaś postać na zewnątrz.

Dennis dał nogę.

– Carver, on ucieka! – krzyknęła.

Zza pleców dobiegł ją jakiś łoskot, gdy jej partner zawrócił do drzwi frontowych. Przepychając się obok Richarda, potknęła się o stertę ubrań. Dopadła do okna i wyskoczyła na zewnątrz; o mały włos uniknęła upadku na potłuczoną glinianą donicę.

Chłopak biegł do siatki z tyłu podwórza, lawirując między rupieciami. Pognała za nim, gubiąc się w labiryncie gratów. On niewątpliwie znał drogę, biegł szybko, przeskakując nad metalem, plastikiem oraz gnijącym drewnem.

Goniła go na skróty, więc wpadła na stertę plastikowych skrzyń. Zalał ją jakiś tłusty płyn, opryskał jej okulary, lecz nie zważając na to, brnęła dalej, zaciskając zęby. Na drodze stanęła jej góra toreb na śmieci; przelazła przez nią, rozrywając torby, z których wyspały się stare gazety i zapleśniałe książki. Kątem oka dojrzała, że Carver próbuje się przepychać obok niekończącej się ściany lodówek.

– Do samochodu! – krzyknęła. – Odetnij mu drogę z drugiej strony!

Dennis dopadł już siatki i biegł wzdłuż niej. Zobaczyła, dokąd zmierza – do stosu stołków, na które mógł się wdrapać, by przeskoczyć siatkę i znaleźć się na ulicy po drugiej stronie. Gdy złaźiła z toreb ze śmieci, niestabilna góra zachwiała się i rozsypała. Abby pośliznęła się, upadła i wstała.

– Stój!

Dennis ani myślał się zatrzymać. Wdrapywał się już na stołki. Jeden stołek się poruszył, ale chłopak przytrzymał się siatki, odzyskał równowagę i włąził dalej. Przeskoczył przez siatkę i zniknął.

Po chwili Abby też dopadła stołków, weszła na nie i cała sterta runęła pod jej stopami. Podskoczyła i zdołała przerzucić ciało przez siatkę, drapiąc sobie przy tym brzuch i nogi. Spadła jak worek po drugiej stronie, po czym dźwignęła się na nogi.

Dennis biegł ulicą ku gęstej kępie drzew. Pognała za nim. Był szybki, ale teraz, gdy nie wstrzymywał jej labirynt śmieci, nadrabiała dystans.

Nagle pojawił się samochód Carvera – z piskiem opon pokonał zakręt i zablokował drogę ucieczki. Dennis zatrzymał się i odwrócił. Abby wpadła na niego z rozpędu i oboje runęli na ziemię. Zanim chłopak zdołał odzyskać oddech, odwróciła go na brzuch i wykręciła mu rękę za plecami. Wrzasnął z bólu.

Dysząc ciężko, wykręciła mu drugą rękę. Carver był już obok nich i zatrząskiwiał kajdanki na nadgarstkach chłopaka. Abby odsunęła się od Dennisa i otarła twarz. Z odrazą spojrzała na swoje palce. To coś, co wcześniej ochlapało jej twarz, wyglądało i cuchnęło jak zwarzone mleko.

– Dennisie Fry – powiedziała. – Czy występujesz jako Suseł?

Carver postawił chłopaka na nogi. Dennis był piegowaty, blady, twarz miał umorusaną ziemią, a jego wielkie piwne oczy z przerażeniem biegały na wszystkie strony.

– Ja nic nie zrobiłem! – zawołał. – Nie wiedziałem, że wejdą do szkoły z bronią, przysięgam!

Abby zdjęła okulary i starła z nich plamy z mleka.

– Wierzę ci. Mamy do ciebie kilka pytań.

ROZDZIAŁ 31

Dla Abby i Carvera było oczywiste, że nie mogą przesłuchać Dennisa, czyli Susła, w jego domu. Abby wątpiła, żeby było tam gdzie usiąść, poza tym nie chciała, żeby rozpraszały ją smród i przytłaczające sterty śmieci.

Spytali więc chłopaka, czy mogą mu postawić późny lunch w Wendy's. Abby wyjaśniła, że alternatywą jest pokój przesłuchań na komendzie. Tyle że w Wendy's będzie mnóstwo świadków, dodała. To najwyraźniej dodało mu otuchy. Nie zamierzali zawlec go do zaułka i zastrzelić.

Nie zgodził się wsiąść do samochodu. Abby zdjęła mu więc kajdanki i poszli do Wendy's pieszo. Carver wrócił do domu, by spytać Richarda Frya, czy chce być obecny podczas ich rozmowy z synem.

Dennisa nie zdziwiło, że ojciec odmówił.

– On wychodzi z domu tylko skoro świt, kiedy wszyscy jeszcze śpią – wyjaśnił. – Nienawidzi być wśród ludzi.

W przestronnej restauracji serwującej fast food chłopak nie czuł się swobodnie. Siedział zgarbiony, trzymając ręce i stopy razem, jakby chciał zajmować jak najmniej miejsca. Abby przypomniała sobie jego pokój, gdzie zewsząd otaczały go śmieci zbierane przez ojca, ograniczające mu przestrzeń życiową do absolutnego minimum.

Usilnie starał się nie zerkać na grupę chłopców siedzących przy sąsiednim stole. Byli mniej więcej w jego wieku i zapewne uczyli się w tej samej szkole. W tak małej społeczności było więcej niż prawdopodobne, że wszyscy chodzili do jednej klasy. Wciąż na nich zerkali i szeptali między sobą. Dwaj z czegoś się podśmiewali. Abby spojrzała na nich zimno, znacząco, a wtedy odwrócili się, ale nie przestali szeptać.

Carver poszedł złożyć zamówienie, Abby zaś została z Dennisem; usiadła naprzeciwko niego. Duch walki wyraźnie go opuścił. Pozostał tylko strach.

– Powiedz mi, dlaczego wybrałeś sobie nick Suseł – spytała Abby.

Rozejrzał się ukradkiem. Czyżby chciał jej wmówić, że złapali nie tego, co trzeba?

On jednak odparł:

– Bo akurat był wolny. Wszyscy używamy imion postaci z książek Lewisa Carrolla.

– Dlatego, że Obserwatorzy wskakują do króliczej nory, tak?

– Ehe.

– A dlaczego nie wzięłeś Humpty Dumpty albo Tweedledum?

– Kiedy dołączyłem do forum, te imiona były już zajęte. A nie chciałem dodawać do nicka cyfry, jak jakiś lamus, rozumie pani? Na przykład Cheshire54. Dlatego zdecydowałem się na którąś z pomniejszych postaci. Dodo też już był zajęty, ale Suseł był wolny.

– Kiedy dołączyłeś do forumowiczów?

Zgarbił się jeszcze bardziej.

– Nie wiem.

– Powiedziałaś, że wszystkie co lepsze imiona były już zajęte, czyli że nie było to na samym początku, mam rację?

– Chyba tak.

Uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, że jej uśmiech nie zdradzi cienia strachu, niecierpliwości ani gniewu, które nią targaly. Ludzie uważają, że uśmiech dużo mówi o człowieku. Być może w większości przypadków to się sprawdza. Może dotyczyło to nawet Abby, kiedy uśmiechała się do swoich dzieci albo przyjaciół.

Uśmiechy to jednak także pożyteczne maski. Ten uśmiech był ciepły, poważny i szczerzy. Obiecywał akceptację i bezpieczeństwo. Tak uśmiechają się tylko dobrzy ludzie. Albo doskonali kłamcy. Tacy jak Abby.

Mowa ciała Dennisa zdradzała, że jej uśmiech zrobił swoje. Rozluźnił nieco ramiona, odchylił się na krześle. Na jego wargach zaigrał nawet cień uśmiechu.

– A tak z grubsza? – dopytywała się.

– Nie wiem. Gdzieś tak z rok temu.

Prawie trafił. Jedenaście miesięcy temu. W szczegółach profilu była data utworzenia nicka Suseł.

– Co sprawiło, że dołączyłeś do tego forum?

– Obejrzałem taki film na YouTube, podawali bardzo ciekawe rzeczy. I zamieścili link do forum.

– Jakie rzeczy? O czym był ten film?

Kiedy jeszcze Abby wykladała w akademii, zawsze mówiła o zasadzie 7–38–55. Bo kiedy ktoś mówi, jego słowa oddają zaledwie siedem procent tego, co czuje. Trzydzieści osiem procent przypada na ton głosu, a pięćdziesiąt pięć procent to mowa ciała. W sytuacjach kryzysowych rozmawiała głównie przez telefon albo przez zamknięte drzwi, więc miała do dyspozycji tylko ton głosu i słowa, czyli w sumie czterdzieści pięć procent. Ale tutaj, siedząc twarzą w twarz z tym chłopakiem, miała całe sto procent i wiedziała, jak je wykorzystać.

Dlatego też spytała go o film, żeby nie dostrzegł jej znudzenia, sceptycyzmu albo zniecierpliwienia. Chłopak z całą pewnością nie zorientuje się, że ona bez przerwy myśli o swojej córce, martwi się o nią, wyobraża sobie najgorsze scenariusze i stale pragnie sprawdzać telefon, czy nie ma esemesów od Willa.

Okazała Dennisowi ciekawość, zainteresowanie i szacunek.

Ten czternastolatek nie miał żadnych przyjaciół. Dlatego pragnął rozmawiać z kimkolwiek skłonny go wysłuchać. Nie mówiąc o tym, że jak wielu innych, wyznawcy teorii spiskowych właśnie to lubili najbardziej – rozprawiać o swojej pasji.

Niemal zobaczyła tę chwilę, kiedy go odblokowała. Zmianę jego miny. Nagłe szerokie otwarcie oczu. Sposób, w jaki się pochylił.

– Taki jeden facet opowiadał o lipnych aresztowaniach – rzekł Dennis; słowa płynęły z jego ust potokiem. – Bez obrazu, wiem, że pani jest gliną, ale ja nie z tych, co wszystkich gliniarzy uważają za palantów. Ale wiedziała pani, że siedemdziesiąt trzy procent wszystkich aresztowań to lipa? Dlatego w sądach zawsze próbują iść na ugodę, bo wiedzą, że inaczej nie wygrają. Dogadują się i dzięki temu niczego nie muszą udowadniać.

– Siedemdziesiąt trzy procent? To chyba za dużo? – Abby zmarszczyła czoło.

– W internecie łatwo można znaleźć statystyki, jeśli się wie, gdzie szukać. Nie musi mi pani wierzyć na słowo. Nawet pani nie powinna. Niech pani sprawdzi sama. Wygrzebie te dane. Siedemdziesiąt. Trzy. Procent. No więc ten gość właśnie o tym mówił. Podawał przykłady, tłumaczył, dlaczego to robią, pokazywał dowody, a ja dobrze wiedziałem, o czym on mówi, rozumie pani?

– Wiedziałaś? Skąd? – Znała już odpowiedź. A więc to był ten haczyk na Dennisa. Oskarżenia jego ojca o narkotyki.

– Tatę dwa razy aresztowali, jasne? Za posiadanie. A to gówno prawda. Fakt, ojciec miał przy sobie jointa, ale tutaj co drugi pali trawkę. I jakoś nikt ich nie aresztuje, no nie?

Pewnie nie, ale tamci ludzie nie mieli sąsiadów nieustannie składających skargi na upodobanie Richarda Frya do zbieractwa. Abby była gotowa iść o zakład, że Richard nie należy do ulubieńców tutejszej policji.

– No więc ten gość mówił, że jeśli chcemy z tym walczyć, musimy sami poszperać. Że możemy dołączyć do tego forum i poczytać o tym, co odkryli inni. Wie pani, nie chciałem, żeby ojca znowu zamknęli, bo wtedy mogliby uznać, że nie mogę z nim mieszkać. A nie chciałem trafić do jakiejś zaszrannej rodziny zastępczej. Poza tym okazało się, że właśnie w ten sposób pozyskują część dzieciaków.

– Oni? Masz na myśli Krąg?

– No. Wsadzają rodziców do pierdła, ich dzieci mają ponoć iść do rodzin zastępczych, a tak naprawdę zostają wystawione na sprzedaż.

– Z tych rodzin zastępczych?

– Nie! One w ogóle do nich nie trafiają. Zjawia się jakaś pańcia, mówi, że jest pracownicą społeczną, może nawet potrafi się wylegitymować. A potem zabiera te dzieciaki i niektóre z nich po prostu znikają. Jest wiele dowodów, że tak to się odbywa.

Wrócił Carver i przyniósł tace. Dennis dostał burgera i dużą colę. Abby powiedziała Carverowi, że nic nie chce, ale postawił przed nią sałatkę z kurczaka z owocami. Dla siebie też wziął burgera.

Gdy usiadł, spojrzała na niego przelotnie. Chciała, żeby się stał niewidzialny, bo Dennis znowu zaczął się garbić i zamykać w sobie.

Carver uśmiechnął się do nich niewinnie.

– O rany, ale jestem głodny! – rzucił, rozpakowując burgera. Ugryzł kęs i z roztargnieniem wyglądając przez wielkie na całą ścianę okno, rozparł się na krześle, całą swoją postawą dając do zrozumienia, że rozmowa w ogóle go nie obchodzi.

– Więc obejrzałeś ten film na YouTubie i dołączyłeś do forumowiczów, tak? – podjęła Abby. – Założę się, że mają wątek poświęcony nowym członkom. Czy przedstawiłeś im się od razu?

– Nie – odparł Dennis, rozpakowując burgera. – Głównie czytałem różne wątki. Podpatrywałem ich z ukrycia, rozumie pani? Jako Alicja.

– Alicja? – powtórzyła Abby z uśmiechem. – Co to znaczy?

– Tak nazywamy nowych członków, którzy nie mają jeszcze nicka. Alicje, nie? Bo jeszcze nie zdecydowali się wskoczyć do króliczej nory.

– Dużo czasu poświęcałeś na czytanie tych wątków?

– Ja nie tylko czytałem wątki. Wśród Obserwatorów jest kilku super youtuberów, którzy zamieszczają setki filmów. – Słowa znów płynęły ciurkiem. Mówił z ustami pełnymi hamburgera, zbyt przejęty, by zamilknąć. – Ale oglądałem nie tylko rzeczy Obserwatorów. Obserwatorzy to nie stado baranów. Nie pozwalamy, żeby inni narzucali nam, co mamy myśleć. Więc poczytałem o tym całym handlu dziećmi w celach seksualnych, o korupcji w policji i o ludziach, którzy za tym stoją. To widać wszędzie, trzeba tylko zacząć szukać. Spędzałem na tym, bo ja wiem...? Sześć, osiem godzin dziennie. Wcześniej codziennie godzinami grałem w Fortnite. Ale tamtego dnia przestałem, ot tak. – Pstryknął palcami.

Abby pozwalała mu się wygadać, z rzadka tylko w razie potrzeby wtrącając jakieś pytanie. Chłopak pewnie mógłby paplać na ten temat dziesięć godzin bez przerwy. Gdyby miała czas, może i by mu na to pozwoliła, żeby zbudować

zaufanie. Ale czasu nie miała. Zmusiła się, by zjeść nieco sałatki, każdy kęs popijając wodą. Bez jedzenia byłaby do niczego. Jedząc, słuchała, a Carver niczym kameleon nadal wtapiał się w tło.

W końcu, gdy chłopak skończył wyjaśniać, w jaki sposób Krąg steruje ludźmi za pomocą koncernów farmaceutycznych, Abby odchrząknęła.

– Dennis, wiesz, w jakim celu tu jestem.

Natychmiast znów stał się czujny. Modliła się, żeby wycucie czasu jej nie zawiodło.

– Chodzi o tamtą szkołę? – zapytał.

– Tak. Jest tam trzech twoich znajomych. Gąsienica, Kapelusznik i... e... – Zmarszczyła czoło, jakby próbowała sobie przypomnieć trzeci nick.

Milczenie się przedłużało. W takiej ciszy ludzie czują się nieswojo. Chcą ją przerwać.

– Czerwona Królowa – odpowiedział załośnie Dennis.

– O właśnie. – A zatem Alma była Czerwoną Królową. – Wiem, w jakim celu tam poszli. Rozmawiałam zresztą z Gąsienicą, wszystko mi wyjaśnił.

– Rozmawiała pani z Gąsienicą? – Na twarzy miał wpisane niedowierzanie.

– Oczywiście. Sam go spytaj, jeśli możesz połączyć się z nim na czacie albo do niego zadzwonić.

– Aha – bąknął. Uciekł wzrokiem w bok, ale Abby była prawie pewna, że mówiąc to, zdobyła jego zaufanie.

Westchnęła.

– Zdaje się, że twoi znajomi chcieli zrobić coś dobrego. Sądziłem, że w tej szkole odbywa się handel porwanymi dziećmi, mam rację? I chcieli im pomóc. Ale sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Tak. Nikt z nich nie chciał, żeby do tego doszło. Przysięgam, mówili tylko, że chcą sprawdzić tę szkołę.

– Wierzę ci. Naprawdę. A z kolei ja chcę rozwiązać tę sytuację tak, żeby nikomu nie stała się krzywda. Dopóki nikt nie zostanie poważnie ranny, będę mogła pomóc twoim znajomym. Mogę się za nimi wstawić, sprawić, żeby ludzie poznali ich punkt widzenia. Ale jeżeli kogoś postrzelą... – Rozłożyła ręce. – Wtedy już nic nie będę mogła zrobić.

– No dobra, ale dlaczego rozmawia pani ze mną? Powinna pani gadać z innymi glinami.

– Zdaje się, że twoi znajomi mają różne wizje tego, jak to rozegrać. Miałam nadzieję, że ty mnie trochę oświecisz. Bo na razie rozmawiałam tylko z Gąsienicą.

– Ja nie wiem, co tam się dzieje.

Abby w zamyśleniu pokiwała głową. Wiedział, to oczywiste. To on opublikował nazwiska zakładników. Nie chciała jednak zarzucać mu kłamstwa,

żeby się nie spłoszył.

– Nie wiesz?

– No. Znaczą się, widziałem w wiadomościach, ale nic poza tym.

– Wcześniej powiedziałaś, że twoi znajomi mówili o sprawdzeniu tej szkoły.

Gdzie to było?

Spiął się.

– O co pani chodzi?

– Rozmawialiście przez telefon? Czy spotkaliście się osobiście?

– Nie, pisaliśmy na privie. – Wzruszył ramionami na znak, że to nic takiego. Tyle że nie umiał dobrze kłamać. Miał rozbiegane oczy, jego ręka powędrowała do ust. Albo kłamał, albo rozmowa o czatowaniu na privie była dla niego bardzo niewygodna.

– Na jakim privie? Często tam pisujecie?

– No, czasami.

– Czemu nie na forum?

– A bo ja wiem?

– Dennis. – Pochyliła się, unosząc brwi. – Twoi znajomi znaleźli się w niebezpieczeństwie. A ja naprawdę chcę im pomóc. Dlatego muszę wiedzieć.

Po chwili wahania powiedział:

– Ze dwa miesiące temu coś się stało i Gąsienica postanowił, że musimy założyć ten czat. Każdy wie, że federalni i policja czytają posty na naszym forum. Niektóre zresztą zamieszczają sami gliniarze, którzy założyli lipne konta i udają członków. Dlatego uznał, że powinniśmy gadać na privie. Czat tylko dla ludzi zaufanych i takich, którzy mieszkają blisko siebie.

– Czyli ten prywatny czat jest dla ciebie, Kapelusznika, Czerwonej Królowej, Gąsienicy i...?

– I koniec – rzucił szybko. – Tylko nas czworo.

– Czatowanie na privie to nie przestępstwo – powiedziała cicho Abby. – Musimy znać wszystkie szczegóły, żeby rozwiązać to pokojowo.

– Jest jeszcze jeden facet – odparł Dennis po chwili. – Jabberwocky. Ale on nic nie zrobił, nie pojechał do tej szkoły.

– Czyli jest was pięcioro.

– Ehe.

– Ale oni zamieszczali posty nawet dzisiaj, już po wejściu do szkoły. – Powiedziała to niższym głosem, powoli i stanowczo. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Czas, żeby chłopak się rozgadał.

Poruszył się nerwowo.

– Tak, tylko kilka komentarzy. Na przykład Czerwona Królowa napisała o zakładnikach. Ale potem... wrzuciłem post o tym na forum, ale Gąsienica

zabronił mi podawania dalszych informacji, bo nie chcą żadnych przecieków.

– Czy zamieścili na privie coś jeszcze?

– Nie. Oni... są dosyć zajęci.

– Czy to Gąsienica wybrał członków tego czatu?

– Tak. Czerwona Królowa i Kapelusznik byli jego dobrymi znajomymi, zakumplowali się na forum dobrze ponad rok temu.

– A ty?

– Powiedział, że jest pod wrażeniem moich zdolności analitycznych. Wykryłem kilka, eee... kodów w publicznych komunikatach i takich tam. – Mówiąc to, wydawał się czujny, jakby się szykował, że Abby go wyśmiej, ale ona tylko kiwała głową i słuchała z uwagą. – Poza tym wiedział, że mieszkam w tym samym stanie, to wystarczyło.

– A Jabberwocky?

– W sumie to ja go zaproponowałem. Czerwona Królowa i Kapelusznik nie byli tym zachwyceni, ale Gąsienica uznał, że Jabberwocky jest spoko.

– Dlaczego Czerwona Królowa i Kapelusznik go nie chcieli?

– To nie tak, że go nie chcieli, on jest trochę dziwny. Przyłączył się jakiś czas temu, ale wszyscy go unikają. Ciągłe namawiał ludzi na spotkanie w realu, a takie coś pasuje do tajniaka, nie? A czasami jakby za bardzo się starał, wie pani, jak to jest. Na przykład bez przerwy wychwalał cudze posty. Bo ja wiem? Na mój gust on jest jeszcze zielony. Dlatego starał się być miły. Ale wreszcie z tym skończył i po problemie.

– A ty spotkałeś się z nim osobiście?

– Nie.

– Dlaczego?

Dennis z zażenowaniem spuścił wzrok.

– Dlatego że ludzie na forum nie wiedzą, ile mam lat.

Abby ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Czyli ten Jabberwocky mieszka w tej okolicy?

– Mhm.

– Skąd wiesz?

– Bo nawet myślałem, czy się z nim nie spotkać, a on zaproponował miejsce niedaleko siebie. Podał mi adres.

Zostawiła to bez komentarza.

– Wspomniałeś, że Gąsienica postanowił stworzyć tę prywatną grupę, bo coś się stało. Co to było?

– Nie wiem. Nie chciał o tym mówić. Powiedział tylko, że nauczył się nie ufać prawie nikomu, bo agenci są wszędzie. Odniosłem wrażenie, że ktoś z jego najbliższego otoczenia okazał się agentem.

- Agent to ktoś, kto pracuje dla Kręgu?
- Ehe.
- I mówisz, że to było dwa miesiące temu?
- Tak, kilka dni przed Halloween. Potem się zmienił. Zrobił się bardzo zasadniczy.
- Zasadniczy w jakim sensie?
- Wcześniej zamieszczał niewiele postów, a jeśli już, to głównie memy i takie tam. Ale cokolwiek się stało, to go zmieniło. Zaczął pisać o odwecie i o rozpoczęciu walki z Kręgiem. To, co się wydarzyło, nieźle go skopało.
- Abby odchyliła się i odetchnęła głęboko.
- Dennis... ten czat... Czy jest aktywny? Czy możemy się dzięki niemu porozumieć z twoimi znajomymi? Możemy z niego skorzystać?
- Znowu to spojrzenie. Te rozbiegane oczy. Pomysł mu się nie spodobał.
- Nie, nie ma takiej możliwości.
- Wiem, że chcesz chronić swoich znajomych...
- Pani nie rozumie! Nie ma takiej możliwości, dosłownie! Jak się u nas zjawiliście, opuściłem czat. Kiedy go tworzyliśmy, Gąsienica stale to podkreślał. Że jeśli kiedykolwiek uznamy, że agenci Kręgu chcą nas dopaść, mamy natychmiast opuścić czat. Rozumie pani? Dzięki temu Krąg nie będzie mógł się zalogować i podszywać pod któregoś z nas. Ustaliliśmy, że wyjście z czatu to znak. Że ten ktoś jest spalony.
- Wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Został odcięty od przyjaciół.
- No cóż, Gąsienica niewątpliwie jest ostrożny – mruknęła Abby, ukrywając rozczarowanie. Chciała się dostać na ten czat. – Widać nie chce ryzykować.
- No. Jak mówiłem, moim zdaniem ktoś bliski wyrządził mu krzywdę.

ROZDZIAŁ 32

12 maja 2017

– Pamiętasz, mówiłem ci wczoraj, że wielkie koncerny farmaceutyczne i Agencja do spraw Żywności i Leków żyją w symbiozie? – rzekł Neal.

– Pamiętam. – Jackie uśmiechnęła się do niego. – Lekarstwo na raka, tak?

– Nie tylko. Są jeszcze szczepionki na HIV, których istnienie przed nami ukrywają, no i oczywiście lekarstwa na raka też. Jeżeli wyeliminujemy raka, to radioterapia i chemioterapia padną, a to wielki przemysł. I dlatego zaprzęgli Agencję do spraw Żywności i Leków, żeby udaremniła wszelkie nadzieje na te lekarstwa.

– Pamiętam.

Neal zerknął na Jackie. Od pewnego czasu, gdy jej się przyglądał, nie mógł się nadziwić, jaka jest piękna. Teraz, kiedy spacerowali w parku, jej kasztanowe włosy lśniły w promieniach słońca. Uwielbiał sposób, w jaki się porusza, niczym najbardziej beztroska istota pod słońcem – każdy jej krok wyglądał, jakby szła w podskokach. Grawitacja nie działała na nią tak jak na innych ludzi.

Uwielbiał z nią rozmawiać.

– A teraz okazuje się, że te firmy farmaceutyczne mają kolejnego współnika. Zgadnij kogo.

– Nie wiem.

– No już, zgaduj!

– Nie wiem. – Roześmiała się. – Policję? Wojsko?

– Meksykańskie kartele narkotykowe.

– Że coooo?! – pisnęła, otwierając szeroko oczy. – Nabijasz się. – Jej lekko rozchyłone usta były najśłodszym widokiem pod słońcem.

– Mówię ci. Wczoraj oglądałem, jak ten facet to wyjaśniał. Te wielkie firmy farmaceutyczne uzależniają ludzi od środków przeciwbólowych, po czym zniecka wstrzymują dostawy, bez uprzedzenia. I co ludzie mają zrobić? Są już przecież uzależnieni. Dlatego sięgają po to, co jest dostępne na każdym rogu. Heroinę. Na potwierdzenie jest od groma dokumentów tylko do użytku wewnętrznego oraz zeznania anonimowych pracowników tych firm. Dlatego

kartele narkotykowe dzielą się częścią zysków z firmami farmaceutycznymi, które z kolei uzależniają ludzi od środków przeciwbólowych i wpływają na strategię działania Agencji do walki z Narkotykami.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Od dawna nie widziałam, żeby coś cię tak wzburzyło – odezwała się w końcu Jackie. – Odkąd trafiłeś na tych ludzi, jesteś taki zaangażowany. Miło cię widzieć takiego.

Neal kiwnął głową. Wiedział, o czym mówiła. Ostatnie dwa lata były niełatwe. Jackie poroniła, potem przeżywała śmierć matki, a następnie straciła pracę. A jego życie pikowało w dół. Rano z trudem zwlekał się z łóżka. Całymi godzinami gapił się w telewizor, nawet nie wiedząc, co ogląda.

O Obserwatorach dowiedział się z postu, który znajomy udostępnił na Facebooku. Przeglądał jego nowe materiały i akurat ten wpadł mu w oko. Tytuł brzmiał : „Czy Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego (FEMA), buduje obóz koncentracyjny?”.

No proszę... O co chodzi? Zdezorientowany Neal kliknął i przeczytał artykuł. Tekst był kiepsko napisany i zawierał niewiele informacji, wobec tego wygooglował „Obozy koncentracyjne FEMA”.

Wyników wyszukiwania było mnóstwo. I akurat nie miał nic lepszego do roboty.

Kiedy już zaczął lekturę, nie mógł się od niej oderwać. Potem znalazł filmy. Opowiadające nie tylko o FEMA, ale także o wielkich koncernach farmaceutycznych, niewolnictwie dzieci oraz wzrastającym bezrobociu... i nagle dodał dwa do dwóch.

Jego mama umarła na raka.

Stracił pracę, ponieważ produkcję przeniesiono do Indii.

Wszystko wskoczyło na swoje miejsce, to miało sens.

Teraz codziennie wstawał wcześniej. Więcej czytał i mówił o tym Jackie, ożywiony i pobudzony. Okazało się, że może z tym walczyć. Może pomagać w zbieraniu dowodów, szukaniu brakujących ogniw i wynajdywaniu schematów. Pewnego dnia, już niedługo, pociągający za wszelkie sznurki Krąg zostanie zdemaskowany. I dokonają tego ludzie tacy jak Neal.

Obserwatorzy.

Teraz, wróciwszy do domu po porannym spacerze, Neal usiadł do komputera i wszedł na forum Obserwatorów. Od rana pojawiły się cztery nowe wątki. Forum było aktywne zawsze, tętniło informacjami, dyskusjami oraz argumentami. Neal uwielbiał czytać nowe wątki i poznawać członków.

Pod każdym wątkiem były już dziesiątki odpowiedzi. Zaczął je czytać.

I nagle pojawił się nowy wątek. Temat: „Wielkie firmy farmaceutyczne wpływają na Agencję do walki z Narkotykami???”. Jeden z członków prosił o linki do materiałów mogących to udowodnić.

Serce Neala zabiło szybciej. To mógł być jego pierwszy post na forum! Bo właśnie rano obejrzał film i byłby to cenny wkład.

Zanim zdążył się rozmyślić, naprowadził kursor na okienko odpowiedzi. Było nieaktywne. Bo się nie zalogował. Nie miał jeszcze profilu użytkownika.

Wszedł w formularz rejestracyjny, na co forum poprosiło go o nick.

Od niedawna część członków przyjmowała nicki zaczerpnięte z książek Lewisa Carrolla, bo wszyscy wskakiwali do króliczej nory. Spodobał mu się ten pomysł. Po chwili wahania wpisał „Gąsienica” i kliknął kratkę „Sprawdź, czy wolne”.

Zielony kwadracik. Imię było wolne. Na razie ujdzie. Później się zastanowi, czy go nie zmienić.

Już po chwili jego komentarz miał pięćdziesiąt sześć odsłon i trzy odpowiedzi. Stał się członkiem społeczności.

ROZDZIAŁ 33

Gąsienica z niedowierzaniem gapił się na ekran telefonu.

Wcześniej wszedł w przeglądarkę i zajrzał na forum Obserwatorów. Pomiął wątki związane z wydarzeniami w liceum Krzysztofa Kolumba i jego wzrok padł na krótki tytuł: „Strzelaniny w szkołach – klasyczna mistyfikacja”.

W swoim poście forumowicz twierdził, że cała ta historia to oszustwo – kolaboracja mediów z policją w celu przedstawienia Obserwatorów w złym świetle. Pomysł zainteresował kilku innych członków, którzy zwracali uwagę, że już wcześniej uciekano się do takich metod.

Gąsienica otworzył okienko odpowiedzi i jak szalony wystukał:

Twierdzisz, że ja też biorę udział w tym oszustwie? Jestem na drugim piętrze budynku szkoły i patrzę z góry na cholernych gliniarzy. Nie wierzysz? To chodź tu, dołącz do zabawy.

Musiał sprawić, żeby cała społeczność Obserwatorów oraz opinia publiczna stanęły po jego stronie. Potrzebował dowodu na handel dziećmi. Ale w papierach szkoły niczego nie znaleźli. Alma drobiazgowo przeszukiwała wszystkie szuflady, jak dotąd bez skutku. Gdzie oni to trzymali?

A może należało raczej zapytać: Kim oni są? Krąg musiał mieć kogoś wśród personelu szkoły. Kogoś, kogo mogli zmanipulować i wykorzystać. Kogoś słabego, kogo łatwo mogli zastraszyć albo przekupić.

Spojrzał na dyrektora, opartego bezwładnie o ścianę. Kandydat doskonały.

Chwycił pistolet i podszedł do niego. Wycelował w jego skroń.

– Kto się do ciebie zwrócił? – warknął.

Dyrektor się wzdrygnął i odsunął się od broni.

– Co proszę?

– Ktoś się do ciebie zwrócił. Chcieli twojej współpracy w ich operacji handlu dziećmi. Kto to był?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Proszę. Ja...

– Kimkolwiek był, ich tu nie ma. Ja jestem. Liczę do pięciu, jeśli nie podasz mi nazwiska, to strzelę. Jeden...

– Błagam pana, nikt się do mnie nie zwracał, w żadnej sprawie! Jestem dyrektorem szkoły. Nigdy bym nie...

– Dwa.

– Niech mnie pan nie zabija, proszę. Popełnia pan błąd.

– Trzy.

Dyrektor zaszłochał i zasłonił się ręką, jakby mogła obronić go przed kulą.

– Gąsienico, wystarczy – odezwała się Alma drżącym głosem.

– Cztery.

– Co pan zyska na jego śmierci?

To powiedziała jedna z dziewcząt, Samantha. Ta, która opatrzyła Carlosa. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Pytanie sprawiło, że się zawahał.

– Nie wtrącaj się! – warknął. – To nie twoja sprawa.

– Ja tylko pytam, co pan na tym zyska. Tym biednym dzieciom to nie pomoże, prawda?

– On współpracował z okropnymi ludźmi – syknął Gąsienica przez zaciśnięte zęby. – Nawet sobie nie wyobrażasz, co oni robili.

– Skąd pan wie, że z nimi współpracował?

– Stąd, że to ma sens.

– Rozumiem, że nie ma pan pewności – rzekła dziewczyna powoli.

– Jestem pewny – odparł po chwili wahania.

– Załóżmy nawet, że tak było. Co pan zyska, zabijając go?

„Kto na tym zyskuje?” Sami stale zadawali to pytanie. A prawda była taka, że nic nie zyska. Straci szansę na wymuszenie od dyrektora przyznania się do winy. No i źle by to wyglądało. Mogłoby skłonić policję do szturm na szkołę. Poza tym mieliby jednego zakładnika mniej.

Opuścił broń.

– Dawno wiedziałem, że nie masz jaj – prychnął Kapelusznik.

Gąsienica odwrócił się do niego.

– Dobrze wiesz, że mam.

– Niby dlaczego? Dlatego, że zabiłeś tego agenta Kręgu, czym wciąż się przechwalasz? – Kapelusznik uniósł brew.

– Owszem. Właśnie dlatego. – Gąsienica odwrócił się do dyrektora, który skurczył się pod jego spojrzeniem. – Zabijałem też wcześniej, panie Bell. Niech pan o tym nie zapomina. Nie zawaham się zabić znowu.

ROZDZIAŁ 34

– Moim zdaniem w domu nikogo nie ma – rzekł Carver, zaglądając przez okno.

Abby niecierpliwie sprawdziła telefon. Robiła to co kilka minut, kiedy jechali pod adres, który im podał Dennis – do domu Jabberwocky’ego. Stale zaglądała na forum, czy nie pojawiło się coś nowego. Pod jednym z postów zobaczyła komentarz Gąsienicy, który z wściekłością rugał kogoś za sugestię, że ten incydent to zwykłe oszustwo. Czy Will i Tammi mieli świadomość, że ludzie ze szkoły zamieszczają komentarze na forum? Czy wykorzystują ten fakt? Powiadomiła ich o tym esemesem. Była wściekła na Willa, że nie informuje jej na bieżąco, choć dobrze wiedziała, że miał po temu powody – podczas takiego kryzysu główny negocjator ma aż za dużo roboty, nawet bez konieczności regularnego informowania przerażonej matki zakładniczki.

Wyładowała swoją frustrację na drzwiach, waląc w nie pięścią.

– Popytajmy sąsiadów – zaproponował Carver. – A nuż ktoś wie, kiedy on wraca do domu. Może nawet mają jego numer telefonu.

– Niby tak – bąknęła bez przekonania. Coś z tym domem było nie w porządku. Okna były brudne, w ogrodzie leżało mnóstwo zwiędłych liści i rosły chwasty. Niewykłuczone, że Jabberwocky był zwykłym flejtuchem, chociaż nic na to nie wskazywało. Dom niedawno odmalowano, a rząd usychających w cieniu krzewów różanych świadczył o tym, że jakiś czas temu ktoś regularnie zajmował się ogrodem.

Nieobecność. Nie było go w domu, i to już od dłuższego czasu. Może wyjechał na wakacje i jeszcze nie wrócił.

Ślepy trop.

– Pójdę sprawdzić – rzekł Carver, oddalając się od domu.

Abby krążyła po ciemnej werandzie. Ile to już czasu Sam przebywała w szkole, uwięziona przez troje nieobliczalnych, niebezpiecznych i uzbrojonych ludzi? Zastanawiając się w każdej chwili, czy wyjdzie z tego żywa, czy zobaczy jeszcze rodziców, brata, psa... Czy jeszcze kiedyś zagra na skrzypcach.

Zawibrowała jej komórka, więc wyjęła ją z kieszeni i spojrzała na ekran. Esemes od tak zwanego Isaaca. Którym według niej był Moses Wilcox.

Przełknęła ślinę, stuknęła w ekran i otworzyła wiadomość. Przeczytała esemesa kilkakrotnie.

Wiem o Sam. Wyjdzie z tego cało, ma ducha wojowniczkę, to płynie w jej krwi, tak samo jak w twojej. Mogę pomóc.

Zakrawało to na jakiś żart. Skąd mógł wiedzieć o Sam? Owszem, media informowały o zakładnikach, ale nie ujawniły żadnych nazwisk.

Poprzedniego dnia obudziła go z letargu esemesem, przez co zwróciła jego uwagę na nią i jej rodzinę. Potem dowiedział się o strzelaninie. Wiedział, że Sam uczy się w tej szkole. Ale skąd...?

Cholerne forum Obserwatorów! Widocznie jakoś się o nim dowiedział i śledził ich posty tak samo jak policja. Zobaczył imię Samantha i w przeciwieństwie do forumowiczów nie dał się zwieść rozmaitym nazwiskom, które się pojawiały.

Moses Wilcox żerował na momentach słabości. Łapał ludzi będących w dołku i sprawiał, iż wierzyli, że zna wszystkie odpowiedzi. Wabił ich pięknymi słowami i graniem na uczuciach.

To jasne, że skorzysta z tej okazji, skoro Abby przechodziła najgorsze chwile w życiu.

Gdyby nie to, że jej córce groziło niebezpieczeństwo, odpisałyby i spróbowała rozwiązać mu język. Może nawet umówić się na spotkanie. Teraz jednak nie mogła się tym rozpraszać. Wilcox, czy kimkolwiek był ten człowiek, musiał zaczekać.

Cofnęła się o krok od domu. Niewykłuczone, że uda się ustalić prawdziwe nazwisko właściciela drogą oficjalną albo od sąsiadów. Zdobyć jego numer telefonu, a może i adres mejlowy. Tyle że wszystko to potrwa za długo.

Uniosła stopą matę przed drzwiami. Nie było pod nią nic oprócz kurzu. Zeszła z werandy od frontu i zaczęła grzebać w pobliskiej rynnie. Mokre liście i błoto. Nic więcej. Odwróciła się i cierpliwie oglądała każdy kawałek ogrodu, mrużąc oczy w mroku.

Jest!

Przeszła przez placyk i kucnęła przy jednym z kamieni obramowujących klomb. Nie zauważyłaby go, gdyby nie wiedziała, czego szukać. Wyglądał jak każdy inny kamień. Ale ten akurat już widziała, i to kilkakrotnie. Współczesny cud – fałszywy kamień dostępny w sklepach, w którym można schować klucz do domu. Kłopot ze sztucznymi kamieniami polega na tym, że na rynku jest zaledwie kilka modeli. A w ramach jednego modelu wszystkie są identyczne. Wielu włamywaczy potrafiło je rozpoznać. Podobnie jak niektórzy gliniarze.

Podniosła kamień, otworzyła go i wyjęła klucz do drzwi frontowych.

Było to zwyczajne włamanie i nic nie usprawiedliwiało tego, co zamierzała zrobić. Mogła stracić za to pracę. Trafić do aresztu.

Nie wahała się ani chwili.

Podeszła do drzwi wejściowych i przekręciła klucz w zamku. W domu było ciemno i cicho jak w grobowcu. Jeżeli miała resztki wątpliwości na temat tego, kiedy ostatnio ktoś tu zaglądał, to teraz ich się pozbyła. Wokół unosiła się charakterystyczna woń stęchlizny, typowa dla domów, które od dawna stały puste.

Włączyła światło, rozejrzała się. Skąpo umeblowany salon – jedna kanapa, jeden fotel, nieduży stolik podręczny, na którym nie było nic oprócz cienkiej warstwy kurzu. W ścianie po prawej zobaczyła wnękę z kompletnie uschniętą rośliną w małej doniczce. Obok była półka z trzema oprawionymi w ramki fotografiami. Wszystkie przedstawiały tę samą dziewczynkę. Na pierwszym zdjęciu była mniej więcej w wieku Bena – siedziała uśmiechnięta na zjeżdżalni. Na drugim, o kilka lat starsza, kuciała obok kwiatu na polu. Na trzecim siedziała przy stoliku w kawiarni i wyglądała przez okno. Czyżby była to córka Jabberwocky’ego?

Abby zostawiła półkę i przeszła na drugą stronę pokoju. Obok biurka stał regał wypełniony rzędami książek. Na blacie nie było nic oprócz monitora i myszy. Komputer stał we wnęce biurka. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko w tym pokoju miało swoje miejsce.

Podeszła do biblioteczki i przejrzała tytuły. W oczy rzucały się książki o teoriach spiskowych, zebrane razem, o tytułach w rodzaju *Największy sekret* czy *Kontrolowane wyburzenie*⁴. Resztę stanowiła literatura fachowa z dziedziny psychologii, o rozmaitej tematyce. W oko wpadło jej nazwisko Freuda, głównie dlatego, że je znała. Wyglądało na to, że wszystkie jego książki zebrano na tej samej półce. Obok stało sporo książek Carla Junga. Wszystkie pozycje uszeregowano według nazwisk autorów. Szybko zorientowała się, że cały regał jest uporządkowany alfabetycznie, podobnie jak półka poświęcona teoriom spiskowym.

Odwróciła się do biurka. Miało trzy szuflady. Wysunęła górną. Walały się w niej listy, rachunki i paragony. Wyjęła je i przekartkowała szybko.

Theodor Quinn. Tak naprawdę nazywał się Jabberwocky.

– Jezu, Abby! – Podskoczyła, usłyszawszy głos Carvera. Odwróciła się. Stał w drzwiach frontowych i patrzył na nią z przerażeniem.

– Daj mi dziesięć minut – powiedziała.

– Czyś ty zwariowała? A jeśli ktoś widział, jak wchodziłaś? Jeżeli...

– Jeżeli znajdę coś, co nam pomoże, Will? Jeżeli uda mi się uratować Sam? Co by było, gdybym tu nie weszła, a Sam... – przełknęła ślinę – zostałaby ranna?

Carver spoglądał na nią bez słowa.

– Dziesięć minut – powtórzyła. – Jeśli chcesz, później możesz na mnie donieść. Nie musisz być współnikiem tego włamania.

Widząc jego urażoną minę, natychmiast pożałowała tych słów. Ale nie miała czasu, żeby go przeproszać. Odwróciła się do biurka i wysunęła drugą szufladę. Na kilku notesach spoczywał całoroczny terminarz. Theodor Quinn należał do ludzi, którzy lubią mieć wszystko zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Wzięła terminarz i zajrzała do środka. Wpisów było zaskakująco mało. Kilka adresów oraz kontaktów mejlowych i telefonicznych. Z rzadka jakieś spotkanie albo lista zadań na dany dzień. Zapisywał wizyty u dentysty oraz u fryzjera – strzygł się dokładnie co dwa tygodnie. Dwie notatki o treści: „Lunch z Georgią”. Do tego kilka spotkań z jakimś profesorem Landsmanem.

I nagle, w sobotę dwudziestego piątego maja, po całym tygodniu bez choćby jednego wpisu, samotna notatka: „19.30 – rozmowa z Gąsienicą”.

Za jej plecami trzasnęły zamykane drzwi i Carver podszedł do niej. Przykucnął i włączył komputer. Zerknęła na niego, myśląc, że chyba powinna coś powiedzieć, kazać mu poczekać za drzwiami. Uznała jednak, że i tak już powiedziała za dużo, więc odwróciła się do terminarza i zaczęła go kartkować powoli.

Niedziela, dziewiątego czerwca – kolejna rozmowa z Gąsienicą. A trzy tygodnie później następna. I jeszcze jedna, po upływie dwóch tygodni. Nie było już żadnych innych spotkań, a nieliczne wcześniejsze terminy przestały się liczyć – nie było już wizyt u fryzjera ani spotkań z profesorem Landsmanem. Za to spotkania z Gąsienicą stawały się coraz częstsze. Co tydzień, a potem nie tylko w weekendy, lecz dwa razy w tygodniu. Nie były już opisywane jako rozmowy, wystarczało jedno słowo – Gąsienica.

„29 października – Gąsienica”.

A potem... nic. Dalsza część terminarza była pusta.

– Abby – odezwał się Carver.

– Musisz to zobaczyć – mruknęła.

– A ty musisz zobaczyć to – odparł.

Podniosła wzrok. Carver wpatrywał się w ekran. Pulpit z obrazkiem jeziora. Dopiero po chwili zorientowała się, co chciał jej pokazać. Jeden ze skrótów prowadził do dokumentu o nazwie Gąsienica.

Carver kliknął ikonkę i dokument pojawił się na ekranie. Wskoczyło okienko z informacją, że plik ostatnio otwierano dwudziestego sierpnia. Abby przebiegła wzrokiem kilka pierwszych zdań i szybko zorientowała się, co to jest – podsumowanie rozmów z Gąsienicą. Szybko przeczytała pierwszą stronę, zdania rozmazywały jej się przed oczami.

„Obiekt twierdzi, że w szperaniu w sieci zszedł do czterech godzin dziennie...”.

„...nie przepisano żadnych leków...”.

„...w zasadzie nie interesowało go nic oprócz opowiadania o rzeczach dotyczących Obserwatorów oraz Kręgu...”.

– Moim zdaniem Jabberwocky w ogóle nie jest Obserwatorem – oświadczył Carver.

– Nie jest – przytaknęła. Pochylona, przewijała dokument. Miał ponad trzydzieści stron i szczegółowo opisywał ich rozmowy. – Prowadził badania.

– Myślisz, że pisał książkę?

– Albo artykuł. A może pracę naukową. W terminarzu ma zapisanego profesora Landsmana. Możemy z nim pogadać.

Przerwała przewijanie, bo coś przykuło jej uwagę. Jedno zdanie Theodor podkreślił wytłuszczoną czcionką.

„Obiekt zgodził się podać mi swoje prawdziwe imię i nazwisko. Neal Wyatt”.

– Neal Wyatt – powiedziała na głos Abby. Neal Wyatt był Gąsienicą. Człowiekiem, który wziął Sam za zakładniczkę.

ROZDZIAŁ 35

Nieustannie migające niebieskie i czerwone światła przedzierały się przez niezakryte fragmenty okien i odbijały się na ścianie. Sam gapiła się na nie jak w transie. Czerwone, niebieskie, czerwone, niebieskie. Jak daleko stoją te radiowozy? Dziesięć metrów? Dwadzieścia?

Tak bliskie. I tak bezużyteczne.

Powstrzymywanie się od łez wymagało od niej nieustanego wysiłku. I tak już wystarczały napady płaczu Fiony. A kiedy jeszcze pan Bell się załamał i szlochając, błagał, żeby go puścili, zrobiło się nie do wytrzymania. Czuła, jak łzy zbierają jej się pod powiekami, tylko czekając na sygnał.

Kochane, jeszcze nie teraz. Może za pięć minut. Albo dziesięć.

Rzecz jasna, nadciągające łzy nie były jedynym problemem, który jej się dawał we znaki. Była wykończona, obolała, potwornie głodna i spragniona.

Ale przede wszystkim chciało jej się siusiu. Próbowwała zmienić pozycję na wygodniejszą, choć wiedziała, że długo już nie wytrzyma. A była pewna, że jeśli się zsika, łzy pociekną i nigdy nie przestaną płynąć.

Pomimo całej tej niedoli zdołała jednak wymyślić plan. No, może nie całkiem plan, ale zawsze coś. Próbę.

– Chcę sprawdzić opatrunek pana Ramireza – odezwała się głośno. – Mogę?

– Po co? – warknął Kapelusznik. Od dwóch godzin nic tylko warczał na swoich współników, utracił resztki samokontroli.

– Muszę sprawdzić, czy nie wdało się zapalenie.

Nie skomentował tego, Alma i Gąsienica też nie. Alma wciąż szperała w szafce na akta, przeglądała różne papiery i na nikogo nie zwracała uwagi. Z kolei Gąsienica nie odrywał się od swojej komórki, bez przerwy coś pisząc.

– Fiona, pomożesz mi? – spytała Sam. – Pewnie będziesz musiała go podtrzymywać.

Przyjaciółka zamrugła, niczym wyrwana ze snu.

– Jasne – odparła apatycznie.

Obie wstały i podeszły do leżącego Ramireza. Miał płytki oddech, na jego ustach zbierała się różowa piana.

– Nie wygląda dobrze – zauważyła Fiona drżącym głosem.

– No tak. Słuchaj, zrób coś dla mnie i bądź dzielna – poprosiła Sam. – Jak wtedy w drugiej klasie, kiedy miałyśmy klasówkę z matmy.

Fiona spojrzała na nią zdezorientowana. Rozpinając koszulę Ramireza, Sam unikała jej wzroku. Chciała, żeby Fiona zrozumiała aluzję, ale przyjaciółka była roztargniona i przerażona. Może znajdzie jakiś inny sposób. Próbowwała myśleć, ale pękała jej głowa. Nadszedł chyba właściwy czas na łzy. Nie miała pojęcia, jakim cudem tak długo się trzymała. Gdy rozpięła koszulę nauczyciela, szybko wciągnęła oddech. Opatrunek był przesiąknięty krwią i wyglądało na to, że istotnie wdało się zapalenie. Tyle że nie wiedziała, co z tym fantem zrobić.

– Jest bardzo źle – palnęła Fiona.

– Wiem.

– O Boże, niedobrze mi! – Krztusząc się, Fiona chwiejnie wróciła w róg pokoju. Głośno zwymiotowała na podłogę. Dokładnie tak jak przed wielu laty, w drugiej klasie.

Zrobiła to tak niesamowicie przekonująco, że Sam dopiero po chwili zorientowała się, co jest grane. Wszyscy patrzyli na Fionę. Sam sięgnęła do pojemnej kieszeni pana Ramireza i choć serce chciało wyskoczyć jej z piersi, namacała jego telefon. Wyszarpnęła go tak, że omal nie wypadł jej z dłoni. Jak przez mgłę słyszała, że gdzieś w oddali zbrzydzonego Kapelusznik przeklina Fionę, Alma pyta ją, czy już w porządku, a zapłakana dziewczyna nadal krztusi się i dusi.

Schowała telefon do kieszeni, oddychając ciężko.

– Teraz to posprzątasz! – darł się Kapelusznik na Fionę, która dygotała w kącie, wyrzucając z siebie resztki zawartości żołądka.

– Zostaw to dziecko! – prychnęła Alma ze złością.

– To dziecko właśnie zasmrodziło cały pokój! Ani mi się śni siedzieć tu godzinami w oparach jej rzygowin.

– Przepraszam – mruknęła słabo Fiona.

– Długo już tu nie zabawimy – wtrącił się Gąsienica. – Siedź na dupie.

– To samo mówiłeś dwie godziny temu! – ryknął Kapelusznik. – Wiesz co? Chyba ja sobie pogadam z tą gliną. Bo tobie coś marnie idzie.

– Tłumaczyłem ci, że ta policjantka wszystko bada! – Gąsienica uniósł głos. – A ty co byś zrobił? Zadzwoił do nich i zagroził, że zaraz zaczniesz zabijać zakładników? Tylko byś pogorszył sytuację.

– Naprawdę myślisz, że może być jeszcze gorzej?

Sam zapięła koszulę pana Ramireza i z powrotem usiadła w rogu. Kilka sekund później dołączyła do niej Fiona. Nikt nie patrzył na nie. Czy mogłaby teraz skorzystać z telefonu? Sięgnęła do kieszeni, dotknęła go. Nie, na razie nie da rady.

Dwaj mężczyźni nadal się kłócili, a Alma od czasu do czasu usiłowała wtrącić słowo. W końcu Sam znów wstała i podeszła do Kapelusznika.

Oderwał się od ekranu i odwrócił do niej.

– Czego?

– Tak sobie myślę, że przydałoby się zrobić przerwę na pójście do toalety – powiedziała cicho. – No bo... znaczy się... – Wbiła wzrok w podłogę, udając skrępowanie.

Kapelusznik przyglądał jej się bez słowa. Na swój pokręcony sposób napawał się tą sytuacją, była tego pewna. I dobrze. Był taki sam jak większość chłopców w szkole. Przyparty do muru robił się paskudny, ale jeśli miał wrażenie, że on tu rządzi, można było się z nim dogadać.

– Proszę – szepnęła załamującym się głosem.

– Pójdę z nimi – zaproponowała Alma.

– Jeszcze czego! – prychnął Kapelusznik. – A jeśli spróbują uciec? Masz dość jaj, żeby ich zastrzelić?

– Ja to zrobię – powiedział ze znużeniem Gąsienica. – Rozdzielimy ich. Najpierw zaprowadzę dziewczyny, a potem facetów.

– Niech ci będzie. – Kapelusznik wzruszył ramionami. – Przy okazji znajdź komórkę ciecia i weź mop, żeby tu posprzątać.

Gąsienica wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową. Odwrócił się do zbitej w kacie grupki.

– Idziemy. Najpierw dziewczyny.

Wyszli razem z pokoju. Pochód zamykał Gąsienica, z bronią w ręku. Telefon ciążył Sam, jakby ważył dziesięć kilogramów. Czy nie wybrusza materiału jej marynarki? Czy Gąsienica go zauważy? A jeśli komórka wypadnie na podłogę? Kieszenie szkolnej marynarki były do kitu, stale coś z nich wypadalo. Nie odważyła się jednak włożyć do nich rąk, żeby nie nabrał podejrzeń, że może coś ma w środku.

Zwolniła kroku i zrównała się z Gąsienicą.

– Dzięki, że pan idzie z nami – powiedziała cicho.

– Drobiazg.

– Alma mówiła mi, że szukacie dzieci, które miały być sprzedane. Dla seksu.

– Zgadza się.

– Nawet nie miałam pojęcia, że w tym kraju dochodzi do takich rzeczy. To jakiś koszmar. Dlaczego policja nic z tym nie robi?

Prychnął z niesmakiem.

– Bo policja też jest w to umoczona.

Doszli do łazienek dla nauczycieli. Pani Nelson otworzyła drzwi do damskiej toalety i weszły razem do środka. Gąsienica wpakował się za nimi.

– Może pan poczekać za drzwiami – obrugała go zniesmaczona pani Nelson. – Przecie stąd nie uciekniemy.

Gąsienica był niewzruszony.

– Możecie skorzystać z toalety, kiedy tu będę, albo zrezygnować. Wasz wybór.

Nelson odwróciła się, kręcąc głową, i weszła do kabiny. Fiona zerknęła na Sam.

– Idź – powiedziała Samantha. – Ja zaczekam.

Fiona weszła do drugiej kabiny.

– Mówił pan, że policja bierze w tym udział? – zwróciła się Sam do Gąsienicy.

– Tak. Ludzie, którzy kręcą tym interesem, mają dowództwo policji w kieszeni.

– Gąsienica stanął twarzą w twarz z Sam. Nos wciąż miał spuchnięty, a sińce pod oczami coraz ciemniejsze. Ale przynajmniej nie krwawił tak jak wcześniej. – Tak samo FBI i wojskowych. Oni wszyscy pozwalają na to, żeby dzieci takie jak ty albo i młodsze porywano i sprzedawano pedofilom, którzy stale je gwałcą.

– Mój Boże! – szepnęła Sam, wstrzymując oddech. Zmusiła się, żeby myśleć o mamie, tacie i Benie na zewnątrz. Może już nigdy ich nie zobaczy? Spojrzała na pistolet w ręku tego psychola. I wyrzuciła z siebie resztki strachu.

Jej oczy zwilgotniały, po lewym policzku spłynęła łza. Pociągając nosem, nie otarła jej, niech sobie płynie.

Gąsienica odchrząknął, wyraźnie nieswój.

– Ja po prostu o tym nie wiedziałam. – Zachlipała. – Nawet sobie nie wyobrażam, przez jakie piekło przechodzą te dzieci.

– Bo nie ty powinnaś się tym przejmować. – Gąsienica niezdarnie poklepał ją po ramieniu. – Właśnie dlatego to robimy. Żeby takie dzieci jak ty były bezpieczne.

Powstrzymała odruch i nie wzdrygnęła się pod jego dotykiem – zdołała się do niego uśmiechnąć i po twarzy spłynęła jej kolejna łza.

– Dzięki.

Odgłos spuszczonej wody i z kabiny wyszła pani Nelson. Sam jeszcze raz spojrzała na Gąsienicę przez łzy i weszła do kabiny, zamykając za sobą drzwi.

Gdy znikła z widoku, odetchnęła głęboko i szybko otarła oczy. Sikając, wyjęła telefon z kieszeni. Był wyłączony. Włączyła go, ale odpalał się powoli. Co napisać mamie w esemesie? Jak najwięcej informacji. Nie miała pojęcia, co może się przydać, dlatego opowie o wszystkim. Gdzie się znajdują, rysopisy wszystkich tych świrów, które ich uwięziły, opis ich broni. Miała czas, zawsze może powiedzieć, że ma rozstrój żołądka. Może...

O Boże, a jeśli telefon piśnie, kiedy się uruchomi? Jej komórka zawsze wydawała sygnał, gdy po włączeniu jej rano pojawiał się zalew esemesów i powiadomień. A Ramirez na pewno miał nieodebrane połączenia i wiadomości – od zmartwionej żony, dzieci, kogokolwiek.

Telefon prawie już się uruchomił. Przerazona, spuściła wodę; w kabinie odbił się echem odgłos spływającej kaskady. Komórka ożyła z piskiem i tak jak Sam się spodziewała, rozległ się sygnał. I kolejny, powiadomienia wyskakiwały jedno po drugim. Rozpaczliwie przesuwała palcem z boku telefonu, szukając przycisku głośności; nacisnęła go, gdy powiadomienia nadal popiskiwały tak głośno jak dzwony kościelne. W końcu wyciszyła dźwięki kompletnie i telefon przeszedł na wibracje.

Przez kilka sekund Sam się nie poruszyła.

Czy poprzez szum spływającej wody Gąsienica usłyszał piski telefonu?

Nikt nie zapukał do drzwi. Nie było wściekłych okrzyków. Widocznie się nie zorientował.

Ale nie miała odwagi zwlekać. Może zdawało mu się, że coś usłyszał, a teraz zobaczy, że Sam wprawdzie spuściła wodę, ale nie wychodzi. Nabierze podejrzeń, może nawet wyłamie drzwi. I jeśli zobaczy telefon w jej ręce...

Zacząła pisać nową wiadomość, jej palce śmigały po klawiaturze byle szybciej; nie przejmowała się literówkami.

– Skończyłaś? – Łazienkę wypełnił głos Gąsienicy.

– To przez ten jej okres – wtrąciła się Fiona. – Zajmie jej to jeszcze kilka sekund.

– Aha.

Dzięki Bogu za przyjaciółkę! Sam dokończyła esemesa. Jaki jest numer telefonu mamy? Kiedyś go znała na pamięć, mama kazała jej się go nauczyć lata temu, ale kto dzisiaj pamięta jeszcze numery telefonów? Jasny szlag i nagła cholera!

Zamknęła oczy, przypominając sobie cyfry, aż w końcu wstukała je i wysłała wiadomość.

Esesmes poszedł w świat.

Włożyła telefon do kieszeni, po czym się zawahała. Prędzej czy później ktoś go zauważy. Albo jej wypadnie. A wtedy będzie miała przechłapanie.

Owinęła więc komórkę papierem toaletowym i wrzuciła do kosza na śmieci. W razie czego zawsze może jeszcze raz poprosić o pójście do łazienki. Zwłaszcza że Fiona poinformowała o jej rzekomym okresie.

Miała jednak nadzieję, że telefon nie będzie już jej potrzebny. Miała nadzieję, że za kilka godzin znajdzie się już na zewnątrz, bezpieczna. Na myśl o tym znowu się rozplakała.

ROZDZIAŁ 36

– Możemy usiąść tutaj – zaproponował profesor Landsman.

Carver wszedł do pokoju i się rozejrzył. Pomieszczenie niewątpliwie było prywatną kliniką Landsmana. Przed dwuosobową kanapą stał fotel, między nimi zaś niski stolik. Półki wypełniały książki o tytułach takich jak *Akceptacja i poświęcenie* czy *Cuda w komunikowaniu się par*. Na ścianie po drugiej stronie wisiał pejzaż – Carver wyobrażał sobie, że ten obraz miał natychmiast doprowadzić do porozumienia partnerów przychodzących na terapię. Bo choćby nie wiadomo jak nienawidzili współmałżonków, od razu zgodziliby się, że to płótno jest odrażające.

– Wspomniał pan, że ma to coś wspólnego z panem Quinnem – rzekł Landsman, siadając.

Kiedy od niego zadzwonili, okazało się, że mieszka zaledwie kilka kilometrów od domu Theodora Quinna. Postanowili więc porozmawiać z nim osobiście. Rzecz jasna, Carver spodziewał się, że będą gadali w salonie czy kuchni tego człowieka, nie w klinice. Przywykł do tego, że gdy przesłuchuje ludzi, jest dominującą postacią w pokoju. A teraz jakimś cudem niewygodnie siedział na kanapie dla par, natomiast Landsman, pochylony i ze splecionymi palcami, wyglądał, jakby miał wysłuchać, czemu Abby i Carver nie spędzają ze sobą więcej czasu.

Profesor miał gęstą czarną brodę, krzaczaste brwi i niesforne bujne włosy. Nadmiar włosów wokół jego twarzy sprawiał, że wyglądał bardziej jak średniowieczny car, a nie spec od terapii małżeńskiej. Nawet z uszu wyrastały mu pęczki włosów. Czy nie utrudniało mu to słuchania o kłopotach pacjentów wylewających swoje żale?

– Kiedy wspomnieliśmy przez telefon, że mamy pytania na temat Theodora Quinna, nie wydawał się pan zdziwiony – zagaiła Abby.

Landsman skinął głową.

– Pomyślałem, że coś mu się przytrafiło. Kilka tygodni temu wysłałem nawet mejla do jego córki, ale zapewniła mnie, że rozmawiała z tatą i że po prostu wzięła sobie wolne.

– Dlaczego pan sądził, że coś mu się przydarzyło? – spytała Abby.

- Dlatego, że kilka miesięcy temu zupełnie przestał się odzywać.
- Dobrze pan zna Theodora Quinna?
- Byłem jego doradcą, kiedy pisał doktorat. Nic z tego nie wyszło, ale potem nadal się mnie radził.

Carver zerknął na Abby, ona jednak chwilowo się wyłączyła, wzrok miała nieobecny. Tego dnia powtórzyło się to już kilkakrotnie. Carver nie wyobrażał sobie, jaki koszmarny scenariusz rozgrywa się teraz w jej głowie. Przejął więc zadanie.

- Nic z tego nie wyszło? Co konkretnie ma pan na myśli?

Landsman podrapał się po karku.

- On się do tego nie nadawał. To był bardzo trudny program.
- Ale mimo że to nie wypaliło, nadal utrzymywał z panem kontakt?
- Skontaktował się gdzieś tak po roku. Twierdził, że pisze książkę. Na temat powiązany z tym, czym się zajmował wcześniej, podczas pracy nad doktoratem. Uzależnienie od mediów społecznościowych. Tyle że teraz podchodził do tego z innej strony. Wysunął teorię, że istnieje związek między uzależnieniem od mediów społecznościowych a skłonnością do wierzenia w teorie spiskowe.

Carver się pochylił.

- Jakiego rodzaju związek?
- No cóż... Wyznawcy teorii spiskowych mają pewne cechy wspólne. Lęki, potrzebę kontrolowania otoczenia i narzucania swojej woli, egocentryzm, narcyzm, są ogólnie niemili i mają paranoję...
- Na pewno nie wszyscy wykazują te cechy. – Carver ze skrepowaniem przesunął się na kanapie, przypominając sobie swoją wcześniejszą rozmowę z Abby na temat zabójstwa JFK.
- To są cechy statystyczne. Co nie znaczy, że każdy wyznawca teorii spiskowych ma je wszystkie.
- Tak, ale pewnie może też nie mieć żadnej z nich. To może być kapitalny facet.
- Czuł potrzebę podkreślenia tego faktu. To przez tę klinikę terapii małżeńskiej. Stawiała go w pozycji obronnej.
- Hm... w sumie tak. W każdym razie ludzie uzależnieni od mediów społecznościowych także wykazują pewne wspólne cechy. Między innymi zazwyczaj są o wiele miłsi. Nadaża pan za mną?
- Tak.
- Theodor twierdził, że ponieważ współcześnie teorie spiskowe są rozsiewane głównie poprzez media społecznościowe, to istnieje podzbiór ich wyznawców, którzy są mili, a nie nieprzyjemni. Dokładnie mówiąc, uważał, że niektórzy wyznawcy teorii spiskowych po prostu chcą naśladować innych.

– Rozumiem. – Carver potarł grzbiet nosa. Badania Theodora wydawały się nudne jak flaki z olejem. – Ale po co się z panem skontaktował?

– Chciał, żebym mu pomógł opracować skuteczne ankiety do jego badań.

– I zrobił pan to?

– Udzieliłem mu paru wskazówek, z uprzejmości zawodowej. Spotkaliśmy się kilka razy. Aż nagle przestał się odzywać. Przedtem dzwonił co dwa tygodnie. I nagle... cisza.

– Kiedy rozmawialiście ze sobą po raz ostatni?

– Nie pamiętam. Chyba latem. Może trochę później.

Carver ze skrepowaniem poruszył się na kanapie. Że też pacjenci tego gościa płacą mu za siedzenie na czymś takim! W życiu nie siedział na równie niewygodnym meblu. Czy razem z Abby będą się z tego nabijali w przyszłości? „Pamiętasz, kilka miesięcy po tym, jak zaczęliśmy ze sobą chodzić, poszliśmy na terapię małżeńską? Cha, cha!”.

Raczej nie.

– Co panu mówił o postępach w swoich badaniach?

– Był tym niezwykle przejęty. Zdaje się, że znalazł w sieci olbrzymią społeczność ludzi pasujących do jego teorii. Zaprzyjaźnił się z nimi, robił wywiady.

– Powiedział panu, kim byli?

– Nie. A ja go nie pytałem. Odniosłem wrażenie, że nie chciał ujawniać żadnych informacji.

– A czy wspominał kiedyś o kimś nazwiskiem Neal Wyatt?

– Nie przypominam sobie.

– A o Gąsienicy?

Landsman zmarszczył czoło.

– Zdecydowanie nie. Takie coś bym zapamiętał.

– Czy kiedy rozmawialiście, wydawał się czymś zmartwiony albo wystraszony?

– Nie, był przede wszystkim przejęty.

Carver zabębnił palcami po podłokietniku kanapy.

– Powiedział pan, że on się nie nadawał do pisania doktoratu. Czemu?

– Wolałbym w to nie wchodzić. To nie moja specjalność. Powinien pan spytać jego.

Carver westchnął.

– Profesorze, pańskie próby krycia kolegi są godne podziwu. Ale my nie fatygowaliśmy się tu dlatego, że Quinn dostał mandat za przekroczenie prędkości. Mamy podstawy sądzić, że był w kontakcie z bardzo zaburzonymi ludźmi, i podejrzewamy, że mogła mu się stać krzywda. Dlatego ze względu na dobro

Quinna będę wdzięczny, jeśli powie nam pan wszystko. Dlaczego nie obronił doktoratu?

Landsman przez chwilę się zastanawiał. Uciekł wzrokiem, na obraz na ścianie.

– W trakcie pracy nad doktoratem Quinn prowadził eksperyment, który rzekomo miał dowieść słuszności jego teorii. Tyle że rezultaty nie dość, że nie wsparły tej teorii, to jeszcze jej zaprzeczyły. Dlatego sfałszował wyniki. Nagiał treści rozmów, zadawał pytania naprowadzające, a wreszcie zmienił niektóre dane. Dlatego podjąłem decyzję o zakończeniu programu.

Carver się pochylił.

– A co z jego najnowszymi badaniami? Myśli pan, że również sfałszował wyniki? I prowadził rozmowy w określony sposób, żeby uzyskać potrzebne mu rezultaty?

Landsman bezradnie rozłożył ręce.

– Tego nie wiem. Ale z mojego doświadczenia wynika, że kto zrobił tak raz, najprawdopodobniej to powtórzy.

– Wobec tego jeśli rozmawiał z tymi ludźmi...

Pytanie przerwał Carverowi niespodziewany głośny pisk. Odwrócił się do Abby, która wyjęła z torebki komórkę i czytała esemesa. Otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy.

– Co się stało? – spytał, natychmiast wyobrażając sobie wszystko co najgorsze. Abby spojrzała na niego z przestraszeniem.

– Dostałam wiadomość od Sam. Jest w szkole.

ROZDZIAŁ 37

Nie przestawali dzwonić.

Ostry dzwonek telefonu działał Gąsienicy na nerwy. Często odbierał tylko po to, żeby przestał brzęczeć. A wtedy po drugiej stronie zawsze był ten sam facet, Will.

– Cześć, Gąsienico – odezwał się Will. Mówił jak ten aktor, jak on się nazywa? Gąsienica miał jego nazwisko na końcu języka. Czyżby Krąg wynajął aktora, żeby z nim rozmawiał?

Nie, to nie miało sensu.

– Prosiłem, żebyście już nie dzwonili, chyba że Abby coś znajdzie – odparł Gąsienica.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Chciałem, żebyś wiedział, że Abby wygrzebała jakieś papiery. Nic się nie bój, ona wie, co z tym zrobić.

– I dobrze.

– Martwię się o tego faceta, co został ranny. Wygląda na to, że robicie to ze szlachetnych pobudek. Kiedy to wszystko się skończy, chcemy, żebyście pozostawili po sobie właśnie takie wrażenie. Ale to się nie uda, jeśli on nie dostanie koniecznej pomocy lekarskiej...

– Jest w dobrej formie – przerwał ostro Gąsienica, zerkając na leżącego na podłodze mężczyznę. Zdecydowanie nie był w dobrej formie, przeciwnie. Nawet gdyby przysłali mu teraz lekarza, Gąsienica wątpił, żeby zdołał przeżyć. A nowojorska policja nie omieszkałaby poinformować całego świata, że Obserwatorzy w szkole z zimną krwią zastrzelili nauczyciela.

Will miał rację, chodziło przede wszystkim o to, jakie wrażenie odniesie opinia publiczna. A Gąsienicy zależało, żeby ludzie poznali prawdę. By sobie uświadomili, że jest porządnym człowiekiem toczącym beznadziejną walkę.

Przede wszystkim chodziło mu o to, by Abby zrobiła, co do niej należy, i wygrzebała brudy na Krąg. Dopiero po ich upublicznieniu dopuszczą lekarza do rannego.

– Przemyślmy to wspólnie – zaproponował Will. – Załóżmy, że wypuścicie tego człowieka, żeby mógł trafić do szpitala. Jaki jest najlepszy scenariusz?

– Najlepszy? – Gąsienica zmarszczył czoło. – Najlepszy scenariusz jest taki, że go wyleczą i się wylize.

– Wylize się? – powtórzył Will. – Obawiasz się, że może nie przeżyć?

Gąsienica z irytacją zamknął oczy.

– Nie, mówiłem ci, nic mu nie jest. To tylko draśnięcie.

– To tylko draśnięcie – powtórzył Will.

– Tak. Posłuchaj, on się na kogoś rzucił i... i dostał kulkę. Ale to nic poważnego, jasne? Możesz mi wierzyć.

– Jesteś człowiekiem honoru, wiem, że mogę ci zaufać – powiedział Will. –

Czyli taki jest najlepszy scenariusz, tak? Wyleczą go, wylize się, a my powiemy wszystkim, jacy byliście skorzy do pomocy. Dlatego że pragniecie ratować ludziom życie, a nie je odbierać.

– Właśnie.

– A jaki jest najgorszy scenariusz?

Rozmowy z Willem nic tylko kręciły się wokół tego samego. Najgorszy scenariusz był taki, że ranny umrze, a Krąg zwali winę na Obserwatorów. Albo wykiwają Gąsienicę i kiedy będą wypuszczali rannego zakładnika, nowojorska policja wparuje do szkoły i wszystkich ich załatwi. Albo okaże się, że Carlos od początku był agentem Kręgu i tylko udawał, że jest ranny, żeby wyjść na zewnątrz i przekazać Kręgowi zebrane informacje. Albo...

– Jak myślisz? – zapytał Will. – Co najgorszego może się wydarzyć?

– Posłuchaj, jemu nic nie jest! – warknął Gąsienica. – A teraz muszę coś sprawdzić. Pogadamy za pół godziny.

Odłożył słuchawkę i pomasaował czoło, napawając się chwilą ciszy. Drzwi do sąsiedniego gabinetu były zamknięte, a za nimi panował chaos. Umierający facet, grupka zakładników, powietrze przesiąknięte odorem wymiocin oraz dwoje Obserwatorów, którzy z minuty na minutę tracili do niego zaufanie.

Jak do tego doszło, do cholery? Przypomniał sobie wszystkie swoje decyzje i wydarzenia z przeszłości, które sprawiły, że znalazł się w tej sytuacji.

Pistolet w jego roztrzęsionej ręce i Carlos padający na podłogę...

Błysk w oku Kapelusznika, gdy w samochodzie brał jeden z pistoletów...

Chwila, gdy siedząc przy komputerze, zauważył trzy literówki w jednym tweecie...

Jęknął, kiedy przed oczami przesuwały mu się wspomnienia, przeskok i lista dokonanych wyborów, z których każdy przybliżał go do pułapki, jaką sam sobie zgotował.

Mina żony, patrzącej na niego w chwili, kiedy go opuszczała...

Młotek w jego ręce, który unosi się i opada, bryzga krew i lecą połamane zęby, a oczy zachodzą mu łzami...

Nocne kopanie dołu w ogrodzie, pot spływający mu pomimo zimna po karku, i coraz głębszy grób...

Bredzenie, że to tylko dla obrony własnej, kiedy na wystawie broni kupował trzy pistolety, a właściciel stoiska uśmiechał się znacząco...

Sytuacja, gdy obaj siedzą w salonie, popijając piwo i zadzierzgując przyjaźń, która zmieni wszystko...

„Nie nazywaj mnie już Gąsienicą. Jesteśmy kumplami. Mów mi Neal”.

ROZDZIAŁ 38

Tu Sam. My u dyra, razem szescioro, jeden chyba umiera, wszyscy głodni, troje z bronia krotka, kapelusznik zly brutalny Alma matka, szuka dzieci, gasienica – ujawnic sitwe, juz wczesniej zabijal. Nie moge odpowiedziec.

– Zdaje się, że pisała to w dużym pośpiechu – zauważył Will.

– Mhm – mruknęła Abby. Zaschło jej w gardle. Wypiła łyk wody, ale nic to nie dało. Zupełnie jakby jej ciało straciło zdolność wchłaniania płynów, dopóki jej córce groziło niebezpieczeństwo.

Znów siedzieli w ustawionej przed szkołą furgonetce negocjatorów. Gdy tylko odczytali esemesa, wrócili czym prędzej – Carver wciskał gaz do dechy, Abby zaś rozmawiała przez telefon, to z Willem, to z Tammi. A skoro już dotarli na miejsce, nie zamierzała się wycofywać.

– Zakładamy, że załatwiła sobie chwilę na osobności z czyimś telefonem – powiedział Carver. „Nie mogę odpowiedzieć” zapewne oznacza, że nie będzie mogła odebrać telefonu.

– Próbowalaś do niej oddzwonić albo odpisać?

– Nie – odparła szybko. – Jeśli ma telefon przy sobie, tylko bym ją naraziła na niebezpieczeństwo.

– Numer jest zarejestrowany na Carlosa Ramireza – wyjaśniła Tammi. – Ryzyko, że ktoś inny zadzwoni na ten telefon, jest bardzo duże.

– Mam nadzieję, że Sam go wyłączyła – mruknęła Abby i opróżniła szklanekę. Próbowwała ukryć drżenie dłoni, ale z szybkiego spojrzenia Willa domyśliła się, że zauważył.

– Ta wiadomość potwierdza dużą część tego, co już wiedzieliśmy – powiedział. – Prawdopodobnie to Ramirez jest tym zakładnikiem w stanie krytycznym.

– Wygląda na to, że najbardziej gwałtowny z ich trójki jest Kapelusznik – zauważył Carver. – Weźcie pod uwagę, że nawet jeśli skłonicie Gąsienicę do współpracy, to Kapelusznik niekoniecznie na to pójdzie.

– Sam napisała, że Gąsienica już kiedyś zabijał – przypomniała im Abby. – A to może oznaczać, że właśnie on jest najgroźniejszy. Jeśli dojdzie do wniosku, że czeka go dożywocie, może nie chcieć się poddać.

– Chwilowo w ogóle nie współpracuje – poinformował Will. – Gadałem z nim siedem razy. Zawsze kończył bardzo szybko. I wcale go nie interesowała żadna pomoc od nas. Odmawiał rozmów na jakikolwiek temat oprócz naszych postępów w znajdowaniu dowodów na współpracę policji Nowego Jorku z sitwą.

– Tammi, a ty masz coś na niego? – spytała Abby. Te dwa słowa, „już zabijał”, całkiem ją zmroziły. Kogo zabił Neal?

Tammi przekartkowała plik papierów.

– Kiedy powiedziałaś mi, że naprawdę nazywa się Neal Wyatt, udało mi się znaleźć to i owo na jego temat. W mediach społecznościowych prawie się nie pojawia. Znalazłam jego profil na Facebooku, ale nie ma na nim nowych wpisów, a poza tym jest prywatny. Jego żona, Jackie Wyatt, też nie udziela się w mediach społecznościowych. Mieszkają w Monticello. Próbuję ściągnąć billingi jego rozmów.

– Czy ktoś rozmawiał z Jackie?

– Nie odbiera telefonu. Miejscowy policjant pojechał do nich, ale nikogo nie zastał. Ich samochód zniknął. Sąsiadka powiedziała, że Jackie kilka razy w tygodniu biegała, ale nie widzieli jej co najmniej od miesiąca.

– Nakaz przeszukania? – spytał Will.

– Załatwiam.

Abby spojrzała na tablicę. Tammi przykleiła do niej szkice uzbrojonych Obserwatorów, sporządzone na podstawie rysopisów całej trójki. Pod szkicem Neala wisiało zdjęcie zrobione mu przez uchylone okno; zniekształcony nos nadawał jego twarzy nikczemny wygląd.

– Mamy na niego coś jeszcze?

– Czytałam mnóstwo jego postów na forum Obserwatorów – odparła Tammi. – Zaczynał skromnie, jego najwcześniejsze wpisy składają się z jednego zdania, najwyżej dwóch; zwykle popierał teorię innego forumowicza, ale niczego od siebie nie proponował. Kilka miesięcy później zaczął dominować, wysuwać własne teorie. Ludziom się podoba, że przedstawiając jakąś teorię, podaje linki do wielu materiałów źródłowych. Dzięki temu jego posty wyglądają na zbiór faktów, a nie, eee...

– Obląkańcze monologi wariata? – podsunął Carver.

– Tak. Chociaż ci ludzie nie widzą tego w ten sposób. Ale jego teorie powszechnie uchodzą za bardziej rozsądne. Niewątpliwie na forum cieszy się wielką popularnością. Poza tym ma więcej uroku niż inni i potrafi się śmiać sam z siebie. Zamieszcza dużo memów. Ale dwa miesiące temu jego posty się

zmieniły. Żadnych memów, koniec z żartami. Częściej krytykuje teorie innych członków, a jego posty stały się radykalniejsze.

– Mówimy o ludziach, którzy uważają, że niektórzy nasi politycy są sterowani za pomocą zdalnych fal mózgowych – zauważył Carver. – Uściślij więc, co uważasz za „radykalniejsze”.

– Jego teorie są o wiele bardziej konkretne, wskazuje pewnych ludzi i namawia do podejmowania działań. Nie pisze już tylko o domyślaniu się, co kombinuje Krąg. Teraz nawołuje Obserwatorów do walki.

Abby pokiwała głową. Kiedy sama przeglądała forum, widziała dużą część tego, o czym mówiła Tammi.

– A jak inni reagują na jego posty?

– Tak naprawę większość tych ludzi nie chce się pakować w nic ryzykownego. Zadowala ich samo gadanie. Zawsze znajdują się tacy, którzy nawołują do zbiorowych protestów, ale zwykle na tym się kończy. Ale jest kilkoro naprawdę zaangażowanych członków. Najbardziej rzucają się w oczy Kapelusznik, Czerwona Królowa, Suseł i Jabberwocky.

– Czerwona Królowa to Alma – wtrąciła Abby. – Suseł to nastolatek imieniem Dennis. Rozmawialiśmy z nim, jest skłonny do współpracy, mógłby tu nawet przyjechać i pogadać z tymi ludźmi przez telefon, jeśli uznamy, że to dobry pomysł. Jabberwocky to były student psychologii, który prowadził badania na temat Obserwatorów. Regularnie spotykał się z Nealem. Nie wiemy, gdzie jest w tej chwili.

– Jak forumowicze reagują na to, co tu się teraz dzieje? – zapytał Will.

– Forum dzieli się zasadniczo na dwa obozy. Większość się boi. Według nich Gąsienica zbyt szybko się pośpieszył i w rezultacie FBI i policja weźmie się za członków. Spora grupa już opuściła forum, niektórzy na pożegnanie wyjaśniali historycznie: „Na to się nie pisałem” i tak dalej. Kilku ogłosiło, że przenosi się do swoich kryjówek, cokolwiek to znaczy.

– Pewnie do chat na odludziu, gdzie mogą się ukryć pod kołdrą i czekać, aż wszystko się skończy – podsunął Carver.

– Jest też niewielka grupka pasjonatów. Jak wam wiadomo, Gąsienica niedawno publikował coś ze szkoły na forum i ci ludzie są przekonani, że lada chwila sitwa zostanie wreszcie zdemaskowana. Jabberwocky bez przerwy powtarza wszystkim, żeby się nie poddawali. Kilkoro członków zorganizowało właśnie kretyńską manifestację kilka ulic dalej.

– Widzieliśmy ją – wtrąciła ponuro Abby. Jadąc tutaj, minęli grupkę mężczyzn i kobiet trzymających transparenty z napisami w rodzaju ŚMIERĆ KRĘGOWI!, UJAWNIĆ PRAWDĘ! no i, rzecz jasna, RATUJCIE DZIECI! Ten ostatni napis odnosił się oczywiście do urojonych dzieciaków, które rzekomo miały być

sprzedane pedofilom jako seksualni niewolnicy, a nie do realnych dzieci przetrzymywanych w charakterze zakładników, w tym jej córki. Abby cieszyła się, że nie ona prowadzi, tylko Carver, bo najchętniej skreśliłaby i ich rozjechała.

– Czy udało się ustalić nazwisko Almy? – spytał Carver.

Tammi pokręciła głową.

– Na razie nie.

– Zastanawialiśmy się, czy przekazać ich portrety i zdjęcia mediom – powiedział Will. – A nuż ktoś by ją zidentyfikował. Ale baliśmy się, że może to utrudnić negocjacje.

Abby rozumiała ich obawy. Trójka Obserwatorów najprawdopodobniej śledziła relacje w mediach. Gdyby środki masowego przekazu dostały te nazwiska, Obserwatorów zalałaby fala hejtu, który zniszczyłby nadzieje na zakończenie tego koszmaru.

– Abby, a co z tymi rozmowami, o których wspominałaś? – spytała Tammi.

– Prześlę ci je – odparła Abby. – Przeczytałam po drodze. Theodor Quinn dołączył do forum Obserwatorów w kwietniu, jako Jabberwocky. Kilka razy próbował się umówić z członkami na rozmowy w realu, ale prośby o ich numery telefonów albo osobistego spotkania budziły na forum podejrzenia, zwłaszcza ze strony jednego nowego członka. Wreszcie w czerwcu udało mu się namówić na rozmowę telefoniczną Neala. W jej trakcie podpytywał o szczegóły z jego dzieciństwa, ale chłopak nie chciał gadać o tym. Theodor robił wszystko, żeby uchodzić za kolejnego Obserwatora. Neal chyba mu uwierzył. Theodor pisze, że Neal wciąż powtarzał rzeczy w rodzaju „my, Obserwatorzy” i „jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż sądziłem”, a poza tym stale go pytał o zdanie na temat niektórych teorii Obserwatorów.

– Czyli dopóki Theodor trzymał się tematyki dotyczącej Obserwatorów, Neal chętnie z nim rozmawiał – podsumował Will.

– Właśnie. A Theodor zyskiwał na popularności. W kilku kolejnych rozmowach nie wychodził poza tę tematykę i udawał nowego Obserwatora, który dopiero się uczy, na czym to polega. Potem chyba się zaprzyjaźnili. Wcześniej Theodor nazywał go Gąsienicą, ale w końcu Neal podał mu swoje prawdziwe imię. Otworzył się, opowiedział Theodorowi o swoich rodzicach, o tym, że kiedy był dzieckiem, ojciec stracił pracę. W jednej rozmowie wspomina Jackie, mówi, że chcieli mieć dziecko, ale Jackie poroniła. Wygląda to tak, jakby się zaprzyjaźnili. Dwa razy spotkali się nawet w domu Theodora. Podczas dwóch ostatnich opisanych rozmów nie mówili już o życiu Neala, tylko wrócili do tematyki Obserwatorów, ale bardziej szczegółowo. To ich ostatnie udokumentowane rozmowy, jednak wiemy, że było ich więcej i że kontaktowali się ze sobą coraz częściej, tyle że nie mamy żadnych konkretnych faktów. Żeby je zdobyć,

musimy załatwić nakaz przeszukania domu Theodora, a nie jestem pewna, czy go dostaniemy.

Carver zmierzył ją ostrym wzrokiem, ale się nie odezwał.

– Dennis powiedział nam, że w okolicach Halloween Gąsienica przeżył coś, co go zmieniło – ciągnęła Abby. – Zgadza się to ze zmianą charakteru jego postów, którą zauważyliśmy na forum. Wiemy też, że Theodor spotkał się z Nealem dwudziestego dziewiątego października. Wygląda na to, że w trakcie tego spotkania wydarzyło się coś, co wywarło duży wpływ na Neala. Dowiemy się więcej, jeśli znajdziemy Theodora.

– Już się do tego biorę – rzuciła Tammi.

– Dobrze. – Abby spojrzała na Willa. – A tobie jak idzie?

– Na razie działamy na podstawie szczątkowych informacji – odparł. – Do Neala zwracam się jego nickiem, głównie po to, żeby zrozumiał, że się o nich martwimy, ale że jeśli komuś stanie się krzywda, ich wizerunek na tym ucierpi. Nic to nie dało. Ale teraz widać dlaczego. Nealowi nie chodzi o to, żeby się z tego wykaraskać. Chce zadać cios tej całej sprawie i ją zdemaskować. Z esemesa Samantha wiemy, że już wcześniej kogoś zabił. Próbuję doprowadzić do tego, żeby postrzegał mnie jako sojusznika. W tym celu muszę go skłonić, żeby zaczął mówić o faktach. Chyba mogę już poruszyć temat jego postów na forum.

– Myślę, że masz rację – przytaknęła Abby. – O tajemnicach rozmawia na prywatnym czacie. Zdaje się, że Obserwatorzy z zasady zakładają, że część członków forum to agenci FBI i policjanci, więc nie uznają cię za wroga, kiedy się dowie, że czytałeś jego posty. Możesz się powołać na mnie. Powiedzieliśmy mu, że będę szperała w aktach, więc mogę się pojawić na chwilę, żeby szybko zdać mu sprawę z postępów.

– Tego wolę uniknąć – zaprotestował Will. – To tylko zaciemni obraz. Chcę, żeby uważał, że zostałam odsunięta. Jeżeli zobaczy, że może gadać z tobą, to przestanie rozmawiać ze mną.

– Zależy, jak to rozegramy – rzuciła ostro. – Mogę powiedzieć, że...

Otworzyły się tylne drzwi i wszyscy spojrzeli na nowo przybyłych.

Byli to Estrada, dowódca całej akcji, oraz Baker z JRK; obaj mieli na sobie kamizelki kuloodporne. Baker miał także hełm. Abby serce podeszło do gardła.

Estrada obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, zmarszczył czoło i zwrócił się do Willa:

– Veneer, przyszliśmy cię zawiadomić, że wkraczamy.

– Co?! – krzyknęła Abby. – Teraz? Kiedy nareszcie mamy wielki przełom?

– Wiem – odparł Estrada, nie spuszczając wzroku z Willa. – Właśnie dlatego wkraczamy. Jest jasne, że Carlosowi Ramirezowi zostało mało czasu. Potwierdza to wiadomość, którą dostałaś. Ci ludzie w środku wielokrotnie odmawiali

wypuszczenia go, nie zgadzają się też na przysłanie lekarza, a teraz wiemy, że już wcześniej zabijali. Dalsze czekanie oznacza śmierć Carlosa.

– Uważam to za błąd, kapitanie – oświadczył Will. – Statystycznie rzecz biorąc, jeśli się ma dostatecznie dużo czasu, większość negocjacji kończy się o wiele lepiej niż...

– Jeśli się ma dostatecznie dużo czasu – wpadł mu w słowo Estrada. – Sęk w tym, że jak mówiłem, w tym przypadku czasu nie mamy. Myślisz, że zdołasz coś osiągnąć w ciągu dziesięciu, dwudziestu minut?

Will zacisnął zęby. Abby wiedziała to samo co on. Negocjacje pod presją czasu nigdy nie dają rezultatów.

– Szturm może doprowadzić do tego, że jeszcze więcej ludzi straci życie. –

Will ciągle jeszcze miał nadzieję. – Baker powiedział, że szanse przeprowadzenia takiej operacji bez ofiar są znikome.

– Teraz nasze szanse znacznie wzrosły – odezwał się Baker. – Wiemy, gdzie są kamery monitoringu.

ROZDZIAŁ 39

– Już dawno powinienem zjeść obiad.

Sam zarejestrowała te słowa, które słyszała przez mgłę zmęczenia, głodu i nieustannego bólu głowy. Przez chwilę to wypowiedziane ze złością zdanie wydawało jej się nie na miejscu. Tak mawiał jej tata. „Najwyższa pora na obiad, dzieci. Chodźmy na pizzę”. Może by się spierała, że woli sałatkę albo tę restaurację meksykańską, której tata nie znosił. Teraz te swary wydały jej się czystą głupotą. Co by dała za kawałek pizzy z tatą i Benem! Jej brat zamówiłby colę, bo mama mu nie pozwalała, zwłaszcza wieczorem, a taty w ogóle to nie obchodziło. Sam po raz tysięczny przypomniaby mu eksperyment, w którym w coca-coli rozpuszczono ząb. Chociaż nie była pewna, czy rzeczywiście przeprowadzono taką próbę. Ktoś jej powiedział, że to fikcja. Ta pizza, z ciągnącym się serem, smakowałaby bosko. A Ben wyłopałby colę duszkiem i beknął, wywołując śmiech taty, jakby było w tym coś zabawnego, i...

Oczy zaszczyły jej łzami. Tak jak od jakiegoś czasu. Tylko płacz i płacz. A gdy przestawała, zaczynali Fiona albo Ray. Szlochali cicho, bo gdy Fiona rozpłakała się za głośno, Kapelusznik podszedł i uderzył ją w twarz.

Myślała o czymś, ale nie wiedziała, o czym.

A tak, ktoś coś mówił o obiedzie.

Kapelusznik.

Sprawdził swój pistolet i wepchnął go za pasek. Potem podszedł do nich i ukląkł obok Fiony.

– Idziemy, księżniczko – polecił. – Pokażesz mi, gdzie jest stołówka.

Fiona wzdrygnęła się, skuliła. Kapelusznik chwycił ją za rękę i poderwał na nogi. Jęknęła i się potknęła.

– Ja pana zaprowadzę – rzuciła szybko Sam. – Fiona źle się czuje.

Spojrzał na nią beznamiętnie.

– W porządku, pani doktor. Prowadź. – Wstał i odwrócił się do Almy, która siedząc w fotelu sekretarki, obserwowała zapis z kamer monitoringu. – Przyniosę nam coś do jedzenia. Gdybyś zobaczyła jakiś ruch, natychmiast daj mi znać, jasne?

Ponuro kiwnęła głową; twarz miała bladą jak ściana, włosy potargane. Wcześniej weszła do gabinetu dyrektora, a dwadzieścia minut później wróciła

z podpuchniętymi, przekrwionymi oczami. Gąsienica sprawiał wrażenie, że panuje nad sytuacją, Kapelusznik wydawał się wręcz wesoły, natomiast Alma nie radziła sobie ze stresem.

Sam wstała, kręciło jej się w głowie. Osłabła z głodu. Czy kiedyś zdarzyło się, żeby przez cały dzień nic nie jadła? Fiona, jako Żydówka, co rok pościła w święto Jom Kipur. Twierdziła, że to miłe uczucie, oczyszczające. Ale Sam wcale nie czuła się oczyszczona, tylko słaba i pusta.

Gdy wyszli z pokoju, Kapelusznik w napięciu rozglądał się po korytarzu. Co oni czuli, wychodząc z pomieszczenia, w którym się zabarykadowali? Chodząc po budynku, którego nie znali, ze świadomością, że policja w każdej chwili może przypuścić szturm. Kapelusznik pewnie miał nerwy w strzępach.

– Stołówka jest na parterze – powiedziała.

– Wobec tego idziemy na wycieczkę – odparł. Głos miał pewny, obojętny.

– Słyszałam, jak wcześniej mówił pan, że początkowo w ogóle nie chcieliście wchodzić do szkoły. Dlaczego zmieniliście zdanie?

Przez kilka sekund Kapelusznik milczał. W końcu powiedział takim tonem, jakby mówił sam do siebie:

– Bo uznaliśmy, że tak trzeba.

– Tak trzeba?

– Owszem. Wejść tu, mając wsparcie przyjaciół. Z bronią w kieszeni. Tak było trzeba.

Sam przełknęła ślinę. Liczyła, że usłyszy kolejną pokręconą gadkę o teoriach spiskowych, że Kapelusznik opowie jej, jak chciał ratować nieistniejące dzieci przed urojonym losem. Musiała jednak podtrzymać rozmowę, poznać go lepiej, zaprzyjaźnić się.

– Dlaczego tak było trzeba?

Doszli do schodów. Kapelusznik zatrzymał się, chwycił ją za ramię i przez kilka sekund nasłuchiwał.

– A co cię to obchodzi, pani doktor?

– Po prostu chcę pogadać.

Łypnął na nią.

– Tak? A to czemu? Chcesz mnie lepiej poznać?

– Tak sobie pomyślałam... Gdybym zrozumiała wasze motywy, może pomogłabym wszystkim wyjść z tego cało. Panu też.

Ruszył schodami w dół, ściskając jej ramię i ciągnąc ją za sobą.

– Naprawdę wierzysz, że uda się to zakończyć tak, żeby nikt nie ucierpiał?

Serce jej zamarło.

– A nie? Przecież właśnie dlatego Gąsienica rozmawia z policją, prawda? Szuka sposobu, jak to zakończyć.

– Gąsienica wierzy, że nowojorska policja ogłosi wszem wobec, że od początku mieliśmy rację. Że jest skorumpowana i że policjanci pomagali pedofilom w kupowaniu dzieci. A wtedy wszyscy uznają nas za bohaterów. – Kapelusznik parsknął ochryplym śmiechem, który odbił się echem na pustych schodach. – A Alma wciąż wierzy, że znajdziemy te dzieci zamknięte w jakiejś szafie albo piwnicy.

– A co pan sądzi?

– Myślę, że za kilka godzin gliniarze wpadną tu z bronią w rękę. I że wszyscy albo zginiemy, albo trafimy do aresztu.

Zerknęła na niego. Twarz miał beznamietną, jakby mówili o pogodzie.

– Możemy się zastanowić, jak tego uniknąć – powiedziała. – To się nie musi tak skończyć.

Dotarli na parter. Znowu przystanął, rozejrzał się czujnie i szturchnął ją, żeby szła dalej.

– A kto powiedział, że chcę tego uniknąć?

Zabrakło jej słów, zmroziło ją, gdy uświadomiła sobie sens jego słów. Z niektórymi nie da się dyskutować. Bo są za bardzo stuknięci. Może jej mama wiedziałaby, jak z nim rozmawiać. Jak go przekonać, żeby dali za wygraną. Ale ona nie miała o tym pojęcia.

– Może jestem właśnie tu, gdzie chciałem – ciągnął Kapelusznik. – Może znam gorsze miejsce na spędzenie ostatnich godzin życia niż szkoła, gdzie mam broń w ręce i certyfikowaną lekárkę do towarzystwa. – Puścił jej ramię, położył dłoń na jej plecach i zjeżdżał nią w dół. Próbowwała się odsunąć, ale nie zabrał ręki. Co za brutalny, ohydny dotyk! Zjechał dłonią na jej pupę i ścisnął ją, oddychając chrapliwie.

Sam się cofnęła.

– E... Stołówka jest za tymi drzwiami. – Była przerażona, głos jej się łamał. Już się nie zastanawiała, co powoduje tym człowiekiem. Chciała tylko znaleźć się jak najdalej od niego.

Kapelusznik łypnął na nią i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi stołówki. Uchylił lekko jedną część i zajrzał do środka.

– No to będzie zabawa – mruknął.

Sam wiedziała, na co patrzył. Olbrzymie puste pomieszczenie pełne prostokątnych stołów. Sadystyczny wystrój mający wzmocnić koszmary związane z pozycją społeczną w liceum. Czy siedzisz sama przy stole dla sześciu osób? A może codziennie musisz wybierać w stołówce, kim są twoi koledzy? I czy siedzący wokół ciebie patrzą, co jesz i jak?

Ale, rzecz jasna, Kapelusznik nie to miał na myśli.

Cała olbrzymia ściana stołówki była ze szkła i wychodziła na podwórko szkolne i ulicę. A tam stały dziesiątki uzbrojonych policjantów, czekających na rozkaz.

ROZDZIAŁ 40

– Myślałem, że nie mamy dostępu do szkolnego monitoringu – rzekł Will.

– Bo nie mamy – przyznał Baker. – Ale udało nam się zdobyć stary zapis kamer sprzed kilku dni. Dzięki niemu wytyczyliśmy trasę przez martwe pole, którą można wejść, omijając kamery. Nie zauważą, że nadchodzimy.

Tłumacząc to, Baker stał na zderzaku furgonetki negocjatorów; przez otwarte tylne drzwi widzieli migające światła policyjnych kogutów. Było jasne, że nie zamierza dyskutować, decyzja już zapadła. JRK wkraczała do akcji. Negocjatorzy nie byli już potrzebni.

– Chyba nie zamierzacie opuścić się z dachu? – spytała Abby.

– Nie. Wejdziemy drzwiami, a potem schodami na górę.

– Kiedy? – zapytał Will.

– Chcemy wkroczyć jak najszybciej. Najpierw usuwamy wszystkie pojazdy mediów, żeby nie sfilmowali, jak wchodzimy. – Baker zerknął na Abby. – Droga jest łatwa, weźmiemy ich z zaskoczenia. W zasadzie nie ma ryzyka, że...

Jego krótkofalówka zatrzeszczała, a potem dobiegł czyjś głos:

– Zauważyliśmy ruch w stołówce.

Baker nacisnął mikrofon.

– Jaki ruch?

Chwila milczenia, aż wreszcie padła odpowiedź:

– Dwie osoby. Mężczyzna i dziewczyna. On przystawia jej pistolet do głowy.

Baker zeskoczył ze zderzaka i zniknął w ciemnościach, a za nim dowódca. Abby zerwała się na nogi i puściła się biegiem, zanim uświadomiła sobie, co robi. Wyskoczyła z furgonetki, zimne wieczorne powietrze owiało jej twarz. Zauważyła dwóch mężczyzn znikających za rogiem ulicy. Pognała za nimi co sił w nogach, mijając policjantów, auta i prowizoryczne bariery.

Dogoniła Bakera, gdy przez lornetkę z noktowizorem obserwował ciemną stołówkę. Spróbowała zajrzeć przez brudne okna, ale dojrzała jedynie niewyraźny zarys kilku najbliższych stołów. Czy coś tam się poruszyło, czy też wyobraźnia spletała jej figla? Oddychała ciężko, w ogóle nie czując wieczornego chłodu. Rozejrzawszy się, zobaczyła funkcjonariusza JRK, który rozmawiał przez krótkofalówkę; na czole miał przymocowaną lornetkę z noktowizorem.

– Hej! – Podeszła do niego. – Mogę ją pożyczyć? Tylko na chwilkę?

Mówiąc to, już wyciągała rękę. Tamten zmarszczył czoło, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, kiedy ściągnęła mu lornetkę z głowy.

– Ej, zaczekaj...

Nie zwracając na niego uwagi, przyłożyła lornetkę do oczu; świat spowiała jasnozielona mgiełka i ujrzała wewnątrz stołówki wyraźnie jak w biały dzień.

A tam była Samantha.

Szeroko otwarte oczy, usta wygięte w grymasie strachu, bezwładna postawa zdradzająca bezsilność. Lufa pistoletu przy skroni. Prowadził ją wielki facet, w którym Abby od razu rozpoznała człowieka ze szkicu – Kapelusznika. Cofał się, ciągnąc Sam, której używał jak ludzkiej tarczy.

– Mam czysty strzał – powiedział ktoś przez krótkofalówkę. – Mogę go zdjąć.

Abby przełknęła ślinę. Nie wiedziała, na co liczyła. Jeśli tamten strzeli, kilka sekund później jednostka JRK będzie w stołówce i wyciągnie Sam na zewnątrz. Lada chwila weźmie córkę w objęcia, zostawią ten koszmar za sobą.

A co jeśli spudłuje i trafi Sam? Jeżeli nie zabije Kapelusznika, który w odwecie zastrzeli Samanthę? I z tyłu głowy pojawiło się pytanie: co z resztą zakładników? Co się z nimi stanie, jeśli policja otworzy teraz ogień?

– Kapitanie, czy mam strzelać?

Sam widziała na ulicy ciemne sylwetki policjantów, a wokół nich migoczące światła. Kapelusznik obejmował ją grubą ręką i ciągnął za sobą; nie mogła znieść smrodu jego potu. Tak silnie przyciskał lufę pistoletu do jej skroni, że jęknęła z bólu. Dyszał ciężko i co kilka sekund odwracał się w inną stronę. Zawsze trzymając ją przed sobą.

Rękę miał tak blisko jej ust, że mogłaby go ugryźć. Gdyby ugryzła go dostatecznie mocno, może by ją puścił. Padłaby wtedy na podłogę, a policja już by się nim zajęła.

Tyle że raczej by jej nie puścił. Prędzej by ją zastrzelił.

Przesuwał się w sali powoli, nie zwalniając żelaznego uścisku i ani na chwilę nie cofając lufy broni od jej głowy. Była twarda i zimna. Od śmierci dzielił ją ułamek sekundy. Świat się rozplątał, został tylko ten pistolet, ręka, która ją trzymała, i te bezużyteczne czerwone i niebieskie światła radiowozów, migające w oddali.

– Odmowa – powiedział Baker. – Nie strzelaj.

Ktoś wyrwał Abby lornetkę z noktowizorem i Sam zniknęła, zastąpiła ją ciemność. Abby krzyknęła cicho, odwróciła się, by odzyskać lornetkę. To był ten

policjant, któremu ją zabrała.

– Co jest, do cholery?! – Przeszywał ją wściekłym spojrzeniem.

– Hej! – rzucił Baker, zerkając w ich stronę. – Spokojnie, Jones. Ona jest ze mną.

Jones jeszcze raz zmierzył ją wzrokiem i odszedł, zabierając lornetkę.

Abby podeszła do Bakera. Nie odezwała się, nie chciała go rozpraszać, skoro jednym niebaczonym słowem mógł przypieczętować los jej córki.

A on, spięty, dalej prowadził obserwację. Czas włókł się, gdy Abby usiłowała dojrzeć cokolwiek w ciemnościach stołówki. W końcu dowódca JRK opuścił lornetkę.

– Zniknęli – oznajmił. – Przeszli do kuchni na tyłach.

– Pewnie po jedzenie – podsunął Estrada.

– Moglibyśmy wkroczyć, kiedy się znów pojawią – odezwał się Baker po chwili. – Rozdzielili się. Jedna ekipa może się włamać przez okna do skrzydła administracji na drugim piętrze i załatwić tę dwójkę, która tam została. A my zdejmujemy tego, kiedy się pojawi.

– Uważasz, że to właściwe posunięcie? – zapytał Estrada.

Baker wahał się przez chwilę. W końcu powiedział:

– Powiem, żeby druga ekipa była gotowa. Damy znak, kiedy ci tutaj znów się pokażą.

Sam gapiała się przed siebie, gdy Kapelusznik wciągnął ją do kuchni. Kopniakiem zamknął drzwi, spowiła ich ciemność, radiowozy zniknęły z widoku. Po chwili znalazł wyłącznik i pomieszczenie zalało światło jarzeniówek. Odepchnął ją tak, że się potknęła i musiała się przytrzymać metalowego blatu, żeby nie upaść.

Kapelusznik się rozglądał, wciąż ciężko dysząc.

– Tylko popatrz – powiedział, podchodząc do sterty kartonowych pudeł. Otworzył stojące najwyżej. – Kanapki z indykiem! To wam dają na lunch?

– Tylko w środy – odparła Sam słabym głosem. Nie puszczała metalowego blatu. Obawiała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Serce waliło jej jak młotem, nadal czuła dotyk lufy pistoletu na skroni.

– W środy, co? Mamy szczęście, że nie przyszliśmy tu w czwartek. Zajrzyj do tamtej lodówki, zobacz, co tam mamy. – Pogrzebał w pudle.

Zmusiła się, żeby wykonać polecenie, i wolno podeszła do lodówki po drugiej stronie pomieszczenia.

Na blacie, obok pokrojonych ogórków, leżał pozostawiony w trakcie ewakuacji szkoły nóż. Lśniące ostrze. Długi nóż, jakim można głęboko zranić.

Nie zatrzymując się, szła dalej. Nieco zmieniła kurs, od niechcenia uniosła rękę i przesuwała palcami po blacie. Dotknęła rękojeści noża. Ujęła ją. Nóż

ciężył jej w ręce, klinga lśniła w padającym z sufitu ostrym świetle.

– Pani doktor...

Określiła się na pięcie, chowając nóż za plecami. Metr od niej stał Kapelusznik – pod pachą trzymał dwa pudełka, a drugą ręką celował w nią z pistoletu.

– Lepiej to odłóż – zaproponował.

Nóż wysunął się z jej palców, jakby były z gumy. Ze szczękiem upadł na podłogę, tuż obok jej stopy. Kapelusznik postawił kartony na blacie, podszedł i nawet nie zauważyła, kiedy zamachnął się i uderzył ją w twarz.

Z krzykiem zatoczyła się do tyłu i zderzyła z lodówką. Policzek palił ją żywym ogniem, oczy zaszyły łzami. Kapelusznik z beznamiętną miną kopniakiem odrzucił nóż.

Wskazał na lodówkę.

– Otwieraj.

Drżącą ręką wykonała polecenie. Lodówka była pełna kartonów z mlekiem czekoladowym. Kapelusznik wziął pudełka z blatu i podszedł do niej.

– Potrzyj je.

Pudełka nie były ciężkie. Trzymała je oburącz, a po jej twarzy płynęły łzy. Kapelusznik otworzył to na górze, wyrzucił część kanapek na podłogę, na ich miejsce wstawił sześć kartonów mleka czekoladowego.

– Idziemy, pani doktor. Mamy już to, po co przyszliśmy.

– Już są – poinformował Baker. – Niosą jakieś jedzenie ze stołówki.

Abby nic nie widziała.

– Czy Sam nic się nie stało? – spytała.

Chwila milczenia.

– Nic. Niesie pudła – odparł Baker i nacisnął mikrofon na ramieniu. – Zespół alfa, jesteście na pozycji?

– Tak – padło niemal natychmiast.

– Dodger, widzisz cel? Masz czysty strzał?

Po chwili wahania strzelec odparł niepewnie:

– Jeszcze nie.

Abby zerknęła na budynki dookoła, zastanawiając się, gdzie ulokował się snajper. W którymś z mieszkań i wygląda przez okno? Na dachu i patrzy przez wizjer karabinu snajperskiego na Kapelusznika i Sam idących przez stołówkę?

– Facet się robi nerwowy – zauważył Baker. – Nie podoba mi się to.

– Miałem go na widoku przez sekundę – powiedział Dodger. – Ale on cały czas się obraca. Trudny strzał.

Nie strzelaj! – miała na ustach Abby. Co on zrobi? Ot tak zaryzykuje, że pozbawi życia jej córkę?

Nie strzelaj!

Baker westchnął.

– Wycofać się. Zespół alfa, wycofać się.

Abby odetchnęła głęboko, z wysiłkiem; w jej myślach ulga mieszała się z rozczarowaniem. Jej córka wciąż żyła. Tyle że była wleczona z przystawionym do skroni pistoletem.

ROZDZIAŁ 41

– To nawet lepiej wygląda – zwrócił się Baker do Estrady. – Ci ludzie prawdopodobnie przez cały dzień nie mieli nic w ustach. Kiedy wkroczymy, będą się właśnie opychać.

Abby stała blisko nich i wciąż patrząc na ciemną stołówkę, w myślach powtarzała sobie obraz Sam wleczonej w ciemności, z przystawionym do głowy pistoletem. Zaciskała pięści, tak że paznokcie wbijały się w jej dłonie. Niemal widziała zarys postaci Sam i Kapelusznika, wciąż przebywających w stołówce, jakby miała ten obraz wyryty na rogówkach.

– Poinformowano mnie, że wszystkie ekipy telewizyjne usunięto już ze Sto Pięćdziesiątej Siódmej – powiedział Estrada. – Możecie zaczynać.

– Damy gościowi jeszcze pięć minut na powrót do skrzydła biurowego – odparł Baker. – Kiedy uderzymy, chcemy ich mieć razem, a nie osobno.

– Jak coś zjedzą, będą bardziej rozsądni – zauważyła Abby. – Łatwiej będzie z nimi negocjować, namówić ich, żeby się poddali.

Estrada pokręcił głową.

– Próbowaliśmy przez cały dzień. A jeden z zakładników umrze, jeśli szybko nie zapewnimy mu pomocy lekarskiej. Zgadzam się z Bakerem, będzie najbezpieczniej, jeśli uderzymy, kiedy będą jedli.

– Najbezpieczniej? Tak pan sobie wyobraża...

– Mullen, decyzja nie należy do ciebie. Wiem, że jest tam twoja córka. Ale jeśli będziesz nam przeszkadzała w robocie, każe cię stąd usunąć.

Abby zamknęła usta. Gdyby miała czas, może by przekonała Estradę, że to kiepski, ryzykowny ruch. Ale jak to wielokrotnie podkreślał, czasu nie było.

Minuta, góra dwie i wróca do pozostałych. Sam tylko o tym potrafiła myśleć. Bo nagle poczuła, że tam, w gabinecie, są bezpieczni. Będzie mogła usiąść obok Fiony i milczeć jak reszta zakładników, dopóki jej mama nie skłoni napastników do poddania się. Jej wcześniejsze plany, żeby zaprzyjaźnić się z Obserwatorami i starać się jakoś pomóc policji, nagle wydały jej się bezdennie głupie. Ba, może gdyby poszli za radą Raya i zostali w pokoju muzycznym, to wciąż by tam byli. Bezpieczni.

A tymczasem Kapelusznik włókł ją korytarzami. Pudła w jej rękach kołysały się, stawały się coraz cięższe.

– Zatrzymajmy się tutaj – polecił.

– Co? Do gabinetu trzeba wejść tymi... – urwała w pół zdania, gdy wepchnął ją do pustej sali lekcyjnej.

Pomieszczenie było zdemolowane, wszędzie walały się przewrócone krzesła, plecaki, notatniki i pióra. Kapelusznik zamknął za nimi drzwi.

– Postaw pudła na biurku nauczycielskim. – Wskazał je pistoletem.

Wykonując rozkaz, Sam zagryzła wargi. Cofnęła się i przeszła na drugą stronę pokoju.

– Pomyślałem, że po naszej wycieczce urządzimy sobie piknik – rzekł Kapelusznik. Otworzył górne pudło, wyjął kanapkę i zębami rozerwał folię. – Chcesz?

Pokręciła głową.

– Nie jestem głodna – szepnęła. – Powinniśmy wracać. Pańscy koledzy czekają.

– To poczekają jeszcze trochę – wymamrotał z pełnymi ustami, z których zwisał kawałek sałaty. – Za to, co zrobiliśmy, należy nam się chyba nagroda. Nie sądzisz?

Spuściła wzrok. Mama wiedziałaby, co odpowiedzieć. Wiedziała, czy ma się uśmiechnąć, roześmiać, czy zmierzyć go wściekłym spojrzeniem. Ale ona nie miała pojęcia. Nie była nawet pewna, czy cokolwiek powinna robić. Była tylko pasażerką w pociągu koszmarów.

– Wiesz, że piję mleko czekoladowe chyba po raz pierwszy, odkąd skończyłem szkołę – powiedział Kapelusznik, wyjmując karton mleka. – Jak ja lubiłem to świństwo! Nie mam pojęcia, dlaczego potem go nie kupowałem.

Odkręcił nakrętkę i zaczął pić, stopniowo gniotąc karton w ręce. Z kącika ust spłynęła mu strużka płynu, ale albo tego nie zauważył, albo miał to gdzieś. W końcu rzucił opakowanie na podłogę; mleko rozlało się po podłodze.

– Na pewno nic ci nie dać? – zapytał. – Dla wszystkich nie wystarczy.

Znowu pokręciła głową.

– Jak sobie chcesz. – Odłożył resztę kanapki na biurko i podszedł do niej. –

I co ty na to, pani doktor? Zabrałem cię na elegancką kolację. To chyba czas przenieść naszą randkę na następny poziom?

Cofała się wzdłuż ściany, rozbieganym wzrokiem oceniając odległość do drzwi i obmyślając ucieczkę – cisnąć w niego krzesłem i zwiewać. Albo skoczyć za jakieś biurko i użyć go jako bariery między nimi. Albo chwycić pióro i wbić mu je w oko, po czym wybiec na zewnątrz.

Ale jej ciało nie słuchało, mogła jedynie się cofać, w róg pokoju, patrząc, jak Kapelusznik zbliża się ciężkim krokiem.

– Centrala, tu zespół alfa. Jesteśmy gotowi do szturmu.

Z radia w centrum dowodzenia zabrzmiał donośny, wyraźny przekaz. Abby stała w kącie i słuchała, sparaliżowana strachem. Poszła za Bakerem i Estradą, a oni pozwolili jej zostać. Wiedziała jednak, że wystarczy jedno niebaczone słowo i wyleci stąd migiem. Nie była nawet pewna, czy w ogóle ma prawo się odezwać. Gardło miała tak ściśnięte, że trudno jej było oddychać.

Na ściennym ekranie leciał przekaz z kamery osobistej na mundurze dowódcy zespołu JRK. Nie odrywała oczu od ekranu, na którym ktoś mocował do drzwi ładunek wyważający.

– Głośny będzie ten wybuch? – zapytał Estrada.

– To sprzęt hydrauliczny, więc jest dosyć cichy – odparł Baker. – Najgłośniejszy będzie trzask pękającej framugi drzwi. Oni są po drugiej stronie szkoły, na parterze, więc ci w skrzydle administracyjnym nic nie usłyszą.

– No to jazda – powiedział Estrada.

Baker włączył mikrofon.

– Zespół alfa, zaczynamy.

Człowiek na ekranie posłużył się czymś w rodzaju pilota. Sekundę później drzwi wygięły się i wypadły z zawiasów. Ten, kto je wyważył, chwycił urządzenie, odstąpił na bok i obraz na ekranie zaczął podskakiwać, gdy zespół alfa ruszył do akcji.

– Widzicie, jak trzymają się lewej strony korytarza? – zapytał Baker. – Tam jest tylko jedna kamera, a oni są w martwym polu. Dalej będą mieli całkiem niechronioną przez kamery drogę do skrzydła administracyjnego.

– Jeszcze chwila i będzie po wszystkim – skwitował Estrada ponuro.

Gąsienica krążył po pokoju. Co ten Kapelusznik wyrabia, do cholery? Obserwował go na przekazie z monitoringu, kiedy wychodził z dziewczyną ze stołówki. Ona niosła dwa pudła, zapewne pełne jedzenia. I nagle, w drodze powrotnej, po prostu weszli do jakiejś sali lekcyjnej i zniknęli z widoku.

Mógłby go wywołać przez radiowęzeł, ale usłyszeliby to policjanci na zewnątrz. A nie chciał, żeby wiedzieli, co się dzieje w środku. Nie chciał, żeby wyszło na to, że przestaje panować nad sytuacją.

Usiadł z powrotem, wypatrując jakiegoś ruchu i marząc, by Kapelusznik wyszedł wreszcie z tej klasy.

– Gąsienico! – rzuciła Alma z przejęciem.

– Co jest? – Ta kobieta doprowadzała go do szału, bez przerwy grzebała w aktach uczniów, szukając jakiejś wzmianki o porwanych dzieciach. Co kilka minut dochodziła do wniosku, że trafiła na zaszyfrowaną wiadomość, sugestię

albo brakującą stronę. Czy ona nic nie rozumie? Szkoła nigdy nie trzymałaby pisemnych dowodów swej nielegalnej działalności w tak oczywistym miejscu.

– Spójrz na to. – Błada i przerażona, podała mu telefon. Wziął go i ze zdumieniem spojrzął na ekran. Zobaczył forum Obserwatorów, otwarte na jednym z poświęconych im wątków. Tylko jeden post, napisany wielkimi literami.

POLICJA WŁAŚNIE WESZŁA DO BUDYNKU TYLNYMI DRZWIAMI!!!!

Gąsienica zamrugał, po czym sprawdził, o której pojawił się ten post. Niecałą minutę temu. Nadawcą był Kot_z_Cheshire_2. Rzetelny Obserwator, bez skłonności do histeryzowania i pisania wielkimi literami.

– Skąd on to wie?! – krzyknęła Alma.

– Protestuje na zewnątrz. Widocznie ich zauważył!

Gąsienica jeszcze raz spojrzął na zapis z kamer, ale nic nie zobaczył. A jeśli gliniarze zhakowali kamery monitoringu?

– Zamknij drzwi na klucz! – ryknął na Almę. – I bądź gotowa do strzału.

Wyjął swój pistolet i drżącą ręką wycelował w dyrektora. Jasna cholera, jeszcze nie teraz! Jeszcze nie teraz!

Ze szkoły dobiegł nagle głośny, piskliwy krzyk.

– Uwaga, policja! Wycofajcie swoich ludzi albo zacznę zabijać zakładników. Szybko. Już! – To Gąsienica wrzeszczał przez radiowęzeł.

– Zauważyli ich! – wyrwało się Abby.

– Niemożliwe – odparł Baker. – Musimy iść dalej. Nasz zespół jest o trzydzieści sekund od nich.

Abby spojrzała na rwący się obraz – jednostka posuwała się do przodu.

– Przecież oni już są przygotowani, nie weźmiecie ich z zaskoczenia! – podniosła głos, ale mówiła spokojnie.

– Wycofaj ich – polecił Estrada. – Nie możemy ryzykować.

Baker odetchnął głęboko. A potem włączył mikrofon.

– Zespół alfa, odwrót. Odwrót.

Kapelusznik nachylił się nad Sam, jego twarz była pozbawiona wyrazu. Na ustach miał spienioną ślinę, spływała mu strużką na brodę. Gdy dotknął jej policzka, wzdrygnęła się, ale nie miała dokąd uciec.

„Uwaga, policja! Wycofajcie swoich ludzi albo zacznę zabijać zakładników. Szybko. Już!”

W pokoju rozległ się piskliwy dźwięk. Kapelusznik się odwrócił.

Sam puściła się biegiem i chwiejnie wypadła za drzwi. Serce waliło jej jak młotem, szloch uwiązał w gardle. W korytarzu zobaczyła jakiś ruch. Kilka osób

biegło, oddalając się od niej. Otworzyła usta, by zawołać o pomoc.

Nagle jej ramię utkwilo w żelaznym uścisku. Szarpnięta do tyłu, próbowała krzyczeć, ale czyjaś ręka zatkała jej usta.

A potem palce zaciskające się na jej szyi. Coraz mocniej.

Kapelusznik wyrzwał ją o ścianę, nie przestając dusić. Chciała krzyczeć, ale brakowało jej powietrza, więc tylko wydała zduszony jęk. Chwyliła jego rękę, wbiła paznokcie w palce miażdżące jej krtani, próbowała drapać jego nadgarstek. Kopnęła go w kostkę – słaby, bezradny kopniak, którego pewnie nawet nie poczuł.

Twarz wciąż miał pozbawioną wyrazu, pustym wzrokiem przyglądał się jej wysiłkom, gdy mimo uginających się nóg usiłowała zaczerpnąć powietrza, wymachując rękami.

Płuca paliły ją żywym ogniem. Przed oczami wirowały czarne plamy. Miała wrażenie, że świat gaśnie.

Nie mogła oddychać.

ROZDZIAŁ 42

Abby obserwowała na ekranie, jak zespół JRK, nie dbając o zachowanie ciszy ani o poruszanie się w martwym polu kamer monitoringu, wybiega ze szkoły. To była jedna wielka porażka. Spartaczona próba szturmowania oznaczała, że o jakimkolwiek zaufaniu między napastnikami a negocjatorami nie mogło być mowy. Wszystko, co razem z Willem starała się zbudować, w jednej chwili legło w gruzach. Teraz już wynegocjowanie kapitulacji wydawało się całkiem nieprawdopodobne.

Otworzyły się tylne drzwi centrum dowodzenia. Weszła Tammi, zasapana, w przekrzywionej i na wpół rozpiętej kamizelce kuloodpornej.

– Kapitanie, Gąsienica rozmawia przez telefon z Willem – poinformowała. – Nie wygląda to dobrze.

Abby była już za drzwiami, pędziła do furgonetki negocjatorów. Wskoczyła do środka. Will siedział na posterunku ze słuchawkami na uszach.

– To zrozumiałe – mówił. – Wygląda na to, że policja działała w złej wierze. Z pewnością to bardzo stresujące... – urwał i z ponurą miną zerknął na Abby, a tymczasem rozmówca krzyczał na niego.

– Za nic nie powinienem był się na to zgodzić! – darł się Gąsienica; stał w gabinecie dyrektora i drżącą ręką przez otwarte drzwi celował z pistoletu w zakładników. – Jestem idiotą, że ci zaufałem!

– Gąsienico, jak dotąd udało nam się zapobiec temu, by komuś się stała krzywda, a to dlatego, że pracowaliśmy razem – powiedział Will. – Pilnowałeś porządku u siebie i jestem ci za to wdzięczny. Jesteś uczciwym człowiekiem...

– I dużo mi z tego przyszło! – warknął Gąsienica. Serce mu waliło. Kilka sekund temu na zapisie z kamer monitoringu zobaczył, jak grupa gliniarzy wybiega z budynku. Nie mógł uwierzyć, że byli tak blisko, że omal ich nie wykończyli. Gdyby Alma nie zauważyła tego postu na forum, kiedy...

– Nadal nie jesteśmy pewni, co tu się właściwie stało – rzekł Will. – Sądzymy, że to była jakaś inna grupa, może FBI. Pogadam z ludźmi, dowiem się, co i jak. A tymczasem...

– A tymczasem przekaz swoim ludziom, że dali ciała – przerwał mu Gąsienica. Sami go do tego zmusili, teraz musiał się wykazać stanowczością, żeby

zrozumieli, że nie mogą próbować ponownie. – Więc będą konsekwencje.

Rozłączył się, wyszedł z pokoju i wycelował pistolet.

A potem pociągnął za spust.

Siły opuszczały ciało Samantha. Wymachiwała słabo rękami, próbując się czegoś uczepić... ale nawet nie wiedziała czego.

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się głośny huk.

Uścisk na jej szyi zelżał. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza i zaniósła się świszczącym kaszlem. Opadła na kolana, rozpaczliwie chwytając powietrze; cała się trzęsła. Patrzyła na podłogę i na swoje ręce, które rozmazywały jej się przed oczami. Pulsowało jej w szyi, pękała głowa i miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Ale grunt, że żyła.

Silny uchwyt za ramię, ktoś dźwigał ją w górę.

– Idziemy, pani doktor – szepnął Kapelusznik do ucha Sam. – Jeśli spróbujesz krzyknąć czy choćby szepnąć, twój mózg rozprysnie się na ścianie. Rozumiemy się?

Słabo pokiwała głową, nie była w stanie wydobyć głosu.

Wyłókł ją z sali. Potknęła się, miała zdrętwiałe stopy, trzęsły jej się nogi. Po schodach na górę, upadek na kolano, palący ból, kolejne schody, puste korytarze. Zamknięte na klucz drzwi. Kapelusznik walnął w nie pięścią, krzyknął, że to on. Trzask zamka, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Alma, zaszokowana i blada. Odgłosy płaczu, ktoś na okrągło powtarzał: „O Boże o Boże o Boże”. Samancie trudno było skupić wzrok, przed oczami wciąż tańczyły jej czarne plamy. Nieprzytomnie rozejrzała się po pokoju. I zobaczyła rozbryzg krwi.

Gąsienica stał nad panem Ramirezem, celując w dół. Głowa pana Ramireza była... była... Ujrzała krew, jakieś odłamki i...

Odwróciła się i zwymiotowała żółcią.

Pan Ramirez nie żył.

*

– Padł strzał, powtarzam, padł strzał.

Jeden wystrzał. Abby słyszała go, siedząc w furgonetcie negocjatorów. Tuż po tym, jak Gąsienica powiedział Willowi, że będą konsekwencje.

Właśnie wykonali egzekucję na zakładniku.

– Dzwon do nich – powiedziała. – Spytaj, co się stało. Kogo zastrzelili. No dzwoni! Zapytaj, kogo zastrzelili!

Skoczyła do konsoli, wciskała guziki, dzwoniła go gabinetu dyrektora.

– Daj mi z nimi pogadać! Ze mną porozmawiają! Musimy wiedzieć, kogo zabili!

Ktoś ją chwytą, odciąga, wokół słycać krzyki, ktoś mówi: „Zabrać ją stąd”, a ona wierzga i się wrywa.

– Kogo zabili? – wrzeszczała, kiedy ją wywlekali na zewnątrz. – Kogo zabili?

ROZDZIAŁ 43

- ...ale jak? W jaki sposób weszli do środka?
 - ...widocznie ich przegapiłem...
 - ...oglądaliśmy zapis z kamer, spytaj Almę. Alma! Weź się w garść...
 - ...o Boże o Boże o Boże...
 - ...zamknij się do cholery!...
 - ...musimy go stąd zabrać...
 - ...zadzwoń i powiedz im...
 - ...gdzieś się podziewał, kiedy to się stało? Dlaczego nie wróciłeś...
 - ...zboczyliśmy trochę z drogi...
 - ...może to ty ich wpuściłeś...
 - ...zabieraj tę spluwę sprzed mojej twarzy...
 - ...Alma! Weź się w...

Sam skuliła się pod ścianą, zatkała dłońmi uszy, zamknęła oczy, żeby nie widzieć tych rozbryzgów, tej krwi, tych małych odprysków... zanosła się kaszlem i znów zwymiotowała, jeszcze więcej żółci; poza wodą nie miała już czego zwracać. Tamci się wydzielali, wymachiwali bronią i była pewna, że lada chwila ktoś znów do kogoś strzeli.

Drzwi z powrotem zamknięto na klucz i znowu byli w pułapce, w tym paskudnym smrodzie rzygowin, krwi i potu.

Pulsowało jej w szyi, bolała ją głowa. Była kompletnie wykończona, jakby koszmar ostatniej godziny wysał z niej resztki energii. Mogła jedynie zatykać dłońmi uszy i nie otwierać oczu. Tak, przede wszystkim musiała mieć zamknięte oczy.

– Któryś z nich jest agentem. Musimy im wyrwać zęby. Potrzebne nam będą obcegi. Wiecie, gdzie jest komórka ciecica?

– Czyś ty zwariował? Wyrwać im zęby?

– Mają w zębach takie maleńkie mikrofony, żeby Krąg wszystko słyszał. Stąd wiedzieli. Wiedzieli, że wyszedłeś.

– Wiedzieli, że wyszedłem, bo zobaczyli mnie przez okno w stołówce, debilu!

– Powinniśmy im powyrywać zęby. Na wszelki wypadek. Wiem które, mam rysunek.

– Nie mamy w zębach żadnych mikrofonów! Błagam, wypuście nas!

– Stul pysk, do jasnej cholery!

Ktoś jej dotknął. Wzdrygnęła się, ale dotyk był delikatny, nie taki jak żelazny uścisk Kapelusznika i jego wbijające się w ciało palce. Delikatna pieśczoła.

Otworzyła oczy. To była Fiona. Przyczołgała się do Sam, a teraz wzięła ją za rękę i splotła z nią palce. Sam zaszlochała i wtuliła głowę w pierś przyjaciółki. Kolejny ciężki szloch. Zadrzała, gdy Fiona zaczęła ją głaskać po włosach, bez słowa. Nic nie mówiła, bo i co miała powiedzieć? Poza tym było to niebezpieczne.

Nie powinna była tak się odezwać do mamy, jak to zrobiła poprzedniego wieczoru. Może już nigdy nie uda im się porozmawiać. I właśnie taki jej obraz mama zachowa w pamięci – jak córka nazywa ją kłamczuchą.

Pomyślała o tym nocnym pożarze sprzed lat. O mamie uwięzionej w płonącym budynku, z rodzicami i resztą wiernych. O strzelających w górę płomieniach. Dopiero teraz zrozumiała, co mama musiała czuć tyle lat temu. Bezradność. Obezwładniający strach. Sala prawdopodobnie była pełna dymu. Dotknęła siniaka na policzku. Pewnie nie mieli tam czym oddychać.

– Mów, gdzie jest szafka woźnego.

– Słuchaj, my tu nie otwieramy gabinetu dentystycznego. Jeśli chcesz, możemy ich zamknąć w innym pokoju.

– Musimy ich mieć pod ręką. Bo jeśli gliniarze znów wrócą?

– Zatrzymamy tu jednego zakładnika. Zresztą jeśli gliny wejdą, i tak mamy przesrane. I musimy usunąć stąd te zwłoki. Jezu, musiałeś mu strzelić akurat w łeb? Co za bajzel!

– Jak ci gliniarze się tu dostali?

– Dojdziemy do tego. Najpierw wyprowadźmy stąd tych ludzi. Boże, szkoda, że nie możemy otworzyć okna, ależ tu śmierdzi!

– Wy dwie! Wstawać!

Sam spięła się i kurczowo chwyciła się Fiony. Nie była w stanie się ruszyć.

– Ogłuchłyście? Wstawać, do cholery!

Fiona pogłaskała Sam po włosach i nachyliła się do jej ucha.

– Sam, musimy iść, rozumiesz? Trzymam cię. Nie musisz otwierać oczu, weź mnie tylko za rękę. Dasz radę?

Sam kiwnęła głową. Fiona delikatnie pomogła jej wstać, a Sam jeszcze mocniej zacisnęła powieki, bo gdyby przypadkiem otworzyła oczy, gdyby zobaczyła, co się stało z panem Ramirezem... Boże, ten jego pusty wzrok.

– Ruchy, pani doktor. – Głos Kapelusznika, bardzo blisko niej. – A może wolisz, żebym sam cię przeniósł?

– Chodź, Sam. – Fiona pociągnęła ją, ruszyły krok za krokiem, odór krwi powoli słabł. Ale wciąż był obecny. Nadal go czuła. Tak samo jak czuła palce Kapelusznika, zaciskające się wcześniej na jej szyi. I lufę pistoletu wbijającą się w skroń.

Krok za krokiem. Oczy zamknięte. Zaufaj przyjaciółce, ona cię poprowadzi.

ROZDZIAŁ 44

Abby oparła się o maskę samochodu Carvera. Dygocząc z zimna, obserwowała demonstrantów po drugiej stronie drogi. Były ich już dziesiątki – obrażali policjantów i skandowali hasła wymierzone w Krąg, niewolnictwo dzieci oraz nowy porządek świata. Kilka ekip telewizyjnych filmowało protest, a w tle reporterzy rozmawiali z tłumem. Chciała zezłościć się na tych ludzi, wzbudzić w sobie dziką wściekłość. Jednak sparaliżowana strachem nie miała miejsca na inne uczucia.

– Masz. – Podszedł do niej Carver i podał jej wielki parujący papierowy kubek. – Wypij. To herbata.

– Dzięki – szepnęła i upiła łyk. Kubek rozgrzał jej dłonie. Zawsze to jakaś ulga.

– Mówią, że to jeden z demonstrantów ostrzegł Obserwatorów w szkole – powiedział Carver.

Analiza tego zdania, wydobywanie znaczenia z padających jedno za drugim słów zajęło jej dłuższą chwilę. Jej umysł się zacinał, z trudem ogarniała to, co się dzieje.

– Tak, wiem – odparła w końcu. – Napisał o tym na forum.

– Czytałaś ten post?

– Czytam wszystkie posty – powiedziała i znów upiła łyk herbaty. – Mam nadzieję, że ktoś z tych w środku wrzuci coś o tym, że zabili zakładnika.

Sześcioro zakładników. A wśród nich jej córka. Szansa jak jeden do sześciu, niczym w rzucie kostką. Odsunęła tę myśl. Czy powinna znów zajrzeć na forum? Może jest jakiś nowy post. Jej otępiały umysł dostrzegł ironię tego faktu. Największą nadzieję na informacje pokładała w forum, na którym bez przerwy rozpowszechniano pokrętnie kłamstwa i niedorzeczne oskarżenia. Zamknęła oczy, słuchając protestujących.

– Nasze dzieci nie są na sprzedaż!

– Powstrzymać Krąg śmierci!

– Uwolnić krew mesjasza!

– Precz z sytuacją!

– Nowy porządek świata nigdy nie powstanie!

– Wygląda na to, że protest się rozszerza – zauważył Carver.

– Stale zyskuje na popularności – przyznała Abby. – Obserwatorzy są przekonani, że wśród tych ludzi są wysłannicy sitwy, i chcą ich znaleźć. Jeden z demonstrantów twierdził, że kiedy funkcjonariusze JRK wychodzili ze szkoły, nieśli coś, co wyglądało jak dziecko. Dwie stacje telewizyjne nadają na żywo, rozmawiają z manifestującymi. A ci wciąż się zbierają. Jest już nawet specjalny autobus, którzy zwozi chętnych na dołączenie do protestu. Na forum wszyscy o tym piszą.

– Może lepiej już tego nie czytaj – zaproponował Carver. – Zajmuje się tym Tammi, no i FBI. Jeśli dowiedzą się czegoś o zakładnikach, dadzą ci znać.

Abby uniosła brwi.

– Dobra, przestanę to czytać... i co dalej? Mam wrócić do domu i iść spać?

– Na początek wsiądź do samochodu. Włączę ogrzewanie.

Miała wrażenie, że się rozsypuje. Próbowwała wziąć się w garść. Musiała być silna.

– A wiesz, że wczoraj Sam dowiedziała się o sekcie Wilcoxa? – rzekła. – Tyle lat trzymałam to w tajemnicy. A teraz ona wie.

Carver spojrział na nią, ale nie skomentował; para z kubka mieszała się z parą jego oddechu.

– Wmawiałam sobie, że robię z tego sekret, żeby ją chronić, rozumiesz? Przed tymi wszystkimi koszmarami z mojej przeszłości.

– To miało sens.

Pokręciła głową.

– Wszystko to głównie prawda, wiesz? Wiedziałam, że prędzej czy później i tak się dowie. Może nie chciałam, żeby dzieci mnie tak postrzegały. Jako ocalałą z masakry. Jako kogoś, kto dorastał w sekcie. Byłam egoistką i tyle.

Carver odchrząknął.

– A może jedno i drugie. Pragnęłaś ją chronić, a zarazem nie chciałaś, żeby zmieniła o tobie zdanie. Nie widzę w tym egoizmu.

Abby wypila duży łyk herbaty, która stygła szybko i była już letnia.

– A teraz sama znalazła się w takiej sytuacji jak ja, kiedy byłam małą dziewczynką. W środku policyjnego oblężenia, zamknięta z niebezpiecznymi ludźmi o spaczonym postrzeganiu rzeczywistości.

– To nie to samo. – Carver przysunął się bliżej. – Nie miałaś nikogo, kto by cię szukał. A ona ma ciebie.

Abby zgmiotła pusty kubek.

– Zakładając, że jeszcze żyje. Że jej... że jej nie zastrzelili.

– Nie mamy pewności, że zabili zakładnika.

– Zabili.

– Nawet jeśli, to raczej wybraliby kogoś starszego. A nie dzieciaka. Oni się uważają za bohaterów, prawda?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała już, co tamci myślą i czują.

Carver objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Wtuliła się w niego, jego obecność dodała jej otuchy. Co by zrobiła, gdyby go tu z nią dzisiaj nie było? Choć to wydawało się niemożliwe, ten dzień byłby jednak jeszcze gorszy. Wtedy już całkiem by się rozkleiła. Zamknęła oczy, napawając się tym, że chociaż przez chwilę trzymał ją w objęciach.

Zadzwoił jej telefon. Odsunęła się od Carvera, wyjęła komórkę i spojrzała na ekran. Steve. Dzwonek mieszał się z krzykami demonstrantów. Na tle takich okrzyków i przerażona o życie córki nie powinna rozmawiać z byłym mężem. Już miała odrzucić połączenie.

A jeśli Ben jej potrzebował?

Odebrała.

– Halo?

– Abby? – Głos Steve’a, napięty i zmęczony. – Co to za hałas?

– Nic takiego. To tylko ludzie na ulicy.

– Aha. Wiesz coś nowego o Sam?

Tak. Zastrzelono zakładnika. Możliwe, że ich córka już nie żyje. A chwilę wcześniej widziała, jak jakiś facet włókł ją w szkolnej stołówce, z przystawioną do głowy lufą pistoletu.

– Na razie nic nowego. Widzieliśmy ją jakieś pół godziny temu. Na oko była cała i zdrowa.

– To dobrze – skwitował z ulgą. – Jak się posuwają negocjacje?

– Will się tym zajmuje. Co u Bena?

– W porządku. Choć w sumie trudno powiedzieć. Wiesz, jaki on jest.

Wiedziała. Kiedy Ben się bał, był smutny albo zły, zamykał się w sobie i niczym ślimak chował w skorupie swojego umysłu. Odpowiadał monosylabami, twarz miał pozbawioną wyrazu i tylko lekkie drżenie ust zdradzało targające nim emocje. Abby przeważnie potrafiła się zorientować, co syn czuje, i umiała coś na to zaradzić. Ale Steve w tej materii był kompletnie do niczego.

– Czy już śpi?

– Nie, nie chce iść spać. Przeczytałem mu trzy bajki na dobranoc, ale tylko siedzi na łóżku.

– Daj go do telefonu.

– Dobrze, zaczekaj.

Słyszała, jak Steve podaje telefon Benowi i mówi mu, żeby porozmawiał z mamą.

– Cześć – rzucił chłopiec.

– Ben, skarbie, idziesz spać?

– Tak.

– Bo tata mówi, że nie śpisz, a jest już późno. Kładź się.

– Dobrze.

Abby westchnęła.

– Wiesz co? Przed snem na pewno chciałbyś się zobaczyć z Jeepsem i Preclem. Mam rację? – Inne dzieci przytulały się do pluszowych misiów albo szczeniaków. Ben zasypiał ze swoją tarantulą i z wężem.

Chwila ciszy, a potem:

– Tak, muszę z nimi pomówić.

– A o czym chcesz z nimi rozmawiać?

– Muszę im opowiedzieć o Sam. Jeepsers pewnie się martwi, muszę go zapewnić, że wszystko dobrze się skończy.

– Tak. – Abby otarła łzę.

– Precel też tęskni za Sam.

– Wiem, skarbie. To dobry pomysł. A teraz daj tatę do telefonu.

Znów usłyszała głos Steve'a.

– Hej.

– Słuchaj, wiem, że proszę o zbyt wiele, ale czy mógłbyś odwiedzić Bena do...

– Żaden problem. Już jedziemy. Jeśli uda mi się go uśpić u ciebie, to prześpię się na kanapie.

– Dzięki, Steve. – Abby spięła się, widząc nadchodzącą Tammi. – Muszę kończyć.

– Jasne, na razie.

Rozłączyła się i przyjrzała się bacznie młodej policjantce, próbując coś wyczytać z jej mowy ciała. Tammi kuliła się z zimna i wyglądała dość żałośnie. Czy dlatego, że niosła złe wieści?

– Cześć – rzuciła, podchodząc tak blisko, żeby inni nie mogli ich usłyszeć.

Abby nachyliła się do niej, krzyki demonstrantów utrudniały rozmowę.

– Czy wiemy...

– Zabili Ramireza – przerwała jej młoda policjantka. – Zastrzelili go. Nie Samanthę. Jej nic nie jest.

Abby odetchnęła, czując, jak strach ściskający jej żołądek się zmienia – z dylematu „żyje czy nie żyje” na znajomy już lęk o bezpieczeństwo córki.

– Czyli Sam naprawdę jest cała i zdrowa? – upewnił się Carver.

– Tak – potwierdziła Tammi. – Will dzwonił do Gąsienicy. Wydusił to z niego.

Wszyscy inni zakładnicy są cali.

– Wobec tego jaki macie plan? – spytała Abby.

Tammi spojrzała na nią ze smutkiem.

– Naprawiamy nadwerężone zaufanie. Estrada nie zgadza się, żebyś rozmawiała z Obserwatorami. Will chyba by się zgodził, ale Estrada nie chce o tym słyszeć.

Abby pokiwała głową. Nie była zaskoczona. Po historycznej scenie, jaką urządziła, Estrada musiałby być niespełna rozumu, żeby pozwolić jej na rozmowę z Gąsienicą.

– Mamy kolejne postępy – ciągnęła Tammi. – Znalazłam Jackie Wyatt.

Abby nie od razu zaskoczyła.

– Żonę Neala?

– Tak. Dostałam numer telefonu od jej znajomej z Facebooka. Właśnie z nią rozmawiałam. Jest teraz u swojej mamy w Bronksie. Will chce ją tu ściągnąć i z nią pogadać.

– Pojadę po nią – rzuciła Abby czym prędzej.

– Tak myślałam, że będziesz chciała to zrobić. – Tammi dotknęła jej ramienia.

– Nie ma sprawy. Pojedź po nią i od razu ją tu przywieź. Tylko... żebyś potem tego nie żałowała, dobrze?

ROZDZIAŁ 45

Jackie czekała przy oknie, wyglądając na drogę i zaciskając pięści. Gdyby się zjawił radiowóz, rozpętałoby się piekło. Matka by się dopytywała, co tu robi policja, więc musiałyby powiedzieć, że przyjechali po nią. Wtedy matka dostałaby szau, bo jedyne, czego za nic na świecie by sobie nie odmówiła, to szansy na odstawienie cyrku. Dlaczego chcą zabrać jej córkę? Przez Neala? Przecież tyle razy powtarzała, że to nicpoń, więc czemu Jackie jej nie słuchała? Co sobie pomyślą sąsiedzi? Paula, ta co mieszka obok, stale się pyta, dlaczego Jackie nie pracuje, więc teraz sobie pomyśli, że jest kryminalistką. Czy Jackie chce, żeby matka umarła na atak serca, zanim narodzi się jej wnuk albo wnuczka? Czy o to jej chodzi?

Dramatyczne przedstawienia matki zawsze miały formę rzucanych piskliwym krzykiem pytań, bez chwili przerwy na udzielenie odpowiedzi.

Jackie była tak pochłonięta przewidywaniem tego, co powie matka, że kiedy przyjechał nieoznakowany samochód i zaparkował przed domem, nie od razu zorientowała się, że to oni. Ale kiedy z auta wysiedli mężczyzna i kobieta, to choć nie nosili mundurów, wyczuwało się, że są z policji. To kwestia tego, w jaki sposób się poruszali. W każdym razie dotyczyło to mężczyzny. Kobieta była zbyt drobna, a poza tym blada i zmęczona.

Jackie popędziła od okna do drzwi i otworzyła, zanim zdążyli zapukać.

– Pa, mamó! Idę! Nie czekaj na mnie! – krzyknęła, wychodząc na zewnątrz; policjanci przyglądali jej się zdziwieni.

– A ciebie gdzie nosi po nocy? – odkrzyknęła matka z sypialni.

Jackie już zamykała drzwi, bo odpowiedź na pytanie matki wywołałaby lawinę kolejnych pytań.

– Cześć – szepnęła do mężczyzny. – Jestem Jackie.

– Fajnie. – Pokazał jej legitymację, jakby miała co do niego wątpliwości. – Jestem śledczy Carver. A to jest porucznik Mullen.

Śledczy Carver był przystojniakiem, jeśli ktoś lubi ten typ. Wyglądał na niezłego zawadiakę – wysoki, szeroki w barach i z blizną na brodzie, która wyglądała jak pamiątka po bójkę, choć prawdopodobnie po prostu zaciął się przy goleniu. Natomiast porucznik Mullen była... była całkiem inna. Miała w sobie coś

upiornego, jakby lada chwila miała wybuchnąć, a może już wybuchła i oto, co z niej zostało. Pod jej beznamietną miną kryło się coś, co Jackie знаła aż za dobrze. Głęboki, cielesny strach.

Nagle jednak Mullen zamrugła, potrząsnęła głową, jakby budziła się do życia, i uśmiechnęła się do niej. Jackie jednak się pomyliła. Mina Mullen wskazywała na dobroć, ciepło i absolutny spokój. Jackie znała się na ludziach, a ta kobieta była ogarnięta. Wyluzowana. W innych okolicznościach może by się nawet zaprzyjaźniły.

– Cześć, Jackie – odezwała się Mullen. Miała miękki głos. – Mów mi Abby. Wsiądźmy do samochodu.

Jackie kiwnęła głową i poszła za nimi, ale dochodząc do auta, zwolniła. Nie żeby się bała, właściwie nie. Ale każdy, kto przeżył ostatnie dwa lata z Nealem, obawiałby się wsiąść do auta z parą gliniarzy. Te historie, które jej opowiadał po powrocie, o znikających ludziach i morderstwach, których gliniarze nawet nie starali się ukrywać, twierdząc, jakoby użycie broni było uzasadnione... a przecież coś takiego nie istnieje! Nie zdawała sobie sprawy, że słuchała tego wszystkiego uważnie – dopiero gdy nagle musiała wsiąść do samochodu, wyobraziła sobie, że pewnego dnia sama może się stać bohaterką jednej z takich historii. Jak to wsiadła do auta, które odjechało i nikt nigdy już jej nie widział.

– Możesz usiąść z tyłu – zaproponowała Abby.

– A... a może załatwmy to tutaj? – odparła Jackie. Próbowwała mówić z pewnością siebie, bo Neal stale jej powtarzał, że oni potrafią wyczuć słabość, ale jej głos był zbyt piskliwy i wypadło to nie tyle stanowczo, ile błagalnie.

Abby znów się uśmiechnęła, odrzuciła z twarzy niesforny kosmyk włosów i założyła go za ucho. Miała zaskakująco duże uszy, co w połączeniu z jej drobną, delikatną twarzą sprawiało, że była podobna do myszki. Miłej, słodkiej myszki.

– Wsiadanie po nocy na tylne siedzenie samochodu, kiedy z przodu siedzi para policjantów, to pewnie nic przyjemnego. Usiądę z tobą z tyłu, zgoda? Będzie ci łatwiej, co?

Jackie stwierdziła, że też się do niej uśmiecha. Nie sposób było inaczej.

– Dobrze, dzięki.

Usiadła z tyłu, a policjantka obok niej. Gdy odjeżdżali, Jackie zerknęła za siebie i zobaczyła, że w pokoju matki pali się światło. Szybko odwróciła wzrok.

– Czy to prawda, co powiedziała mi przez telefon ta kobieta? – spytała. – Że Neal jest... jednym z tych uzbrojonych ludzi w tamtej szkole?

Zupełnie jakby pytała, czy w nocy świeci słońce albo czy psy umieją mówić. Przecież to niemożliwe. Miała z Nealem problemy, była na niego wściekła, martwiła się, ale... coś takiego? Zabarykadować się w szkole? I wziąć dzieci jako zakładników?

– Niestety tak – potwierdziła Abby. – Od dawna jesteś jego żoną?

– Sześć lat – odparła Jackie. – Ale już wcześniej mieszkaliśmy razem. Znam go od bardzo dawna. A ta historia... to, co mówicie, to nie jest mój Neal.

– To nie jest twój Neal? – powtórzyła Abby.

– Nie. To znaczy, wiem, że ma szalone teorie, ale czegoś takiego nigdy by nie zrobił. To dobry człowiek.

– Wierzę ci – powiedziała Abby. – Rozmawiałam z nim przez telefon, sprawia wrażenie dobrego człowieka, który wpakował się w paskudną sytuację.

– Otóż to! Gdybyście go znali... on nie miał obsesji na temat tych całych Obserwatorów. To był uroczy... bardzo przyzwoity człowiek.

– Ale coś się stało? – spytała Abby.

Jackie westchnęła. Już wcześniej próbowała to tłumaczyć, jednak ludzie nie rozumieli. Większość uważała, że Nealowi zwyczajnie odbiło. Ale to nie tak. On wcale nie był taki.

– Mieliśmy trudny okres. Stracił pracę. I umarła mu mama. Mieliśmy też... różne inne problemy. Stale przesiadywał w domu, oglądał telewizję, nic nie robił, bez przerwy był smutny i zły. Często się kłóciliśmy. A potem znalazł gdzieś tych ludzi, rozumiecie? Obserwatorów. Bardzo go to jarało. Zupełnie jakby wrócił dawny Neal. – Jej głos zadrżał. Przełknęła ślinę, kręcąc głową.

– Trafił na coś, dzięki czemu poczuł się dobrze, odnalazł cel w życiu – podsunęła Abby.

– Tak. Znowu ze mną rozmawiał. Na przykład przez bitą godzinę objaśniał mi rzeczy, które odkrył. I miał nowych znajomych, którzy wydawali się całkiem mili. Ludzi, którzy chcieli wpływać na rzeczywistość. Wiem, że niektóre materiały Obserwatorów są trochę... odjechane, ale na świecie dzieje się mnóstwo dziwnych rzeczy, o których wszyscy wiedzą, no nie? Takich jak projekt MK-Ultra prowadzony przez CIA. Nawet oglądałam dokument na ten temat. No więc Neal i jego znajomi są otwarci na różne idee i nie wierzą we wszystko, co nam się wmawia. Nie ma w tym nic złego.

– Nie ma w tym nic złego – potwierdziła Abby.

– W dodatku jego życie nie kręciło się wyłącznie wokół tego. Jasne, na początku siedział przy komputerze godzinami, szukając materiałów i w ogóle. Ale po miesiącu czy dwóch odpuścił, na czytanie i czatowanie ze znajomymi poświęcał dwie godziny dziennie. I tyle.

– To było jego hobby – wtrąciła się Abby. – Rozumiem. Moje dzieci poświęcają na swoje zainteresowania mnóstwo czasu. Dopóki odrabiają lekcje i spotykają się z przyjaciółmi, uważam, że to świetnie. Lepsze to niż gapienie się w telewizor.

– Jasne – przytaknęła Jackie. – Byłam szczęśliwa. Znalazł coś, co go naprawdę zainteresowało.

– A ciebie w to nie wciągnął?

– Próbował, nawet kilka razy. Na przykład chciał, żebym mu utworzyła na tym forum profil użytkownika, ale mnie to nie bawiło. Jak pani mówiła, to było jego hobby. Ale nie moje. Sam go sobie zrobił, nie był skończonym palantem... No więc ja miałam swoje zainteresowania, które go nie obchodziły, jak ogród czy bieganie, ale chętnie słuchałam, jak opowiadał o swoim hobby. Wie pani, jeśli ukochana osoba opowiada coś z takim entuzjazmem, to czasem można być szczęśliwym od samego słuchania.

– To prawda. – Abby uśmiechnęła się szeroko. – Gdybyś posłuchała, jak mój syn opowiada o swoich zwierzakach. I co było dalej?

– No... tego lata znów poświęcał temu więcej czasu. Jakies sześć, siedem godzin dziennie. Kładł się spać późną nocą. I nie mówił o niczym innym. Gadał o tym bez przerwy.

– Wspominał o czymś konkretnym?

Jackie pokręciła głową.

– Mówił to co zwykle. Tyle że okropnie się żołądkował. Wściekał się, że jesteśmy kontrolowani przez Krąg... Obserwatorzy tak nazywają tych, którzy wszystkim kręcą. Spotykał się z kolegami z grona Obserwatorów trzy, cztery razy w tygodniu i wracał w środku nocy. A potem znowu stracił pracę. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo prawie nie sypiał, tylko cały czas siedział przy komputerze albo wisiał na telefonie.

Otarła łzę i wyjrzała przez okno.

– A wiedział, że jesteś w ciąży? – spytała Abby.

Jackie spojrzała na nią zaskoczona. Pod płaszczem nie było jeszcze widać jej brzucha, a na pewno o tym nie wspominała. Skąd ta policjantka wie? Czyżby Neal się wygadał? A może lekarz sprzedał jej dokumentację medyczną Kręgowi, a oni zawiadomili policję? Czy w ten sposób ta kobieta się dowiedziała o...

– Kiedy ja byłam w ciąży i jechałam samochodem, kładłam rękę na brzuchu – powiedziała Abby. – Ty robisz tak samo. Taki matczyzny gest. – Uśmiechnęła się do Jackie.

Jackie z ulgą zrewanżowała jej się tym samym. To miało sens. Nagle jej uśmiech przygasł.

– Nie powiedziałam mu. Na początku nie chciałam mu robić nadziei. Już raz straciliśmy... Poroniłam. Wtedy, kiedy między nami się nie układało. A potem martwiłam się, że Neal nie będzie dobrym ojcem. W końcu uznałam, że czas na separację. Wiecie, to było coś w rodzaju ultimatum: „Weź się w garść albo odejdę”. Kochaliśmy się, więc pomyślałam, że to mu pomoże.

– Kiedy to było?

– Kilka miesięcy temu. Tuż przed Halloween. Właśnie wybierał się na kolejne z tych swoich spotkań, a ja spakowałam walizkę i oświadczyłam, że po powrocie już mnie nie zastanie.

– Jak zareagował?

– No... niedobrze. Skończyło się koszmarną kłótnią. I wyszłam.

– Czyli zostawiłaś go w okolicach Halloween – mruknęła Abby. – I co było dalej?

– Nigdy do mnie nie zadzwonił. To ja próbowałam dzwonić do niego. Tęskniłam za nim. Ale nie odbierał telefonu. Wysyłałam mu więc esemesy, a on w odpowiedzi pisał, że dla własnego dobra powinnam się trzymać od niego z daleka. Jakaś kompletna paranoja. No to pomyślałam, że pojedę się z nim zobaczyć. Wybrałam się do naszego domu. Ale... – Zamknęła oczy i zakryła dłonią usta, żałując, że nie może cofnąć czasu i postąpić inaczej.

– Pojechałaś do waszego domu – powtórzyła Abby. – I co się stało?

– Nie otworzył drzwi. Wszystkie żaluzje były zaciągnięte. I zmienił zamki. Nie mogłam wejść do środka.

ROZDZIAŁ 46

29 października 2019

W sumie to ta walizka ostatecznie wbiła mu nóż w plecy. Walizka, którą wzięli ze sobą, jadąc na miesiąc miodowy, ten cudowny tydzień w Meksyku. A potem jeszcze raz, na wycieczkę, o której zawsze marzyła, nad Wielki Kanion. I na ich piątą rocznicę, na Florydę. Ta walizka Nealowi zawsze kojarzyła się z cudownymi wspomnieniami.

A teraz spakowała tę walizkę potajemnie, żeby od niego odejść.

Waliza była wielka i sądząc z tego, jak ją ciągnęła, bardzo ciężka. Żadna tam torba podróżna. I nie spakowała jej w złości w pół godziny. Zaplanowała to zawczasu, dawno temu.

To, co mówiła, również brzmiało jak obmyślane z wyprzedzeniem. Niekończący się monolog o tym, że w ogóle go nie ma. Że żyje z nieznanym. Słuchając jej, miał wrażenie, że rozmawia z ciemną chmurą gradową.

Kiedy Jackie próbowała mu wyjaśnić coś ważnego, zwykle szukała słów; jąkała się i mamrotała. Ale nie tym razem. Tę przemowę miała przećwiczoną.

Pytanie dlaczego.

– Czemu mi to robisz? – rzucił.

Zamrugła. To pytanie przebiło balon jej kazania.

– Bo... Przed chwilą to tłumaczyłam. Czuję, jakby cię w ogóle nie było...

– Gówny prawda! Nie zostawiłabyś mnie z takiego powodu. Ktoś cię nastawił przeciwko mnie. Czy to twoja matka? To twoja matka, prawda? Od początku mnie nienawidzi. Co powiedziała? Zaproponowała ci pieniądze? Czy zagroziła, że cię wydziedziczy? O to chodzi?

Oczy Jackie zaszyły łzami.

– Neal, moja matka nie ma z tym nic wspólnego. Jestem nieszczęśliwa. Chcę cię odzyskać. Takiego, jaki byłeś kiedyś. A nie jaki jesteś teraz... opętany, wściekły.

– Czy to oni?! – Te słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdążył je dobrze przemyśleć.

– Oni? – Jej ton się zmienił. Uraza zniknęła, zastąpiła ją inna, ostra nuta.

– Czy ktoś się z tobą skontaktował? Groził ci? Szantażował cię? A może coś ci zaproponowali, żebyś...

– Uważasz, że odchodzę z powodu jakichś... jakichś podejrzanych typów? – Otworzyła szeroko oczy. – Czyś ty zwariował? Co oni by mieli... Wiesz co, mam tego dość.

I ruszyła do wyjścia, ciągnąc za sobą walizkę.

– Nigdzie nie idziesz! – Zerwał się z krzesła, chwycił ją za przedramię. I ścisnął mocno.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła, wyszarpując rękę.

W tym momencie chciał jej dać w twarz, co wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, teraz jednak z trudem się powstrzymał. Nawet wziął już zamach.

Nie uderzył jej, wyrznął ręką w ścianę. Gwałtowny ból sprawił, że na kilka sekund przestał myśleć o czymkolwiek. Jak przez mgłę widział, jak Jackie wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Zataczając się, przeszedł do komputera i zaczął szukać wyjaśnienia. Dlaczego? Dlaczego go porzuciła? Ona nigdy by nie odeszła tak bez powodu. Instynkt go jednak nie mylił. Ta sprawa śmierdziała, z daleka czuło się robotę Kręgu. Który chciał oderwać jego i Theodora od tego, co robili. Właśnie o to w tym wszystkim chodziło. Widocznie jakoś się dowiedzieli.

Kliknął skrót do forum i utworzył nowy wątek. Temat brzmiał: **KRAĞ BIERZE JUŻ NA CEL NASZE RODZINY.**

Słowa popłynęły potokiem.

„Właśnie opuściła mnie żona, a jej zachowanie jasno wskazywało, że od dłuższego czasu ktoś to organizował. Byliśmy ze sobą szczęśliwi, to spadło jak grom z jasnego nieba. Chyba że od pewnego czasu tylko udawała. Czy szpiegowała mnie na czyjeś polecenie? Jeśli tak, to zagrożony jest każdy z was, kogo tożsamość poznałem. Przepraszam, w ogóle nie powinienem jej o tym mówić. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego kazali jej odejść? Pomyślałem o niedawnych rozwodach wśród naszych członków. W ostatnich miesiącach rozwiodły się trzy małżeństwa. A to koszarne przesłuchanie Białego Króla w sprawie opieki nad dzieckiem? Taki odsetek rozwodów jest dużo wyższy od przeciętnej”.

Przerwał, poszukał danych statystycznych o rozwodach i wstawił link. Zawsze podpierał swoje posty faktami.

„A to są zaledwie ci, o których wiemy. Ilu z was ma za sobą rozpady związków, o których nie mówiliście grupie? Nie oceniam was, ale musimy wiedzieć. Czy to jest robota Kręgu. Bo skoro każą członkom naszych rodzin zwracać się przeciwko nam, skoro robią z nich swoich agentów...”.

Przerwał i wlepił wzrok w ekran.

Była w tym jakaś prawidłowość, czuł to.

Tylko że żadnej prawidłowości nie było.

Ale jednego był pewny nade wszystko. Jackie za nic nie zgodziłaby się zostać pionkiem Kręgu. Nie zdołałoby jej nastawić przeciwko niemu.

Elementy układanki pasowały. Przyszły mu na myśl sytuacje, kiedy nie potrafił sobie wytłumaczyć jej zachowania. To zaś wyjaśniało wszystko. Jak choćby ten dzień, kiedy uparła się, że pójdzie pobiegać, mimo że na dworze padało. Albo ten wieczór, gdy stale sprawdzała telefon. Albo ten dzień, kiedy wyszła na dwór, żeby odebrać telefon, jakby nie chciała, żeby słyszał, co mówi. No i teraz, dziesięć minut temu, kiedy zostawiła go bez ostrzeżenia. Można to było wytłumaczyć tylko tak, że pracowała dla Kręgu.

Ale to przecież niemożliwe.

Skasował post, zamknął przeglądarkę. W jego myśleniu coś szwankowało.

Z otępienia wyrwał go dzwonek telefonu. Spojrzał na ekran.

Jabberwocky.

– Cześć – rzucił, starając się mówić normalnie.

– Cześć. – Theodor był dziwnie wesoły. – Słuchaj, mam pytanie, czy możemy się spotkać pół godziny później? Muszę tu coś jeszcze dokończyć.

– E... dzisiaj nie dam rady. Jakoś marnie się czuję. Chyba coś mi zaszkodziło.

– Niedobrze, stary – odparł Theodor. – Jesteś pewny? Nie musimy siedzieć długo.

– Nie, chyba muszę odpocząć. Nie dam rady sięść za kółkiem. Wiesz, jak to jest.

– Wobec tego spotkajmy się u ciebie – zaproponował Theodor.

– U mnie?

– A jak! Nigdy u ciebie nie byłem. Zawsze przyjeżdżałeś tutaj. Po drodze kupię sześciopak.

– Zgoda. – Neal zacisnął zęby. – Wpadaj.

– Świetnie! – ucieszył się Theodor – Podaj adres.

ROZDZIAŁ 47

– A twoim zdaniem co się stało? – zwrócił się Carver do Abby.

Zaparkowali za rogiem, z dala od większości wozów policyjnych, od centrum dowodzenia i furgonetki negocjatorów. Od szkoły oddzielało ich boisko do koszykówki. Druciana siatka, na tyle wysoka, by zatrzymać każdą niesforną piłkę, sprawiała, że w ciemności budynek wyglądał jak więzienie. A może Carver miał tylko taki nastrój. Przez cały dzień zżerała go bezradność i frustracja. Bez przerwy odtwarzał w myślach te chwile w szkole. Co by było, gdyby wkroczył szybciej, wcześniej? Czy zdołałby uratować zakładników? Albo przynajmniej wyciągnąć Sam?

– A bo co? – spytała Abby po chwili.

– Jackie powiedziała nam, że zostawiła Neala tuż przed Halloween. Wiemy, że wtedy Neal po raz ostatni spotkał się z Theodorem. I wygląda na to, że fatalnie zniósł rozstanie. Zrobił się jeszcze bardziej gniewny niż przedtem, zgadza się? Nawoływał do walki z Kręgiem czy coś w tym rodzaju. Dlaczego?

– Nie wiem – odparła zmęczonym głosem.

– Theodor prowadził badania nad Obserwatorami, dobrze mówię? A Neal był jego głównym obiektem – Carver znacząco zawiesił głos.

– Racja – przyznała w końcu Abby. – Według Landsmana, Theodor z ochotą sfałszowałby wyniki swoich badań, byleby uzyskać zakładany rezultat.

– Kiedy się spotkali, Neal pewnie był zdenerwowany. I łatwo było go zmanipulować.

– Uważasz, że Theodor wykorzystał podły nastrój Neala po zerwaniu, żeby... No właśnie, żeby co? Dopasować go do swojej pracy badawczej?

– Był rozchwiany emocjonalnie. Może Theodor zwietrzył w tym swoją szansę?

– Może już wcześniej nim manipulował? – podsunęła Abby, odwracając się do Carvera. – Jackie mówiła, że na kilka miesięcy przed Halloween wzrosła jego obsesja na punkcie Obserwatorów. Mniej więcej wtedy zaczął się spotykać z Theodorem. Być może te dwie rzeczy są ze sobą związane?

– Częstość ich spotkań szybko wzrastała – zauważył Carver. – A nie wygląda na to, żeby Neal miał świadomość, że jest obiektem badawczym do artykułu. Theodor udawał, że też jest Obserwatorem.

– Taaak. – Abby zagryzała dolną wargę.

– Czy to może pomóc w negocjacjach? Jeżeli istotnie tak było?

– Każda informacja może nam pomóc – odparła. – Być może jeśli Will zdoła uświadomić Neala, że tylko odgrywa rolę, bo jest zmanipulowany przez Theodora, to wpłynie na jego postępowanie. I Neal będzie bardziej skłonny się poddać.

– A Jackie?

– Co z nią?

– Czy Will pozwoli jej pogadać z mężem?

– Niewykluczone. – Abby zmarszczyła czoło. – W tego typu sytuacjach zgoda na rozmowę współmałżonków zawsze jest ryzykowna. I tak mamy już bardzo napięty kryzys. Zgoda na ich rozmowę może dodać do tej mieszanki wiele niewiadomych. No i Jackie nie jest negocjatorką. Will musiałby jej wyjaśnić, o czym może mówić, a czego absolutnie nie wolno jej powiedzieć. A jeśli Neal ma skłonności samobójcze, byłoby jeszcze gorzej.

– Dlaczego?

– Ludzie o skłonnościach samobójczych często chcą porozmawiać z ukochanymi, zanim się zabiją. To by go mogło popchnąć do ostateczności.

Carver pokiwał głową.

– Ale on nie mówił jak ktoś, kto chce popełnić samobójstwo.

– Nie. Poza tym jest jeszcze kwestia ciąży. Dla negocjatora przyszłość to potężne narzędzie. Chcemy dać tym ludziom nadzieję. A dziecko w drodze jest tak silną nadzieją na przyszłość jak mało co. To może być przełom.

– Czyli ty pozwoliłabyś mu z nią porozmawiać? Gdybyś prowadziła te negocjacje?

Abby westchnęła.

– Sama nie wiem.

Carver ujął jej dłoń. Była lodowata. Czyżby zmarzła? Czy ona w ogóle czuje, że jest jej zimno czy ciepło, czy jest głodna, czy zmęczona? Czy tylko zamartwia się o córkę?

Lekko uścisnął jej dłoń.

– Pozwoliłabyś Nealowi pogadać z Jackie?

– Owszem – odparła Abby po krótkiej chwili. – Chyba tak. Ale pewnie poczekalabym na wyniki przeszukania ich domu. Mogą tam znaleźć coś, co ma związek z tą sytuacją.

Gdy tylko podrzucili Jackie do szkoły, Tammi wzięła od niej adres domu jej i Neala i wysłała tam policjantów, żeby go przeszukali. Nawet nie potrzebowali nakazu. Formalnie dom należał do Jackie, a ona wyraziła zgodę.

Przez dłuższą chwilę Carver siedział w ciemności, trzymając Abby za rękę.

– Spójrz – odezwała się.
Zamrugął. O mały włos nie zasnął.

– Na co?

– Odsuwają demonstrantów.

Miała rację. Pomimo późnej pory i zimna manifestacja się rozrastała. A teraz grupa mundurowych odpychała uczestników protestu.

– To tylko zaogni sytuację – powiedział Carver. – Zaraz zaczną gadać, że policja coś ukrywa.

– Nie sędzę, żeby cokolwiek mogło ją jeszcze pogorszyć.

Nagły ruch tłumu sprawił, że policjanci naparli jeszcze bardziej. Jeden z nich wołał coś przez megafon, a tłum odpowiadał krzykiem. Ktoś się przewrócił.

– O w mordę – mruknął Carver.

Wysiadł z samochodu i pobiegł w stronę tłumu. Kolejne krzyki. Ktoś uderzył policjanta tabliczką z hasłem. Jakaś kobieta przedarła się przez kordon i ku przerażeniu Carvera pobiegła w stronę szkoły.

– Zatrzymajcie ją! – ryknął, ale jego głos utonął w zgiełku. Inny policjant gonił kobietę i coś do niej krzyczał.

– Tam jest moje dziecko! – odkrzyknęła. – Tam jest moje dziecko!

Carver pędził co sił w nogach, w uszach miał świst wiatru. Musiał ją dopaść i odciągnąć, zanim ktoś ją przypadkowo zastrzeli. Ale ona była już przy jednym z wejść do szkoły.

Patrzył z niedowierzaniem, jak otwiera drzwi. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co się stało. Kobieta pobiegła do drzwi, które dwie godziny wcześniej wyważył zespół JRK.

I właśnie zniknęła w budynku szkoły.

ROZDZIAŁ 48

– Ktoś jest w środku.

Na te słowa zaskoczony Gąsienica usiadł prosto i zamrugał. Czyżby przysnął? Wydawałoby się, że nie sposób zasnąć w takiej sytuacji, kiedy każda minuta może być ostatnią. Ale gdy już zamknęli większość zakładników i zjedli kanapki, które Kapelusznik przyniósł ze stołówki, zapanowała niezwykła cisza. Możliwe więc, że się zdrzemnął.

– Kto? – zapytał i z bronią w ręce podbiegł do Almy. Dołączył do nich Kapelusznik.

Wskazała na ekran.

– Patrzcie.

Gąsienica obserwował jakąś kobietę, która skradała się korytarzem, spięta, bez przerwy obracając głowę w prawo i lewo.

Zacisnął zęby i wycelował w siedzącego w rogu pokoju dyrektora, który teraz miał ręce skrupowane na plecach. Chwycił mikrofon radiowęzła z biurka sekretarki.

– Uwaga! – warknął do mikrofonu i usłyszał, jak za drzwiami jego głos odbija się echem. – Opuść budynek albo zastrzelę dyrektora. Jazda stąd! Won!

Kobieta na ekranie zatrzymała się, spojrzała w górę, po czym ruszyła dalej.

Gąsienica podszedł do dyrektora i poderwał go na nogi. Zawłókł go do biurka i przyłożył mu mikrofon do twarzy.

– Powiedz jej!

– Eee... Mówi Henry, dyrektor szkoły – głos mu drżał. – Przystawili mi pistolet do głowy. Proszę, niech pani zrobi, co każą.

– Ona nie zawraca – odezwała się przerażona Alma.

– Widocznie nie bierze nas na poważnie – oświadczył Gąsienica. Jego palec zacisnął się na spuście.

– Zaczekaj! – rzuciła Alma. – Nie wiemy, kim ona jest.

– A jak sądzisz? – prychnął drwiąco Kapelusznik. – To glina. Zastrzel go. Wtedy do niej dotrze.

– A jeśli to ta kobieta, z którą rozmawiałeś wcześniej? – rzekła Alma natarczywie. – Abby? Jeżeli to ona?

Gąsienica się zawahał. Czy to możliwe? Wyglądało na to, że ta kobieta nie jest uzbrojona. Właściwie w ogóle nie wyglądała na policjantkę. Była w zwykłej koszuli i dżinsach, a włosy miała zebrane w koński ogon. Czy to Abby?

W gabinecie dyrektora zadzwonił telefon.

– Zastrzel gnoja – powiedział Kapelusznik. – A ja pójdę po pozostałych zakładników.

– Odbierz – poprosiła Alma.

– Proszę – wymamrotał dyrektor. – To tylko jedna kobieta. Nie ma powodu...

– Morda w kubeł! – Kapelusznik wyrzwał go w brzuch.

Dyrektor zgiął się wpół, bez tchu. Alma krzyczała na Kapelusznika, telefon nadal dzwonił, a kobieta... szła dalej jakby nigdy nic, pokazując się na obrazie z kolejnych kamer monitoringu.

Gąsienica wbiegł do gabinetu dyrektora i podniósł słuchawkę telefonu.

– Halo?

– Gąsienico, miło, że odebrałeś – powiedział Will. Cicho i spokojnie. – Ta kobieta, która właśnie weszła do budynku, nie jest policjantką. Naszym zdaniem to matka jednego z dzieci, które przetrzymujecie.

– Gówno prawda! – burknął Gąsienica. – A jak się tu dostała?

– Przedarła się przez blokadę policyjną. Wyobrażam sobie, że tam się robi naprawdę gorąco, ale my tutaj próbujemy nad wszystkim panować.

Will mógł kłamać. Mógł być federalnym po cywilnemu. Albo zabójcą Kręgu, wysłanym, żeby załatwił sprawę raz na zawsze.

– I twoim zdaniem co powinienem z tym zrobić? – warknął Gąsienica.

– Zastanówmy się razem – zaproponował Will. – Ona wyraźnie działa pod wpływem emocji, a nie potrzeba nam tam jeszcze większego napięcia, dobrze mówię?

– Gąsienico, są pierwsze posty na ten temat na forum! – zawołała Alma. – Piszą, że ta kobieta przedarła się przez kordon policyjny. Zamieścili film.

– Ona nikomu nie zagraża – mówił tymczasem Will.

Gąsienica miał ochotę roztrzaskać słuchawkę w drobny mak. Czy to na pewno matka? Czy zabójczyni? A może jeszcze ktoś inny? Jeśli to zabójczyni, nie przejmie się zastrzeleniem dyrektora. Ba, pewnie sama wykończyłaby wszystkich zakładników, żeby nie zostawiać świadków.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z pokoju, mimo że telefon od razu znów zadzwonił.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał Alnę.

– Kamera czternasta. – Alma wskazała na ekran.

Nic mu to nie mówiło. Kobieta się zatrzymała i patrzyła na coś poza zasięgiem kamery. Gąsienica próbował się zorientować, w jakiej części budynku się

znajduje, ale nie miał pojęcia.

– Wiem, gdzie to jest – odezwał się Kapelusznik. – Pójdę i ją tu ściągnę.

– Idę z tobą – powiedział Gąsienica szybko.

– Musisz zostać tutaj i rozmawiać z twoimi kumplami przez telefon – odparł Kapelusznik, zmierzając do drzwi.

– Potrzebne ci będzie wsparcie – upierał się Gąsienica. Nie chciał, żeby Kapelusznik został z tą kobietą sam na sam. W ogóle nigdzie nie chciał go puszczać samego.

Kapelusznik wzruszył ramionami.

– W porządku. Chodźmy.

Przekręcił klucz w zamku i wyszedł na zewnątrz; Gąsienica deptał mu po piętach. Gdy szli pustymi korytarzami, Gąsienicy włos się zjeżył na karku. Przez cały dzień napięcie między nim a Kapelusznikiem narastało, teraz zaś nie miał pojęcia, co ten człowiek zamierza. Może wcale nie szli do tej kobiety? Może prowadził Gąsienicę w jakieś ustronne miejsce poza zasięgiem kamer, by go załatwić w taki sposób, żeby Alma nic nie widziała? Może Kapelusznik współpracował już z policją, z Kręgiem albo z tą nieznaną kobietą?

Gąsienica poznał już smak zdrady. Wtedy miał szczęście. A teraz będzie przygotowany.

Właściwie najlepiej będzie załatwić go od razu.

Uniósł pistolet, wycelował w głowę Kapelusznika i próbował opanować drżenie ręki. Wystarczy jeden strzał i...

– Jest – odezwał się cicho Kapelusznik.

Kobieta, którą widzieli na zapisie z monitoringu, stała w korytarzu i z otwartymi ustami patrzyła przez otwarte drzwi.

– Nie ruszaj się – polecił głośno Gąsienica, przesuwając broń i celując w głowę kobiety. – Ręce na głowę.

Zerknęła na niego. Patrzyła obojętnie, jakby nie widząc wycelowanej w siebie broni. Powoli założyła ręce za głowę.

Kapelusznik podszedł i wykręcił jej ręce za plecami. Gąsienica zbliżył się o kilka kroków, by się przekonać, na co patrzyła.

Nic tam nie było. Jedyne komórka, a w niej dmuchawa do odśnieżania, kosiarka oraz kilka metalowych pojemników. Zatrzasnął drzwi i czując, jak łomocze mu serce, odwrócił się do kobiety.

– Coś ty za jedna? – syknął.

– Jestem matką jednej z dziewcząt – odparła pośpiesznie. – Przyszłam, żeby ją zabrać. To wszystko!

– To wszystko? – Gąsienica przyglądał jej się z niedowierzaniem. W jej twarzy było coś dziwnego. Szklany wzrok, otwarte usta. Może była umyślowo chora? –

Którego dziecka?

– Samantha – powiedziała kobieta. – Jestem matką Samantha.

ROZDZIAŁ 49

Sam siedziała oparta o ścianę, z podciągniętymi kolanami. Zmęczona patrzyła na klaustrofobiczną klitkę, w której przebywali we czwórkę – był to szkolny składzik ze sprzętem sportowym, gdzie Kapelusznik zamknął ich na klucz ponad godzinę temu. W sumie z ulgą przyjęła to, że zabrano ich daleko od trojga uzbrojonych maniaków. Jej świat skurczył się do ludzi dzielących z nią to pomieszczenie – Raya, Fiony oraz pani Nelson, sekretarki. Pan Bell został w gabinecie z porywaczami.

Miło było też znaleźć się z dala od zwłok pana Ramireza i jego pustych, martwych oczu. Choć kiedy zaciskała powieki, nadal widziała jego twarz.

Wzdrygnęła się, a serce podeszło jej do gardła, gdy rozległ się głośny szczęk. Spojrzała na Raya, który trzymał kij hokejowy.

– Mówiłam ci, żebyś to odłożył – warknęła zirytowana.

W panującej ciasnocie, wśród mnóstwa sprzętu, mieli dla siebie tylko wąski, długi pas podłogi, na którym mogli usiąść. A odkąd Ray znalazł ten kij hokejowy i zaczął nim wymachiwać, w maleńkiej klitce zrobiło się jeszcze ciasniej.

– Nie drzyj się na mnie, tylko bierz następny – warknął oburzony. – Ja przynajmniej próbuję coś zrobić. – Zamachnął się jeszcze raz i uderzył w jedną z metalowych półek. Kolejny szczęk sprawił, że wszyscy się skrzywili.

– Ray, zrób to jeszcze raz, a przysięgam na wszystkie świętości, że też wezmę kij i ci nim przywalę! – krzyknęła Fiona.

– Powtarzam wam, że to jest nasza szansa – odparł. – Przecież przyjdą po nas osobno, a nie wszyscy naraz, nie? Jedna osoba, góra dwie. Trzymając te kije, możemy ich wziąć z zaskoczenia i...

– I nas zastrzelą – dokończyła za niego Sam zmęczonym głosem. Już to przerabiali, trzykrotnie. – Bo oni mają pistolety, a ty masz kij. Wiem, uważasz się za wielkiego, groźnego faceta, ale masz zaledwie czternaście lat. A tamci... oni są silni. – Przypomniała sobie rękę ściskającą ją za szyję. Wciąż jeszcze ją bolało. Fiona powiedziała jej, że ma siniaki.

– Powinniśmy spróbować się przespać – odezwała się pani Nelson.

Rozłożyli na podłodze maty do ćwiczeń. Miejsca wystarczyło akurat na tyle, by położyli się obok siebie, ściśnięci jak sardynki w puszcze. Musieli się zmieścić po

dwie osoby na jednej macie, więc Fiona i Sam odruchowo przytuliły się do siebie. Gdyby zasnęli, Ray musiałby się przytulić do pani Nelson. Może dlatego tak się upierał, żeby stąd uciec.

– Nie możemy spać – powiedziała Fiona. – Bo co będzie, jeśli przyjdzie policja, żeby nas uwolnić? Musimy być na to gotowi. To już nie potrwa długo.

Sam uniosła brwi.

– Czyżby? Oblężenie Gałęzi Dawidowej w Waco trwało prawie dwa miesiące. A kilka lat temu jakiś gość złapał chłopaka, zaciągnął go do schronu i przez cały tydzień był impas. A ten incydent w szkole amiszów trwał... – Sam zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą na nią z przerażeniem – ...też dość długo. Tak czy owak, takie rzeczy wymagają czasu. Musimy się uzbroić w cierpliwość.

Chciała przełknąć ślinę, ale gardło miała suche jak pieprz. Żałowała, że nie zostawili im trochę wody. Gąsienica dał im pudełko z kilkoma kanapkami i kartonami mleka czekoladowego, ale już dawno wszystko zniknęło. A chętnie by zamieniła mleko czekoladowe na szklanek wody.

– A jeśli... jeśli nas tu po prostu zostawią? – spytała Fiona.

Sam odruchowo rozejrzała się, wyobrażając sobie, że mieliby się tu gnieździć całymi dniami. Bez jedzenia i bez picia. W pomieszczeniu nie było nic przydatnego, tylko stosy kół do hula-hoop, wielkie siatki z różnymi piłkami, piankowe wałki do masażu i oczywiście durne kije hokejowe Raya.

– Nie zostawią nas – oświadczyła, starając się dodać im otuchy. – Zresztą pieprzyłam głupoty. Nie jesteśmy w żadnym schronie, tylko w szkole. A ich jest raptem troje. Mało prawdopodobne, żeby byli w stanie...

Zazgrzytał zamek. Sam odwróciła się i odczołgała od drzwi, wyobrażając sobie, że stoi za nimi Kapelusznik. Że przyszedł po nią. A ona nie ma dokąd uciec. Nagle zapragnęła mieć w ręce kij hokejowy albo coś, czym mogłaby walczyć.

Otworzyły się drzwi. Kapelusznik i Gąsienica. I jeszcze ktoś. Kobieta.

– Hej, pani doktor – odezwał się Kapelusznik. – Zgadnij, kogo tu mam dla ciebie.

Wepchnął kobietę do środka. Potknęła się o matę i upadła na kolana. Trzasnęły zamykane drzwi i w ciszy pomieszczenia zabrzmiał zgrzyt klucza w zamku.

Kobieta podniosła głowę i mrugając powoli, wlepiła w nich wzrok.

– Nic pani nie jest? – spytała Sam.

– To ty – szepnęła kobieta. – To naprawdę ty.

Sam zmarszczyła czoło.

– Ja? Czy my się znamy?

Kobieta zamknęła oczy.

– „I ujrzałem, i usłyszałem głos wielu aniołów, a liczba ich była miriady miriad i tysiące tysięcy”⁵ – powiedziała cicho.

- To wariatka – orzekł Ray drżącym głosem.
 - To cytat z Apokalipsy świętego Jana – wyjaśniła pani Nelson.
 - Kim pani jest? – spytała Sam. – Skąd pani się tu wzięła? Jest pani z policji?
- Kobieta otworzyła oczy.

- Mam na imię Deborah. Ojciec mnie przysłał po ciebie.
- Ojciec...? Mówi pani o moim tacie?

Kobieta uśmiechnęła się do Sam, szeroko otwierając oczy. Ray miał rację. To wariatka. Nachyliła się i dotknęła stopy Sam. Dziewczyna szybko cofnęła nogę.

Na co kobieta szepnęła:

– „Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem”⁶.

ROZDZIAŁ 50

Dwanaście godzin po tym, jak pozbawiono ją funkcji głównego negocjatora, Abby ponownie znalazła się w centrum dowodzenia, razem z resztą grupy dochodzeniowej. Nie miała bladego pojęcia dlaczego. Will po prostu zadzwonił do niej i kazał jej przyjechać, bo szykują naradę i Estrada zażyczył sobie jej obecności. Być może chcieli, żeby znów porozmawiała z Gąsienicą? Wątpiła w to, ale nie widziała innego powodu.

Spojrzeli na nią w taki sposób, że od razu się wkurzyła. Jedni zerkali kątem oka, inni prawie niezauważalnie odwracali wzrok. Znała to spojrzenie, tak ludzie patrzą na bezdomnych siedzących pod ścianą na ulicy. Albo zerkają na kogoś z deformacją ciała. Jak gdyby niepowodzenia życiowe albo tragedie były zaraźliwe i patrząc, można się było zarazić. Ona zaś była matką, której córka przebywała w tym budynku. Którą widzieli wleczoną przez napastnika i z pistoletem przystawionym do głowy. Ale była też ich koleżanką, równą im stopniem, więc nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Uświadomiła sobie, że Carver tak się nie zachowywał. Przez cały dzień był szczery i twardy. Żałowała, że w centrum dowodzenia nie ma go obok siebie.

– No dobra. – Estrada pochylił się nad stołem. Mimo że zajmował się tym kryzysem od ponad dwunastu godzin, był czujny i pełen energii. – Oto najświeższe wieści. W związku z przeciekami informacji od cywilów do napastników w szkole rozszerzyliśmy strefę zamkniętą. W tym celu dostałem dodatkowych ludzi z pobliskich komisariatów. Nikt nie ma prawa wejść na ten teren bez mojej osobistej zgody. Dlatego jeśli ktoś z was chce wprowadzić tu jeszcze kogoś nowego, muszę o tym wiedzieć zawczasu. Zakładam, że rano będziecie chcieli dokonać wymiany funkcjonariuszy, żebyście mogli odpocząć. Dajcie mi listę wszystkich nazwisk.

Will i Baker skinęli głowami. Abby zacisnęła zęby. Propozycja, by pracowali w systemie zmianowym, padła w samą porę, ale też przypomniła im, co czują. Ten kryzys mógł potrwać o wiele dłużej niż jeden dzień.

– Baker, na czym stoimy? – zapytał Estrada.

– Musimy zakładać, że po nieudanej próbie wejścia ci w środku podejmą odpowiednie kroki, żebyśmy znowu ich nie zaskoczyli – odparł dowódca JRK. –

Dlatego na razie wykluczamy kolejny taki atak. Wracamy do naszego pierwotnego scenariusza, czyli opuszczenia się z dachu i wskoczenia przez okna. Musimy to jednak przećwiczyć. I lepiej będzie z tym poczekać. W tej chwili oni mają się na baczności.

– Do świtu jest... – Estrada spojrział na zegarek – pięć i pół godziny. Potem atak będzie wykluczony.

– Według mnie nie powinniśmy tego robić tej nocy. Chyba że w ostateczności. Wcześniej działaliśmy pod presją czasu. Żeby uratować Carlosa Ramireza. Teraz już na to za późno.

– W porządku, czyli wracamy do stołu negocjacyjnego. Na czym stoimy?

Abby przeniosła wzrok na Willa.

– Nie jest dobrze – powiedział. – Jak należało się spodziewać, zaufanie i dobre relacje, jakie udało nam się nawiązać z napastnikami, w zasadzie należą do przeszłości. Moje rozmowy z Nealem były krótkie i pełne złości. Jeśli dalej tak pójdzie, chyba będziemy musieli znowu zamienić negocjatora.

Abby odchrząknęła.

– Mogłabym spróbować z nim porozmawiać...

– Nie. – Ostry głos Estrady nie zostawiał miejsca na dyskusję.

Nie naciskała. A zatem nie po to ją ściągnęli. Wobec tego co tu robiła?

– Naszym asem w rękawie jest Jackie – ciągnął Will. – Zamierzam ją połączyć telefonicznie z Nealem, żeby choć trochę odzyskać zaufanie i żebyśmy mogli zagrać na jego uczuciach. Szybko muszę go jakoś uspokoić. Mamy też niepokojące informacje po przeszukaniu jego domu. – Otworzył cienką brązową teczkę, wyjął z niej fotografię i położył ją na stole. – To zdjęcie, które policjanci z Monticello wykonali w jego domu. Ta plama została zakryta dywanem.

Abby zerknęła na zdjęcie. Przedstawiało olbrzymią ciemną plamę na drewnianej podłodze. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co to jest. Zakrzepła krew.

– Nasi technicy są już w drodze, ale pewnie trochę potrwa, zanim to potwierdzą – ciągnął Will. – Wygląda jednak na to, że ktoś tam potężnie się wykrwawił. To pasuje do esemesa, który dostaliśmy od Samantha Mullen... że Neal już wcześniej kogoś zabił. Oczywiście, nie przyznamy mu się, że o tym wiemy, bo zaprzepaścilibyśmy szanse na to, że się podda.

– Czy znaleźli w domu coś jeszcze? – spytała Abby.

– Nadal szukają – odparł Will. – Dadzą nam znać.

– A co z tą najnowszą historią? – spytał Estrada.

Wszyscy skierowali oczy na Abby. Zamrugowała zaskoczona.

– Eee... niby z czym? – bąknęła.

Estrada wziął pilota i skierował na wielki ekran na ścianie. Rozpoczął się film. Przedstawiał kobietę, która przedarła się przez policyjną blokadę, wbiegała do szkoły. Nagranie było kiepskie, kamera podskakiwała, a krzyki w tle zagłuszały wszystko, a jednak Abby usłyszała, jak kobieta krzyczy: „Tam jest moje dziecko!”.

– Znasz ją? – zwrócił się Estrada do Abby.

– To nie jest matka Fiony Brock – odparła. – Dobrze się znamy. Ale chyba nie poznałam matki Raya Millera, więc pewnie...

– Rozmawiałem z jego matką – przerwał jej Estrada. – To nie ona.

– Może jest tam jeszcze jakiś uczeń, o którym nie wiemy – podsunęła.

– Abby – włączył się Will. – Dwadzieścia minut temu rozmawiałem o tej kobiecie z Gąsienicą. Powiedział mi, że to matka Samantha.

Wlepiała w niego wzrok, świat wirował jej przed oczami.

– Co.... Czy on... Dlaczego powiedział coś takiego?

– Tak mu się przedstawiła – wyjaśnił Will. – Trzymają ją z pozostałymi zakładnikami.

– Pomyślałem, że może to jakaś twoja krewna – rzekł Estrada. – Ktoś, kto bardzo lubi Sam i...

– Nigdy w życiu nie widziałam tej kobiety.

– Mamy ją na lepszym ujęciu – powiedział Estrada. – Lokalna stacja telewizyjna kręci film o demonstrujących, nagrywają ich co jakiś czas. Ona stała z nimi od wielu godzin.

Puścił kolejny film i na ekranie pojawili się demonstranci stojący przed szkołą po drugiej stronie ulicy; z tabliczkami w rękach, krzyczeli i śpiewali. Byli tam głównie mężczyźni, więc łatwo było wypatrzeć tę kobietę. Wyglądała jak reszta manifestujących – z uniesionymi rękami, krzyczała razem z innymi. Ale w ogólnym zgiełku nie sposób było usłyszeć jej słów.

– Nie wygląda mi na matkę – zauważyła Abby. – Wygląda jak inni demonstranci. Jak Obserwatorka.

– Wobec tego dlaczego tak się przedstawiła po wejściu do szkoły? – zapytał Will.

Abby pokręciła głową. To nie miało sensu.

– A to jeszcze wcześniejsze nagranie – powiedział Estrada, puszczając trzeci film. Tym razem demonstrantów było raptem kilkunastu. Wśród nich tylko jedna kobieta. Ta sama. Tym razem kamera zatrzymała się na niej, więc Abby mogła dobrze przyjrzeć się twarzy krzyczącej. Była mniej więcej w jej wieku, może trochę starsza.

– Jesteś pewna, że nigdy jej nie widziałas? – upewnił się Estrada.

– Tak, jestem pewna... – Co ona krzyczała? – Może pan dać głośniej?

Spełnił jej prośbę i ciasne centrum dowodzenia wypełniły krzyki demonstrantów.

– Uwolnić... krew... mesjasza... – Udało się wyłowić głos kobiety, wyższy od głosu pozostałych.

– Uwolnić krew mesjasza! – powiedziała Abby. – Już to słyszałam. Tak krzyczała.

– Owszem – potwierdził Baker. – Usłyszałem to samo. Ona jest jednym z tych świrów. A oni sobie z nami pogrywają, tylko w co?

Abby patrzyła na ekran.

– Ale Obserwatorzy nie mieszają religii do teorii spiskowych. Nie ma u nich wzmianek o mesjaszu.

– Ale wierzą, że nadchodzi apokalipsa, prawda? – powiedział Estrada. – Więc może niektórzy wierzą też w nadejście mesjasza.

Krzycząca kobieta uniosła ręce nad głowę. Nie wygrażała pięściami, to był raczej gest modlitwy.

Abby żołądek podszedł do serca, gdy na ekranie pojawił się znajomy widok.

– Zatrzymaj! – rzuciła szybko.

Estrada wcisnął pauzę, Abby zaś przyglądała się dłoniom kobiety na stopklatce.

– O co chodzi? Poznajesz ją? – spytał Estrada.

– Te zadrapania na jej dłoniach – mruknęła; serce waliło jej, jakby chciało wyskoczyć z piersi. – Widzi pan?

– Owszem, widzę – potwierdził Estrada. – Pewnie się skaleczyła.

Abby patrzyła na liczne zadrapania na dłoniach kobiety, widoczne nawet z oddali.

– Ja już to widziałam. Takie ślady zostawia szorowanie rąk metalowym druciakiem. – Znała je, a jakże. I pamiętała ten ból. Tak wyglądały jej dłonie, kiedy była mała.

– Co? Dlaczego miałyby to robić?

– Zapewne należy do sekty religijnej.

– Mówiłaś, że Obserwatorzy nie są religijni.

– I nie są sektą – dodała. – Nie sędzę, żeby była Obserwatorką. Jest kimś innym.

Wiadomość, którą dostała od fałszywego Isaaca. Od człowieka, którym – jak podejrzewała – był Moses Wilcox. Czy to on za tym stał?

Czy doszło do tego wszystkiego, bo jak głupia dzień wcześniej wysłała mu esemesa?

– Czy możemy z tym coś zrobić? – Estrada zwrócił się do Willa.

– Nie sędzę – odparł Will. – Kimkolwiek jest ta kobieta, powinniśmy ją traktować jak kolejną zakładniczkę, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Na pewno nie chcę wysyłać sprzecznych sygnałów na jej temat podczas rozmów z Gąsienicą. I bez tego sprawa jest dostatecznie zagmatwana.

Miał rację. Nawet jeśli Moses z nimi pogrywał, nic nie mogli na to poradzić. Nie teraz.

– W porządku. Dzięki, Abby – rzekł Estrada. – Damy ci znać, jeśli coś się pojawi. Jak mówiłem, chcemy uszczelnić to miejsce i zostawić tu tylko niezbędnych ludzi. Czułbym się lepiej, gdybyś wróciła do rodziny. Oni cię potrzebują.

Abby jak odrętwiała skinęła głową i wstała. Wszyscy odprowadzali ją wzrokiem, gdy wychodziła z centrum dowodzenia i zamykała za sobą drzwi. Na dworze wyjęła telefon i weszła na czat z „Isakiem”. Ponownie przeczytała jego ostatnią wiadomość.

Mogę pomóc.

Dygocząc z wściekłości, wystukała odpowiedź. Wskrzesała jego imię zza grobu. Oskarżycielsko.

Moses, czy to twoja robota? To ty wysłałeś tę kobietę?

Wysłała wiadomość i czekała. Czy znowu ją zignoruje?

Nie, jest znak, że pisze odpowiedź – trzy kropki, które pojawiały się, znikwały i tak w kółko. Siedział gdzieś, grał na jej emocjach i komponował odpowiedź.

Tak.

Napisanie tego zajęło mu niemal minutę. Co takiego napisał, a potem skasował? Przeprasiny? Aroganckie wyjaśnienie? Długi i zawiły cytat z Biblii? Zacisnęła zęby, na myśl przychodziły jej dziesiątki pomysłów. Nie miała jednak czasu na konwersację z upiorem z przeszłości. Zresztą nie mogła przewidzieć jego reakcji na to, co by mu napisała. Schowała telefon do kieszeni. Później. Policzy się z nim później.

Carver czekał na nią w swoim samochodzie. Wsiadła i zatrzasnęła drzwi.

– I czego chcieli? – zapytał.

Streściła mu przebieg wypadków. W jego oczach ujrzała własny szok.

– Za chwilę zadzwonię do Willa – powiedziała. – Powiem mu, że wysłał ją Moses Wilcox. Will wie... o mnie.

– Zgoda. Mam cię odwieźć do domu?

– Nie. – Nie mogła się z tym pogodzić. – To ty idź do domu. Ja pojedę sama, to kawał drogi.

– Akurat! – Carver uniósł brwi. – Dokąd mam cię zawieźć? Tylko nie wciskaj mi kitu.

Uśmiechnęła się do niego ze zmęczeniem.

– Dom Neala i Jackie jest w Monticello. Znaleźli tam plamę krwi. Chcę ją obejrzeć. – W Nealu było coś, co jej nie pasowało. Nie zgadzało się. Żeby to ustalić, musiała pogrzebać głębiej. Może wtedy wymyśli, jak go skłonić, żeby się poddał. Jak zakończyć ten koszmar i odzyskać córkę.

Carver zapalił silnik.

– Masz adres?

– Tak. – Był zapisany w rogu fotografii, którą pokazał jej Will.

– W porządku. To w drogę.

ROZDZIAŁ 51

Plama na deskach podłogi opowiadała ponurą historię. Bezkształtna, ze smugami biegnącymi w różne strony i w kolorach od czarnego po wyblakły brąz. Szeroki pas zaplamionej podłogi był podrapany. Carver ukląkł i zbadał te rysy. Już takie widział.

– Ktoś próbował zetrzeć krew – oświadczył.

Ahmed Nader, śledczy z ekipy technicznej, delikatnie pobierał próbkę z plamy.

– Na to wygląda – przytaknął.

Plama krwi pokrywała znaczną część podłogi salonu Neala Wyatta. Carver wyprostował się i rozejrzał. Gdyby nie ta plama, byłoby tu całkiem przytulnie. Mała kanapa przed niewielkim telewizorem. Kilka bujnych zielonych roślin w donicach. Niski okrągły stolik. A wszystko nieskazitelnie czyste i poukładane, przez co plama wyglądała jeszcze bardziej groteskowo.

Wielki dywan zrolowano i przesunięto pod ścianę. Mundurowy mierzył odległość od kanapy do plamy.

– Czy to pan odkrył tę plamę krwi? – zapytał Carver.

Policjant skinął głową.

– Proszę mi mówić Mitch. Był nakaz przeszukania, więc przyjechaliśmy się rozejrzeć, mieliśmy szukać papierów, broni i takich tam, więc nie rozglądałem się za plamami, no nie? Ale znacie to uczucie, kiedy wchodzić do jakiegoś pokoju i od razu wiecie, że coś jest nie tak? To jakby szósty zmysł. A ja to poczułem, gdy tylko tu wszedłem... bach, i radar w mojej głowie zaczyna popiskiwać. No to pytam Pauliego, to mój partner, pytam go: „Czujesz, że coś tu nie gra?”, a on mi na to, że nie. Ale nie mogłem się pozbyć tego dziwnego uczucia. I wtedy zobaczyłem, że dywan jakoś dziwnie leży. Wiecie, ten pokój jest taki fajny, wszystko na swoim miejscu. Ale dywan nie zakrywał całej podłogi, tylko był przesunięty pod ścianę. Więc radar w mojej głowie zaczął wariować, bip, bip, bip, bip. Odsunąłem dywan i co widzę?

– Plamę? – podsunął Carver.

Mitch wycelował w niego taśmę mierniczą i uśmiechnął się radośnie.

– Plamę!

– To się nazywa połów.

– No to sobie myślę, że to raczej nie po kawie, co nie? Miałem kiedyś psa, sikał na podłogę, a że też była taka drewniana, to te jego siuski całkiem ją załatwiły. Ale wyglądało to inaczej. A poza tym tu nie ma śladu psa, mam rację?

– Nie ma śladu psa – przytaknął Carver. – Co jak co, ale psa byśmy zauważyli.

– Właśnie! No to mówię: „Paulie, stary, na mój gust to plama z krwi”. Więc to zgłosiliśmy. – Wydawał się smutny, że zakończenie było tak mało pasjonujące.

– Carver! – zawołała Abby.

– Później chętnie jeszcze o tym posłucham – powiedział Mitchowi.

Przeszedł do łazienki, gdzie Abby stała obok dużej szafki razem ze wspomnianym już Pauliem.

– Co jest? – zapytał.

– Zobacz, co znaleźliśmy – powiedziała Abby z ponurą miną. W dłoni w rękawiczce miała mały brązowy portfel.

Carver wziął od niej portfel, zajrzał do środka i znalazł prawo jazdy na nazwisko Theodora Quinna.

Oprócz prawa jazdy w portfelu była karta kredytowa, karta wstępu do biblioteki w Middletown oraz zdjęcie młodej dziewczyny. Carver od razu rozpoznał tę, którą widział na zdjęciach w domu Theodora Quinna.

– Gdzie to znaleźliście? – zapytał.

– W dolnej szufladzie – rzekł Paulie.

Carver ją wysunął. Była pełna majtek i skarpetek.

– Leżał tutaj?

– Pod skarpetkami – odparł Paulie. Najwyraźniej nie podzielał zamiłowania swojego partnera do pasjonujących opowieści.

Carver zamknął szufladę i spojrzał na Abby.

– I co ty na to?

– Myślę, że Jabberwocky ma kłopoty – odparła.

Carver skinął głową i zwrócił się do Pauliego:

– Znalazłeś coś jeszcze?

– Mamy laptop – odparł mundurowy. – Zabezpieczony hasłem. I kilka naboju.

– A te naboje były gdzie? – dopytywał się Carver.

– W garażu, w metalowej skrzynce.

– Pokażesz mi?

Paulie bez słowa zaprowadził go do garażu i wskazał skrzynkę stojącą na jednej z półek.

Carver ją otworzył. Jak mówił Paulie, w środku znajdowało się pięć pudełek naboju kalibru .357. Jedno było otwarte. Carver wyjął je i wysypał zawartość na dłoń. Pięć kul. W pudełku pierwotnie było ich pięćdziesiąt. Trzech Obserwatorów w szkole, trzy pistolety, po piętnaście naboju na głowę.

Odłożył pudełko z powrotem i się rozejrzył. Podobnie jak w całym domu, także w garażu panował idealny porządek. Na jednej półce puszki farby, na drugiej środki czystości, a na dolnej skrzynka z narzędziami oraz wiertarka. W rogu stały grabie, motyka i łopata.

Zmarszczył czoło i uważnie obejrzał narzędzia ogrodnicze. W tej czystej przestrzeni brud na nich tym bardziej rzucał się w oczy. Każdego z tych narzędzi niedawno używano. Włącznie z łopatą.

– Hej, Paulie, czy sprawdzaliście ogród?

– Nie.

Carver przeszedł z domu do ogrodu na tyłach. Światło było tam marne, trudno byłoby coś dostrzec. Zapalił latarkę i powoli omiatał jej promieniem ziemię. Trawnik był dobrze utrzymany, obramowany klombami kwiatów.

– Szuka pan czegoś? – zapytał Mitch za jego plecami.

– Tak, teraz mój radar w głowie robi bip, bip – mruknął Carver.

– No, znam to uczucie. Radar w głowie nie da się zignorować. To jest jak szósty zmysł. Ale chyba nie wszyscy gliniarze go mają. Nie wiem, czy Paulie go ma. Jeśli tak, nigdy o tym nie mówił. Ale ja go mam.

Carver zatrzymał promień latarki na klombie po drugiej stronie ogrodu. Wszystkie kwiaty zwiędły. Trawnik obok był żółty i suchy.

– A co teraz ci mówi twój szósty zmysł, Mitch?

– Mówi mi, że... no, że coś tu nie gra.

– Tak? – Carver podszedł do klombu i przyjrzał mu się uważnie. Sąsiednie klomby też nieco przywiędły. – Jak sądzisz, co tu jest nie tak?

Mitch obejrzał się przez ramię.

– Gość, co tu mieszkał, nie dbał o te kwiatki.

– Hm... – Carver kucnął i dotknął ziemi. – Mają wodę. A za dnia tutaj powinno świecić słońce.

– Może coś tu rozlał. Wybielacz albo co. Kiedyś próbowałem podlać kwiatek w donicy wodą, której użyłem do mycia podłogi. Że niby upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu, nie? Za jednym zamachem umyję podłogę i podleję kwiatki. Ale kwiatki zwiędły. Wymyśliłem, że zabiło je mydło, co było w tej wodzie.

– Możliwe – zgodził się Carver. – Chociaż on całkiem nieźle dbał o ten ogród. Byłoby dziwne, gdyby akurat w tym miejscu był tak nieuważny. Ale wiesz co? Rośliny giną, jeśli ziemia jest kwaśna.

– Tak? – bąknął Mitch z wahaniem.

– A wiesz, co sprawia, że ziemia jest kwaśna? – Carver się wyprostował. – Rozkładające się zwłoki.

– Tak...? Znaczący, że... Och!

– I co teraz robi twój radar?

– No, zasuwa na pełnych obrotach.

– Ehe.

Carver poszedł do garażu po łopatę. Wrócił do klombu ze zwiędłymi kwiatami i ostrożnie zaczął kopać. Ziemia łatwo ustępowała pod naciskiem łopaty. Zbyt łatwo.

Już po dziesięciu minutach trafił na strzęp materiału. Zgarnął ziemię dookoła i odsłonił rozkładającą się dłoń.

ROZDZIAŁ 52

Jak większość policjantów, Abby wiele razy budziła ludzi w środku nocy. Zwykle jest to czynność świadcząca o zażyłości, zarezerwowana dla bliskich – dziecka, któremu przyśnił się koszmar, kochanka, który chce się przytulić, albo kota odgrywającego jeden ze swoich niewytłumaczalnych rytuałów. To coś jak wkroczenie w strefę cienia między snem a jawą, kiedy głęboko ukryte lęki bądź nadzieje dobijają się do naszej świadomości. Wtedy bowiem nie chroni nas zbroja, jaką nosimy na co dzień – trafnie dobrany strój, delikatny makijaż czy staranna fryzura.

To było niczym lektura czyjegoś sekretnego pamiętnika.

Córka Theodora Quinna, Georgia, zniosła to lepiej niż większość ludzi. Włożyła wygodny fioletowy szlafrok i przed otwarciem drzwi poprosiła o pokazanie legitymacji. Nawet teraz, będąc nieco po dwudziestce, zachowała ten niewinny dziecięcy wygląd, który Abby widziała na zdjęciach w domu Theodora.

Kiedy usłyszała, że chodzi o jej ojca i że chcieliby wejść do środka, otworzyła szerzej drzwi i odsunęła na bok.

– Moja współlokatorka śpi – powiedziała niemal szeptem. – Chodźmy porozmawiać do kuchni.

Zaprowadziła ich do maleńkiej kuchni i zajęła jedno z krzeseł przy pustym drewnianym stole. Usiedli naprzeciwko niej. Ktoś nabazgrał coś na blacie długopisem – długą krętą linię, pełną pętli i zawijasów.

– O co chodzi? – spytała Georgia. – Czy mojemu ojcu coś się stało? – W jej głosie słychać było lekkie drzenie.

– Proszę pani – odezwał się Carver. – Czy pani ojciec zaginął?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Odezwał się w niedzielę.

– Rozmawialiście przez telefon?

– Nie, tata nigdy nie dzwoni. Jedynie w moje urodziny, ale nawet wtedy mówi raptem kilka słów. Przejdźmy do rzeczy. Czy coś się stało? Miał wypadek czy coś w tym rodzaju?

– Jeszcze nie jesteśmy pewni – odparła Abby. – Znaleźliśmy jego portfel.

– Przychodźcie tu w środku nocy, bo znaleźliście portfel mojego taty? Próbowaliście do niego dzwonić?

– Tak – potwierdziła Abby. – Nie odbiera. Według operatora sieci komórkowej telefon od pewnego czasu jest wyłączony.

– W jaki sposób rozmawia pani z ojcem? – zapytał Carver.

– Czatujemy na Telegramie. On lubi się komunikować w ten sposób. Czatując i wysyłając mejle.

– A kiedy ostatnio go pani widziała?

– Nie wiem. Kilka miesięcy temu. Zaczekajcie. – Wstała, wyszła i po chwili wróciła z telefonem i paczką papierosów.

– Zjawiliście się w środku nocy właśnie dwa dni po tym, jak postanowiłam rzucić palenie. – Georgia włożyła papierosa do ust i przypaliła. Zamknęła oczy i zaciągnęła się głęboko.

– Przykro nam – mruknął Carver.

– Nieważne, nie ma o czym mówić. I tak by mi się nie udało. Pytaliście, kiedy ostatnio widziałam ojca. – Z papierosem w ustach zaczęła coś sprawdzać w komórce. – Spotkaliśmy się na lunchu we wrześniu.

– Czy to u was normalne, że miesiącami się nie widujecie?

– Nasze relacje są skomplikowane. – Georgia kącikiem ust wydmuchała strużkę dymu. – Słuchajcie, nie wiem, o co tu chodzi, w każdym razie nie mam pojęcia, gdzie przebywa mój ojciec. Rano do niego napiszę i powiem, że macie jego portfel, może być?

Zwłoki, które odkryli w ogrodzie za domem Neala Wyatta. W stanie zaawansowanego rozkładu, zżerane przez robaki, z twarzą zniekształconą nie do poznania. Lekarz medycyny sądowej oszacował, że leżały w płytkim grobie co najmniej od miesiąca, a może i dłużej. Theodor Quinn nieprędko się zgłosił po swój portfel.

Do czasu formalnej identyfikacji zwłok musieli stąpać ostrożnie. Ale to nie mogło czekać.

– Proszę pani, jesteśmy tutaj, ponieważ pani ojciec kontaktował się z ludźmi powiązanymi z...

– Przetrzymanywaniem zakładników w tym liceum?

Abby zamrugnęła z zaskoczeniem.

– Tak. Skąd pani wie?

Georgia zaciągnęła się papierosem i strzepnęła popiół do brudnego kubka po kawie.

– Widziałam w wiadomościach. To ci szurnięci Obserwatorzy, mam rację? Byłam ciekawa, czy ojciec zna kogoś z nich.

– Wiedziała pani, że interesował się Obserwatorami?

– O tak, gadał o nich bez przerwy. I że pisze niesamowity artykuł. Może nawet dostanie umowę na książkę. Pracował nad tym dzień w dzień, po wiele godzin. To

miało być jego opus magnum. Ble, ble, ble. Słyszałam to sto razy. Tata uwielbiał opowiadać o swoich niesamowitych osiągnięciach, tyle że miał je dopiero w planach. – Georgia wzruszyła ramionami. – A potem nagle stracił zainteresowanie.

– Stracił zainteresowanie? – powtórzyła Abby.

– Tak. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, spytałam, jak mu idą badania, a on na to, że je porzucił. Trochę się tego wstydził. Powiedział, że się pomylił co do tych ludzi.

– Pomylił się?

– Pani jest jak moja terapeutka, stale powtarza pani moje zdania. Owszem, tak właśnie powiedział. Nie chciał o tym rozmawiać, ale odniosłam wrażenie, że się wstydził, co było dziwne.

– Dziwne? Dlaczego?

– Dlatego że poczucie wstydu było ojcu z gruntu obce. Manipulował ludźmi bez skrępowań i używał ich w razie potrzeby. Potrafił wyczuć czyjeś słabe strony i wykorzystać je do swoich celów. Wiem, że w moich ustach to brzmi dziwnie, ale gdybyście byli na moim miejscu, wiedzielibyście, co i jak.

Abby bardzo dobrze знаła takich ludzi, do jakich według Georgii należał jej ojciec.

– Ta wasza rozmowa, o której pani wspomniała... to było we wrześniu?

– Tak. Nie ma w tym nic niezwykłego. Tata stale tak robi. Wpada w kompletną obsesję na punkcie swoich kolejnych pomysłów. Uważa, że są niesamowite, że okryje się sławą, a jego nazwisko zapisze się w historii złotymi zgłoskami. Ale w pół drogi traci cierpliwość i idzie na skróty albo całkowicie zmienia projekt, ewentualnie go porzuca. Tak samo zachowuje się właściwie w każdej dziedzinie życia. W ten sposób traktował małżeństwo z moją matką. Z kochającego męża w ciągu tygodnia zmieniał się w skończonego cymbała. – Wrzuciła niedopałek papierosa do kubka. – W każdym razie jakieś cztery miesiące temu przestał się nimi zajmować, dlatego wątpię, żeby miał coś wspólnego z tymi świrami w szkole.

– I jest pani pewna, że więcej się z nimi nie spotykał? – zapytał Carver.

– W każdym razie nic mi o tym nie mówił. Ale po co miałyby to robić?

– Czy w ostatnich miesiącach zauważyła pani jakieś zmiany w jego zachowaniu?

Pokręciła głową.

– Raczej nie. Ale jak mówiłam, nie widziałam się z nim, w tym okresie porozumiewaliśmy się tylko na czacie i mejlowo. Z drugiej strony, u mojego ojca zmiany zachowania nie są niczym niezwykłym.

Abby pokiwała głową, myśląc o swoich kontaktach z Isaakiem. O latach czatowania z przeświadczeniem, że wie, kto jest po drugiej stronie. I o tym, jak w końcu przekonała się, że jej rozmówcą był całkiem kto inny. Ten chłopak, Dennis, zakumplował się z Obserwatorami, ale nie pochwalił się, że ma ledwie czternaście lat. Czaty w sieci były niczym cyfrowa mgła, ukrywająca rozmówcę za chmurą emotek i GIF-ów. Z kim Georgia rozmawiała przez te ostatnie kilka miesięcy? Zapewne z Nealem.

Abby zostawiła przesłuchanie Carverowi, gdy wypytywał dziewczynę o znajomych jej ojca, o jego niejasną przeszłość w akademii i cokolwiek, co mogłoby rzucić światło na to, z którymi Obserwatorami się spotykał. Słuchała tego jednym uchem, wiedząc, że oboje i tak uważają to samo.

Theodor prowadził badania nad Obserwatorami, skupiając się głównie na Nealu. W trakcie ich rozmów manipulował nim tak, by Neal coraz bardziej zatapiał się w spiskowym świecie Obserwatorów. I w pewnym momencie postanowił dokonać zmiany taktyki. A może, jak powiedziała Georgia, zwyczajnie stracił zainteresowanie. Albo chciał zmienić kierunek, w jakim zmierzały jego badania.

A kiedy Theodor spotkał się z Nealem, dopiero co porzuconym przez Jackie, od razu dostrzegł w nim bezbronną ofiarę. I postanowił jakoś to wykorzystać. Ale jego działania odniosły przeciwny skutek. Bez względu na to, co wydarzyło się między nimi owej nocy, Neal zabił Theodora, a jego zwłoki zakopał w swoim ogrodzie.

A potem, nie wiedzieć czemu, zaczął się pod niego podszywać. Czatował z Georgią. Na forum i na prywatnym czacie występował jako Jabberwocky. Zarazem stawał się coraz bardziej wściekły i zdesperowany. Co skończyło się tak, że pewnego dnia wszedł do szkoły Samantha z pistoletem w kieszeni.

ROZDZIAŁ 53

Gąsienica siedział w gabinecie dyrektora. Spojrzał przez szparę w przymkniętych drzwiach. Dyrektor siedział bezwładnie pod ścianą, wyraźnie wyczerpany. Kapelusznik zajął jedno z krzeseł, głowa opadła mu na pierś, a z ust spłynęła strużka śliny. Alma nie była śpiąca, przekrwionymi oczami wpatrywała się w ekran. Nabrała przekonania, że tylko patrzeć, jak policja przypuści szturm. Co chwila odrywała się od obrazu z kamer monitoringu, by przeczytać nowe posty na forum.

Gąsienica wyjął swoją komórkę i również wszedł na forum. W ostatniej godzinie napływ postów prawie się skończył, bo większość Obserwatorów już spała. Od czasu do czasu trafiał się wpis Obserwatora znajdującego się wśród demonstrantów oraz kilka komentarzy od Obserwatorów w Europie, którzy nadrabiali zaległości, by być na bieżąco.

Gąsienica wylogował się ze swojego konta. Nazwa użytkownika w górnym prawym rogu ekranu zmieniła się na „Gość”.

Kliknął w okienko logowania i wpisał drugi pseudonim, którym się posługiwał.

Nazwa użytkownika znów się zmieniła, tym razem był to Jabberwocky.

Przejrzał kilka wątków, komentując ten czy inny post, potwierdzając tezy albo proponując coś w zamian. Zadbał o to, by pogratulować członkowi, który ostrzegł ich o policyjnej próbie wdarcia się do szkoły. Takie zachowanie zasługiwało na najwyższą pochwałę. Potem namierzył kilku takich, którzy twierdzili, że całe to obłędzenie szkoły to jedna wielka pomyłka. Utworzył nowy wątek, w którym zasugerował, że ci członkowie forum to szpiedzy albo agenci Kręgu.

W przekonaniu innych forumowiczów Jabberwocky był jednym z Obserwatorów obleganych przez policję. Nie miał nic do stracenia. Kiedy stwierdził, że dobrze by było, żeby ktoś zorganizował kilka kamer i nieustannie filmował działania policji nowojorskiej, odezwali się inni Obserwatorzy. W większości uważali, że to dobry pomysł. Jeden obiecał, że postara się być tam rano i wszystko załatwi.

Szybko chwycił słuchawkę, bo zadzwonił telefon dyrektora.

– Halo?

– Cześć, Gąsienico, jak się tam trzymacie? – To znowu Will.

– U nas w porządku, ale zaczynam podejrzewać, że ty i Abby nie zamierzacie dotrzymać umowy.

– Bądź cierpliwy, takie rzeczy muszą potrwać. Wciąż badamy sprawę. Jest nas tylko dwoje. Jeśli się zgadzasz, żebyśmy włączyli w to jeszcze innych, to przychodzi mi na myśl kilku zaufanych ludzi...

– Nie. Nie ma mowy. Nowojorska policja jest przeżarta korupcją. Tylko ty i Abby, nikt inny.

– Wobec tego musisz się uzbroić w cierpliwość. A tymczasem mam tu kogoś, kto chce z tobą porozmawiać. Kogoś, kogo znasz.

– Czy to Abby? Znalazła coś?

– Zaczekaj, dam ją do telefonu.

Zapadła cisza. Gąsienica czekał w napięciu, zaciskając zęby.

– Cześć. Eee... to ja.

To wcale nie był głos Abby. Gąsienica słuchał kobiety po drugiej stronie, a serce waliło mu jak młotem.

– Kochanie? Tu Jackie. Wiem, że... że prawdopodobnie nie chcesz ze mną rozmawiać. Ale Will uznał, że musimy pogadać. Bo już dawno powinnam ci to powiedzieć. Żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej, może nie doszłoby do tego wszystkiego. – Pociągnęła nosem, jej głos drżał. – Neal... jestem w ciąży. Dowiedziałam się kilka miesięcy temu. Będziemy mieli dziecko. I... chcę, żeby nasz syn miał ojca, rozumiesz? Chcę, żebyśmy byli rodziną. Will obiecał, że jeśli będziesz współpracował...

Gąsienica odłożył słuchawkę, przerywając połączenie. Nie był w stanie oddychać.

Kiedy telefon znowu zadzwonił, nie odebrał.

ROZDZIAŁ 54

Nagły pisk sprawił, że Abby podskoczyła przerażona. Serce jej łomotało. Widocznie przysnęła. Siedziała w samochodzie Carvera, przykryta czymś ciężkim i ciepłym – jego trenczem. Prawdopodobnie ją okrył, gdy zobaczył, że zasnęła.

Pomasowała obolały kark, rozglądając się nieprzytomnym wzrokiem. Carver siedział za kierownicą, z głową opartą o boczną szybę; miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Patrzyła na niego przez kilka sekund, czerpiąc siłę z jego obecności.

Zatrzymali samochód tuż za zakazem parkowania. Z boku dojrzała w ciemności nagie, wyglądające jak szkielety drzewa, a za nimi wodę.

W drodze powrotnej po rozmowie z Georgią coś nie dawało jej spokoju, coś jej się nie zgadzało. Zupełnie jakby prawie skończyła układankę i została z jednym tylko elementem, ten jednak nie pasował do obrazka. A ona, zamiast zastanowić się, gdzie popełniła błąd, próbowała go wcisnąć na siłę. Chciała to naprawić, przemyśleć. Ale im bardziej zbliżali się do szkoły, tym bardziej jej myśli paraliżowały poczucie bezradności i strach. Powiedziała więc Carverowi, żeby jechał dalej, gdzieś, gdzie to wszystko rozkmini. I chyba wtedy przysnęła.

W końcu poznała, gdzie są. Park MacNeila, zaledwie kilka ulic od jej domu. Kiedy dzieci były młodsze, ona i Steve zabierali je tu niemal w każdy weekend. Sam to uwielbiała, wkładała łyżworolki i śmigąła wokół parku. Ile czasu minęło, odkąd tu byli ostatnio? Kiedy przestali tu przychodzić i dlaczego?

Coś ją obudziło. Jej komórka. Wyjęła ją z kieszeni i przecierając oczy, zerknęła na esemesa. Od Tammi.

„Neal się rozłączył, kiedy daliśmy Jackie do telefonu”.

Zmarszczyła czoło. Coś w tym było. Coś ważnego. Prawda, którą miała niemal pod ręką.

Wysiadła z samochodu, zatrzasnęła za sobą drzwi i niemal natychmiast tego pożałowała. W aucie panował wprawdzie chłód, ale na dworze był jeszcze gorszy. Taki ziąb zalegający na ulicach tuż przed świtem. Wdzierał się pod warstwy jej ubrania, przenikał ją na wskroś. Otuliła się szczelniej płaszczem Carvera i idąc chodnikiem biegnącym wokół parku, zadzwoniła do Tammi.

– Hej. – Tammi odebrała, ale słyhać było, że jest ledwo żywa. – Nie wiedziałam, czy nie śpisz, ale pomyślałam, że chciałabyś być informowana na bieżąco...

– Jasne, że chcę, dzięki – odparła Abby. – Czy Will uzyskał od niego jakieś wyjaśnienie?

– Nie. Tamten odebrał telefon tylko raz i kazał Willowi nie dzwonić więcej. Potem już w ogóle nie podnosił słuchawki. Próbowaliśmy co piętnaście minut. Zaczęliśmy rozważać inne możliwości.

Abby westchnęła z irytacją.

– Gdyby Neal przez chwilę z nią porozmawiał, dowiedział się o ciąży...

– Tyle zdołała mu przekazać. I wtedy się rozłączył.

– Rozłączył się na wieść, że ona jest w ciąży? – upewniła się zaskoczona Abby.

– Tak.

Wróciła myślami do wszystkiego, co wiedzieli, składała elementy układanki i przegrupowywała je...

– Abby, jesteś tam? – spytała Tammi.

Zamrugła.

– Tak, wyłączyłam się na chwilę. Dzięki za wiadomość. Informuj mnie, gdyby było coś nowego, dobrze?

– Jasne.

Abby się rozłączyła. Schowała dłonie do kieszeni płaszcza. Odwróciła się do East River, kuląc się z zimna. Niebo się przejaśniało, ciemny granat przechodził w fiolet, fale łagodnie pluskały o kamienisty brzeg. Oparła się o lodowatą poręcz i wpatrzyła w horyzont.

To nie pasowało. Tak samo jak to, co ją gnębiło wcześniej – ogród za domem Neala, gdzie zakopano zwłoki. Taki zadbany. Żadnych chwastów, trawnik świeżo skoszony. Nawet nad grobem urządzono klomb. Jackie chyba mówiła im, że to ona zajmowała się ogrodem. Owszem, tak właśnie było. Powiedziała, że Neala to nie interesowało. Ale jeśli jej wierzyć, zostawiła go pod koniec października, ponad dwa miesiące temu. A według wszelkich ich teorii było to jeszcze zanim Neal zabił Theodora i pochował w ogrodzie. Czyżby Neal postanowił się zająć ogrodem, by włączyć się w to, czym dotychczas zajmowała się Jackie? Niewykluczone.

A może Jackie ich okłamała. Czyżby po odejściu wróciła jednak do ich domu? Czy o to chodziło?

– Jak się czujesz?

Carver stanął obok niej i zapatrzył się na wodę, kuląc się z zimna. Abby szybko rozpięła płaszcz i chciała mu go oddać.

– Nie, nie zdejmuj go – rzucił, machając ręką. – Wcale nie jest tak zimno.

– Jest lodowato – powiedziała.

– Mnie jest dobrze. O czym tak myślisz?

– Ja... próbuję rozgryźć jedną rzecz. Jackie rozmawiała z Nealem przez telefon. Powiedziała mu, że jest w ciąży. A wtedy on się rozłączył.

– Że co? – Zmarszczył czoło. – Czyli się wściekł. Może nie chciał mieć dzieci? A może Jackie go zdradziła?

Pokręciła głową.

– Powinien chcieć się dowiedzieć czegoś więcej, przyznasz? To facet, który bez przerwy poszukuje prawdy. A nawet jeśli się wściekł, nie rozłączyłby się tak po prostu. Zwymyślałby ją albo oświadczył, że wszystko to robi dla niej. Ugrzązł w sytuacji bez wyjścia, ma wrażenie, że każda chwila może być jego ostatnią. Chciałby z nią pomówić. Jackie prawdopodobnie jest najbliższą mu osobą.

– Może.

– Myślisz, że przekombinowałam?

Pokręcił głową.

– Mnie też coś nie daje spokoju.

– Coś związanego z Jackie?

– Nie, chodzi o Theodora. Georgia powiedziała nam, że kiedy widziała się z nim we wrześniu, mówił jej, że przestał się zajmować Obserwatorami.

– Zgadza się.

– Ale my wiemy, że Theodor widywał się z Nealem coraz częściej aż do października. Jego terminarz był pełen zapisków o ich spotkaniach. Po co to robił, skoro przestał się nimi zajmować?

Abby zastanowiła się nad terminarzem. I nad ich rozmową z Georgią.

– Ona nie powiedziała, że przestał się interesować Obserwatorami, tylko że stracił zapał do dalszych badań. To by się zgadzało z podsumowaniami rozmów, które znaleźliśmy w jego komputerze. Mniej więcej w sierpniu przestał streszczać ich rozmowy.

– No dobra. Czyli nadal interesował się Obserwatorami albo Nealem, ale nie chciało mu się dalej prowadzić badań.

Abby spojrzała na niego i szybko wciągnęła powietrze. Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Słuchaj, on się jeszcze bardziej zainteresował Obserwatorami! Dał się przekonać do ich teorii spiskowych.

Carver parsknął śmiechem.

– Żartujesz?

– Zastanów się. To pasuje do jego osobowości. Pamiętasz, co nam opowiadał Landsman? O cechach charakteryzujących wyznawców teorii spiskowych? Potrzeba kontrolowania otoczenia... W jego domu panował nienaganny porządek,

wszystko było na swoim miejscu, książki ustawione alfabetycznie. Georgia powiedziała, że jej ojciec był zapatrzonym w siebie paskudnym narcyzem. A Theodor przyznał się jej, że się pomylił co do Obserwatorów. Prawdopodobnie Neal go przekabacił. I Theodor zaczął wierzyć, że Obserwatorzy mają rację. Zaczął się spotykać z Nealem coraz częściej, dwa, trzy razy w tygodniu. Obaj jeszcze bardziej zaangażowali się w alternatywny świat Obserwatorów.

– No dobrze... Przyjmijmy, że tak było.

Musiała sprawić, żeby to zrozumiał, bo chciała mieć pewność, że umysł nie spletał jej figła.

– Zastanów się dobrze. Georgia powiedziała, że z ojcem porozumiewała się tylko na czacie.

– Owszem. I w ostatnich dwóch miesiącach to prawdopodobnie Neal z nią czatował, udając jej ojca, tak samo jak na forum podszywa się pod Jabberwocky'ego.

– A ty byś nie zauważył, że czatująca z tobą osoba nagle kompletnie się zmieniła?

– Niekoniecznie... – Carver się zawahał. – Ty nie zauważyłaś, prawda? Myślałaś, że czatujesz z Isaakiem.

Zacisnęła zęby.

– To nie to samo. Ja od pierwszego dnia rozmawiałam z Mosesem. Fakt, że się dałam oszukać, ale osoba, z którą pisałam, nigdy się nie zmieniła. Styl jego pisania, tematy rozmów, jego nawyki... wszystko było spójne.

Carver zastanowił się nad tym.

– Neal zapewne przeczytał ich czaty i starał się naśladować styl jej ojca.

– Też tak pomyślałam... ale po co miałyby to robić? Dlaczego nie zerwał kontaktu? Po co aż tak się fatygować?

Carver zmrużył oczy.

– Do czego zmierzasz?

Abby oddychała z trudem.

– Wyobraź sobie tamten dzień w październiku. Jackie rzuca Neala, mówi mu, że jeśli chce ją odzyskać, musi wziąć się w garść.

– Zgadza się – przytaknął. – A chwilę później Neal spotyka się z Theodorem i opowiada mu o tym. Theodor mówi coś, co go wkurza. Nealowi odbija, morduje Theodora i zakopuje go w ogrodzie.

– A później postanawia udawać Theodora... – powiedziała powoli Abby. – Czatuje z Georgią, a Jackie traktuje jak powietrze.

Carver przyglądał jej się. Widziała, jak dociera do niego prawda. Przez cały czas mieli ją pod nosem.

– Ten ogród w domu Neala – podjęła. – Tak doskonale utrzymany. Nawet na grobie zasadzono kwiaty. Ale Jackie twierdziła, że to ona zajmowała się ogrodem, nie Neal. A kto jeszcze miał wypielęgnowany ogród?

– Theodor Quinn – rzekł Carver.

– No właśnie.

– Neal nie zabił Theodora i go nie udawał – ciągnął Carver. – Było na odwrót. Abby odetchnęła głęboko, serce waliło jej jak szalone.

– Widocznie Neal powiedział coś, co wyprowadziło Theodora z równowagi. Skinął głową.

– Może mu wyznał, że nie będzie więcej poświęcał całego swojego życia Obserwatorom, bo niszczy to jego życie osobiste.

– Theodor zabił Neala, zakopał go w ogrodzie i przejął jego nick na forum, Gąsienica – ciągnęła Abby. – Neal nie żyje od dwóch miesięcy. Dlatego nie chciał rozmawiać z Jackie, dlatego jej unikał, a nawet zmienił zamki.

– Pasuje. Wiemy, że na forum zaczęto go odbierać jak kogoś innego. Był bardziej agresywny. Wzywał do wielkich czynów. Chciał załatwić sytuację raz na zawsze.

– Na forum odbierano go jak innego człowieka, bo rzeczywiście jest kimś innym. Człowiekiem żądnym sławy. Który chce, żeby jego nazwisko trafiło do podręczników historii.

Carver pokręcił głową.

– Ale... Tammi by to zauważyła, kiedy sprawdzała dawne wpisy. Mamy fotografie...

– Najlepsze jego zdjęcie, jakim teraz dysponujemy, przedstawia go ze złamanym nosem i posiniaczoną twarzą. A w jednej z rozmów Neal powiedział Theodorowi, że są jeszcze bardziej podobni do siebie, niż sądził, pamiętasz? Miał na myśli ich wygląd zewnętrzny... podobieństwo fizyczne.

– A skoro Kapelusznik i Alma wcześniej go nie widzieli, nie mogli się zorientować, że to nie jest on.

– Pamiętasz, co nam powiedział Dennis? Że Kapelusznik i Alma nie chcieli Jabberwocky'ego na prywatnym czacie. Bo mu nie ufali. Ale Gąsienica zapewnił ich, że ma do niego zaufanie.

– Jakżeby inaczej? – wtrącił Carver. – Wtedy Theodor robił już i za Gąsienicę, i za Jabberwocky'ego.

Abby zacisnęła zęby, ogarnął ją strach.

– Teraz Theodor już wie, że na zewnątrz czeka na niego Jackie. Wie, że jeśli się podda policji, to będzie po wszystkim. Inni Obserwatorzy dowiedzą się, że nie jest tym, za kogo się podawał. Zapewne zdaje sobie sprawę, że kiedy do tego dojdzie, zaczniemy szukać Neala. I go znajdziemy.

Carver patrzył na nią bez słowa.

– Gąsienica nigdy nie uwolni zakładników – oświadczyła Abby. – Negocjacje z nim nie mają sensu.

ROZDZIAŁ 55

29 października 2019

– Nie rozumiem – powtórzył Theodor.

Neal podał mu kolejne piwo, ale on odmówił ruchem głowy. Neal zresztą też był już nieźle wstawiony, od wyjścia Jackie wypił cztery piwa... nie, pięć.

– Ja poza Jackie nie widzę świata – wybełkotał. – To, co my robimy... może i jest ważne...

– Może?! – warknął Theodor. – My jedyni podejmujemy z nimi walkę. Jeśli odpuścimy, Krąg będzie mógł robić, co tylko im się...

– Tak – przerwał mu niecierpliwie Neal. Miał wrażenie, że godzinami się kłóćą bez żadnych postępów. – Zgoda. To ważne. Ale jeżeli stracę Jackie, to oni wygrają, rozumiesz? Odeszła przez nich.

– Tym bardziej powinieneś z nimi walczyć! Skoro wzięli na cel nasze domy, muszą za to zapłacić. Atak za atak!

– Oni nie... Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Opuściła mnie, ponieważ ją zaniedbywałem. Miesiącami!

– Nie sądzę. Porządny z ciebie gość. Kochasz ją. Zadaj sobie pytanie, dlaczego tak naprawdę odeszła. Może po prostu została do tego zmuszona? Może ją nastraszyli? Zagrozili, że jeśli cię nie porzuci, zabiją was oboje?

Neal pragnął skinąć głową. Powiedzieć, że Theodor ma rację. Tak łatwo byłoby to zaakceptować. Theodor podsunął mu łatwe wyjście. To wcale nie jest wina Neala. Jackie też nie można winić. Oboje są ofiarami. Powinien czuć gniew i pałać żądzą zemsty...

Ale to nieprawda. Jackie nigdy by tak nie postąpiła. Powiedziała by mu. I wspólnie znaleźliby sposób, jak mają się z tym zmierzyć. Tak jak wtedy, gdy poroniła. Jak wtedy, gdy omal nie stracili domu. Jak radzili sobie w każdej innej sprawie.

A teraz to. Skoro tak łatwo można było „udowodnić”, że Jackie rzuciła go na rozkaz Kręgu, to o co jeszcze niesłusznie ich podejrzewają? Może o jedno z tych zabójstw, które im się przypisuje? A może o sojusz Kręgu z koncernami farmaceutycznymi? Ale jeśli odrzuci się to wszystko, to co pozostanie?

– A jeśli się mylimy? – powiedział ze znużeniem. Żałował, że zaprosił Theodora do domu. Najchętniej by się już położył.

– Mylimy się? W jakiej sprawie?

– W jakiej...? W wielu. Sam nie wiem. Pamiętasz dyskusję sprzed dwóch dni o tym demaskatorskim filmie?

Popularny youtuber zamieszczał filmy rzekomo demaskujące teorie Obserwatorów. Przedstawiał główne przekonania Obserwatorów, takie jak powiązanie sitwy z aferą Weinsteina. A potem rozkładał na czynniki pierwsze. Obserwatorzy godzinami analizowali na forum te filmy, szukając dziury w całym i podważając jego tak zwane dowody. Demaskowali demaskatora. Mieli z tego ubaw po pachy.

Tyle że... Sprowadzało się to głównie do stwierdzeń typu: „Nie wolno ufać źródłom policyjnym, bo policja jest przeżarta korupcją”. Albo: „Nie możemy wierzyć w to, co podaje Ministerstwo Sprawiedliwości, skoro udowodniliśmy, że pełno w nim agentów Kręgu”.

No i wiele ich własnych dowodów opierało się na tym, co mówili inni Obserwatorzy. Z tym zaś był nie lada problem.

– A co konkretnie? – zapytał Theodor.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale w pewnym momencie dyskutowaliśmy o czymś, co powiedział senator John Argyle, i ktoś napisał, że dowiedliśmy, iż jest on agentem sitwy. Jakby to było stwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

– Tak, oczywiście.

– Ja to udowodniłem – oświadczył Neal. – Rok temu. Mój największy sukces. Theodor zmarszczył czoło.

– I co z tego?

– To nieprawda.

– Co ty bredzisz?

– Słuchaj, może to i prawda, ale ja tego nie wiem. Po prostu wysunąłem taką teorię, nie było w tym nic więcej. Teorię. Moją uwagę zwróciło coś, co powiedział o usprawnieniu procedur Agencji do spraw Żywności i Leków. A potem znalazłem kilka artykułów na temat rzeczy, które robił. Wrzuciłem post na ten temat na forum, dodałem linki do tych artykułów i wszyscy zaczęli o tym dyskutować. Kilka dni później byli przekonani, że mam rację. Ba, pewni na sto procent. Co tam, ja sam się do tego przekonałem. Ale nie było ani jednego namacalnego dowodu. To była wyłącznie teoria. Wiem, bo sam ją wysunąłem.

Theodor bez słowa mierzył go wzrokiem.

– Dobrze było wierzyć, że sam to rozgryżłem. Podobnie jak dobrze byłoby myśleć, że Jackie mnie rzuciła, bo nastraszył ją Krąg. Dlatego może obie te rzeczy są nieprawdziwe. Może wiele z tego, w co wierzymy, to nieprawda.

Robił się coraz bardziej senny. Za dużo było tego piwa.

– Powiniennem napisać o tym na forum. Wszyscy powinniśmy zadać sobie pytanie, co rzeczywiście jest prawdą.

– Nie – oświadczył Theodor stanowczo. – W sprawie Johna Argyle’a miałeś rację. Twoja teoria nie była wyssana z palca.

– Ależ była. Wierz mi. To brednie. Wszystko, w co wierzymy, to bzdury.

– Do ciebie też dotarli, co?

– Słucham? – Neal z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy na Theodora.

– Krąg. Co ci powiedzieli? Co na ciebie mają?

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – Neal zerwał się z krzesła, zacisnął pięści. – Wynoś się stąd.

Teraz Theodor również stał. Prowokował go. Krzyczał. Popychał.

Neal zatoczył się do tyłu. Za dużo wypił. Zamachał rękami, próbując utrzymać równowagę. Bez skutku.

*

Tyle krwi, a wciąż jeszcze wyciekała, rozlewała się po całej podłodze, szkarłatna, lepka i przerażająca. Podobno należy uciskać ranę, no nie? Ale ta krew wypływała z głowy Neala. Czy naprawdę należy uciskać dziurę w czyjejs czaszce? Poza tym Neal leżał na podłodze, a powiadają, że kogoś, kto upadł, nie należy przesuwac, bo grozi to uszkodzeniem kręgosłupa, ale krew rozplýwała się coraz bardziej, była wszędzie, a teraz w nią wdepnął, zostawił krwawy ślad buta, więc ją rozmazał, ale ona rzeczywiście była wszędzie. Neal szlochał... nie, zaraz, przecież to on. Szlochał rozpaczliwie, w panice, bo Neal nie wydawał żadnych dźwięków, a z jego otwartych, utkwionych w suficie oczu ziała cholerna pustka, przerażająca próżnia.

– Neal – powtórzył Theodor. Nie po raz pierwszy. Wołał do swojego przyjaciela raz za razem, ale bez odpowiedzi.

Trzeba by wezwać karetkę, ale taka ilość krwi oraz przerażająca cisza nasunęły mu myśl, że nie ma sensu nikogo wzywać, bo Neal nie żyje, nie żyje, nie żyje. A gdyby przyjechali i zobaczyli tę krew i krwawy odcisk jego buta, posypałyby się pytania – „Jak to się stało?”, „Dlaczego nie wezwał nas pan od razu?” – i co miałyby powiedzieć? Co mógłby powiedzieć? Że Neal się potknął? Że nie wezwał ich od razu, bo z początku myślał, że nic takiego się nie stało, że Neal zaraz wstanie i każe mu się wynosić?

Czy Neal się potknął? A może wcześniej się przepychali? Nie potrafił sobie przypomnieć, pamięć go zawodziła, a przez tę ilość krwi się przeraził, bo nie

powinno jej być aż tyle, ale była i kałuża, i smugi, wszędzie, a teraz jeszcze zauważył, że ma ją na rękawie i spodniach, ba, nawet na stole była maleńka plamka... A tak w ogóle to skąd się wziął ten drewniany niski stolik z twardymi, śmiertelnie groźnymi kantami?

Czyżby on to zrobił? Nie, niemożliwe.

Theodor nigdy niczego nie robił ot tak po prostu. Wszystko miał starannie przemyślane. I nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. To nie jego wina. Kłócili się, Neal go popchnął, więc zrewanżował się tym samym. Wszystko przez to, że Neal źle zareagował. Theodor tylko chciał mu pomóc. Ale Nealowi kompletnie odbiło. Skąd taka reakcja?

Stąd, że uświadomił sobie, że Theodor poznał prawdę. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Theodor odkrył, że Neal przeszedł na drugą stronę.

Że był agentem.

Co by się stało, gdyby Theodor nie powstrzymał go w samą porę? Neal za nic nie wypuściłby go z domu żywego. Skoro już się dowiedział. Dlatego Theodor działał w obronie własnej.

Mimo to wciąż trudno mu było uwierzyć. W zdradę Neala. W ten nagły wybuch przemocy. Za dużo tego naraz. Jak miał teraz postąpić? Czy powinien wyjść? No ale wszędzie zostawił ślady stóp i odciski palców. A Krąg na pewno już wiedział, że miał się spotkać z Nealem.

Niedługo będą się pewnie zastanawiali, dlaczego ich agent jeszcze się nie odezwał. Sprawdzą nadajnik GPS, który wszczepili mu tak jak wszystkim swoim agentom. Odsłuchają zapis audio. I zaczną badać, co się stało.

Musiał działać szybko.

Tamci nadchodzili.

Potykając się w ciemnościach domu, gorączkowo rozglądał się na boki i łkał ze strachu. Ile czasu mu zostało? Godzina? Pewnie mniej. A wiedział, co mu zrobią, kiedy się tu zjawią. Próbował o tym nie myśleć, ale wiedział. Wysłuchał dostatecznie wielu zeznań, widział aż za dużo zdjęć. Boże, błagam, nie pozwól, żeby mnie dopadli!

W garażu na najwyższej półce znalazł skrzynkę z narzędziami Neala. Gdy ją zdejmował, otworzyło się wieko, wypadł z niej śrubokręt i uderzył go w głowę. Syknął z bólu i odstawił skrzynkę na podłogę. Kiedy w niej grzebał, w zakurzonej pomieszczeniu rozległ się szcęk metalowych przedmiotów. No już, szybciej! Przewrócił skrzynkę do góry dnem i skrzywił się, słysząc głośny stukot spadających na podłogę narzędzi. Czy ktoś to słyszał? Sąsiedzi? Przypadkowy przechodzień, który dzwoni już na policję? A może oni?

Są! Chwycił kombinerki i z łomoczącym sercem wybiegł z garażu.

Najpierw trzeba usunąć nadajnik GPS. Ukłękł na podłodze, próbując przypomnieć sobie plany, których nauczył się na pamięć. Jednak trudno mu było się skupić, oddech miał urywany, a głowę wypełnioną obrazami tego, co mu zrobią, kiedy tu dotrą. Przypalenia. Okaleczenia ciała.

Odetchnął głęboko, zmusił się do koncentracji. Nadszedł moment, żeby się wykazać. Udowodnić, ile jest wart. Godziny ćwiczeń, wkuwania na pamięć, przygotowywania się na tę chwilę. No, przypomniał sobie.

Szarpnął podbródek Neala, na siłę otwierając jego usta. Chwycił ukryty nadajnik kombinerkami i szarpnął, wyrwijając ząb z zębodołu. Dygocząc, wstał i przeszedł do łazienki. Gdy próbował wyrzucić wyrwany ząb, kombinerki wpadły mu do sedesu. Psiakrew! Wyłowił je i spuścił wodę.

A teraz mikrofon.

Kiedy próbował się do niego dobrać, coś zamigotało w ciemności. Plama białego światła, telefon komórkowy. Podniósł go i spojrzał na ekran. Nowa wiadomość.

Czerwona_Królowa: Gąsienico, jesteś tam?

Gąsienica to był pseudonim Neala, nie jego. Ale internetowe nicki były kostiumami, które wszyscy nosili, żeby zaciemnić obraz, zmylić tropy. Musiał odpisać, by wyprowadzić w pole tego, kto słuchał, obserwował, robił notatki.

Znał Czerwoną Królową, była członkinią forum. A czy była również podwójną agentką? Wątpił w to, ale pewności nie miał. Wystukał drżącym palcem:

Jestem.

Na ekranie została smuga krwi, czerwona lepka plama. Jego DNA oraz odcisk palca.

Czerwona_Królowa: Widziałeś ich wcześniejszy post? Na temat tych dzieci?

Najchętniej roztrzaskałby ekran i wydarł się na Czerwoną Królową, że to nie jest dobry moment, że może już po niego jada, że może jest spalony. Zmusił się jednak do wystukania odpowiedzi – spokojnej, krótkiej i bez literówek.

Gąsienica: Zajęty. Przeczytam potem.

Zgasił ekran i znów wziął kombinerki. Odwrócił się do bezwładnego ciała Neala.

W którym zębie był ukryty mikrofon?

ROZDZIAŁ 56

Sam otworzyła oczy. Najpierw ujrzała tę dziwną kobietę, Deborah, która siedziała na brzegu maty i wlepiła w nią wzrok. Bezdźwięcznie poruszała ustami, jakby się modliła.

Sam bała się jej jak cholera.

Ciekawe, która godzina? W składziku bez okien nie sposób było to ocenić, a zegarka nie miała. Wyglądało na to, że pozostali śpią. Obok niej leżała Fiona, z zamkniętymi oczami, i po raz pierwszy, odkąd to się zaczęło, wyglądała spokojnie.

Powoli, ostrożnie Sam usiadła i podkuliła nogi, byle dalej od Deborah. Nie wiadomo czemu obawiała się, że ta kobieta jej dotknie, złapie za ubranie. Gdy Deborah się tu zjawiała, początkowo wygłaszała tylko enigmatyczne cytaty z Biblii. Ale kiedy zasypali ją pytaniami, przestała reagować, zamknęła oczy i zaczęła się modlić, nie zwracając uwagi na nic dookoła.

– Nie musisz się mnie bać – odezwała się cicho Deborah. – Jestem tu, żeby ci pomóc.

Sam przełknęła ślinę.

– Nie boję się. Jak ci się udało wejść na teren szkoły?

Deborah uśmiechnęła się figlarnie.

– Wbiegłam. Policja wyważyła drzwi, a potem zostawiła je otwarte.

– Które drzwi? – spytała Sam bez tchu.

Deborah zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Te od tyłu, obok ogrodzonego siatką boiska do koszykówki.

Sam kiwnęła głową. Obok sali do plastyki, na parterze. Gdyby udało im się stąd uciec, dostaliby się tam bez trudu.

– Po co tu przysłaś? Wcześniej mówiłaś coś o moim tacie. Jesteś jego koleżanką? Albo studentką? – Tata był słynnym wykładowcą matematyki na Columbii i jego studentki przeważnie się w nim durzyły. Czyżby jedna z nich była mu tak oddana, że dla dobra jego córki została zakładniczką? To by zakrawało na jakieś szaleństwo.

Deborah, z przylepionym do twarzy uśmiechem, pokręciła głową.

– Nie o tacie. O ojcu.

A zatem chodzi o księdza. To wyjaśniało modlitwy i cytaty z Biblii.

– Ale dlaczego cię wysłał, żebyś mnie chronił? – Sam próbowała sobie przypomnieć, czy zna jakiegoś księdza.

– Dlatego, że w twoich żyłach płynie krew mesjasza.

Ta kobieta była obłąkana.

– Nic podobnego. Z kimś mnie pomyliłaś.

– Chodzi o ciebie. Widzę to w twoich oczach. Kiedy stąd wyjdziemy, zabiorę cię na spotkanie z ojcem. On sprawi, że zrozumiesz.

Sam postanowiła zmienić taktykę. I bez tych religijnych bzdur miała aż nadto kłopotów.

– Dobrze, wierzę ci. Ale na razie nie chcę, żebyś...

Szczęknął zamek. Sam odruchowo odsunęła się jak najdalej od drzwi. Fiona uniosła głowę i zamrugnęła.

W progu stanęli Kapelusznik i Alma.

– Pomyśleliśmy, że potrzebujecie do łazienki – powiedziała Alma. – Po dwie osoby naraz.

– Ja muszę – odparła Fiona, przecierając oczy.

– Ja też – rzuciła szybko Sam.

– Ja pójdę – powiedziała Deborah. – Poza tym muszę się umyć.

– Po dwie naraz – powtórzyła Alma. – Najpierw wy. Dziewczeta.

– Nie – zaprotestowała Deborah. – Samantha pójdzie ze mną.

– Nie, pójdę z Fioną. – Sam wstała i ostrożnie ruszyła do drzwi.

– Nie! – Deborah chwyciła ją za nogę.

Przerażona Sam wierzgnęła nogą, uwolniła się, przypadkiem nadepnęła na Raya i chwiejnie wybiegła z pomieszczenia. Fiona wyszła za nią, a Deborah zerwała się z miejsca i próbowała wybiec. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Kapelusznik zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz. Od środka dobiegło stłumione walenie pięścią.

– Wypuście mnie! – krzyknęła Deborah.

– A tej co odbiło? – zapytał ostro Kapelusznik.

– Pewnie się boi – powiedziała Sam. – Jak my wszyscy. – Rozejrzała się. Przez okno w sąsiednim pokoju zobaczyła, że niebo się rozjaśnia. Świtało. Byli w szkole już niemal dwadzieścia cztery godziny.

– Zaprowadzę je do łazienki, a potem wrócę po sekretarkę i tę nową kobietę – oświadczyła Alma.

Kapelusznik, zaciskając zęby, patrzył na swój pistolet.

Alma poprowadziła je korytarzem do najbliższej ubikacji.

– A... a czy możemy pójść do tej samej ubikacji co wczoraj? – spytała Sam.

– Dlaczego? – Alma zmarszczyła brwi.

– Bo muszę przemyć twarz i się napić. A w tej łazience umywalki nie działają. Za słabe ciśnienie wody.

Zdezorientowana Fiona znieruchomiała, ale zachowała obojętną minę, trochę zaspaną, co świetnie maskowało jej zdziwienie.

– Jasne, może być – zgodziła się Alma. Zawróciła i poprowadziła je do łazienki obok gabinetu sekretarki.

– A pani jak sobie z tym radzi? – spytała Sam. – To była długa noc. Musi pani być ciężko.

– To było.... niezwykle wyzwanie – odparła Alma. Głos jej się załamał. – Tęsknię za moimi dziećmi.

– Pewnie trudno jest być z dala od nich tak długo – ciągnęła Sam. – Mnie też nie jest łatwo przez taką rozłąkę z młodszym bratem. Kiedy go znowu zobaczę, wyściskam go za wszystkie czasy.

Alma uśmiechnęła się do niej, ale Sam nie dostrzegła w tym uśmiechu nadziei. Ta kobieta nie wyobrażała sobie, że będzie mogła postąpić tak samo. Upadła na duchu, a Sam nie wiedziała, jak temu zaradzić.

Wiedziała jednak, kto mógłby to zrobić.

– Próbowала pani rozmawiać z policją? – spytała.

– Z nimi rozmawia Gąsienica. Pracuje nad tym, żebyśmy wyszli z tego cało.

– A może pani spróbuje? Słyszałam, że Gąsienica rozmawia z kobietą, prawda? Może ona lepiej zareaguje, jeśli będzie rozmawiała z drugą kobietą?

– Teraz to już nie kobieta, tylko jakiś mężczyzna. I to Gąsienica z nimi rozmawia. Pracujemy razem. – Alma spięła się i zacisnęła zęby.

– Wiadomo. To oczywiste. Tworzycie zespół.

Alma tego nie skomentowała. Sam głowiła się, co by tu jeszcze wymyślić, żeby ją skłonić do mówienia, ale zbliżały się do łazienki i na nic nie wpadła. Męczyło ją to ciągle wymyślanie, co należy powiedzieć w tej jakże nieprzewidywalnej sytuacji. Marzyła o spokoju i ciszy we własnej sypialni, gdzie do towarzystwa miałyby tylko Keebles oraz swoje skrzypce.

Gdy weszły do łazienki, Fiona skierowała się do kabiny po lewej – tej, w której Sam schowała telefon. Z braku wyboru Sam skoczyła do przodu, odepchnęła przyjaciółkę, weszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi. Czy Alma zwróciła uwagę na jej agresywne zachowanie?

Z kosza na śmieci wyjęła zwój papieru toaletowego i rozwinęła. Potem włączyła komórkę, mając nadzieję, że nadal jest wyciszona. Ekran ożył i aparat zaczął wibrować, odbierając powiadomienia. Nie popiskiwał, ale Sam bała się, że w ciszy łazienki nawet wibracje będą słyszane.

Zagryzła wargę, patrząc na telefon. Mogła napisać kolejnego esemesa do mamy, przekazać informacje o Deborah i o tym, gdzie się teraz znajdują.

To by jednak oznaczało, że potem wróci znów do składziku ze sprzętem sportowym. Do Deborah, tej fanatyczki. A za drzwiami czekałoby Kapelusznik i Gąsienica.

Wstukowała więc numer komórki mamy i zadzwoniła.

Mama odebrała natychmiast.

– Halo? – Pełen nadziei, zasapany głos. Na jego dźwięk oczy Sam zasły łzami. Chciało jej się płakać. Chciała krzyknąć do mamy, opowiedzieć jej wszystko i błagać, żeby przysłała i ją uratowała.

Otworzyła jednak drzwi kabiny i wyciągnęła telefon do Almy.

Kobieta wytrzeszczyła oczy i przeraziła się, gdy uświadomiła sobie, co trzyma dziewczyna. Uniosła pistolet.

– Halo? – Z telefonu dobiegł głos mamy.

– Kobieta na linii jest ta policjantka, z którą rozmawiał Gąsienica – zwróciła się Sam do Almy. Mówiła spokojnie i stanowczo, patrząc jej w oczy, gdy podawała jej komórkę. – Może pani teraz z nią porozmawiać. Powinna pani to zrobić. Sam na sam.

Przez chwilę Alma stała, celując z pistoletu w Sam, a ta z kolei celowała w nią telefonem – co za przedziwny pat. Alma patrzyła żałośnie, jakby błagała dziewczynę, żeby przerwała połączenie.

– Porozmawiaj z nią – powtórzyła Sam. – Myślę, że ona lepiej niż ktokolwiek zrozumie, przez co przechodzisz.

Serce podeszło jej do gardła, ale nie odważyła się poruszyć, nawet nie mrugnęła. Miała nadzieję, że Fiona ma dość rozsądku, by siedzieć w drugiej kabinie i się nie pokazywać.

W końcu Alma opuściła pistolet i wzięła telefon z wyciągniętej ręki Sam takim ruchem, jakby mógł wybuchnąć. Przyłożyła go do ucha.

– Halo.

ROZDZIAŁ 57

Przez kilka sekund Abby słyszała, jak jej córka mówi. I chociaż Sam nie zwracała się do niej, to i tak zalała ją fala uczuć, od której zabrakło jej tchu.

Zanim nieznajoma kobieta wzięła telefon, Abby z trudem zdążyła się opanować na tyle, by móc odpowiedzieć.

– Halo? – powiedziała tamta.

– Cześć – rzuciła Abby odruchowo. – Jestem Abby. Z kim rozmawiam?

I tak już to wiedziała. To musiała być Alma. Ale gdy miała wątpliwości, zawsze wolała, żeby osoba po drugiej stronie miała poczucie kontroli.

– Eee... – Kobieta się zawahała. – Możesz mi mówić Czerwona... eee... mam na imię Alma.

Abby szła już dziarsko do samochodu, z Carverem u boku. Musieli czym prędzej dotrzeć do szkoły, bo trzeba było rozmawiać z furgonetki negocjatorów. Potrzebowała drugiego negocjatora, który by słuchał rozmowy, kogoś, kto by zapisywał zdobyte informacje, a do tego musiała mieć nagranie tego, o czym mówią. Potrzebowała swojego zespołu.

– Cześć, Almo, cieszę się, że wreszcie możemy porozmawiać. – Mimo że szli szybko, oddychała spokojnie. – Dla nas wszystkich była to ciężka noc, a ty pewnie bardzo się boisz. Opowiedz mi coś o tym, co tam się dzieje.

– Nie jestem pewna... Są teraz ze mną te dwie dziewczyny, zabrałam je do łazienki. Robimy przerwę na skorzystanie z toalety, po dwie osoby naraz.

– Dobry pomysł. – Wiatr chłostał Abby po twarzy. Czy tamta kobieta słyszała fale? Abby żałowała, że nie może wyciszyć dźwięków w tle. – Dla mnie najważniejsze jest to, żeby nikomu nic się nie stało. Mam wrażenie, że tobie zależy na tym samym. Nie jesteś ranna?

– N... nie, tylko zmęczona. I się boję.

– W twojej sytuacji strach to normalna rzecz. – Dotarli do samochodu i Carver czym prędzej otworzył jej drzwi. Abby usiadła na miejscu pasażera. – A te dwie dziewczyny, które są z tobą? Nic im się nie stało?

– Nie, są całe i zdrowe. Jedna z nich dała mi ten telefon. Nie rozumiem, skąd go wzięła.

– Cieszę się, że go masz i że możemy porozmawiać. Jest tam z tobą ktoś jeszcze?

– Możliwe – odparła kobieta chytrze; pewnie zdała sobie sprawę, że nie powinna wyjawiać zbyt wiele.

Carver zapalił silnik, bezgłośnie powiedział „szkoła” i spojrzął na Abby pytającym wzrokiem. Kiwnęła głową. Wyjechał na ulicę. Do szkoły mieli niedaleko, poza tym wciąż był wczesny ranek. Powinni dojechać w kilka minut.

– Jak się w to wpakowałaś, Almo? – spytała Abby.

– W życiu nie sądziłam, że do tego dojdzie. Próbowaliśmy pomóc tym dzieciom... Czy to z tobą Gąsienica rozmawiał wcześniej? Mówił, że coś dla nas sprawdzasz. Podobno próbowałaś zbadać związki policji z porywaniem dzieci.

– Rzeczywiście, ale to musi potrwać. Muszę być z tobą szczerą... takie śledztwo zajmuje dużo czasu. Głównie dlatego, że pracuję sama. Trochę to potrwa, zanim będę miała...

– Jak długo?

Czas rozwiać fałszywe nadzieje. Bo wyglądało na to, że Obserwatorzy w szkole nie ustąpią, dopóki liczą na to, że Abby załatwi im rozgrzeszenie.

– Nawet kilka miesięcy.

– Miesiące?!

– Dlatego cieszę się, że możemy porozmawiać. Musimy się wspólnie zastanowić i to przemyśleć. Wiem, że chcieliście tylko pomóc tym dzieciom, i to doceniam. Sama jestem matką, mam dwójkę dzieci.

– Ja też jestem matką – wychrypiała Alma.

Abby uśmiechnęła się tak, żeby jej uśmiech znalazł odbicie w głosie.

– Miło mi to słyszeć, Almo. Są teraz z tobą dzieci, a świadomość, że jakaś matka będzie dbała o ich bezpieczeństwo, dodaje nam otuchy. Pewnie jest ci trudno, skoro zostawiłaś swoje dzieci na tak długo.

– To... to jest straszne. One na pewno się martwią.

– Z pewnością. W jakim wieku są twoje dzieci?

– Dziesięć i jedenaście lat.

– Niesamowite, co? Tylko rok różnicy. Ja bym nie dała rady. Moje mają czternaście lat i osiem. Wiesz, niedawno musiałam wyjechać służbowo na kilka dni i rozłąka z nimi była niezwykle trudna. Tobie pewnie jest jeszcze bardziej ciężko. Ale wyobrażam sobie, jakie to będzie cudowne, kiedy je weźmiesz w ramiona, jak już to się skończy.

– Jeśli w ogóle jeszcze je zobaczę.

– Almo, obiecuję ci jak matka matce, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś mogła wrócić do dzieci. Ale musimy współpracować.

– O Boże, będą się zastanawiali, gdzie jestem. Muszę wracać.

Dojeżdżali do szkoły. Na szczęście większość demonstrantów sobie poszła, już tylko kilku wariatów maszerowało z tabliczkami. Carver podjechał do gliniarzy blokujących drogę i pomachał im ręką. Na pewno go poznali, bo przepuścili samochód.

– Chcę nadal móc rozmawiać z tobą przez telefon. Czy to możliwe?

Chwila milczenia.

– Nie sędzę. Gąsienica... to on rozmawia z policją. Ustaliliśmy, że to będzie jego zadanie. Ale mogę mu powiedzieć, że zadzwoniłaś.

– Dlaczego Gąsienica miałby coś przeciwko naszym rozmowom?

– Bo... bo woli załatwiać to sam. A ja mu ufam. Muszę kończyć.

Carver zaparkował. Abby wysiadła. Jeżeli Alma się teraz rozłączy, być może nie będzie okazji do kolejnej rozmowy.

– Almo, zaczekaj, to ważne. Dlaczego wierzysz, że Gąsienica to za was załatwi?

– Bo znam go od bardzo dawna. – W głosie Almy zabrzmiała ostrzejsza nuta. – Jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi.

– A, czyli spotykaliście się już wcześniej? – Abby podeszła do furgonetki negocjatorów i otworzyła tylne drzwi. Wskoczyła do środka, gorączkowo dając znaki zaskoczonemu, wykończonemu Willowi i Tammi, żeby byli cicho.

– Ja go... Poznaliśmy się w sieci. Dawno temu. Nie zrozumiesz tego.

– Mam przyjaciela z dzieciństwa, latami utrzymujemy ze sobą kontakt, chociaż się nie widzimy. – Abby kiwnęła ręką na Willa, więc czym prędzej się przysunął. Przekręciła telefon tak, żeby również mógł słuchać rozmowy. – Dlatego doskonale wiem, jak bliscy bywają przyjaciele w sieci. Wierzę, jak mówisz, że Gąsienica jest ci bliski i że na podstawie własnego doświadczenia masz do niego bezgraniczne zaufanie.

– Naprawdę muszę kończyć.

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie, Almo. Skoro znasz go tak długo, czy nie zauważyłaś nagłej zmiany w jego zachowaniu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Abby trafiła w czuły punkt.

– Ja codziennie czatuję z moim przyjacielem – ciągnęła. – Piszemy o naszych rodzinach, żartujemy po swojemu... wiesz, jak to jest. Z Gąsienicą pewnie masz podobnie, prawda? Ale może ostatnio zauważyłaś coś dziwnego. Może nie pamiętał o czymś, o czym mu pisałaś. Albo używał skrótów, jakimi wcześniej się posługiwał. Albo nie wysyła ci tych samych emotek i GIF-ów co kiedyś. Zupełnie jakby z dnia na dzień kompletnie się zmienił.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Człowiek, z którym piszesz od dwóch miesięcy, to nie jest Gąsienica, którego tak dobrze znałaś – oświadczyła Abby spokojnie i stanowczo; po prostu

stwierdzała fakt. – Jeśli się nad tym zastanowisz, przekonasz się, że mam rację. To całkiem inny człowiek.

Wstrząśnięty Will wlepił w nią wzrok, więc zmierzyła go spojrzeniem z nadzieją, że jej zaufa.

Skinął głową.

Abby odetchnęła głęboko.

– Bardzo mi przykro, Almo, ale nie możesz wierzyć temu człowiekowi.

ROZDZIAŁ 58

– Jak dotąd świetnie sobie radzisz – ciągnęła Abby. – Rozmowa ze mną to był mądry ruch, masz świetny instynkt. Kiedy pierwszy raz zauważyłaś, że w zachowaniu Gąsienicy coś się zmieniło?

Próba przekonania Almy, że człowiek, którego uważała za przyjaciela, jest kimś innym, była ryzykowna. Abby nigdy nie spróbowałyby tego z kimś poznanym przypadkowo na ulicy. Alma jednak od ponad roku była członkinią forum Obserwatorów. Nauczyła się myśleć niestandardowo, podejrzewać wszystko i wszystkich. I dostrzegać prawidłowości nawet tam, gdzie ich nie było. Dzięki temu, jak na ironię, łatwiej ją było przekonać do prawdziwego, wziętego z życia spisku.

Albo i nie. Niewykluczone, że Abby się myliła. Alma mogła postrzegać ją jak kogoś z zewnątrz, a jej więź z innymi Obserwatorami mogła okazać się tak silna, że nie do zerwania. Abby modliła się, by tak się nie stało.

– Ja... Mylisz się – bąknęła Alma. Wahanie w jej głosie było aż nadto widoczne. Coś jej chodziło po głowie. – Wierzę mu bez zastrzeżeń. Miał wiele stresu. Żona go zostawiła.

– To by tłumaczyło gniew – powiedziała Abby. – Albo smutek. Ale czy wyjaśniałoby dziwne przypadki utraty pamięci? Nagłe zmiany zdania? Czy właśnie to zauważyłaś?

– Była taka... nie, to nic takiego. Naprawdę muszę kończyć.

– Pewnie to nic takiego, a jednak wciąż cię gryzie. O co chodzi?

– Znasz taką książkę *Bardzo głodna gąsienica*?

– Jasne. – Abby uśmiechnęła się i zmieniła ton. Na lżejszy, bardziej przyjazny. Ot, rozmowa dwóch mam. – Ulubiona lektura mojego syna.

– Moje dzieci też ją uwielbiają. Żartowałam z nim na jej temat. Na przykład w którąś sobotę pisałam eee... Gąsienicy, że pewnie jest obzarty, skoro zjadł tort, lody i kiszzonego ogórka... – Alma zawiesiła głos.

– I lizaka – wtrąciła Abby. – I arbuza.

– No właśnie. A on mi przysyłał zabawny GIF, jak ktoś opycha się bitą śmietaną, tego typu rzeczy. Ale miesiąc temu napisałam coś w tym rodzaju, a on...

nie rozumiał. Odpisał, że zjadł tylko lekkie śniadanie. Ale to o niczym nie świadczy. Może miał już dość tych żartów albo nie był w nastroju.

– Czy sprawiał wrażenie, że ma dość żartowania?

– Nie – padło po krótkiej chwili. – Raczej, że jest zdezorientowany.

Abby i Will porozumieli się wzrokiem. Ziarno zwątpienia zostało zasiane. Rozłam między Almą a współnikami powiększał się z każdą sekundą.

*

– Otwórzcie te drzwi! Wypuście mnie!

Wrzaski kobiety działały Kapelusznikowi na nerwy. Jej piskliwy głos wwiercał mu się w głowę. I ten jej ton, jak gdyby w takiej sytuacji miała prawo wysuwać żądania!

Załomotał pięścią w drzwi.

– Stul pysk, durna babo!

Nic z tego. Wrzeszczała dalej. Słyszał stłumione głosy tych, którzy byli z nią i próbowali ją uciszyć, błagali, żeby się przymknęła. Chłopak zapytał ją, czy chce, żeby ich wszystkich pozabijali.

A może? Bardzo celne pytanie. Kapelusznikowi spodobała się ta idea. Nawet bez ludzi w składziku zakładników im nie brakowało.

Gdzie, do cholery, podziewa się Alma i te dziewczyny? Jak długo mogą sikać dwie kobiety?

Księżniczka i doktorka. Jeśli chodzi o nie, to zdecydowane powinny pozostać przy życiu, przynajmniej na razie. Księżniczka była jak każda inna zadzierająca nosa pannica z liceum. Tatuś pewnie na każdą Gwiazdkę kupował jej nowego kucyka i dostarczał go w sportowym autku prosto z salonu, bo i czemu nie? Dziewczyna paradująca z dekoltem aż po kolczyk w pępku, a potem składająca skargę, jeśli jakiś facet spróbuje sprawdzić jakość towaru.

Ale doktorka? Ona była z zupełnie innej parafii. Ulubienica wszystkich. Nic tylko uśmiechy, trzepotanie rzęs i skromne spojrzenia. Ale wystarczyło się odwrócić, a potrafiłaby wbić nóż w plecy. Uważała, że jest za głupi, by to zauważyć, a jednak ją przejrzał. Spotykał już takie. Na przykład ta kobieta, która złożyła na niego skargę w Walmarcie. Albo ta dziewczyna, która na lekcjach hiszpańskiego...

– Otwieraj te drzwi, ale już!

Ale już? Ale już?!

Jasne, mógł jej otworzyć. Żaden problem. Przekręcił klucz w zamku i szarpnął drzwi.

Ta durna suka rzuciła się na niego! Zakrzywiając palce niczym szpony, drapiąc pazurami jego twarz, wbijając je, próbując dosięgnąć jego oczu, wydała piskliwy krzyk. Zatoczył się do tyłu, ryknął z bólu i wyrzwał babę pięścią w brzuch. Jęknęła i zgięła się wpół, a wtedy kopnął ją kolanem w twarz. Miły dla ucha chrzęst. Zwaliła się na podłogę, duch walki ją opuścił. Jaka szkoda! Bo jemu zapął do bitki nie minął.

Powiadają, że nie kopie się leżącego, ale Kapelusznikowi doświadczenie podpowiadało co innego. Odkrył, że kopano go najbardziej właśnie wtedy, kiedy był w największym dołku. Czas najwyższy, żeby on kogoś skopał.

Pierwszy kopniak trafił ją w twarz, i tak już obryzganą krwią. Drugi wylądował między jej nogami, wywołując kolejny jęk, jakby miała dostać torsji.

Jakiś ruch w składziku. Zerknął do środka i zobaczył, że chłopak trzyma niepewnie kij hokejowy. Gdy zmierzył go wzrokiem, kij wypadł chłopcu z rąk i stuknął w podłogę.

Kapelusznik wycelował w chłopaka z pistoletu.

– No już! – prychnął. – Podnieś go!

Chłopak pokręcił głową i na jego spodniach na wysokości krocza rozlała się ciemna plama. Kapelusznika paliła twarz, wypełniała go jakże znana furia, tak czysta jak radość. Jego palec na spuście drgnął. Niewiele brakowało, żeby zastrzelił chłopaka.

Ale opuścił rękę.

I pociągnął za spust, strzelając do skulonej na podłodze kobiety.

Donośny huk zaparł Almie dech w piersiach. Wystrzał. Czyżby policja wdarła się do środka, kiedy była zajęta telefonem? Zastrzelili Gąsienicę czy Kapelusznika? A może to strzelił któryś z jej współników?

Odsunęła się od drzwi łazienki, unosząc broń na wypadek, gdyby ktoś spróbował wejść.

– Almo? Co to było? – spytała Abby zdenerwowana, a mimo to nie tracąc spokoju.

– Nie wiem – odparła Alma zduszonym głosem. Kręciło jej się w głowie, bała się, że upadnie. – Czy policja weszła do budynku? Czy to strzelał ktoś z waszych?

Oparła się o ścianę, przenosząc wzrok z drzwi łazienki na Samanthę i kabinę, z której właśnie wyszła ta druga dziewczyna, Fiona. Wycelowała w nią i ruchem pistoletu pokazała jej, żeby dołączyła do przyjaciółki.

– Nikt z naszych nie wszedł do budynku – odparła Abby. – Jesteś ranna? Albo któraś z dziewcząt?

– Nie. – Nie mogła ufać tej policjantce. Nikomu nie mogła ufać. Była zdana tylko na siebie. Oczy zaszyły jej łzami, ale nie mogła się załamać. Nie teraz.

Później, kiedy zostanie sama. – To gliniarze, prawda? Zastrzelili jednego z moich kolegów. A teraz idą, chcą zastrzelić mnie? Mam ze sobą dziewczęta... zakładniczki! Przekaż im, że jeśli tu wejdą, to... – Nawet nie była w stanie tego wykrztusić. Zastrzelić dziewczęta? Zakładniczki? Za nic by tego nie zrobiła. Wiedziała o tym od chwili, kiedy to wszystko się zaczęło. Pistolet w jej ręce był jedynie rekwizytem. Łgarstwem.

– Almo, uwierz mi, nikt po ciebie nie idzie. Mam wrażenie, że żyjesz w wielkim stresie. Musimy się razem zastanowić...

Alma przerwała połączenie i schowała telefon do kieszeni. Odwróciła się do dziewcząt.

– Idziemy.

– A nie lepiej zostać tu i przeczekać? – zaproponowała Samantha. – Aż się upewnimy, że jest bezpiecznie?

Almę zaskoczyło, że dziewczyna mówi tak podobnie do tej kobiety w telefonie. Nawet w tej sytuacji obie zachowywały absolutny spokój. Podobna była nawet intonacja ich głosów.

– Nie. – Czy widziały, jak trzęsie się pistolet w jej ręce? Czy zdawały sobie sprawę, że jeśli zechcą odejść, ona nic na to nie poradzi? – Wracamy do składziku na sprzęt.

Wskazała na drzwi i zrobiła krok w ich stronę. Przez chwilę wydawało się, że chcą odmówić. Jednak ustąpiły i ruszyły przodem. Samantha otworzyła drzwi i zamarła.

W progu stał Kapelusznik.

– Tu jesteście – odezwał się. – Już myślałem, że się zgubiliście.

– Właśnie wracałyśmy – odparła Alma. Nie podobał jej się wyraz jego twarzy. Jego oczy wydawały się... martwe. Strach ścisnął jej trzewia, gardło i zjechał w dół nóg, tak że ugięły jej się kolana. – Co to był za hałas przed chwilą?

– Musiałem postrzelić mamusię doktorki – odparł Kapelusznik. – Pani doktor, twoja mamusia jest ranna. Potrzebna będzie twoja wiedza medyczna. Ona jest w pokoju pielęgniarek. Chodźmy. Almo, a ty odstaw Księżniczkę do pozostałych zakładników.

– Pójdziemy z tobą – wyrwało się Almie. Sama nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy, w każdym razie nie mogła zostawić tej dziewczyny sam na sam z Kapelusznikiem. Nie teraz, kiedy łypał na nią takim wzrokiem.

– Nie – powiedział. – Damy sobie radę.

Chciała się z nim kłócić. Za żadne skarby nie pozwoli, żeby coś zrobił tej...

Zawibrował telefon w jej kieszeni. W ciszy korytarza brzęczenie było słychać wyraźnie, więc Alma odruchowo zakryła go ręką.

Kapelusznik, rzecz jasna, to zauważył.

– Almo, co ty tam masz? – Jego szept przypominał zaciekle, groźny syk.
Przełknęła ślinę.

– Zabiorę Fionę do pozostałych – powiedziała drżącym głosem. – A ty
zaprowadź Sam do jej matki.

Kapelusznik drwiąco wykrzywił usta.

– Tak. To dobry pomysł.

ROZDZIAŁ 59

Z powodu załamanych oczu Sam prawie nie widziała, dokąd idą. Kapelusznik ciągnął ją korytarzem, przyciskając pistolet do jej talii i od czasu do czasu dźgając ją lufą. Pokój pielęgniarski był oddalony zaledwie o kilka kroków, ale droga wlokła się w nieskończoność. Nos miała zatkany smrodem jego potu i bez przerwy myślała o poprzednim wieczorze. O jego ręce na jej szyi. O pustym wyrazie jego oczu, kiedy wzmacniał uścisk, pozbawiając ją tchu.

Otworzył drzwi do pokoju pielęgniarek i wepchnął ją do środka. Potknęła się i omal nie przewróciła na podłogę, na szczęście w samą porę przytrzymała się stojącego tu łóżka. Rozejrzała się w ciasnym pomieszczeniu, ale Deborah tam nie było. Odwróciła się do Kapelusznika.

Zamknął drzwi i przekreślił klucz w zamku.

– Gdzie jest Debo... moja mama? – spytała. Nie poznawała własnego głosu. Był inny, jak u załamanego, wystraszonego dziecka.

– Tak, gdzie ją zostawiłem. – Oblizwał gumowate wargi. – Niestety, pani doktor, jej już nie pomożesz. Zresztą i tak wkrótce to wszystko się skończy. Jedyne, co możemy zrobić, co wspólnie umilić sobie nasze ostatnie chwile.

Cofnęła się o krok. Ale nie miała dokąd uciec.

– Kiedy to się skończy... Mogłabym im powiedzieć, że próbował nam pan pomóc. Jeśli mnie pan do niej zaprowadzi, założę opatrunek i ją uratuję. Nie oskarżą pana o morderstwo...

– Wiesz, co jest dziwne? – przerwał jej. – Gdybym mógł cofnąć czas... zrobiłbym dokładnie to samo. W każdym szczególe.

– W każdym szczególe? – powtórzyła. Jeśli zdoła go skłonić do mówienia, będzie dobrze. Bo kiedy mówił, nie zajmował się niczym innym.

– Tak. W każdym szczególe. – Wycelował w jej głowę. – Rozbieraj się.

– Chwileczkę...

– Koniec z pogaduszkami na pierwszej randce, pani doktor. Wziąłem cię na miłą kolację, pokazałem ci miasto. Teraz czas na moją przyjemność. Wyskakuj z ciuchów. Ale już!

Usta Sam drżały. Była sparaliżowana strachem. Zerknęła szybko na drzwi, ale zamknął je na klucz. Nie było drogi ucieczki. Nie było nikogo, kto by ją uratował.

Ani mamy, ani dziesiątków policjantów oddalonych o niecałe piętnaście metrów, ani Almy czy Gąsienicy. Próbowwała sobie wmawiać, że jakoś to zniesie, że nie potrwa to długo i potem się z tego otrząśnie. Miała jednak wrażenie, że to już koniec. Nie mogła, po prostu nie mogła...

– Pani doktor, zapewniam, że nie chcesz, żebym ci w tym pomógł! – warknął Kapelusznik.

– Moja mama jest policjantką! – wyrwało jej się. – Jest przed szkołą.

Zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony.

– Ta durna baba to policjantka?

– Nie! Ona tylko udaje. Tak naprawdę moją matką jest porucznik Abby Mullen. Z ekipy negocjatorów. Ja jestem Samantha Mullen. Niech pan ją wygoogluje, sam pan się przekona. I mogę panu pokazać moją stronę na Facebooku, mam tam jej zdjęcia. – Mówiła teraz byle szybciej, zrozpaczona. – To z nią rozmawiał Gąsienica. I Alma. Oboje z nią rozmawiali. Mogę panu dać jej numer, niech sam pan z nią porozmawia. To moja mama, przysięgam, niech pan sprawdzi. Nie chce pan mnie skrzywdzić. Może pan stąd wyjść i zniknąć. Może pan...

– Stul pysk, do kurwy nędzy! – ryknął tak, że zaszlochała, wystraszona.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, ale z jego beznamiętnej twarzy nic nie mogła wyczytać. Co też chodziło po głowie temu potworowi?

– Wiesz co, pani doktor? – odezwał się w końcu. – Chyba ci wierzę. Tak się zastanawiałem, skąd się wzięła ta twoja pewność siebie, a teraz już wiem. Jeśli rzeczywiście jesteś córką tej porucznik, dadzą mi wszystko, czego zażądam. Mamusia nie pozwoli, żeby kochanej córeczce coś się stało, no nie?

– Chce pan do niej zadzwonić? – spytała Sam.

Prychnął.

– Zadzwonić? E tam. Koniec z gadaniem przez telefon. Wyjdziemy na dwór i się z nią spotkamy, natychmiast.

*

Gdy Kapelusznik odszedł z Samanthą, Alma przez chwilę stała jak wryta. Telefon wciąż brzęczał w jej kieszeni, ale nawet nie próbowała go odebrać. Fiona szlochała cicho.

Zachowanie Kapelusznika jasno wskazywało na to, że wie, iż Alma coś ukrywa. Że usłyszał wibracje komórki w jej kieszeni. Ale najbardziej przeraziło ją to, że najwyraźniej go to nie obchodziło. W jego przekonaniu już nie tworzyli grupy, nie występowali już razem przeciwko wspólnemu wrogowi.

A skoro postanowił działać na własną rękę, pozostawał jej tylko Gąsienica. Nie wiedziała, co o tym sądzić. A to dlatego, że Abby miała rację. Dwa miesiące temu Gąsienica się zmienił. W jednej chwili, z dnia na dzień. Nie spowodował tego szok po odejściu żony. Ten Gąsienica, którego знаła, nie poddałby się tak łatwo, tylko walczyłby o żonę. Ileż to razy pisał jej, jakie ma szczęście, że trafił na taką kobietę? Że żona jest jedynym dobrem, jakie go w życiu spotkało. I zawsze pisał o niej z uczuciem.

A kiedy odeszła, koniec. Nawet nie napisał, że za nią tęskni.

Ruszyła do składziku, prowadząc ze sobą Fionę. Dziewczyna szła posłusznie, wyczerpana i przygnębiona. Alma omal nie powiedziała jej, żeby odeszła, jeśli tylko chce.

Ale rzuciła tylko:

– Zaczekaj. Nie tędy. Zawracamy.

Fiona nawet nie pytała dlaczego.

Wróciły do gabinetu sekretarki.

Gąsienica stał przy biurku, nie odrywając oczu od ekranu. W gabinecie dyrektora dzwonił telefon, ale Gąsienica najwyraźniej nie zamierzał odebrać. Dyrektor siedział bezwładnie w kącie, blady i wyczerpany.

Gdy weszły do pokoju, Gąsienica nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem. Rzucił tylko:

– Kapelusznik postrzelił jedną zakładniczkę.

– Powiedział mi – odparła Alma. – Powinieneś pogadać z policją. Czas wynegocjować warunki zwolnienia.

Nareszcie zwróciła jego uwagę. Oderwał wzrok od ekranu i zmarszczył czoło.

– Przecież nawet się nie przyznali do związków z Kręgiem.

Miała ochotę wydrzeć się na niego. Wydlubać mu oczy. Czy on nic nie rozumie? To już koniec.

– Jeśli z nimi nie porozmawiasz, wedrą się do szkoły. Proszę. Chcę jeszcze zobaczyć moje dzieci.

– Zobaczysz – mruknął z roztargnieniem. – Ale najpierw musimy wykorzystać tę sytuację. Obserwatorzy polegają na nas. Nigdy nie trafi nam się równie dobra szansa jak ta.

Nieustanne dzwonienie telefonu doprowadzało ją do szału. W domu, gdy dzwonił telefon, zazwyczaj krzyczała: „Czy ktoś wreszcie odbierze?!”. Ale tu nie miała na kogo krzyczeć. Skoro Gąsienica nie odbiera, sama musi to zrobić. Wątpiła jednak, żeby jej pozwolił.

Telefon w jej kieszeni też zaczął brzęczeć.

– Proszę – powtórzyła. – Moje dzieci mnie potrzebują. Kevin. I Olivia. Wiesz, że Olivia nie znosi być beze mnie.

– Olivia wkrótce cię zobaczy – odparł Gąsienica. – Obiecuję.

– Jasne. – Zaszło w gardle. Jej dzieci miały inne imiona, nie Olivia i Kevin.

Gąsienica o tym wiedział, Kilkakrotnie pisała mu o swoich dzieciach. Znał ich imiona. Często ją o nie pytał. O alergię Frances. Albo czy Kyle będzie miał niedługo jakiś ważny mecz. Tak było przed jego rozstaniem z żoną. Potem już nie pytał o nie, Alma zaś uważała, żeby o nich nie wspominać, bo uważała, że obnoszenie się przed nim ze szczęściem rodzinnym byłoby nietaktowne.

Ale kiedyś wiedział, jak miały na imię.

– Odprowadzę Fionę do składziku – powiedziała. – Wezmę też chyba pana Bella.

– Nie – zaprotestował stanowczo Gąsienica. – Ma zostać ze mną.

– Dobrze – zgodziła się czym prędzej. – Wezmę tylko Fionę.

– A wracając, znajdź Kapelusznika – polecił Gąsienica. – Widziałem, jak wchodził z tą drugą dziewczyną do pokoju pielęgniarek. Chcę, żebyśmy dzisiaj wszyscy razem omówili strategię.

– Jasne. – Alma była już jedną nogą za drzwiami. – Zaraz wracamy.

Abby jeszcze raz wybrała numer. Słuchając dzwonka telefonu, myślała o wystrzale, który usłyszeli; wmawiała sobie, że nie mógł paść w pobliżu Almy, a skoro Sam była z Almą, to znaczy, że jest bezpieczna. No już, Almo, odbierz, do ciężkiej cholery, odbieraj wreszcie!

– On nie odbiera – powiedział Will, zsuwając słuchawki. – Spróbuję zadzwonić do Almy. Może odbierze, jeśli zobaczy inny numer.

Abby z wahaniem pokiwała głową.

– Dobrze, możemy..

Sygnal w jej uchu nagle się urwał.

– Halo? – Przerażony szept Almy.

Abby dała znak Willowi.

– Cześć, Almo, miło, że odebrałaś. Gdzie jesteś?

– Z powrotem z łazienki. Jeżeli... jeżeli wyjdę z zakładnikami, czy zapewnisz mi bezkarność? No wiesz, w sądzie?

– Zajmiemy się tym, Almo – obiecała Abby. Will stał obok niej, słuchał, a jego oczy błyszczały z podniecenia. – Tak czy owak, gwarantuję, że zeznam w sądzie, że z nami współpracowałaś. Na sędziach takie coś robi odpowiednie wrażenie.

– Chcę znów zobaczyć moje dzieci.

– Jeżeli wyjdiesz, przyrzekam, że zrobię co w mojej mocy, żebyś zobaczyła się z nimi jeszcze dzisiaj, zgoda?

– Nikomu nie zrobiłam krzywdy. Dziewczęta i pozostali zakładnicy mogą o tym zaświadczyć. Ja tylko chciałam pomóc tym biednym dzieciom.

– Wygląda na to, że dałaś się wmanewrować w kiepską sytuację. My ze swojej strony zrobimy wszystko, żeby ci pomóc. Ale musimy wydostać tych zakładników.

– Są w składziku. Zaraz tam pójde.

Abby odetchnęła głośno. Musiała się upewnić, że zrobią to jak należy. Nawet najmniejsze nieporozumienie mogło się skończyć katastrofą. Podeszła do wiszącego na ścianie planu szkoły.

– W porządku, a więc zakładnicy są w składziku. Na którym piętrze?

– Na drugim. To składzik na sprzęt sportowy.

Will postukał palcem w miejsce, o którym mówiła. Najbliższe schody nie były daleko, ale...

– Almo, gdzie są Kapelusznik i Gąsienica?

– Gąsienica wciąż siedzi w gabinecie sekretarki. A Kapelusznik poszedł do pokoju pielęgniarek – Almie załamał się głos. Była przerażona, ale nic w tym dziwnego, właśnie zdradzała swoich współników.

Abby przyjrzała się planom szkoły. Gdyby Alma poszła do najbliższych schodów, musiałaby minąć skrzydło administracyjne, gdzie byli Gąsienica i Kapelusznik. Nie ma mowy.

– Musisz przejść z zakładnikami do schodów w południowej części budynku, tych obok sali, gdzie ćwiczy chór. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Ale dziewczęta wiedzą. Wskażą ci drogę. Kiedy zejdziecie na parter, skieruj się do wyjścia obok sali plastycznej. Kiedy tam dojdziecie, musisz mnie zawiadomić, zgoda? To bardzo ważne, chcę, żeby wszyscy byli gotowi, w ten sposób unikniemy nieporozumień. – Tego tylko brakowało, żeby jakiś stremowany gliniarz zastrzelił Almę, gdy będzie wychodziła, żeby się poddać.

– D... dobrze.

– Ale każ im tam iść korytarzem, który nie biegnie obok skrzydła administracyjnego, jasne? Nie zbliżajcie się do gabinetu sekretarki.

– Tak. Och! – zawołała zaskoczona Alma.

– Co się stało?

– Właśnie doszłam do składziku. Tu jest krew.

Abby się spięła.

– Krew?

Zadzwoił jeden z telefonów po drugiej stronie centrum dowodzenia. Will podbiegł do niego, zerknął na wyświetlacz. Odwrócił się do Abby i powiedział bezgłośnie: To on!

Gąsienica, wpatrzony w obrazy z kamer monitoringu, uświadomił sobie, że powoli wszystko się sypie.

Najpierw Kapelusznik postrzelił tę kobietę. Potem zawlókł jedną z dziewcząt do pokoju pielęgniarek. W tym momencie już było jasne, że zamiary Kapelusznika i Gąsienicy są skrajnie różne. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy wyobraził sobie, co ten świr wyrabia tam z tą dziewczyną. Z małąletnią, taką jak dzieci sprzedawane przez Krąg. Wszystkie te dowcipy i memy o tematyce seksualnej, które Kapelusznik wrzucał na forum, nagle nie wyglądały na „niedojrzałe” czy „nie na miejscu”. Ten człowiek był seksualnym drapieżcą, ni mniej, ni więcej.

Nagle Gąsienica zobaczył Alnę, która szła korytarzem z tą drugą dziewczyną, rozglądając się nerwowo. Z telefonem przy uchu! Rozmawiała z kimś. Prawdopodobnie z policją. Albo bezpośrednio z Kręgiem.

Przełknął ślinę. Czuł, że koniec jest bliski. Ale nie zamierzał czekać na niego beczynn timer.

– Wstawaj! – warknął na dyrektora.

Ten tylko się skulił, więc musiał krzyknąć ponownie i wycelować w niego pistolet. Zawlókł go do jego gabinetu, chwycił słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrał numer. Will ani chybi zapewni go, że panuje nad wszystkim. Albo znowu da mu do telefonu była żoną Neala, z którą Gąsienica ani myślał rozmawiać. Nie. Teraz już był gotów gadać tylko z jedną osobą.

Rozległ się lekki trzask, gdy Will podniósł słuchawkę.

– Gąsienico, dziękuję, że oddzwoniasz...

– Przyłożyłem pistolet do głowy dyrektora – przerwał mu Gąsienica. – Albo mi dasz numer do Abby, albo odstrzelę mu łeb.

– Nie jestem pewny, czy mam go przy sobie. A czego chcesz...

– Liczę do pięciu. Jeśli nie dostanę tego numeru, ten człowiek zginie. – Tym razem nie rzucał słów na wiatr.

– Gąsienico...

– Jeden. – Gąsienica przycisnął lufę pistoletu do głowy dyrektora. Ten zaszlochał przerażony. Ale to przecież tylko agent Kręgu, to w jego szkole mieli sprzedawać dzieci.

– Wygląda na to, że jesteś w wielkim stresie...

– Dwa. – Nie zawaha się. Jeżeli nie pozwolą mu pogadać z Abby, umrze ze świadomością, że był o krok od pokonania Kręgu. A Obserwatorzy się o tym dowiedzą.

– Potrzebuję więcej czasu, żeby znaleźć jej numer...

– Trzy. – Może trzeba było powiedzieć, że będzie liczył do dziesięciu? Teraz jednak nie mógł już zmienić decyzji.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Czyżby Will szukał tego numeru w książce adresowej? Albo kazał policji przypuścić szturm? Gdyby to zrobili, Gąsienica zamierzał do nich strzelać.

- Cztery. – Zacisnął palec na spuście. Za chwilę nastąpi koniec. Zacisnął zęby, szykując się na najgorsze.
- Gąsienico, tu Abby. Już jestem.
- Jej głos kompletnie go zaskoczył.
- Nie wiedziałem, że tam jesteś – bąknął głupio.
- Właśnie dotarłam. – Była zasapana. – Will powiedział, że chcesz ze mną mówić. A ja też mam dla ciebie coś, co musimy przedyskutować.

ROZDZIAŁ 60

Wkładając słuchawki, Abby próbowała uspokoić łomot serca.

– Zdaje się, że miałeś ciężką noc.

– Ledwo się trzymam na nogach. – Słysząc było, że jest przerażony i wściekły. – Mówiłaś, że mogę zaufać Willowi. Ale nie zapanował nad sytuacją. Policja wdarła się do szkoły.

– Słyszałam o tym, bardzo mi przykro. Ale już tu jestem. – Will mówił szybko przez telefon, zawiadamiając JRK, że Alma chce się poddać i uwolnić zakładników. – Jestem ci wdzięczna, że ty ze swojej strony zapanowałeś nad większością spraw.

Wyobraziła sobie swoją córkę, jak pędzi korytarzami, prowadząc Almę i pozostałych zakładników do wyjścia. Być może już za kilka minut będzie ją mogła przytulić. Spróbowała się skupić na rozmowie. Musiała załatwić Almie czas, by mogła wyjść, i powstrzymać Gąsienicę przed zabiciem Henry’ego Bella.

– A co z tym, co mi obiecałaś? – zapytał Gąsienica ostrym tonem. – Nikt z nowojorskiej policji nie przyznał się do winy. I przez całą noc się do mnie nie odezwałaś.

– Wybacz. Musiałam się przedzierać przez kupę papierów i poważnie poszperać tu i tam. – Zerknęła na Carvera, który bez słowa stał w kącie w tej ciasnocie i się przysłuchiwał. Przywołała go ruchem ręki.

– I co odkryłaś?

Co chciał usłyszeć? Czy powinna go bezwstydnie okłamać i powiedzieć, że znalazła dowody na korupcję?

Nie. Tych ludzi tak naprawdę nie interesowały odpowiedzi. Oni chcieli zadawać pytania.

– Trafiłam na wiele dziwnych zbiegów okoliczności – odparła. Carver kucnął obok niej. Wzięła kartkę i długopis i nabazgrała: „Idź tam i przejmij Sam, kiedy wyjdzie”. Pokiwał głową, wstał i wysiadł z furgonetki. Abby zamknęła oczy i skupiła się na rozmowie. – W kalendarzu komendanta policji nowojorskiej są luki. Po cztery godziny dwa razy w tygodniu, bez żadnego wyjaśnienia. Jego sekretarka kręciła i nie potrafiła mi wyjaśnić tych luk. Z tego, co się

dowiedziałam, ma to coś wspólnego z DAS. Widzisz w tym jakiś sens? Po co miałyby spędzać tyle czasu nad systemem DAS?

Domain Awareness System to nowojorski system bezpieczeństwa publicznego, który gromadzi nagrania z ponad osiemnastu tysięcy kamer monitoringu rozmieszczonych w całym mieście, tworząc z nich kolosalną cyfrową bazę danych, analizowaną następnie zarówno przez algorytm sztucznej inteligencji, jak i przez śledczych. Ponieważ jest często krytykowany za naruszanie prywatności, Abby była pewna, że zainteresuje tym Gąsienicę.

– DAS? – W jego głosie zaszła zmiana. Teraz gniew mieszał się z podnieceniem. – Mieliśmy na ten temat kilka teorii, ale nigdy nie sądziłem, że to ma bezpośredni związek z Kręgiem.

Zadzwoniła jej komórka. Alma. Wyciszyła dźwięk z konsoli w chwili, gdy Gąsienica bredził coś o związkach DAS z podwodnymi dronami policji nowojorskiej.

Zerknęła na Willa.

– Czy JRK jest na pozycji?

W odpowiedzi uniósł kciuki.

Nadszedł czas.

Alma, oddychając z trudem, szła za trójką zakładników. Większą część ostatniej doby spędziła na oglądaniu nagrań z kamer monitoringu. Wiedziała, że będzie je widać na którymś z okienek na ekranie. Odruchowo zadarła głowę, wypatrując kamery.

Czy Gąsienica i Kapelusznik obserwowali, jak ich zdradzała? Czy jeden z nich pędził teraz przez szkołę, z bronią w ręku, żeby ją powstrzymać?

Jeśli tak, to za późno. Już widziała wyjście.

– Dobrze, a teraz zaczekajcie – powiedziała. – Kazali mi zadzwonić, zanim wyjdziemy.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Abby. Przez kilka sekund czekała w napięciu, aż policjantka odbierze.

– Halo? – Głos Abby.

– Jestem przy wyjściu.

– Dobra robota. Wszyscy odsuńcie się od drzwi. Czy jesteś uzbrojona?

– M... mam pistolet, ale go nie użyłam.

– Dobrze, połóż go teraz na podłodze i kopnij w stronę drzwi. Potem załóż ręce za głowę. Najpierw wypuść zakładników. Następnie podejdź do drzwi. Na zewnątrz będą uzbrojeni policjanci w kamizelkach kuloodpornych, więc się nie przestrasz, nie zrobią ci krzywdy. Chcemy, żeby wszyscy wyszli z tego bez szwanku, jasne?

– Tak.

– Więc do dzieła.

Alma się rozłączyła. Potem położyła pistolet na podłodze, ale niezdarnie kopnęła go piętą, tak że uderzył w ścianę pół metra dalej. Nastolatek zerknął na broń i się spał.

– Ray, ani się waż! – ostrzegła go Fiona. – Policja wyważy drzwi i jeśli cię zobaczą z bronią w ręku...

Drzwi wyleciały z zawiasów.

Alma patrzyła, jak trójka zakładników wybiega na zewnątrz, a ktoś ich popędza krzykiem. Powoli, jak we śnie, założyła ręce za głowę i ruszyła do przodu. Policjanci w pełnym rynsztunku czekali, aż do nich podejście. Po jej twarzy płynęły łzy.

Gdy jeden z policjantów złapał ją i wykręcił jej ręce za plecami, zdała sobie sprawę, że wcale się nie boi, nie jest zła ani smutna. Miała w nosie Krąg i to, że Obserwatorzy nie zdołali zdemaskować prowadzonego przez nich handlu dziećmi w celach seksualnych. Widocznie nie była dobrą Obserwatorką.

Czuła jedynie ulgę.

Sam miała wrażenie, że jej ręka tkwi w imadle. Kapelusznik trzymał ją mocno i włókł korytarzem, mamrocząc jakieś polecenia.

– Kiedy wyjdziemy na zewnątrz, nie mów nic oprócz: „Róbcie co każe”, rozumiesz? Powiesz im, żeby ściągnęli tu twoją mamę i spełniali wszystkie moje polecenia.

Pokiwała głową, bała się odezwać.

– I stój bez ruchu. Jeśli się będziesz szamotać, zastrzelę cię i zginiemy razem. Mam gdzieś, czy mnie zabiją. Wierzysz mi?

Znowu kiwnęła głową.

– Zażądam samochodu, a kiedy go podstawią, wsiądziesz ze mną. I znów, żadnej szamotaniny.

– Możesz mnie wymienić za samochód – szepnęła.

Chociaż to niemożliwe, ścisnął jej rękę jeszcze mocniej, tak że załkała z bólu.

– Masz mnie za idiotę? Gdybym cię puścił, w tej samej sekundzie by mnie zastrzelili. Nie. Wychodzimy razem i razem odjeżdżamy. Jedziemy w podróż poślubną, pani doktor.

Spuściła wzrok na podłogę, zrobiło jej się niedobrze. Nagle coś zauważyła. Plamę krwi. W obliczu przemocy, jaka rozgrywała się tu w ciągu ostatniej doby, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ta plama wyglądała na świeżą. Obok była następna. A kilka kroków dalej liczne krople.

– Będę cię trzymał przed sobą, mocno przyciśniętą – mówił dalej Kapelusznik.
– Z lufą pistoletu przy skroni, więc zachowuj się, jak należy, albo... – Zwolnił i zamilkł.

Na podłodze przy otwartych drzwiach były rozbryzgi krwi, a na ścianie rozmazany czerwony odcisk dłoni. Kapelusznik cicho podszedł do drzwi, nagłym kopniakiem otworzył je na oścież i skierował broń w głąb pokoju.

Był to składzik z kosiarką, dmuchawą do odśnieżania i kilkoma puszkami. Nikogo w nim nie było i nikt nie mógł się tam ukryć.

– Czego ona tu szukała? – mruknął.

– Kto?

Nie odpowiedział, gapił się dalej w głąb pomieszczenia.

Nagle wokół nich rozległ się głośny, ostry pisk. Zaskoczył Sam i serce забиło jej mocniej. Zdezorientowany Kapelusznik nieco zwolnił uchwyt na jej ręce, rozglądając się dookoła.

Miała tylko ułamek sekundy. Niemal odruchowo poderwała kolano, celując w jego krocze.

Przez całą noc wyobrażała to sobie tysiące razy. Widziała to w każdym szczególe, w myślach ćwicząc ten ruch. A teraz, gdy skierował pistolet w drugą stronę i skupił się na czymś innym, dostrzegła swoją jedyną szansę.

Włożyła w to kopnięcie cały swój strach i nienawiść, a kiedy trafiła, od razu wiedziała, że wycelowała idealnie. Kapelusznik wydał świszczący jęk i zgiął się wpół, a ona tymczasem gnała przed siebie, wiedząc, że ma tylko kilka sekund, zanim ją zastrzeli. Pędziła za najbliższy róg, lawirując, tak jak ich uczyli. Za jej plecami padł strzał. Jeden, drugi, a potem skręciła za róg, chyba cała, choć nie była tego pewna, ale nie miała czasu sprawdzać, biegła dalej, a wokół niej wciąż słychać było ten ostry pisk. A gdy zobaczyła przed sobą dym, zrozumiała, co się dzieje.

Włączył się alarm przeciwpożarowy.

ROZDZIAŁ 61

Narastające w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin napięcie wybuchło u wszystkich jednocześnie. Carver pędził ulicą, a ze szkoły dobiegało wycie alarmu przeciwpożarowego. Wokół siebie słyszał krzyki policjantów w mundurach taktycznych, na chwilę zagłuszone przez warkot przelatującego śmigłowca. Na skraju blokady policyjnej reporterzy walczyli o miejsce, by pstryknąć jak najlepsze zdjęcia, a mundurowi zrobili kordon i odpychali tłum, krzycząc przez megafon. W powietrzu unosił się dym.

I wtedy ich zauważył. Zakładnicy byli w opłakanym stanie, pod opieką lekarzy, oszołomieni i skonfundowani. Carver popędził wprost do nich, przepychając się między funkcjonariuszami JRK. Minął kobietę, której bandażowano głowę, i dygoczącego nastolatka, którego pielęgniarka okrywała kocem. Jakaś dziewczyna płakała, siedząc w drzwiach karetki, a policjant pocieszał ją, delikatnie trzymając za rękę.

Gdzie, do cholery, jest Sam?

Nagle ulicą przegalopowała grupa policjantów z JRK. Do Carvera dotarły urywki ich rozmów.

- ...kolejny zakładnik, to dyrektor...
- ...wciąż nie ma jednej osoby...
- ...czekajcie na sygnał...
- ...gotowy na dachu...

Zatrzymał przebiegającego obok lekarza.

– Gdzie jest jeszcze jedna zakładniczka? – krzyknął. – Samantha Mullen. Ma czternaście lat!

Lekarz pokręcił głową.

– Widziałem tylko tych troje. Może ma ją inna ekipa.

Carver zawrócił i podbiegł do zapłakanej dziewczyny. Trochę się już uspokoiła, lecz jej usta wciąż drżały; siedziała zgarbiona i przerażona.

– Cześć! – Starał się mówić łagodnie, ale tak, by przekrzyczeć harmider dookoła. – Jesteś Fiona, tak?

– T... tak.

– A gdzie jest Sam?

– Nie wyszła z nami. – Znow wybuchnęła płaczem. – Wziął ją ten drugi facet.

– Jaki znow drugi facet?

Chciała mu odpowiedzieć, ale zabrakło jej tchu, a teraz lekarz odpychał go i krzyczał na niego głośno.

Carver okręcił się na pięcie. Tam! Ta kobieta skulona na tylnym siedzeniu radiowozu. Wydawała się równie wstrząśnięta jak cała reszta. Od razu rozpoznał ją ze zdjęcia. To była Alma, Czerwona Królowa.

Podbiegł tam i machnął blachą przed oczami policjanta, który jej pilnował.

– Śledczy Carver. Muszę z nią pogadać. Tylko pół minuty.

Policjant z wahaniem skinął głową, a Carver otworzył drzwi radiowozu. Kobieta miała ręce skute na plecach.

– Almo, jestem śledczy Carver – przedstawił się. – Gdzie jest Samantha?

– Zabrał ją Kapelusznik – odparła. – Przepraszam. Nie mogłam go zatrzymać. Wziął ją do pokoju pielęgniarok.

Ktoś krzyczał, że się pali. Że trzeba ewakuować budynek.

Carver pędem minął karetki, lekarzy, policjantów i wpadł do szkoły.

– A to co było?! – wrzasnął Gąsienica do telefonu. – To wasza robota?

– My nic nie robiliśmy – odparła Abby. – Powiesz mi, co się tam dzieje?

– Alarm przeciwpożarowy! – krzyknął dyrektor. – Włączył się alarm przeciwpożarowy.

– Czy gliny podpaliły szkołę?! – ryknął Gąsienica do telefonu.

– Ależ skąd, nie. Nie chcemy, żeby ktoś ucierpiał – zapewniła go Abby. Wydawała się zdenerwowana, jej spokój gdzieś się ulotnił.

– Wy może nie chcecie, ale Krąg tak. Chcą usunąć świadków – wyjaśnił Gąsienica. Czuł już swąd dymu. A może tylko sobie wyobrażał? Trudno orzec. –

Przekaż im, że właśnie zabili dyrektora. Puściłbym go, Abby, ale podpalając szkołę, wydali na niego wyrok...

– Theodorze, zaczekaj.

To imię kompletnie go zaskoczyło, odebrało mu mowę.

– Już prawie ich mamy – ciągnęła. – Prawda jest w zasięgu ręki. Przecież inaczej by do tego nie doszło.

Miała rację. Krąg nie posunąłby się do tak drastycznego kroku jak podpalenie szkoły, gdyby nie sądzili, że on jest w stanie ich zniszczyć.

– Oszukiwałeś ich miesiącami – ciągnęła. – I wreszcie nadszedł czas, żeby ich zdemaskować. Cokolwiek to jest, rozgryź ich. Wiesz, co chcą tu pogrzebać? Nie chodzi tylko o handel dziećmi dla pedofilów. To dużo grubsza sprawa. Widocznie odkryłeś, o co chodzi.

Odkrył?

Odkrył. Miała rację. System DAS. Szkoła. Pułapka, w którą wszyscy wpadli. Zaskakująca zdrada Almy. Dostrzegł schemat.

– Tak – powiedział głośniej, przekrzykując alarm przeciwpożarowy. – Masz rację. Ależ byliśmy ślepi! Teraz to widzę. To jedna wielka...

– Zaczekaj! Daj mi chwilę – rzuciła Abby, a potem usłyszał jej głos z dala od telefonu. Krzyczała: – Wszyscy wynocha! Ty też, Tammi. Zamknijcie za sobą drzwi. Ruchy, do cholery!

W tle rozległ się jakiś trzask.

– Przepraszam – powiedziała Abby łagodniejszym tonem. – Nie chcę, żeby ktokolwiek nas podsłuchał. Nie wiem, kto jeszcze z nimi trzyma.

– Jasne – przytaknął Gąsienica. – Właśnie mówiłem... – zamilkł.

– Co się stało? – spytała.

– Poczekaj. – Odłożył słuchawkę i wyprowadził dyrektora z pokoju. – Tylko spróbuj uciekać, a strzelę ci w plecy! – zagroził mu.

Rozdygotany dyrektor pokiwał głową.

Gąsienica wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Wybacz, też musiałem załatwić, żeby być sam.

– I jesteś już sam? – spytała Abby konspiracyjnym szeptem.

– Tak. Teraz wreszcie uświadomiłem sobie, że...

Szyba roztrzaskała się na milion kawałków. Nastąpił wybuch i Gąsienica prawie nic nie widział, dzwoniło mu w uszach, do pokoju wpadli jacyś ludzie, ktoś go chwycił, rzucił na ziemię, wykręcił mu ręce za plecami. Wrzasnął z rozpacz. Wydarli mu zwycięstwo z rąk.

Krąg wygrał.

Abby siedziała nieruchomo na krześle pierwszego negocjatora i słuchała krzyków policjantów z JRK; w tle rozlegał się brzęk tłuczonego szkła i trzaski łamanych mebli. Aż w końcu cichy okrzyk: „Czysto!”.

Obok niej stanął Barker i mówił do mikrofonu na ramieniu:

– Zespół alfa, czy zakładnik jest cały?

Zatrzeszczała krótkofalówka.

– Tu zespół alfa. Jest w szoku, ale poza tym chyba nic mu nie jest. Wyprowadzamy go na zewnątrz.

Abby zsunęła słuchawki, tak że zawisły jej na szyi; czuła, jak napięcie opuszcza jej ciało. Już po wszystkim. Henry Bell, ostatni z zakładników, był bezpieczny.

Barker położył rękę na jej ramieniu.

– Fantastyczna robota. Nie sądziłem, że zdołasz go oddzielić od zakładników.

Abby pokiwała głową, okręcając się na krześle. Will, wciąż w słuchawkach na głowie, szczyrzył do niej zęby.

– Ja też nie byłam pewna, czy mi się uda – przyznała szeptem. Zdjęła słuchawki i podeszła do tylnych drzwi ciężarówki. Z nadchodzących przez radio meldunków wiedziała, że Alma jest już w areszcie, a zakładnicy są bezpieczni. Carver pewnie był teraz z Sam.

Otworzyła drzwi i zamrugła, oślepiona ostrym światłem. Gdy była w środku, weszło słońce i jego promienie odbijały się od szyb szkoły. Alarm przeciwpożarowy wciąż wył, z jednego okna buchał czarny dym. Usłyszała z oddali syreny nadjeżdżających wozów strażackich. Ktoś krzyczał na ludzi, żeby brali gaśnice.

Rozejrzała się, szukając córki. Idąc powoli w stronę karetek, przyglądała się mijanym ludziom. Lekarzom. Oszołomionym zakładnikom.

Przyśpieszyła kroku, serce zabiło jej mocniej. Gdzie jest Carver?

Gdzie jest Sam?

Gdy Sam biegła korytarzem, dym coraz bardziej gęstniał; wkrótce się przekonała dlaczego. Czarne chmury dymu buchały z otwartych drzwi sali lekcyjnej. Nieco zwolniła, lecz wiedząc, że Kapelusznik jest blisko, wbiegła w dym.

Pokój płonął. Sam zerknęła do środka i zobaczyła palące się biurka i krzesła. Nawet podłoga zajęła się ogniem. Buchający z sali żar był nie do zniesienia. Na wpół oślepiona, przekręciła głowę na bok i zanosła się kaszlem. I biegła dalej, zostawiając za sobą szalejące płomienie. To nie miało sensu. Po co ktoś chciałby podpalić szkołę, skoro wszyscy byli w środku?

Nieważne. Prawie dotarła do biblioteki, która miała wyjście awaryjne. Może tamtędy uda jej się wydostać na zewnątrz.

Teraz nie tyle biegła, ile się zataczała, płuca paliły ją od dymu, którego się nawdychała, a zażawione oczy piekły. Już tylko kilka kroków. Biblioteka była dokładnie na wprost niej. Nie miała pojęcia, czy Kapelusznik jest tuż za nią, nie słyszała nic oprócz wycia alarmu przeciwpożarowego i swojego kaszlu. Nie odważyła się spojrzeć za siebie.

Wbiegła przez drzwi wahadłowe, które zamknęły się za nią. Tutaj alarm przeciwpożarowy był wytłumiony, jakby nawet on musiał się stosować do podstawowej zasady zachowania ciszy w bibliotece.

Przy biurku bibliotekarza siedziała bezwładnie Deborah.

Bluzkę miała przesiąkniętą krwią, strużka krwi ciekła także z jej ust. Gdy Sam weszła do sali, uniosła głowę i poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć. Sam podbiegła do niej, wiedząc, że ma pewnie tylko kilka sekund, zanim wpadnie Kapelusznik.

– Dasz radę wstać? – zapytała pośpiesznie. Wokół Deborah unosił się ostry zapach, ale Sam miała nos zatkany dymem, więc nie czuła, gdzie jest jego źródło.

– Pożar – szepnęła Deborah.

– Wiem. – Sam nie odważyła się jej dotknąć. Ale wyjście awaryjne było po drugiej stronie pomieszczenia. – Zaczekaj tu, ściągnę pomoc.

Gdy się odsuwała, Deborah złapała ją za nadgarstek. Miała zaskakująco silny chwyt.

– Pożar – powtórzyła Deborah. – „On was chrzczyć będzie Duchem Świętym i ogniem”⁷.

Ostry zapach. Benzyna.

Obok kobiety leżał na boku blaszany kanister, z którego wciąż kapał płyn. Pokrywający całą podłogę dywan wokół nich był mokry.

To Deborah podłożyła ogień w sali lekcyjnej. Czy chciała podpalić także bibliotekę?

Kobieta trzymała coś w drugiej ręce.

Zapalniczkę.

– Ogień oczyścił kiedyś mesjasza – wychrypiała Deborah. – Nas też oczyści.

Sam próbowała oswobodzić rękę, ale tamta trzymała ją mocno.

– Zaczekaj! – Samantha czuła, jak strach podchodzi jej do gardła. – Powiedziałaś, że ojciec wysłał cię tu, żebyś mnie chroniła. Nie rób tego. On by tego nie chciał, prawda?

Deborah zamrugnęła, jej usta poruszały się bezdźwięcznie. Sam znowu spróbowała wyszarpnąć rękę, ale uścisk kobiety był iście morderczy.

– Nie bój się – rzekła Deborah. – Próba ognia daje nam siłę. Naszą tarczą będzie nasza czystość. Tylko niegodziwi muszą się bać płomieni.

Uniosła drugą rękę i pstryknęła zapalniczką.

Zaiskrzyła, ale się nie zapaliła.

– Puszczaj! – krzyknęła Sam. Szarpała się mocno, ale Deborah z całej siły wpijała kościste palce w jej nadgarstek.

– Odrodzimy się z płomieni! – zawołała z uśmiechem szaleńca.

Jeszcze raz pstryknęła zapalniczką i tym razem pojawił się płomień. Deborah przesunęła się i zbliżyła ogień do swojej bluzki.

Sam stała na wpół zgięta, gdy tamta trzymała ją za nadgarstek. Z całej siły kopnęła kobietę w twarz. Coś chrupnęło, rozległ się jęk i Sam była wolna. Zatoczyła się do tyłu i zobaczyła więcej mokrych plam na dywanie. Zanim Deborah opadła z sił, rozlała dookoła benzynę.

Wariatka przyłożyła zapalniczkę do bluzki i natychmiast zajęła się ogniem. Sam cofnęła się chwiejnie, wszędzie pojawiły się płomienie. Uciekła na drugi kraniec biblioteki – chwilowo była tu z dala od pożaru. Kobieta krzyczała teraz

przeraźliwie i tarzała na dywanie, jeszcze bardziej rozprzestrzeniając ogień.
Płonęły książki, wokół Sam robiło się coraz bardziej gorąco.

Popędziła do wyjścia awaryjnego i pchnęła drzwi.

Były zamknięte na klucz.

ROZDZIAŁ 62

Sam szarpnęła za klamkę raz i drugi, krzyknęła z frustracji, a potem pociągnęła trzeci raz. Żar płomieni palił ją w plecy, pokój zasnuwały chmury dymu, ogień trzaskał, gdzieś w tle wciąż wył alarm przeciwpożarowy... a może to wyła Deborah? Te dźwięki mieszały się ze sobą, były nie do odróżnienia.

Odwróciła się. Środek biblioteki, między nią a drzwiami wahadłowymi, stał już w płomieniach, a pośrodku tej pożogi z trudem dawało się dostrzec bezwładne ciało Deborah. Sam pomknęła w bok, wokół ognia, z powrotem do drzwi wahadłowych, pośród rozżarzonych węgielków latających w powietrzu i z płucami pełnymi dymu; musiała wydostać się z tego piekła...

Otworzyły się drzwi.

Kapelusznik. Warczał z gniewu, w blasku ognia jego twarz wyglądała jak z piekła rodem.

I nagle uśmiech.

– Gdzie pani tak śpieszno, pani doktor? Pali się?! – ryknął i wybuchnął śmiechem, niezwykle zadowolony z siebie. Uniósł pistolet.

Wypalił, ale Sam zdążyła się skryć za regałami. Kolejny strzał. I jeszcze jeden. Zgięta wpół, biegła, osłaniając głowę przed ogniem, przed kulami. Zerknęła za siebie i przekonała się, że on nawet w nią nie celował. Strzelał, gdzie popadnie. W sufit, w regały, w spalone zwłoki Deborah.

A teraz ruszył za nią, trzymając pistolet w opuszczonej ręce. Nie chciał jej zastrzelić. Chciał ją zamordować gołymi rękami.

Lawirowała między regałami, choć w gęstym dymie prawie nie widziała, dokąd zmierza. Gdzieś w sali coś runęło z hukiem, dookoła pofrunęły iskry i płonące kartki. Paliło ją w gardle, bez przerwy kaszłała, zakrywając twarz marynarką. Za jej plecami Kapelusznik śmiał się, krzyczał albo płakał, nie sposób było ocenić.

W labiryncie książek straciła orientację, wszędzie strzelały płomienie, a kiedy przypadkiem dotknęła metalowej półki, sparzyła sobie palce. Wrzasnęła z bólu, a krzyk przeszedł w kolejny nieustający kaszel.

Za nią zawalił się regał. Rozejrzała się, lecz widziała tylko płomienie. Aż nagle przed sobą dojrzała wyblakły błękit drzwi wahadłowych biblioteki.

Wstrzymując oddech, zmusiła się do ruchu... i nagle w polu widzenia pojawił się Kapelusznik, zagradzający jej drogę.

Za sobą słyszała ryk płomieni. Rozglądała się na boki, ale nie miała dokąd uciec. A Kapelusznik, nie zważając na płomienie, brnął ku niej między regałami. Runęły kolejne półki, z góry posypały się iskry i żar. Sam kucnęła z krzykiem, ale on szedł dalej, kiedy rozżarzony popiół sypał mu się na głowę. Jego rękaw zajął się ogniem, co jednak go nie powstrzymało, szedł dalej, a w jego oczach tlił się całkiem inny płomień.

Dotarł do niej, chwycił ją za włosy i poderwał na nogi. Kaszel i krzyki Sam nagle ucichły, gdy zacisnął rękę na jej szyi, odcinając dopływ powietrza.

Przed oczami miała czarne plamy, kiedy patrzyła na jego wykrzywioną w paskudnym grymasie twarz. Przypomniała sobie, jak mówił, że nawet gdyby mógł, niczego by nie zmienił. Bo właśnie tego chciał. Wokół nich płomienie wzbijały się coraz wyżej, płonące strzępy papieru spadały z góry niczym płatki śniegu, dym powodował, że wszystko było ciemne, a może to świat pociemniał dlatego, że nie miała powietrza... Samantha gasła.

Strzał, i jeszcze jeden... Czyżby znów strzelał? Ale nie, jego pistolet był wycelowany w podłogę. Wyrzeszczył oczy ze zdumienia, zwolnił uścisk i Sam wreszcie odetchnęła głęboko, choć dym palił jej płuca.

Kapelusznik runął na podłogę.

A za nim, ledwo widoczny w szarym dymie, stał Jonathan Carver.

Dziewczyna padła na ziemię jak szmaciana lalka. Carver schował broń do kabury i podbiegł do niej. Żar był nie do zniesienia. Musiał wydostać Sam z tych płomieni. Podniósł ją i zarzucił sobie na ramię. Potem zawrócił i ruszył przez kłęby dymu do drzwi wahadłowych.

Był już blisko, kiedy wysoki regał przewrócił się na bok, zagradzając mu drogę. Zapieкло go przedramię – czym prędzej strząsnął z rękawa rozpalony do czerwoności okruch.

Paliły go płuca i gardło. Musiał ich stąd wydostać, i to szybko. Jeżeli się nawdychają dymu, zginą równie nieodwołalnie, jakby się spalili. Okręcił się i zerknął na drugie drzwi, te, nad którymi było światelko oznaczające wyjście awaryjne. Dywan pomiędzy nimi a drzwiami palił się w kilku miejscach, lecz nie widział innego sposobu, żeby się stąd wydostać.

Sam kaszlała, wijąc się spazmatycznie. Poprawił ją sobie na ramieniu, starając się ją trzymać jak najwyżej.

– Sam! – krzyknął. – Zaraz pobiegnę do drzwi. Trzymam cię, ale nie możesz się ruszać. Rozumiesz? Nie szarp się. – I też zaniósł się kaszlem.

Wyraźnie się rozluźniła. Carver sprężył się i co sił w nogach popędził przez płonąca salę. Zauważył leżącą poczerniałą postać, ale nie zwolnił, biegł dalej. Przed sobą miał ścianę ognia. Odwrócił się bokiem, żeby osłonić Sam własnym ciałem, i przeszedł przez zaporę z płomieni. Jego rękaw dymił, palił mu się but. Szorując nim po podłodze, ugasił go i brnął dalej; oddychał z trudem, żar zamieniał jego twarz w skorupę, dziewczyna była całkiem bezwładna, liczył na to, że nic jej nie jest, ale nie miał jak tego sprawdzić, nic nie widział, nawet drzwi.

Ściana. Jak to się stało, że zbłądził? Gdzie są te cholerne drzwi? Zakaszał, zakrztusił się i odwrócił. W prawo czy w lewo? Chyba zniosło go za bardzo na prawo. Skreślił w lewo i krok za krokiem posuwał się wzdłuż ściany. Jeszcze jeden krok. Z braku tlenu szybko tracił siły.

Są! Drzwi. Dotknął klamki, pociągnął i syknął. Była gorąca jak wrzątek. Naciągnął rękaw na dłoń, by ją osłonić, chwycił klamkę i nacisnął. Szarpnął drzwiami.

Zamknięte na klucz.

Nie ma czasu do stracenia. Delikatnie oparł Sam o ścianę. Jej powieki zatrzepotały.

– Jeszcze chwilkę, Sam, wytrzymaj. Zrób to da mnie. Dasz radę?

Słabo kiwnęła głową.

Cofnął się o krok i kopnął z całej siły, tuż obok klamki. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a jednocześnie ryknął ogień, gdy do pomieszczenia wpadł tlen, podsycając płomienie. Paliły go plecy, ale nie zwracał na to uwagi. Złapał Sam i wypadł z biblioteki, zostawiając to piekło za sobą.

Natychmiast otoczyli go ludzie. Ktoś krzyczał, żeby się nie ruszał, kiedy poklepywali go, gasząc płomienie z tyłu jego koszuli. Nie wypuszczał Sam z objęć, mrugał, łapczywie chwycił powietrze, aż nagle zobaczył pędzącą ku niemu drobną blondynkę i uśmiechnął się do niej; czuł, że lada chwila zemdleje, ale byłoby naprawdę miło, gdyby jeszcze przez chwilę udało mu się nie stracić przytomności.

Ktoś zdjął Sam z jego barku i dziewczyna wylądowała w ramionach Abby. A Carver stał obok i szczyrzył zęby w uśmiechu, bo ostatecznie wszystko dobrze się skończyło.

ROZDZIAŁ 63

Abby bez przerwy dotykała Sam. Głaskała ją po włosach, brała za rękę, tuliła po raz kolejny. Córka ani razu nie kazała jej przestać.

Siedziała na podłodze karetki, z maską tlenową na twarzy. Upierali się, żeby ją zabrać do szpitala, ale Sam nie chciała, nawet gdy Abby obiecała, że z nią pojedzie. W kółko powtarzała, że chce do domu. W końcu zirytowany lekarz założył dziewczynie maskę na twarz i dał jej spokój.

– Jak się czujesz? – spytała Abby po raz czwarty... nie, piąty. – Jedno mrugnięcie to „dobrze”, dwa to „źle”, a trzy to „mamo, nie denerwuj mnie”.

Sam zamruwała trzy razy.

– Czyli już jest prawie po staremu. – Abby uściśnęła dłoń Samantha.

Teraz gdy jej córka była bezpieczna, a zagrożenie życia zniknęło, w głowie Abby rozkwitły wszystkie lęki, które w ciągu ostatniej doby czekały na swoją kolej. Sam przeszła przez piekło przemocy. Widziała, jak kilka osób ginie w straszny sposób. Carver powiedział, że uratował Sam z rąk Kapelusznika, który próbował ją udusić. Potwierdzały to sińce na szyi dziewczyny. Ale nawet pomijając urazy fizyczne, Abby doskonale zdawała sobie sprawę, jakie szkody może wywołać tak traumatyczne przeżycie.

Nie pokazywała po sobie niepokoju. Sam będzie oczekiwała od mamy wsparcia i cierpliwości. A ona zamierzała jej to zapewnić.

– O, zobacz, kto przyszedł. – Dotknęła ramienia córki, wskazując kogoś palcem.

Steve'a wpuszczono na odgradzony teren; rozglądał się teraz, wyraźnie zagubiony i zdezorientowany. Towarzystwo strażaków, policji i wyjących syren to nie był jego świat. Abby pomachała do niego. Kiedy ją zauważył, na twarz wypłynął mu uśmiech; podbiegł do nich i ze łzami w oczach przytulił Samantę.

– Uważaj na jej maskę, Steve – ostrzegła Abby.

Na jego twarzy malowała się ulga. Właśnie odzyskali córkę.

W końcu ją puścił.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Sam wzniosła oczy do nieba.

– Później zawieziemy ją do lekarza na kompleksowe badania – wyjaśniła Abby. – Ale wygląda na to, że nic jej nie jest.

Steve odetchnął głęboko.

– No i całe szczęście.

– Czy Ben jest w szkole?

– Nie, w nocy prawie nie spał. Zostawiłem go w domu z Giną.

Gina była bratanicą Steve'a i czasami wykorzystywał ją do opieki nad synem. Abby miała do tego wiele zastrzeżeń, bo Gina pozwalała Benowi objadać się do woli cukierkami, oglądać telewizję, kiedy powinien być już w łóżku, i często wyrażała się w sposób nieodpowiedni dla uszu ośmiolatka. Z drugiej strony Steve też pozwalał dzieciakom opychać się słodyczami, nie reagował, gdy oglądały telewizję, zamiast iść spać, i wyrażał się w sposób niestosowny dla niczyich uszu. Tak że w sumie żadna różnica.

Podszedł ratownik i zdjął Samancie maskę.

– Jak się czujesz? – zapytał, badając jej oczy. – Boli cię głowa? Masz trudności z oddychaniem?

– Właściwie nie – odparła chrapliwie.

Ratownik poświecił małą latarką w głąb jej nosa.

– No, mogło być gorzej. Ale na wszelki wypadek musisz się pokazać lekarzowi.

– Czy mogę pojechać do domu, zobaczyć się z bratem i wziąć prysznic? – spytała błagalnie.

– Mieszkamy bardzo blisko – dorzuciła Abby.

Ratownik wzruszył ramionami.

– Zgoda. Ale nie zwlekajcie z tą wizytą u lekarza. – Jeszcze raz spojrzął na Sam i odszedł.

– Gdzie jest Carver? – spytała dziewczyna.

– Zabrali go do szpitala – odparła Abby. – Jest poparzony, a poza tym nawdychał się dymu, tak jak ty.

– Poparzony? Ale nic mu nie będzie? – zaniepokoiła się.

– Nie, jest w dobrej formie. To nic poważnego.

– Kim jest Carver? – zapytał Steve.

– To mamy...

– To śledczy, który nam pomógł i uratował Sam – przerwała szybko Abby. – Wskoczył w ogień i wyniósł naszą córkę z płomieni.

Dziewczynie zaszkliły się oczy, zacisnęła zęby. Widać było, że jest za wcześnie na taką rozmowę. No i Abby wiedziała, że Carver zrobił więcej, nie tylko uratował Sam z pożaru.

– Wobec tego zdecydowanie muszę z nim porozmawiać i podziękować mu osobiście – oświadczył Steve. – Może powinniśmy mu kupić kwiaty i wysłać list z podziękowaniami?

– Zdecydowanie tak – rzuciła wesoło Sam. – Ucieszy się z kwiatów od ciebie, tato. A mama na pewno zdobędzie jego telefon. Prawda, mammo?

Normalnie Abby by się zirytowała, ale teraz była szczęśliwa, że córka odzyskuje humor. Uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Tak, pewnie go zdobędę.

– Dobrze. – Steve zmarszczył czoło. Nie był tępy i zwykle czuł, kiedy ktoś się z niego nabija. – Chodźcie, odwiozę was do domu.

– Mam tu swój samochód – powiedziała Abby. – Pojadę sama.

– Aha. – Steve’owi zrzędała mina.

– Ale byłoby miło, gdybyś po drodze kupił nam coś na śniadanie – dodała.

Spędzanie czasu w towarzystwie swojego byłego nie było tym, co lubiła najbardziej, teraz jednak Sam potrzebowała obojga rodziców.

– Nie ma sprawy! Starbucks czy Dunkin’ Donuts? – zapytał.

– Nie ma innego wyboru? – Abby uniosła brwi.

– Dunkin’ Donuts – powiedziała Sam.

– Chcesz pojechać ze mną i sama wybrać pączki? – zaproponował.

– Jasne, tato. O niczym tak nie marzę, jak o tym, żeby pójść gdziekolwiek, kiedy pachnę ogniskiem i wyglądam jak uciekiniarka ze strefy działań wojennych.

– Dziewczyna pokręciła głową.

– O jak miło, widzę, że wrócił ci sarkazm – odparł oschle Steve. – Do zobaczenia u mamy. – Jeszcze raz mocno przytulił córkę i odszedł.

– No dobrze. – Abby dotknęła ramienia Sam. – Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ 64

Abby nie posiadała się ze zdumienia, że na ulicach panuje ruch. Zdawała sobie sprawę, że są godziny szczytu i wszyscy jadą do pracy – typowy poranek w mieście. Ale w obliczu tego, co ona i Sam przeżyły w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wydawałoby się, że ludzie powinni zrobić sobie wolne, by spędzić czas w rodzinnym gronie. To tak, jakby po skończonym posiłku siedzieć w restauracji, czekać na rachunek i patrzeć, jak wszyscy dookoła wciąż jedzą, jakby z jakiegoś powodu byli głodni. Czy nie wiedzieli, jacy jesteśmy najedzeni?

Z niepokojem zerknęła na córkę. Sam w milczeniu wyglądała przez boczne okno. Abby pogłaskała ją po włosach, żeby wiedziała, że matka jest przy niej.

– Mamo, czy znasz tę kobietę, Deborah, która się wdarła do środka? – spytała nagle Sam. – Tę, która się podpaliła?

– Tak – przyznała Abby. Sam opowiedziała jej o tym pokrótce, nie wdając się w szczegóły. Ale Abby miała na ten temat własną teorię.

– Ona bez przerwy mówiła o mesjaszu. I o mnie. Jakby była moim aniołem stróżem.

– Chyba była fanatyczką religijną – powiedziała Abby. – Na pewno zbadamy jej przeszłość.

– Tak, ale... ona wiedziała, kim jestem. Od razu mnie rozpoznała. Powiedziała, że w moich żyłach płynie krew mesjasza. Że widzi to w moich oczach.

– Na pewno bardzo się zdenerwowałaś.

– Przeraziła mnie. Powiedziała, że zabierze mnie na spotkanie z kimś w rodzaju księdza.

Samochodem szarpnęło, gdy Abby za mocno wcisnęła pedał gazu.

– Z jakim księdzem?

– Nie wiem, nie wyjaśniła. – Sam odetchnęła głęboko. – Próbowaliśmy obie podpalić. Mówiła, że ogień nas oczyści.

– Cieszę się, że Carver zdążył w samą porę – głos Abby drżał.

– Te jej wrzaski, kiedy się paliła... – Sam otarła łzę z oka. – Po co to zrobiła? Dlaczego ludzie robią sobie takie rzeczy?

Abby westchnęła.

– Czasami ludzie popełniają koszmarnie błędy.

Sam oparła głowę o szybę.

– Czy Fionie nic się nie stało?

– Nie widziałam jej, ale powiedziano mi, że jest cała i zdrowa. Tak samo Ray i pan Bell. Pani Nelson chyba ma lekkie wstrząśnienie mózgu.

– Czy aresztowali Gąsienicę i Almę?

– Tak.

– Alma nie chciała, żeby do tego doszło. Myślisz, że trafi do więzienia?

– Tak. Ale dopilnuję, żeby prokurator wiedział, że na koniec z nami współpracowała.

– Nie byłam pewna, czy powinnam jej dać ten telefon.

Abby znów pogłaskała córkę po włosach.

– Myślę, że kilku osobom uratowałaś życie.

– Pana Ramireza nie udało mi się uratować. – Usta Sam drżały.

– Skarbie, zrobiłaś dużo więcej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Uratowałaś więcej ludzi niż my wszyscy zgromadzeni przed szkołą. Nie masz pojęcia, jaka jestem z ciebie dumna.

– Fajnie. – Sam pociągnęła nosem. – Chcę zobaczyć Bena.

– Za dziesięć minut będziemy w domu.

– To dobrze.

Sam zamknęła oczy i znów oparła głowę o szybę. Abby uśmiechnęła się do niej i omal nie wpadła na jadący przed nią samochód, który zahamował zbyt gwałtownie. Po tym wszystkim, co przeszły, wypadek samochodowy byłby szczytem głupoty. Zmusiła się, by patrzeć tylko na drogę.

Zadzwoił jej telefon. Sam wystraszyła się, jej matka zaś odebrała.

– Halo?

– Cześć, Abby, tu Gina. – Przez system głośnomówiący głos bratanicy Steve'a brzmiał dziwnie ostro.

– Cześć, Gino, będziemy w domu za jakieś dziesięć minut.

– To dobrze. Ben jeszcze się nie obudził. Ucieszy się z waszego powrotu. I jest tu twój ojciec.

– Tak? – Abby uśmiechnęła się zaskoczona.

– No. Chce wziąć Bena na spacer do parku. Jest bardzo miły.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że w głowie Abby rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Gina mówiła, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

– Słuchaj, a czy moja mama też tam jest?

– Nie, tylko twój tata. Właściwie go nie poznałam. Ostatnio widziałam go chyba na twoim ślubie. Ale przecież trudno go pomylić z kim innym, mam rację? Jesteście tacy podobni.

Wcale nie byli do siebie podobni. Abby była adoptowanym dzieckiem i różnili się z tatą tak, jak to tylko możliwe. Zresztą co by tam robił bez mamy? Poza tym skąd by wiedział, że ma przyjechać akurat tam? Kiedy rozmawiali poprzedniego dnia, powiedziała rodzicom, że Ben nocuje u Steve'a.

– Gino, oni jeszcze nie wyszli do parku, tak? – spytała; w jej głos wkradł się strach.

– Nie, właśnie dlatego dzwonię. Żeby się upewnić, że mogę ich puścić. Ale Ben jeszcze śpi. Twój tata czeka na zewnątrz.

– Natychmiast zamknij drzwi frontowe na klucz i idź do pokoju Bena. Nie spuszcza go z oka.

– Dobrze, ale co się dzieje?

– Po prostu zrób to, byle szybko. Nigdzie nie puszczaj Bena z tym człowiekiem. A jemu nie daj wejść do domu. To nie jest mój ojciec.

– Dobra, już idę – rzuciła Gina drżącym głosem.

– Mamo, co się dzieje? – spytała Sam.

– Gino, zamknęłaś drzwi na klucz? – Abby włączyła koguta i wcisnęła gaz do dechy.

– Uhm... Tak. Teraz idę do Bena.

– Dobrze, rozłączam się. Będę za kilka minut. – Przerwała połączenie.

– Mamo, co się dzieje? – powtórzyła wystraszona Sam.

– Skarbie, wyjmij z mojej torebki telefon i dzwoń na numer alarmowy. – Abby zaciskała zęby, raz za razem naciskając na klakson. Ostro skręciła w bok, pędząc pod prąd, wyprzedziła dwa samochody i wróciła na swój pas, a jadący z naprzeciwka kierowca gorączkowo trąbił i migał światłami.

– Dlaczego? Kto jest w naszym domu?

– Nie wiem. Ale to nie jest dziadek.

„Jesteście tacy podobni”...

Przez chwilę pomyślała o swoim drugim ojcu. Tym z wycinka z gazety.

„Jesteście tacy podobni”...

W tym sęk, wcale nie byli do siebie podobni. Abby odziedziczyła urodę po matce. A jej ojciec biologiczny nie żył, tego była pewna. Wobec tego kto był w jej domu? Bo na pewno nie jej ojciec.

„Od razu mnie rozpoznała. Powiedziała, że w moich żyłach płynie krew mesjasza. Że widzi to w moich oczach”.

Sam miała oczy swojej matki.

Ta kobieta powiedziała, że należy uwolnić krew mesjasza. Mówiła o Sam. A nie o kimkolwiek wywodzącym się z sekty Wilcoxa.

– Dziewięćset jedenaście, w czym mogę pomóc? – Z głośnika w aucie dobiegł głos kobiety.

– Mówi porucznik Abby Mullen. – Abby skręciła ostro, by nie wpaść na motocykl. Długi klakson. Sam krzyknęła ze strachu. – Proszę wysłać radiowóz do mojego domu. W środku jest jakiś intruz.

Podawała kobiecie adres. Czerwone światło. Zwolniła niechętnie, żałując, że jest z nią córka. Przed nimi przejechał autobus szkolny. Abby wcisnęła pedał gazu i zmieściła się między autobusem a pikapem, który zahamował z piskiem opon.

„Krew mesjasza”...

Już tylko kilka minut. Pędziła przez ich dzielnicę, z wyjąca syreną, ale chciałyby jechać jeszcze szybciej. Pomyślała o Benie, leżącym w łóżku, i o tym mężczyźnie na zewnątrz, nieznanym, który chciał go zabrać do parku. Zaciskając zęby, mknęła ulicą, a świat rozmywał się za szybą.

W końcu dojechały do domu. Abby zahamowała, wjeżdżając jednym kołem na krawężnik. Zdyszana wyjrzała przez szybę. Dom był pograżony w ciemnościach, nie zauważyła żadnego ruchu.

– Zostań w samochodzie – poleciła.

– Mamo, co się dzieje? – szepnęła Sam.

Abby rozejrzała się po ulicy, wypatrując mężczyzn, którego opisała Gina. Bez skutku.

– Nic takiego, skarbie. Załatwię to. Ale nie wychodź z samochodu. I zablokuj drzwi.

Wzięła telefon, wysiadła z auta i cicho zamknęła drzwi, uważając, żeby nie trzasnęły. Skradając się do drzwi frontowych, położyła rękę na kaburze. Nacisnęła klamkę. Zamknięte na klucz.

Przekręciła klucz w zamku i wstrzymując oddech, weszła do domu. Cicho ruszyła prosto do pokoju Bena. Drzwi były zamknięte.

Otworzyła je gwałtownie.

Ben siedział na łóżku, zaspany i skołowany. Obok niego stała Gina, ze łzami w oczach. Trzymała jedną z grubych encyklopedii Bena w takim geście, jakby chciała nią cisnąć w każdego, kto wejdzie przez drzwi. Na widok Abby odprężyła się z ulgą.

– Nie wpuściłam go – rzuciła. – Pukał i dzwonił, ale go nie wpuściłam.

Abby kiwnęła głową i wyjrzała przez okno na ulicę. Sam nadal siedziała w samochodzie i czekała, blada ze strachu.

Poza nią nie było tam nikogo.

ROZDZIAŁ 65

Abby leżała w ciemności na łóżku. Po bokach miała dzieci, oddychające ciężko przez sen.

Nawet pomijając poranne wydarzenia, był to szalony dzień. Pocieszała Ginę, rozmawiała z policjantami, którzy przybyli na miejsce. Potem zjawił się Steve, z pudłem pączków i przerażoną miną. Musiała jakoś wszystko ogarnąć, później zawieźć Sam do szpitala na badania, więc Steve i Ben też im towarzyszyli, bo nikt nie chciał zostać w domu, w szpitalu Sam dwa razy się rozpląkała, Steve wciąż się dopytywał o człowieka, który pojawił się w ich domu, a Sam w kółko pytała, kiedy będzie mogła zobaczyć Fionę i...

To był sądny dzień.

Ani Ben, ani Sam nie chcieli spać sami, więc w rezultacie oboje wylądowali w łóżku Abby. Jej akurat było to na rękę, bo szczerze mówiąc, najchętniej już nigdy nie pozwoliłaby im się oddalić. Niechby na dobre zostali w jej sypialni. „Koniec ze szkołą, dzieci. Mama za bardzo się boi, żeby spuścić was z oka”.

Westchnęła ciężko. Miała nadzieję, że też zaśnie. Taki brak snu groził jej tym, że doprowadzi do halucynacji.

Ale nie mogła zasnąć. Jeszcze nie.

Delikatnie zdjęła z siebie rękę Bena. Wstała powoli i wymknęła się z pokoju, zerkając przez ramię na dzieci. Na dwójkę swoich pięknych dzieci.

Usiadła przy stole w jadalni i w telefonie otworzyła czat z Mosesem Wilcoxem.

Powoli wystukała:

Byłeś dziś pod moim domem.

Czat poinformował ją, że odbiorca odczytał wiadomość. Zaprzeczy? Czy odpisze, że po prostu wpadł z wizytą?

Obojętnie, w sumie nie miało to znaczenia. Chciała dostać odpowiedź, bo dzięki temu informatycy mieliby nad czym pracować. Zapewne mogliby

w przybliżeniu ustalić jego miejsce pobytu. Choć możliwe, że wystarczy im już samo otwarcie przez niego czatu. Dopadną go.

A jednak była ciekawa, co odpisze.

Minęło kilka minut. Tak usilnie wpatrywała się w ekran, że kiedy zamykała oczy, wciąż widziała jego prostokątny kształt na tle ciemności. Ale Moses najwyraźniej nie zamierzał odpisać.

Nagle telefon zadzwonił.

Zaskoczona otworzyła oczy i niemal upuściła aparat. Czat wideo.

Wstała i z wciąż dzwoniącym telefonem wyszła na dwór. Podeszła do swojego samochodu, wsiadła i zamknęła drzwi. Telefon wciąż dzwonił.

Przesunęła palcem po ekranie i pojawiła się twarz.

W jej pamięci Moses utrwalił się jako człowiek u władzy widziany oczami siedmiolatki. Potężny. Budzący strach. Ale ten ktoś, kto pojawił się na ekranie, daleki był od tamtego wizerunku. Długie włosy Mosesa posiwiały, twarz pokryła sieć zmarszczek. Teraz nosił okulary. Ale oczy za szklami pozostały takie same, przenikliwe i przeszywające. Jak oczy drapieżnika. Sprawily, że poczuła się niczym jego ofiara.

– Witaj, Abihail – odezwał się.

Musiała go skłonić do gadania. Im dłużej będzie mówił, tym łatwiej będzie go znaleźć. Dostarczy im więcej informacji.

– Witaj, Moses – odparła. Ale nie wyszkolonym, spokojnym głosem negocjantki. Raczej zduszonym, przerażonym głosem siedmiolatki bojącej się wszechmocnego kaznodziei. – Ja... cieszę się, że dzwonisz.

Zmrużył oczy.

– Czyżby?

Nie był głupi, wręcz przeciwnie, a przez lata, kiedy sądziła, że czatuje z Isaakiem, wielokrotnie pisała mu, jak bardzo gardzi Mosesem Wilcoxem.

– Tak. – Zaczynała panować nad sobą. Nie miała już siedmiu lat. Nie była w jego szponach. A skoro zadzwonił, widocznie chciał z nią porozmawiać. – Mamy sporo do omówienia.

Z namysłem pokiwał głową.

– Jak się ma Sam?

– W porządku. Śpi. Powiedziała mi, że spotkała kogoś, kogo znasz. Kobieta imieniem Deborah.

Chyba go to ucieszyło.

– To bardzo pobożna niewiasta. Polubiłabyś ją. Gdzie ona teraz jest?

Abby była prawie pewna, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Nie żyje. Wybuchł pożar.

Zachował niewzruszony wyraz twarzy.

– Aha. „On was chrzcic będzie Duchem Świętym i ogniem”⁸.

Bronią Mosesa były cytaty z Biblii, uwielbiał się chować za nimi. Gdyby spytała go, co to znaczy, rozmowa zamieniłaby się w religijną dysputę, w której byłby górą, bo przekreślałby znaczenie słów tak, by pasowało do jego potrzeb. Przez chwilę zastanawiała się, czy pójść tą drogą. Niewątpliwie gadałby wtedy i gadał. Tylko że taka rozmowa nic by jej nie dała. A chciała się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Dlaczego wysłałeś Deborah do tej szkoły?

– Nigdzie jej nie wysyłałem, Abihail. Sama się zgłosiła. Powiedziałem jej, że moja wnuczka ma kłopoty, a wtedy Deborah od razu zaproponowała swoją pomoc. To była bardzo pomysłowa kobieta.

A jednak! Nawet nie próbował kręcić. Abby odetchnęła głęboko.

– Czy ona naprawdę jest twoją wnuczką?

– A jak sądzisz? – odparł Moses.

Jak sądziła? Jej matka biologiczna wstąpiła do sekty Wilcoxa, mając zaledwie dwadzieścia kilka lat. Co zrobiłby Moses Wilcox z atrakcyjną młodą kobietą, gotową spełnić każde jego życzenie?

„Jesteście tacy podobni”...

Byli podobni. Widziała to. Takie same brwi, taki sam podbródek. Takie same oczy.

Jako dziecko zawsze wiedziała, że jej przeznaczeniem będzie rodzenie potomków Mosesa Wilcoxa, walecznych aniołów, które będą chronić ocalałych z apokalipsy. I zakładała, że w związku z tym wyjdzie za niego, by mogli mieć dzieci.

Ale możliwe, że każde jej dziecko było już potomkiem Mosesa.

– Myślę, że nie bez powodu dałeś mi na imię Abihail – powiedziała w końcu.

Uśmiechnął się do niej, wyraźnie zadowolony.

– Tak. Masz absolutną słusność.

Abihail. Po hebrajsku znaczy to „mój ojciec jest mocą”. Rzecz jasna, taki narcyz jak Moses nigdy nie nazwałby tak dziecka innego mężczyzny.

– Jesteś moim ojcem.

– Oczywiście, że tak. A skoro mamy wreszcie okazję porozmawiać, czy nie chciałabyś mi czegoś powiedzieć?

Co chciał usłyszeć? Właśnie po to do niej zadzwonił.

– Nie wiem – odparła ostrożnie. – Nie widziałam cię od tak dawna... Tak dużo mamy do omówienia.

– Proponuję zacząć od Listu do Tesaloniczan, rozdział piąty, wers osiemnasty – powiedział ostro, mrużąc oczy.

Kolejny test, który nieuchronnie musiała oblać.

– Zanedbałam studiowanie Biblii. Nie znalazłam nauczyciela równego tobie – oświadczyła.

– Pozwól więc, że odświeżę ci pamięć – podniósł głos, coraz bardziej rozzłoszczony. – „W każdym położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie Chrystusie względem was”.

Chciał, żeby mu podziękowała. Sam pomysł był tak niedorzeczny, że omal nie parsknęła śmiechem. Ale co tam, bez przerwy dziękowała psychologom, ćpunom i damskim bokserom. Dziękowała im za to, że zgodzili się na rozmowę telefoniczną, dziękowała im za to, że nie zabili zakładników, dziękowała za to, że odwaliło im tylko trochę, a nie kompletnie. „Dziękuję” było najbardziej wyświechtanym słowem w jej arsenale.

– Dziękuję, że pomogłeś mi przeżyć tę noc, kiedy wybuchł pożar – rzekła. – I za twoje nauki. I za wysłanie tej kobiety, żeby chroniła i ocaliła Sam. I za to, że słuchałeś mnie i pocieszałeś przez te ciężkie lata.

Ten jego uśmiech. Pełen satysfakcji. Musiała się powstrzymać, by nie robić min.

– Ależ nie ma za co – powiedział łaskawie.

– To ty byłeś wcześniej w moim domu, prawda?

– Tak. Niestety cię nie zastałem.

Wcale jej nie szukał. Wiedział, że nie będzie jej w domu.

– Podobno chciałeś zabrać Bena na spacer do parku.

– Chciałem poznać mojego wnuka.

– A Sam mówiła, że Deborah powiedziała jej, że ma ją zabrać do ciebie.

Przez chwilę milczał. A potem się do niej uśmiechnął.

– To moje wnuki, Abihail. Należą do mojej trzódki.

Poczuła, jak jej opanowanie znika w jednej chwili. Ogarnął ją gniew z domieszką strachu.

– Trzymaj się od nas z daleka, skurwysynu! – syknęła. – Spróbuj się do nas zbliżyć, a cię zabiję. Dotarło?

Zamrugał zaskoczony. Mocniej ścisnęła telefon, żałując, że nie może sięgnąć przez ekran i chwycić go za chudą szyję.

– Strzeż się ognia, który w tobie płonie, moje dziecko – powiedział w końcu. – Bo on cię strawi.

Przesunął się. Abby uświadomiła sobie, że chce zakończyć połączenie. Szybko wcisnęła jednocześnie przyciski głośności oraz zasilania i z radością usłyszała dźwięk oznaczający zrzut ekranu. Ułamek sekundy później ekran zgasł.

Stuknęła w ekran i otworzyła zdjęcia. Najpierw ukazało się najnowsze – niewyraźny wizerunek Mojżesza Wilcoxa. Akurat mrugał, miał zamknięte jedno oko,

a usta wygięte w drwiącym uśmiechu. W rezultacie wyglądał jak chochlik z demencją.

– Dorwę cię, sukinsynu – szepnęła do zdjęcia w telefonie.

ROZDZIAŁ 66

Po dwóch dniach spędzonych w areszcie Gąsienica wciąż nie pojmował, jak to się stało, że żyje.

Z początku, kiedy policja wpadła do pokoju, był pewny, że to już koniec. Powinni albo zastrzelić go na miejscu, albo zabrać do jakiegoś lochu i wykonać egzekucję. Jasne, później twierdziliby, że „popełnił samobójstwo”, jak Jeffrey Epstein albo Johnny A. I nawet ci, którzy podejrzewaliby, jaka jest prawda, nie mieliby cienia dowodu. Gąsienica by zniknął, a prawda zostałaby zamieciona pod dywan.

A tymczasem wpakowali go do mamra, razem z innymi.

Wtedy właśnie uświadomił sobie, że ma go zlikwidować jeden z osadzonych. Nieustannie próbował się domyślić, kto jest tym agentem. Ten kawał byka z wytatuowaną na karku swastyką? Albo ten gruby, łysy Latynos, który łypał na niego z kąta celi? Nie, to na pewno będzie ten na pozór niegroźny chudzielec dygoczący na pryczy i czekający na właściwy moment.

Prawie nie zmrużył oka, tylko czuwał, szykując się na nieuchronny atak.

Kimkolwiek był zabójca, widocznie zorientował się, że Gąsienica jest na to przygotowany, bo do ataku nie doszło.

Rozmawiał przez telefon z Georgią. Chciała, żeby wziął adwokata, ale po co? Nigdy go nie wypuszczą. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że zarówno sędzia, jak i przysięgli, przed którymi stanie, zostaną wybrani przez Krąg. Ich agentem będzie też prokurator, więc nawet jego ewentualnego adwokata też by mieli w kieszeni.

Nie, lepiej trzymać pieniądze dla Georgii, a nie marnować ich na walkę ze skorumpowanym systemem.

A teraz stawiali go przed obliczem sądu, żeby go oskarżyć. Dostał adwokatkę z urzędu. Siwą kobietę, która rozmawiając z nim, krzywiła się z dezaprobatą, jak gdyby z góry wiedziała, że sprawa jest przegrana. Bo taka właśnie była.

Gdy prowadzili go do sądu, miał ręce skute przed sobą, a wokół uzbrojonych strażników. W tłumie dostrzegł Georgię, przyjrzał jej się szybko. Miała podkrążone oczy i potargane włosy. Na ten widok ścisnęło mu się serce. Bolało go, że płaciła za swojego ojca, nawet jeżeli działał w słusznej sprawie.

Wszedł sędzia, surowy mężczyzna z pieprzykiem nad górną wargą, wszyscy wstali. Sędzia zmierzył go wzrokiem, a Gąsienica zrewanżował się tym samym – obaj wiedzieli, kim jest ten drugi. Czy sędzia uśmiechnął się drwiąco, czy Gąsienicę poniosła wyobraźnia? Ile mu zapłacili za to, że na resztę życia wtrąci go do więzienia?

Sędzia odczytał numer sprawy – szereg cyfr i liter; Gąsienica miał nadzieję, że ktoś je zapisuje. Inny Obserwator, sprawdzający, czy to jest szyfr, czy przypadkowy ciąg znaków. Sędzia ogłosił, że sądzony będzie Theodor Quinn – sądzony, jasne, szkoda tylko, że praktycznie przez grupkę szemranych kombinatorów. A potem jego własna adwokatka, jakby nigdy nic, oświadczyła, że „rezygnują z odczytywania zarzutów”. Gąsienica wiedział to od początku – była jedną z nich i wspólnym siłami chcieli przeprowadzić to jak najszybciej, żeby zniknął na dobre.

Czekał, aż sędzia zapyta go, czy się przyznaje do winy, ale ku jego zdumieniu potoczyło się to inaczej. Gdy sędzia zapytał, czy oskarżony się przyznaje, ta cała adwokatka odpowiedziała za niego, że jest niewinny! Teraz już gadali tylko o terminach, zawiadomieniach i wnioskach. Chcieli się go pozbyć, nie dając mu okazji do powiedzenia choćby jednego słowa.

Obejrzał się przez ramię. Na sali siedziało kilka osób, z czego dwie przyglądały mu się z uwagą. Jedna z nich, kobieta o kręconych kasztanowych włosach i w różowym sweterku, powiedziała coś bezgłośnie.

Krąg nie jest w stanie do nas dotrzeć.

Obserwatorka. Tutaj, razem z nim.

Odchrząknął.

– Ja, eee... jeszcze się nie wypowiedziałem w kwestii winy.

Sędzia przerwał w pół zdania i spojrział na niego beznamiętnie.

– Pani mecenas oświadczyła już, że jest pan niewinny.

– A ja nie mam nic do powiedzenia?

Adwokatka nachyliła się nad nim i gorączkowo szeptała mu coś do ucha, ale jej nie słuchał. Wstał.

Krąg go nie docenił. Teraz tego pożałują.

– System DAS jest połączony z osiemnastoma tysiącami kamer monitoringu, które są rozmieszczone w całym mieście – powiedział głośno. – A w ciągu ostatnich dziesięciu lat nowojorska policja nabyła sześć dronów podwodnych. Ale kto tak naprawdę włada tym potencjałem? Nasza policja? Czy dotyczy to tylko Nowego Jorku? A może podobne systemy zainstalowano w całych Stanach Zjednoczonych?

Ktoś na niego krzyczał, adwokatka ciągnęła go za rękaw, a uzbrojony strażnik już zmierzał w jego stronę.

– Co sieci inwigilacji mają wspólnego z liceum Krzysztofa Kolumba? – Teraz już Gąsienica krzyczał. – Dlaczego policja podpaliła szkołę? Zastanówcie się nad jej lokalizacją! Dlaczego zastawili pułapkę na dwóch Obserwatorów? Zgadza się, tylko na dwóch, bo ta trzecia okazała się podwójną agentką! Jaki jest związek tych wszystkich rzeczy?!

Gdy wywlekali go z sali sądowej, patrzył na tylne ławki, na Georgię i na tę Obserwatorkę.

– Przeprowadź własne badania! – ryknął. – Kto na tym zyskuje? Do czego ostatecznie dążą? Nie wierz mi na słowo! Zbadaj to sama!

Ktoś rzucił go na ścianę, ale nie dbał o to. Nawet gdyby go teraz zabili, jest za późno. W ciągu godziny inni Obserwatorzy zrozumieją to, co on pojął już wcześniej. Jaki jest zasięg spisku. A wtedy zrobią, co w ich mocy, żeby zdemaskować Krąg i raz na zawsze powstrzymać tych ludzi.

„Kraż nie jest w stanie do nas dotrzeć”.

Gdy go wyprowadzali, uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nie zatrzymają tego, co ich czeka – mruknął.

ROZDZIAŁ 67

Ten weekend dzieci spędzały ze Steve'em, więc po całym dniu bez nich Abby czuła się jak naciągnięta do granic wytrzymałości gumowa taśma. Owszem, zadzwoniła do Sam dwa razy, najpierw pod pretekstem, że nie może znaleźć pilota do telewizora; kilka godzin później już nie udawała, dzwoniła, żeby usłyszeć jej głos i przekonać się, że wszystko jest w porządku.

Ale to nie to samo, co być razem z nimi. Widzieć je na własne oczy.

Sam już wcześniej skarżyła się, że Abby patrzy na nią „jak jakieś odrażające dziwadło”. Choć pewnie nawet nie wiedziała, że czasami Abby zakrada się nocą do jej sypialni, tylko po to, by zobaczyć, że córka leży bezpiecznie w łóżku. Ale tak wyglądała prawda – Abby rzeczywiście była odrażającym dziwadłem, śledzącym własną córkę.

A teraz jej dzieci były w jednym z tych miejsc w Nowym Jorku, do którego nie mogła przyjść bez zaproszenia. W domu jej byłego męża. Owszem, teoretycznie mogłaby się wprosić, ale odechciewało jej się na samą myśl o lawinie protekcyjnych komentarzy Steve'a. Dwukrotnie już dał jej wykład o zespole stresu pourazowego, a nawet zaproponował, żeby „tak na wszelki wypadek” wybrała się do terapeuty i porozmawiała na temat tego, co się stało. Oczywiście kiedy zapytała go, czy on też poszedł na terapię, tylko spojrzał na nią z zakłopotaniem.

Siedzenie w domu było tym trudniejsze, że pokoje dzieci stały się takie puste. Jeśli nie liczyć psa, pająka, węża, kameleona oraz wiwarium ze świerszczami.

Pojechała więc do Carvera.

Coś jej mówiło, żeby się nie śpieszyć, trzymać go na dystans. W ciągu ostatnich miesięcy przeszła tyle, że czuła się, jakby jej mózg stratowało stado bizonów. Wmawiała sobie, że jedynie zje z nim kolację i spędzą wspólnie miły wieczór.

Po kolacji otworzył butelkę wina i kiedy usiedli na kanapie, wypła kieliszek. I jeszcze jeden. Trzeci oznaczały, że nie będzie mogła wrócić autem do domu.

– A wiesz, siostra opowiedziała mi dzisiaj niesamowitą historię o wielorybach – powiedział Carver.

– Która siostra? – spytała. – Masz ich chyba pierdylion.

– Mam cztery. Ale jak mówię, że rozmawiałem z siostrą, zawsze mam na myśli Holly.

– A co byś powiedział, gdybyś rozmawiał z eee... – Próbowwała sobie przypomnieć imiona pozostałych sióstr. – Z Daną?

– Powiedziałbym, że rozmawiałem z Daną.

– Dlaczego? Bo Holly lubisz najbardziej?

Zmarszczył czoło.

– Nie, po prostu z nią rozmawiam najczęściej... Przerwałaś mi opowieść.

– Wybacz. – Dopła drugi kieliszek.

– Nie ma sprawy. No więc one nadają na innych częstotliwościach.

– Twoje siostry?

– Co? Nie. Wieloryby. Wieloryby rozmawiają ze sobą na różnych częstotliwościach. – Na jego ustach pojawił się uśmiezek. Abby rozproszyła się na chwilę, patrząc na piękny wykrój tych ust oraz zmarszczki w kącikach oczu, które ocieplały wyraz jego twarzy. Siedział zaledwie kilka centymetrów od niej, czuła na skórze ciepło jego ciała. Miał na sobie sweter z cienkiej wełny, która wydawała się rozkosznie mięciutka. Kiedy musnęła kolanem jego kolano, jej spódnica lekko się zadarła.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, co powiedział, i z tego, że wlepia w niego wzrok.

– Jasne. Wieloryby.

Jego oczy błysnęły wesoło.

– Nawołują się z odległości dziesiątków kilometrów. W ten sposób się odnajdują na oceanie. Różne gatunki wielorybów używają różnych częstotliwości, tak że nie wchodzi sobie w paradę. No więc jeden wieloryb woła drugiego, a po chwili tamten odpowiada.

Nie chciało jej się wychodzić. Najchętniej zostałaaby i słuchała go przez całą noc. W ciepłym świetle mieszkania jego opalona skóra jeszcze bardziej lśniła złotem. Stwierdziła, że się do niego nachyla.

– Wypiłabym jeszcze kieliszek.

– Oczywiście.

Uśmiechnął się do niej, unosząc butelkę, żeby jej dolać. Musnął ręką jej ramię. Oblizła usta.

– Na czym skończyłem? – zapytał.

– Na różnych częstotliwościach.

– A tak. No więc naukowcy nagrali jednego wieloryba. W lodowatej wodzie, na naprawdę dużej głębokości. I otóż on nawołuje na całkiem innej częstotliwości niż wszystkie inne wieloryby. Dlatego żaden mu nie odpowiada. Nigdy. A biedak

– Byle na właściwej częstotliwości.

– Wiadomo. Ja ze wszystkimi rozmawiam na właściwej częstotliwości. To podstawowa zasada negocjatora.

Zielone oczy Carvera błyszcząły.

– A potem?

– Zadałabym mu pytanie otwarte. Żeby go zmusić do rozwinięcia tematu.

Pokiwał głową.

– Czyli, na przykład, spytałabyś go: „Lubisz ryby?”.

Abby z trudem hamowała się, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jego policzka, ale nadal trzymała kieliszek.

– Nie. Na takie pytanie odpowiada się tak albo nie. To zabija dialog. Ja bym spytała: „Dlaczego ryby są dla ciebie takie ważne?”. Albo: „Jak mogę ci pomóc z rybami?”.

Przysunął się bliżej niej, wyraźnie oczarowany.

– I co potem?

Odstawiła kieliszek na stół i całym ciałem odwróciła się do niego.

– Wtedy dowiedziałabym się, czego naprawdę pragnie – szepnęła, z twarzą o centymetry od jego twarzy.

On również odstawił kieliszek na stół i odwrócił się do niej. Przesunął ręką po jej karku, musnął ustami jej usta. Zaczęli delikatnie, jak gdyby nie byli pewni reakcji drugiej strony. W końcu Abby otworzyła usta i splotła język z jego językiem. Całując ją, jedną ręką pieścił jej kark, a drugą obejmował w talii.

Im dłużej trwał pocałunek, tym bardziej pragnęła przycisnąć się do niego.

Jej puls przyspieszył. Wsunęła palce pod miękką wełnę jego swetra.

Skubnął jej dolną wargę, przerwał pocałunek i przesunął jej ręce po swoim brzuchu. Ściągnęła mu sweter i omiotła wzrokiem jego ciało.

– Pragnę cię – szepnęła.

Spuścił wzrok na jej bluzkę i zaczął ją rozpinać. Abby ledwo oddychała, gdy muskał dłonią jej pierś, ściągając jej bluzkę. Kiedy się z tym uporał, sięgnął za jej plecy, by rozpiąć stanik. Odchyliła się, położyła na kanapie i pociągnęła go na siebie. Objęła go nogami. Przycisnął usta do jej szyi i zaczął ją całować. Jego gorące pocałunki sunęły ku jej piersi.

Ona jednak chciała więcej, sięgnęła do jego rozporoka, rozpięła spodnie, ściągnęła mu majtki. Wsunął ręce pod jej spódnicę i ściągnął śliczne jedwabne majteczki, które włożyła nie bez powodu. Przysunął się bliżej, całując ją namiętnie. A kiedy ich ciała, po raz pierwszy od wieków, się splotły, nie myślała o niczym, zawładnęło ją słodkie pożądanie.

ROZDZIAŁ 68

Regał z książkami chyba nie miał końca. Sam biegła co sił w nogach, nie wiedząc, dokąd się kierować. Wiedziała tylko, przed czym ucieka. On był tuż za nią, słyszała, jak dyszy ciężko, czuła jego odór, a jeśli ją dogoni, zaciśnie rękę na jej szyi i pozbawi ją tchu. Ogień lizał jej stopy, wokół niej płonęły książki, zza pleców doleciał ją krótki śmiech szaleńca, próbowała biec szybciej, ale on nadrabiał dystans, przesmyk między regałami się zwiężał, nie mogła już tak gnać, przeciskała się pośród płonących książek i nagle z tyłu złapała ją jego dłoń...

Usiadła na łóżku. Dysząc ciężko, wyciągnęła rękę i odruchowo zapaliła lampkę nocną. Ostatnio zawsze zasypiała przy włączonym świetle. Ale kiedy już spała, mama je gasiła.

Inna sprawa, że snu było niewiele. Od tamtego koszmarnego dnia Sam nie przespała ani jednej całej nocy. Psycholog twierdził, że należało się tego spodziewać. Zresztą i tak radziła sobie lepiej niż Ray, który nie potrafił się zmusić, by przekroczyć próg szkoły.

Byłoby całkiem dobrze, gdyby znów mogła grać na skrzypcach. Ale nie potrafiła. Przy pierwszej próbie serce waliło jej jak szalone, nie była w stanie oddychać. Kolejne próby wypadły niewiele lepiej. A teraz nawet nie chciała tknąć instrumentu. Dwa tygodnie bez gry na skrzypcach. Kiedyś myślała, że byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby połamala wszystkie palce.

Psycholog kazał jej spisać rzeczy, których unika, i wystawić im stopnie – które powodują największy lęk. Lista leżała na jej biurku, bo wciąż wprowadzała do niej jakieś zmiany.

Gra na skrzypcach – 7

Chodzenie co rano do szkoły – 3

Wchodzenie do szkolnej stołówki – 9

Noszenie golfa albo naszyjnika – 6

Przebywanie w sali lekcyjnej przy zamkniętych drzwiach – 4

Wchodzenie do sali muzycznej w szkole – 10

Lista ciągnęła się bez końca. Podobno żeby się pozbierać, mogłaby jakoś przełamać niechęć do pewnych czynności. Na przykład skoro na liście lęków

samo trzymanie skrzypiec, bez grania, oceniła tylko na cztery punkty, to mogła próbować to robić kilka razy dziennie. Ot, takie swoiste tortury.

Na razie próbowała ćwiczyć oddychanie. Ostatniej nocy udało jej się zasnąć w kilka minut. Jednak ten ostatni koszmar był zbyt świeży i żywy; nie mogła się po nim uspokoić.

Bywało, że przeciągała materac do pokoju Bena i tam się kładła. Teraz już wcale nie bała się tego, co tam żyło – jego pajaka i węża. W ogóle jej nie przeszkadzały. Tej nocy jednak nie mogła się przemóc, żeby to zrobić, nie chciała oglądać rano smutnej miny mamy, gdy zobaczy, że córka znowu spędziła bezsenłą noc. Nie. Lepiej leżeć we własnym łóżku aż do rana.

Gapiała się na sufit, myśląc o tej chwili, kiedy Deborah złapała ją za rękę. O tym, jak ścisnęła jej nadgarstek. Przeżywała to w myślach raz za razem.

I wtedy stwierdziła, że coś nuci. Trzy szybkie nuty, powtarzane w kółko. Próbowała sobie przypomnieć, co to za piosenka, ale nie, to nie był żaden znany jej utwór. Nuciała tę chwilę, ten uścisk, lodowaty strach ściskający jej pierś i próby oswobodzenia ręki.

To miało melodię.

Zaskoczona, przywołała obraz stołówki, ciągnącego ją Kapelusznika i policję, która przyglądała się temu bezradnie. Ta nieznośna sytuacja miała własny rytm. Pojedynczy prosty akord.

Usiadła, odrzuciła kołdrę. Keebles, śpiąca w rogu pokoju, uniosła głowę, westchnęła ciężko i zasnęła z powrotem; przywykła już do jej nieobliczalnego zachowania w nocy. Sam wstała i wzięła instrument.

Jej skrzypce elektryczne nie były całkiem ciche, ale kiedy nie podłączała ich do głośników i przy zamkniętych drzwiach, prawie nie było ich słychać na zewnątrz. I całe szczęście, skoro zamierzała grać o drugiej w nocy. Podłączyła słuchawki i przycisnęła instrument pod brodą. Serce jej łomotało, strach i ekscytacja walczyły ze sobą.

Od czego zacząć? Wyobraziła sobie te pierwsze chwile, gdy usłyszeli krzyki za drzwiami sali muzycznej. Początek wszystkiego.

Tak, ta chwila również miała swój kształt. Przeciągnęła smyczkiem po strunach i w słuchawkach rozbrzmiała kaskada gniewnych, gwałtownych dźwięków. Nie, między jej umysłem a palcami melodia się zagubiła. Jeszcze raz przywołała ten obraz. Szybsze tempo, rwane, dysonans serii ostrych nut. Spróbowała jeszcze raz – wypadło nieco lepiej.

Grała dalej, wyobrażając sobie te nerwowe minuty, pełne strachu i niepewności, wahania, czy zostać w kryjówce, czy opuścić pokój. Gęsta muzyka w chaotycznym rytmie, a potem... długa cisza. Niemal za długa, chwytające za serce ewentualnych słuchaczy odbicie jej własnych uczuć, gdy nasłuchiwała

w rozpaczy pod drzwiami, ale panowała tylko cisza. I nagle lawina nut, goniących jedna za drugą, finałowa kulminacja, zanim otworzyli drzwi.

Gdy skończyła, oddychała ciężko. Cała się trzęsła.

I wtedy zagrała to jeszcze raz.

Nagrała całość. Dwie minuty trzydzieści sześć sekund muzyki powstałej w jej głowie. Spróbowała zrobić zapis nutowy, przelać to na papier. Dotychczas niczego nie skomponowała, nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Był to dziwny proces i odwrócony, jak gdyby powoli wyjmowała jedzenie z ust i odkładała na talerz, aż będzie pełny. Grała po kilka nut, próbowała zrozumieć, co właśnie zagrała, i to zapisać. Później spróbuje zagrać to, co zapisze, i sprawdzi, czy się udało.

W ten sposób, małymi kroczkami, zapisała cały utwór.

Trzecia trzydzieści nad ranem, a ona nadal nie mogła zasnąć – ale nie ze strachu, tylko z podniecenia. Wyjęła telefon i wystukała wiadomość do Fiony – najczęściej używane słowo w historii esemesów.

Śpisz?

Obie prawie nie sypiały, więc nie zdziwiła się, kiedy Fiona odpisała od razu:

Nie. Nie mogę spać.

Coś ci wysyłam. Utwór, który napisałam.

Sam wysłała Fionie plik audio i natychmiast pożałowała. Fiona powie, że to koszmarnie. Albo że zna już tę piosenkę, czy to nie jakiś kawałek z albumu Green Day? Czy Samantha naprawdę uważa, że sama to wymyśliła? Przecież to znana piosenka. Albo orzeknie, że to banalne. Albo, co gorsza, odpisze, że jest bardzo ładne. Albo...

Sam, to jest nie-sa-mo-wi-te! Sama to napisałaś?

Uśmiechnęła się szeroko. A jak! Przed chwilą.

Jaki jest tytuł?

Właśnie, tytuł.

Nazwałam to Bez wyjścia.

Patrzyła, jak w okienku czatu pojawiają się trzy kropki, znikają i ukazują się z powrotem.

Chyba przydałaby się do tego perkusja.

Sam miała ochotę wyściskać Fionę. Sprawdziła, która godzina. Czwarta dwadzieścia nad ranem.

Wiesz, szkoła zaczyna się dopiero za cztery godziny.

ROZDZIAŁ 69

Dzisiaj było lepiej. Abby nie miała co do tego wątpliwości. Wprawdzie oczy Sam wciąż były podkrążone i przekrwione, ale tak sprężystego kroku od dawna u córki nie widziała. No i wyszła do szkoły z przewieszonym przez ramię futerałem ze skrzypcami. Abby pozwoliła sobie na chwilę nadziei.

Musiała jechać do pracy, i tak już była spóźniona. Poszła jednak do garażu i odkryła wiszącą na ścianie wielką tablicę. Cofnęła się o krok, patrząc na artykuły, zdjęcia i własne notatki. Na górze było przyklejone zwyczajne zdjęcie Mosesa Wilcoxa sprzed tych wszystkich lat, znalezione w sieci. Obok przykleiła niewyraźne zdjęcie ze swojego telefonu. Moses był na nim siwy i pomarszczony.

Kilka dni zajęło jej zdobycie nakazu lokalizacji jego telefonu na podstawie ich czatu wideo. Zadzwoił do niej z Stewartstown w Pensylwanii. Miejskowa policja rozpytała ludzi, ale nikt nie rozpoznał mężczyzny ze zdjęcia. Na jej rzucie ekranu wyglądało na to, że siedział w jakimś maleńkim pokoju o drewnianych ścianach. Za jego plecami widać było róg łóżka. Przypuszczała, że to miejscowy motel albo lokal wynajęty za pośrednictwem Airbnb, jak dotąd jednak nie udało się go zlokalizować.

Zamierzała się tam niedługo wybrać.

Telefon, z którego z nią rozmawiał, był wyłączony i od tamtego czasu nikt go nie włączył. Moses nie czytał wiadomości, które mu wysyłała, ani nie odbierał jej telefonów. Zniknął na dobre.

Tablica stanowiła chaotyczny zapis tropów oraz prób namierzenia Mosesa od czasu tak zwanej masakry Wilcoxa.

Nazwiska i namiary na ludzi, którzy z furią piętnowali działania policji owej nocy i wychwalali Mosesa niczym świętego. Czy to ktoś z nich ukrywał go w dniach po pożarze? Zebrane przez policję zeznania świadków, które na oko zawierały istotne poszlaki – podobno tej nocy widziano tam kogoś biegnącego przez pole. Skradziony w Ayden w Karolinie Północnej samochód, który trzy dni później znalazł się w Wirginii. Adres, pod który Abby i Eden wysyłały listy, rzekomo do Isaaca, a tak naprawdę do Mosesa.

Inna część tablicy była poświęcona Deborah. Abby zrobiła kopie ze śledztwa policji, mającego ustalić, kim była ta kobieta. Niewiele znaleźli. Nie udało się

potwierdzić jej tożsamości, nie miała kartoteki. Kilka zdjęć, portret pamiątkowy i relacje z tego, co mówiła zakładnikom.

Abby dała sobie spokój z tymi tropami, skupiła się na pożarach.

Na pierwszy wpadła prawie przypadkiem. Spalił się dom w miasteczku, do którego wysyłała listy jako nastolatka. W pożarze zginął mężczyzna, a jego żona zniknęła. Policja podejrzewała podpalenie. Sąsiedzi zeznali, że tydzień wcześniej widzieli kręcącą się tam grupę nieznajomych, którzy wchodzili do środka i wchodzili o dziwnych porach. I nieustannie słyszeli, jak ktoś gadał. Głównie głos jednego człowieka, który bez końca przemawiał i krzyczał. Abby niemal to widziała. Moses Wilcox stoi w salonie tego domu i wygłasza kazanie do swojej nowej trzódki. Opowiada im, że diabeł mieszka w zaraskach, więc bez przerwy muszą szorować ręce. Że nadchodzi apokalipsa, a Bóg wybrał go na swojego mesjasza. I że – jak Deborah tłumaczyła Sam – ogień zmyje ich grzechy.

Przeglądała bazy danych, dzwoniła do wydziałów policji w całym kraju. Szukając innych dziwnych pożarów, które mogły mieć związek ze sprawą.

Znalazła pięć. Ich zdjęcia zajmowały teraz dół tablicy – zwęglone ruiny budynków. Nie dodała fotografii spalonych ciał, w obawie, że Sam albo Ben mogliby przypadkiem odkryć tablicę. Dwa z tych pożarów oznaczyła gwiazdką, wskazującą, że podczas swoich badań znalazła tam jeszcze coś osobliwego.

A teraz zapewne miała szósty. Trzymała wydrukowane zdjęcie, z zapisanym na odwrocie numerem telefonu. Wybrała go.

Prawie natychmiast słuchawkę podniosła kobieta o wesołym głosie.

– Dzień dobry, policja miejska w Bloomington. Czym mogę służyć?

– Cześć – rzuciła Abby. – Dzwonię w sprawie zeszłorocznego podpalenia w Ireland Grove. Chyba mam istotne informacje. Czy mogę rozmawiać ze śledczym prowadzącym tę sprawę?

Kobieta poprosiła Abby, żeby zaczekała chwilę, która trwała i trwała. Następnie przełączyła ją do śledczego Dacosty. Był wyraźnie podejrzliwy i marudny, ale to żaden problem – bez trudu radziła sobie z podejrzliwymi i marudnymi facetami, więc po dziesięciu minutach rozmowy byli serdecznymi przyjaciółmi. Udzielił jej wszelkich informacji. Dużo z tego pasowało. Kręcące się w pobliżu grupy nieznajomych. Jakaś kobieta przypomniała sobie, że tydzień przed pożarem zaprosili ją tam na coś w rodzaju zbiorowej modlitwy, związanej z „płomieniami z niebios”. Nie poszła. Dacosta obiecał Abby, że wyśle jej szczegóły, które ją interesowały.

– A wiesz, nie ty jedna dopytujesz się ostatnio o tę sprawę – zauważył.

Znowu to samo! Abby wzięła niebieski pisak i postawiła gwiazdkę przy zdjęciu spalonego domu.

– Naprawdę? A kto jeszcze się nią interesował? – spytała, choć dobrze wiedziała kto.

– Jakiś czas temu dzwonili federalni. Podobno ta sprawa ma związek z jakimś ich śledztwem. Zostawili numer telefonu na wypadek, gdybym na coś jeszcze trafił.

Ciekawe. Policjanci, z którymi rozmawiała poprzednio, nie mieli dla niej żadnych nazwisk ani numerów telefonów.

– Możesz mi podać ten numer? – spytała.

– Jasne. – Przewidywał go. – To numer agenta Caldwell.

Podziękowała mu i się rozłączyła. Przyklepiła do tablicy szóste zdjęcie. A potem wybrała numer, który dostała.

– Halo? – Głos kobiety, ostry i niecierpliwy.

– Cześć – powiedziała Abby. – Zastałam agenta Caldwell?

– Nie, Caldwell nie ma. A o co chodzi?

– Dzwonię w sprawie, którą prowadzi... powiązaną z podpaleniem w Bloomington...

– Caldwell już się tym nie zajmuje.

Kolejna podejrzliwa maruda. To już się robiło nudne.

– Chyba mam informacje w tej sprawie i jeszcze dwóch...

– Przepraszam, z kim rozmawiam?

– Porucznik Abby Mullen, policja nowojorska.

– W porządku. Co to za informacje?

W głosie tej kobiety było coś takiego, co działało Abby na nerwy. Typowa federalka. Arogancka i bezczelna.

– Czy to pani jest agentką prowadzącą? – zapytała.

– Nie jestem agentką.

– Ja chcę rozmawiać z agentem, który prowadzi tę sprawę.

– Ja ją prowadzę.

Abby westchnęła w duchu. Ta kobieta była niemożliwa.

– Powiedziano mi, że to śledztwo prowadzi FBI.

– Bo tak jest, porucznik Mullen. Dodzwoniła się pani do Sekcji Analiz Behawioralnych FBI.

SAB. Abby zmarszczyła czoło. Ciekawe, dlaczego akurat oni zajmują się tymi pożarami?

– Z kim rozmawiam?

– Jestem doktor Zoe Bentley.

– Miło poznać, pani doktor. – Abby starała się mówić łagodnym głosem, co wymagało nie lada wysiłku. – Mam podstawy uważać, że podpalenia, które badacie, są ze sobą powiązane.

- W porządku. – Doktor Bentley wcale się nie zdziwiła. – Co je łączy, pani zdaniem?
- Uważam, że mają związek z sektą, w związku z którą prowadzę śledztwo.
- Z sektą? – Zaskoczona Bentley podniosła głos.
- Tak. Mam dowody, że...
- Mullen – przerwała jej Bentley. – Powiadasz, że jesteś z policji miejskiej Nowego Jorku?
- Zgadza się.
- My się nie zajmujemy podpaleniami. Prowadzimy śledztwo dotyczące serii zabójstw. Wygląda na to, że musimy ze sobą pogadać.

PODZIĘKOWANIA

Moja praca jako pisarza polega na grzebaniu w swojej wyobraźni, we wspomnieniach i myślach, i zbieraniu pomysłów. Te pomysły są niesforne, krnąbrne i na siłę trzeba je przelewać na papier w postaci słów i zdań. Ten proces jest skomplikowany, a w moim przypadku wręcz cholernie trudny.

Zawsze mnie wspiera moja żona Liora. Kiedyś wyszedłem z gabinetu skołowany i otępiały i powiedziałem jej: „Chyba napisałem coś dziwnego. Grupka ludzi o pseudonimach wziętych z *Alicji w Krainie Czarów* z bronią w rękę napadła na szkołę. I nie wiem, co z tym zrobić”. Łagodnie poprosiła mnie o niedokończony brudnopis, przeczytała go i orzekła: „Jest dobrze, chcę się dowiedzieć, co dalej”. Właśnie tego mi było trzeba. Liora jest pierwszą osobą, z którą omawiam pomysły, jako pierwsza czyta brudnopisy i to do niej się zwracam, kiedy czuję, że coś mi nie idzie – a zdarza mi się to przy każdej bez wyjątku książce. Nie wyobrażam sobie pisania bez niej.

Moja redaktorka Jessica Tribble Wells obgadała ze mną tę powieść. To ona zwróciła mi uwagę między innymi na to, że wśród zakładników musi się znaleźć Samantha. Jej fantastyczne uwagi redakcyjne pomogły mi też zrobić z Gąsienicy i Almy postaci z krwi i kości i nadały książce blasku.

Christine Mancuso przeczytała pierwszą wersję maszynopisu i choć nie była zachwycona moim opisem śmierci nieszczęsnej Deborah, udzieliła mi nieocenionych rad i pomogła mi napisać ostatnią scenę z Abby i Carverem.

Gotową wersję przeczytali też moi rodzice, Haim i Rina Omerowie. Dopiero teraz, po dwudziestu czterech latach, odkąd zacząłem pisać, dostaję od nich uwagi, po których nie tupię, nie zamykam się u siebie i nie trzaskam drzwiami. To fantastyczne, bo niektóre ich komentarze sprawiły, że ta książka jest o wiele lepsza.

Nie jest łatwo wymyślić, w jaki sposób negocjator rozwiązuje sytuacje kryzysowe, a szperanie w sieci wszystkiego nie załatwia. O. Shahaar godzinami cierpliwie objaśniał mi różne techniki, a potem przeprowadził ze mną nawet symulację trudnej rozmowy. To jemu zawdzięczam wiele sprytnych posunięć Abby. Dziękuję Jaronowi Liorowi, że mnie z nim zapoznał.

Redaktor Kevin Smith, który pracuje ze mną w trakcie pisania książek, kapitalnie pomógł mi uczłowieczyć postać Abby i to dzięki niemu scena wielkiego odkrycia błyszczy. Praca z nim to sama przyjemność.

Moja agentka Sarah Hershman pracuje ze mną, odkąd zacząłem pisać kryminały. Bez jej wiary w moje książki i we mnie ta powieść nigdy by nie ujrzała światła dziennego.

Ale przede wszystkim dziękuję moim cudownym czytelnikom, dzięki którym mogę spełniać swoje marzenia.

O AUTORZE

Mike Omer był dziennikarzem, programistą gier komputerowych oraz dyrektorem generalnym Loadingames, obecnie zaś pracuje nad kolejnym thrillerem. Najbardziej lubi pisać o prawdziwych ludziach, którzy mogą stać się sprawcami bądź ofiarami zbrodni... i okraszać to humorem. Te dwa swoje ulubione wątki wplata do pasjonujących i często makabrycznych kryminałów.

Omer jest mężem kobiety, która starannie pilnuje, by spełniał swoje marzenia, oraz ojcem aniołka, skrzata i chochlika. Ma dwa żarłoczne psy, pięć równie żarłocznych kurczaków oraz bliżej nieznaną liczbę chomików. Do jego ogrodu czasami zagląda też żółw. Więcej informacji można znaleźć pod adresem: mike@strangerealm.com.

PRZYPISY

1. Ewangelia wg św. Łukasza 12.27. Ten i dalsze cytaty z Biblii w przekładzie za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. Lewis Carroll, *Przygody Alicji w krainie czarów*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. [\[wróć\]](#)
3. ALICE – procedura ćwiczona w Stanach Zjednoczonych na wypadek wtargnięcia do szkoły uzbrojonego napastnika (skrót od słów Alert, Lockdown, Inform, Counter, Evacuate, czyli „alarmuj, zabarykaduj się, powiadom, odeprzyj atak, ewakuuj się”). [\[wróć\]](#)
4. Chodzi o jedną z teorii spiskowych, według której wieże WTC zawaliły się 11 września 2001 roku na skutek „kontrolowanego wyburzenia”. [\[wróć\]](#)
5. Apokalipsa św. Jana 5,11. [\[wróć\]](#)
6. Księga Wyjścia 23,20. [\[wróć\]](#)
7. Ewangelia wg św. Mateusza 3,11. [\[wróć\]](#)
8. Ewangelia wg św. Mateusza 3,1. [\[wróć\]](#)